

DYLEMATY POLITYKI SPOŁECZNEJ

Uniwersytet Warszawski
Wydział Dziennikarstwa i Nauk Politycznych
Instytut Polityki Społecznej

Jolanta Supińska

DYLEMATY POLITYKI SPOŁECZNEJ

Warszawa 2014

Wydanie publikacji dofinansowane przez Polskie Towarzystwo Polityki Społecznej oraz Zakład Teorii i Metodologii Polityki Społecznej i Pracownię Pomocy i Integracji Społecznej z Instytutu Polityki Społecznej Uniwersytetu Warszawskiego

Limitowane wydanie jubileuszowe

Egzemplarz nr

Projekt okładki:
Barbara Kuropiejska-Przybyszewska

Redakcja i korekta:
Justyna Godlewska, Ryszard Szarfenberg, Aneta Wiącek

Skład i łamanie:
OFI – Warszawa

© Copyright by Jolanta Supińska
© Copyright by Oficyna Wydawnicza ASPRA-JR, Warszawa 2014

Wszelkie prawa zastrzeżone. Każda reprodukcja lub adaptacja całości bądź części niniejszej publikacji, niezależnie od zastosowanej techniki reprodukcji (drukarskiej, fotograficznej, komputerowej i in.), wymaga pisemnej zgody Autorki i Wydawcy.

Wydawca:
Oficyna Wydawnicza ASPRA-JR
03-982 Warszawa, ul. Dedala 8/44
tel. 602 247 367, fax 22 870 03 60
e-mail: oficyna@aspra.pl
www.aspra.pl

ISBN 978-83-7545-523-6

Objętość 18.5 ark. wyd.

*Wydanie to dedykujemy
Pani Profesor Jolancie Supińskiej
z wdzięcznością za wciąż aktualną
syntezę problematyki teorii polityki społecznej,
będącą nieustannym źródłem inspiracji
dla naszych refleksji i badań –
współpracownicy i przyjaciele*

Spis treści

Przedmowa do drugiego wydania	15
Słowo wstępne do wydania z 1991 roku	23
1 O polityce społecznej i jej dylematach	27
Rys polityki społecznej	27
Działanie i nauka	27
Przedmiot i zakres	27
Cele	30
Środki działania	30
Podmioty działania	31
Rodzaje metod badawczych	32
Diagnozowanie	33
Prognozowanie	34
Programowanie	34
Kontrolowanie	35
Metoda docelowa	35
Dialog paradygmatów	36
Rzeczywista praktyka badawcza	37
Role uczonych	37
Eksperci – władza – społeczeństwo	38
Resumé	41
Ujęcie „dylematowe”	41
Pojęcie dylematu w polityce społecznej	41
Ograniczenia i walory ujęcia „dylematowego”	42
Tworzywo analizy	43
Teorie i ideologie społeczne	44
Myślenie potoczne – jego siła i słabość	45
Działania polityki społecznej	48
Resumé	48
Typy dylematów	49
Umowność typologii	49
Wartości i interesy	49
Wartości indywidualne i społeczne	50
Wybór dylematów aksjologicznych	52
Wybór dylematów instrumentalnych i konstrukcyjnych	54

2	Kolektywizm a indywidualizm	57
	Cztery interpretacje kolektywizmu i indywidualizmu	57
	Odmiany kolektywizmu	57
	Odmiany indywidualizmu	58
	Ważność problemu dla polityki społecznej	58
	Indywiduum – osoba czy rodzina	59
	Koncepcje człowieka	60
	Konflikty między jednostkami	61
	O jakiej zbiorowości mowa	61
	Typ ładu społecznego	62
	Dobro zbiorowości a dobro jednostki – spór o prymat	63
	Dylemat pozorny?	63
	Warianty rozwiązań	64
	Opcja kolektywistyczna	65
	Ku opcji indywidualistycznej – resumé	66
	Kto ma orzekać, co jest dobrem jednostki?	67
	Potrzeby – subiektywne czy obiektywne?	67
	Obszary zgodności, sporu, ignorancji	67
	„Planiści” i „ekonomiści” o modelu konsumpcji	68
	Potrzeby rzeczywiste, otoczkowe i pozorne	68
	Eksperci – interpretatorzy pragnień?	70
	Pragmatyczne argumenty za kolektywizmem	72
	Resumé opcji kolektywistycznej	73
	Indywidualizm – apologia jednostki	73
	Indywidualizm – nieufność do zbiorowości	74
	Pragmatyczne argumenty za indywidualizmem	74
	Resumé	75
	Dobro jednostki – razem czy osobno	76
	Ranga kolektywistycznych potrzeb jednostki	76
	Zróznicowanie potrzeb „kolektywistycznych”	77
	Osobność – pożądana i niepożądana	77
	Resumé	78
	Organizacja zaspokajania potrzeb – zbiorowo czy indywidualnie?	79
	Dylemat instrumentalny czy aksjologiczny	79
	Formy zbiorowe – kryteria klasyfikacji	80
	Wielkie zakłady pracy – za i przeciw	82
	Żywnienie zbiorowe – za i przeciw	83
	Szkoła publiczna – za i przeciw	85
	Resumé	88
3	Równość a nierówność społeczna	89
	Uwagi wstępne	89
	Pułapki generalizacji	89
	Jak ich unikać	90
	Wymiary nierówności	90
	Funkcje dóbr krążących między ludźmi	91
	Podstawowe pojęcia i założenia	92

Równość to równość	92
Trzy odmiany idei równości	92
Równa miara czy jedna miara	92
Jaka miara?	93
Równość szans czy równość startu życiowego	94
Równość sytuacji	94
Co to znaczy społeczna	95
Idea równości a idea regulacji	96
Czy równość jest dobra	96
Emocje za i przeciw równości	96
Słuszność równości	97
Słuszność nierówności	98
Zamiast resumé	100
Czy równość jest nieuchronna	100
Nieuchronność nierówności – odwieczna natura ludzka czy wymóg modernizacji	100
Nieuchronność równości – powrót do natury czy wymóg modernizacji	101
Zamiast resumé	102
Czy równość może być użyteczna	102
W imię jak rozumianej efektywności	102
Egalitaryzm społeczeństwa a jakość	103
Kiedy nierówności pobudzają motywacje – warunki, ograniczenia	105
Motywacyjne funkcje elit – za i przeciw	106
Warunki użyteczności bodźców materialnych na stanowisku pracy	108
Kiedy brak efektu społecznego	108
Funkcje motywacyjne płac	110
Czy tylko płace	110
Jak inwestować w człowieka	111
Zasada podziału według pracy – antyegalitarna, proegalitarna czy złoty środek	113
Popularność zasady	113
Niejednoznaczność zasady	113
Elitaryzm contra egalitaryzm	115
Oskarżenia i obrońcy	115
Różne elitaryzmy	115
Różne egalitaryzmy	116
Aneks – Jak opisywać nierówności społeczne	117
Nierówność – pod jakim względem	117
Nierówności w czasie	120
Skala nierówności	121
Ranga różnych wymiarów nierówności	122
Nierówności – między kim a kim	123
Mechanizmy sprawcze	125
4 Bezpieczeństwo a zagrożenia	127
Podstawowe pojęcia i problemy	127
Bezpieczeństwo – awans wartości	127

Bezpieczeństwo odmianą wolności	127
Definicja działania ryzykownego	128
Typy sytuacji ryzykownych	129
Kto traci, kto wygrywa, kto przegrywa	129
Ryzyko – asekuracja	130
Źródła zagrożeń	130
Przedmiot zagrożeń	132
Poziomy wolności od zagrożeń	133
Teoria zabezpieczenia społecznego wobec wartości bezpieczeństwa	133
Szczegółowe polityki społeczne wobec wartości bezpieczeństwa	135
Czy bezpieczeństwo jest dobre	135
Złe strony nadmiaru bezpieczeństwa	135
Kolizje między bezpieczeństwami „częstkowymi”	136
Kiedy chronić jednostkę przed nią samą	138
„Złe bezpieczeństwo” contra działania ryzykowne	139
Konflikty z innymi wartościami	140
Poczucie bezpieczeństwa a prawda	141
Resumé	142
Jakie zagrożenia są nieuchronne	142
Między optymizmem a pesymizmem globalnym	142
Resumé	144
Co jest użyteczne – bezpieczeństwo czy zagrożenia	144
Zagrożenia jako „sposób na motywację”	144
Pożytki z zagrożeń „danych”	145
Pożytki z zagrożeń „sztucznych”	145
Brak zabezpieczenia społecznego	146
Bezrobocie	146
Penalizacja	147
O szkodliwości strachu i lęku	147
Kiedy bezpieczeństwo aktywizuje	148
Wtórne efekty systemów asekuracyjnych. Kapitalizm – socjalizm	148
Resumé	150
5 Wartości biologiczne	151
Spór o znaczenie biologicznego wymiaru życia	151
Na początku jest ciało	151
Ludzkie sprawy w polityce społecznej	153
Społeczeństwo – układ demograficzny czy klasowy	153
Zakres zainteresowań polityki społecznej	154
Wartość życia – podstawowe interpretacje	156
Trzy wartości	156
Ochrona i pomnażanie życia	156
Rodzaje zamachów na wartość życia	157
Co usprawiedliwia zamachy na ludzkie życie	158
Samoobrona i kara	158
Litość	159
Koszty ekonomiczne	159
Potrzeby elementarne	160

Potrzeby wyższego rzędu	160
Reakcje polityki społecznej	161
Resumé	161
Pomnażanie wartości życia – jakość czy ilość	161
Wokół rozwoju ludnościowego – spór pronatalistów	
z antynatalistami	162
Cele i założenia pronatalistów	162
Typy argumentów używanych w sporze	164
Wartość autoteliczna?	164
Wartość religijna	166
Cele polityczno-militarne	171
Cele ekonomiczne	172
Cele kulturowe	176
Cele ekologiczne	179
Stanowisko „ilościowe”	181
„Szczęściodajność” biologicznego wymiaru życia	181
„Szczęściodajność” a wskaźniki ilościowe	182
Nieuchronność trendów demograficznych	183
Resumé – wnioski dla polityki społecznej	184
6 Aktywność życiowa a aktywność społeczna	187
Pojęcie i problemy aktywności życiowej	187
Od ujęć najszerzych do najwęższych	187
Rodzaje aktywności życiowej – konkurencja czy wzajemne pobudzanie	189
Tryb życia – domena bierności	190
Pojęcie i problemy aktywności społecznej	191
Wartość, wskaźnik czy instrument	191
Definicje aktywności społecznej	193
Dobrowolność a presje	193
Nieodpłatność i amatorstwo contra korzyści i profesjonalizm	195
Inne cechy	196
Rodzaje aktywności społecznej	197
Od aktywności do nadaktywności w pełnieniu ról życiowych	197
Wybór roli – wybór dziedziny	198
Satysfakcja czy deprivacja	201
Konflikty	202
Interes własny a interes zbiorowości	202
Cele – co zmieniać, jak bardzo zmieniać	203
Motywy – dlaczego, po co	204
Odruchy czy postawy	205
Rola dziejowa „okazjonalistów”	206
Funkcje i role „szczegółowe”	206
Stopień i sposób instytucjonalizacji	208
Resumé	210
Miejsce dla aktywności życiowej i społecznej	211
Warunki i blokady aktywności życiowej	211
Warunki i blokady aktywności społecznej	212

	Aktywność w „centrali” i w „terenie”	213
	Resumé	216
7	Dylematy instrumentalne	217
	Wstęp	217
	O czym będzie mowa	217
	Ograniczenia i samoograniczenia sterowności	217
	Cztery rodzaje środków czy cztery wymiary decyzji	219
	Środki ekonomiczne	219
	Rodzaje środków ekonomicznych	219
	Po co ludziom są potrzebne dobra ekonomiczne	220
	Obszar niezależności ekonomicznej jednostek	221
	Konsumpcja naturalna i obrót naturalny w rodzinie	222
	Drugi obieg gospodarczy	222
	Rola polityka – wytyczanie „drog do konsumpcji”	223
	Konsumpcja społeczna	223
	Kto na tę drogę nie wejdzie	224
	Wersja „uprywatniona”	225
	Droga „dwupasmowa” – reglamentacja na quasi-ryнку	225
	Konsumpcja rynkowa	226
	Droga dla wybrańców?	227
	Resumé	228
	Środki informacyjne	228
	Rodzaje i znaczenie informacji	228
	Granice skuteczności środków informacyjnych	229
	Kryteria oceny technik propagandowych	230
	Monopol informacji a deformacje opinii publicznej	230
	Monopol informacji – niesłuszny, nieskuteczny, nie do utrzymania	232
	Dylematy pluralizmu informacyjnego	233
	Środki prawne	233
	Działanie środków prawnych – ile sztywności, ile „luzów”	233
	Stateczność a nakładochłonność	234
	Jaki monopol prawny państwa	236
	Środki kadrowe	237
	Czynnik ludzki	237
	Urzędnicy, nadzorcy, zawodowi przyjaciele, animatorzy	238
	Status i prestiż „realizatorów polityki społecznej”	239
	Skąd się biorą kadry	240
	Style realizacji polityki społecznej	240
	Koncepcja człowieka w różnych stylach realizacji polityki społecznej	240
	Jak łączyć style	241
	Styl rygorystyczny	242
	Rygoryzm a zachowawczość	244
	Styl bodźcowy	244
	Pułapki stylu bodźcowego	246
	Odmiana stylu bodźcowego – styl manipulacyjny	247
	Styl opiekuńczy	248
	Oskarżenia opiekuńczości	250
	Styl liberalny	250

Różnice między stylem liberalnym i bodźcowym	253
Nowy liberalizm „zarażony” opiekuńczością?	253
Uwarunkowania i współzależności wyborów instrumentalnych	254
Środki ograniczone i pozornie nieograniczone	254
Wybór wartości a wybory instrumentalne	255
Łatwość czy skuteczność	256
Wcześniej czy później; szybko czy wolno; krótko czy długo	257
W jakiej skali	257
Modyfikacje na niższych szczeblach	258
8 Zakończenie – upaństwowiona czy uspołeczniona polityka społeczna	261
Ład monocentryczny czy system porozumień	261
Cechy upaństwowionej polityki społecznej	262
Argumenty za	263
Argumenty przeciw	263
Cechy uspołecznionej polityki społecznej	265
Nadzieje	267
Obawy	267
Trzecie wyjście?	269
Resumé – od podmiotów do wartości i instrumentów	269
9 Bibliografia	271

Przedmowa

do drugiego wydania



ogromną przyjemnością przedstawiamy książkę, która ma dla nas wyjątkowy charakter. Spotkaliśmy się z jej Autorką na studiach dziennych prowadzonych przez Instytut Polityki Społecznej od 1987 r. W tym też roku została opublikowana pierwsza wersja książki, jeszcze na prawach rękopisu. Została ona przygotowana w ramach programu badań „Polityka społeczna w PRL” w grupie problemowej „Postęp i regres społeczny”. Jej kierownikiem był profesor Jan Danecki, również bardzo ważna postać dla rozwoju teorii polityki społecznej. Pod jego kierunkiem Jolanta Supińska napisała pracę doktorską. Dotyczyła ona jugosłowiańskiej strategii społeczno-gospodarczej, przedstawianej w kontekście zróżnicowania warunków życia w tym kraju¹.

Podstawą niniejszego wydania jest ostateczna wersja książki z 1991 r., ukończona w październiku 1989 r. Wśród najważniejszych różnic między nimi był nieco inny układ rozdziałów. W tej wcześniejszej tematyka aktywności życiowej i społecznej została umieszczona jako rozdział przedostatni, po dylematach instrumentalnych. Odwrotny porządek został zastosowany w wydaniu późniejszym. W nim też zamieszczono dodatkowo krótkie wprowadzenie.

Autorka w książce o ponad 20 lat późniejszej stwierdza, że w *Dylematach* próbowała sformułować myśl teoretyczną, którą później rozwijała w kolejnych publikacjach. Przedmiotem badań, które legły u podstaw tej myśli były główne wartości ujęte z perspektywy polityki społecznej. Wiązało się to ze szczególnym rozumieniem przez Autorkę tej ostatniej, jako uzasadnionego naukowo i moralnie „punktu widzenia, sposobu oglądu i aksjologicznej oceny”².

¹ Niepublikowana praca doktorska *Jugosłowiańska strategia społeczno-gospodarcza a zróżnicowanie warunków bytu narodów Jugosławii*, IPS, Warszawa 1974.

² J. Supińska, *Debaty o polityce społecznej*, Warszawa 2013, s. 16. Jest to zbiór artykułów napisanych po opublikowaniu *Dylematów* z dodatkowymi komentarzami i refleksjami. W kilku z nich Autorka rozwijała koncepcje zarysowane w niniejszej książce.

Warto zatrzymać się chwilę nad tym, jak ujęła ona zagadnienie definiowania pojęcia polityki społecznej. Dokonuje tego charakteryzując jej przedmiot, cele, środki i podmioty w rozdziale pierwszym. Ze względu na znaczenie celów dla rozumienia ludzkiego działania ważne jest uznanie, że naczelnym jej zadaniem jest „obrona człowieka przed niezaspokojeniem jego potrzeb”, nie tylko elementarnych, ale również rozwojowych. W praktyce naukowej i pozanaukowej ma to prowadzić do „coraz głębszego wchodzenia w złożone problemy życia społecznego i do formułowania coraz bardziej przemyślanych i kompleksowych programów postępu społecznego”. W tle są jednak jeszcze bardziej generalne elementy tego, co Autorka nazywa paradygmatem polityki społecznej: dobro człowieka i myśl przekształceń społecznych³, czyli podkreśla aktywistyczny stosunek badacza do rzeczywistości społecznej. To jest właśnie ten humanistyczny punkt widzenia wspomniany wyżej.

Dobro człowieka w związku z jego potrzebami i szerszym kontekstem społecznym, czy relacja między badaniami problemów społecznych a programami postępu społecznego, są to najbardziej podstawowe zagadnienia filozofii człowieka oraz filozofii nauk społecznych. Pierwsze zagadnienie pogłębione zostaje w rozdziale pierwszym, ale właściwie większość książki go dotyczy, gdyż właśnie spory o to, jak dobro człowieka rozumieć i jak je realizować w większej skali odwołują się do podstawowych wartości.

Dla tego drugiego zagadnienia (relacja między nauką a praktyką) naszkicowana została odpowiedź w postaci koncepcji nauki dla polityki społecznej. Użyteczność nauki ma zapewnić jej metodologiczna jakość i postępowanie zgodne z prakseologiczną procedurą rozwiązywania problemów praktycznych. Metodologiczny ideał opiera się na postulatach wielowarsztatowości oraz wielodyscyplinarności, rozumianej jako interdyscyplinarność (łączenie dyscyplin, np. socjoekonomia) i ponaddyscyplinarność (ujęcie całościowe). Warto podkreślić, że wielowarsztatowość rozwijana jest na świecie w XXI wieku pod postacią metod mieszanych, łączących podejścia ilościowe i jakościowe (*mixed methods*)⁴. Wspomniana procedura nawiązuje do ideału racjonalnego wyboru i działania. Autorka prezentuje ją jako proces, na który składają się fazy: diagnozowania, prognozowania, planowania i kontrolowania⁵ realizacji planów w celu ich ewentualnej korekty w trakcie realizacji.

Dociekliwy czytelnik zapyta, czy Autorka próbowała pokazać, jak ona sama wciela w życie ideał metodologiczny. Bibliografia książki zawiera ponad 170 tytułów zróżnicowanych metodologicznie i tematycznie. Znajdujemy tam przede wszystkim dzieła socjologów, ekonomistów i psychologów, są wśród nich

³ Tego pojęcia użył pierwszy raz Konstanty Krzeczkowski w okresie międzywojennym.

⁴ Zob. J. Creswell, V.L. Plano Clark, *Designing and Conducting Mixed Methods Research*, SAGE, 2007.

⁵ W późniejszych pracach ten etap został nazwany ewaluacją.

głównie analizy filozoficzne i teoretyczne. Jej podejście jest więc co najmniej wielodyscyplinarne.

Przejdźmy teraz do tego, jak Autorka przedstawiła charakterystykę przedmiotu polityki społecznej. Jej propozycja wykracza daleko poza tradycyjnie zaliczane do niego sfery pracy i dobrobytu materialnego. W zakres przedmiotowy włączyła jeszcze nie tylko kulturę, ale także całą sferę ładu społecznego – „ustrój polityczny, gospodarczy i społeczny”. Na zagrożenie problem „wszystkoizmu” otrzymujemy ogólną wskazówkę, aby konsekwentnie przyjąć, że „interesujące jest to co wpływa znacząco na ewolucję i zaspokojenie potrzeb, to, co grozi przyjętej koncepcji postępu społecznego lub co ją urealnia”.

Jednym z elementów konstytutywnych pojęcia polityki społecznej są dla Autorki również środki działania. Rangę tego zagadnienia podkreśla to, że przedostatni rozdział książki został poświęcony już nie problematyce aksjologicznej, ale dylematom instrumentalnym. Podstawą dla tej – w istocie socjotechnicznej – problematyki jest twierdzenie, że skoro zaspokajanie potrzeb wiąże się z zachowaniami, to wpływanie na nie jest codziennością polityki społecznej.

W książce zarysowano dwie autorskie typologie: środków (ekonomiczne, prawne, informacyjne i kadrowe) oraz ich charakterystycznych kombinacji – stylów (style rygorystyczny, bodźcowy, opiekuńczy, liberalny) polityki społecznej. Te ostatnie zostały podzielone według założeń dotyczących natury człowieka, a także jego umiejętności, możliwości i motywacji.

W głównej części książki z humanistycznego punktu widzenia zostały oświetlone trudne wybory między kolektywizmem a indywidualizmem, egalitaryzmem a elitaryzmem, bezpieczeństwem a ryzykiem, oraz w obszarach wartości biologicznych i aktywności życiowej. Może mniej jasne są kluczowe dylematy w dwóch ostatnich przypadkach. Część rozdziału piątego bezpośrednio nawiązuje do sporu w kontekście polityki ludnościowej między pronatalistami (uzasadniający politykę stymulującą wskaźniki urodzeń) i antynatalistami (argumentujący za koniecznością ograniczenia liczby ludności).

W rozdziale szóstym zaś, dotyczącym aktywności życiowej i społecznej, nawet przegląd jego struktury nie daje wskazówki co do głównego przedmiotu sporu. Autorka omawia w nim przede wszystkim definicje, rodzaje i bariery podejmowania aktywności społecznej. Zapewne jest tak dlatego, że w pierwotnym zamyśle książki ten rozdział został umieszczony już po przeanalizowaniu dylematów aksjologicznych i instrumentalnych. W wersji z 1987 r. rozpoczyna go deklaracja, że przedmiotem zainteresowania będzie tam już nie polityka społeczna widziana socjotechnicznie, jako wpływanie na zachowania z założenia biernych ludzi. Ważne jest „poszerzanie pola samodzielnej aktywności życiowej jednostki”. Celem, jak i środkiem do osiągnięcia innych celów staje się jej

aktywność życiowa. Dobro człowieka jest tam interpretowane aktywistycznie⁶. Takie podejście wydaje się być spójne ze stylem liberalnym, którego ogólny sens polegał na „usuwaniu zewnętrznych barier dla spontanicznej aktywności”, ale Autorka nie podkreśla tego związku. Ponadto koncentruje ona uwagę nie tyle na aktywności życiowej w ogóle, ale na działalności społecznej. Można więc przypuszczać, że w tle był dylemat między aktywnością życiową nastawioną na interes własny a taką, która ma charakter altruistyczny.

Metoda analizy i dochodzenia do wniosków została wyjaśniona we wstępie i rozwinęta w rozdziale pierwszym niniejszej książki. Polega ona na przeciwstawieniu sobie dwóch pojęć czy poglądów, np. egalitaryzmu i elitaryzmu, aby w trakcie analizy takich sporów ideowych dojść do wniosku, że sprzeczności między stanowiskami są pozorne, lub że możliwy jest kompromis, np. egalitaryzm umiarkowany. Argumenty stron sporu ocenione są pod względem słuszności, efektywności i konieczności. Taka „metoda rekonstrukcji idei przewodnich polityki społecznej” służy odkryciu tego, co determinuje sposób myślenia o strategii działania w tym obszarze.

Czytelnik może zapytać, czy wśród rozważanych sporów ideowych znalazł się ten naczelny dla XX wieku: socjalizmu z kapitalizmem? Autorka nazywa go dylematem systemowym i nie podejmuje bezpośrednio. Widać go jednak w prawie wszystkich analizowanych sporach. Po jednej stronie mamy kolektywizm, egalitaryzm, bezpieczeństwo i nacisk na altruistyczną aktywność społeczną, a po drugiej indywidualizm, elitaryzm, ryzyko oraz działania motywowane własnym interesem. Cztery pierwsze poglądy łączą się z socjalizmem, a wskazywanie na wartościowość pozostałych – z afirmacją kapitalizmu. Trudniej w tym schemacie umieścić spór o cele polityki ludnościowej, czy szerzej – dylematy wokół wartości biologicznych⁷.

Głównym przesłaniem książki jest to, że wartości mogą być uzgodnione ze sobą wzajemnie oraz z ludzką wolnością i rozwojem gospodarczym⁸. Autorka w kolejnych rozdziałach prezentuje stanowiska kompromisowe. W przypadku sporów o rozumienie dobra człowieka – umiarkowany indywidualizm; o równość – umiarkowany egalitaryzm; o poziom ryzyka – zapewnienie minimum elementarnego bezpieczeństwa, aby szanse na sukces były realne, a zagrożeniem była tylko ich utrata; o cele polityki ludnościowej – stanowisko ailościo-

⁶ J. Supińska, *Dylematy polityki społecznej*, maszynopis, Warszawa 1987, s. 233–235. Takie podejście bardzo przypomina to, które legło u podstaw filozofii raportów o rozwoju społecznym (Human Development Reports) wydawanych przez UNDP od 1990 r. Była to koncepcja rozwoju zaproponowana przez Amartya Sena, zob. jego książka *Development as freedom*, czyli „rozwój jako wolność”, przetłumaczona na język polski i wydana w 2002 r. pt. *Rozwój i wolność*.

⁷ Niniejsza książka jest pierwszą, w której tak mocno podkreślono problematykę bioetyczną w polityce społecznej.

⁸ J. Supińska, *Debaty o polityce społecznej*, Warszawa, 2013, s. 217.

we; o rolę aktywności społecznej – zapewnienie warunków dla jej upowszechniania; oraz o model polityki społecznej – model uspołeczniony.

Było to spójne, dobrze uzasadnione i realistyczne stanowisko, które można uznać za solidny fundament do budowania humanistycznego ładu społecznego.

W ostatnim rozdziale znajdujemy syntezę podstaw ideowych kompromisowej drogi ku przyszłości w postaci modelu uspołecznionej polityki społecznej. Nakreślony został tam superdylemat, w którym układem odniesienia jest model upaństwowionej polityki społecznej. Przypomina on socjalizm realny PRL z jego centralizacją, hierarchizacją, nomenklaturą partyjną i szczegółowym odgórnym planowaniem. Pod względem stylu polityki społecznej ma go charakteryzować rygoryzm (wymuszający właściwe zachowania) i elementy opiekuńczości. Z kolei model uspołeczniony przypomina III Rzeczpospolitą pod względem decentralizacji państwa, wprowadzenia autentycznej demokracji ze społeczną kontrolą oraz otwarcia na indywidualną i społeczną przezorność i inicjatywę. Główna zmiana w obszarze stylu uprawiania polityki społecznej ma polegać nie na odrzuceniu stylu opiekuńczego, ale na połączeniu go ze stylem liberalnym (przypomnijmy polegającym na usuwaniu barier dla ludzkiej aktywności). Warto podkreślić, że nie podzielał on założeń stylu rygorystycznego, jak to było w przypadku podejścia bodźcowego (ludzie mogą i umieją działać dla swojego dobra, ale brak im motywacji). W tym ostatnim przypadku również chciano motywować, tyle, że bardziej za pomocą nagród, a nie kar.

Jak model uspołecznionej polityki społecznej odpowiada na pojawienie się „opcji czysto rynkowej” czy postulatów tworzenia „urynkowanej polityki społecznej”? Autorka odpowiada, że zaproponowanego przez nią modelu nie należy utożsamiać z tym, co później zostało nazywane obywatelską polityką społeczną, której zwolennicy stawiają na organizacje pozarządowe jako głównego realizatora polityki społecznej. Autorka podkreśla, że w jej ujęciu egoistyczna i altruistyczna działalność mogą być „równie dobre i równie użyteczne”. Problem proporcji w jakich miałyby one być wspierane i występować zostaje więc rozpoznany, ale jego rozstrzygnięcie pozostaje otwarte.

Z perspektywy lat, które nastąpiły po napisaniu książki widzimy, że Autorka właściwie rozpoznała ducha nadchodzących czasów. Demokratyzacja państwa i decentralizacja jego organizacji przyszły wraz z transformacją ustroju politycznego. Konsekwencją demokratyzacji i decentralizacji było, po pierwsze, stworzenie samorządu terytorialnego, a po drugie, przyzwolenie na niezależną aktywność polityczną i społeczną. Z kolei uwolnienie indywidualnej inicjatywy gospodarczej wiązało się z transformacją ustroju – od upaństwowionej i centralnie planowanej gospodarki ku gospodarce prywatnych podmiotów, konkurujących ze sobą na regulowanym i obudowanym instytucjami rynku.

Przewidywanie, że styl liberalny będzie wzbogacony o elementy opiekuńczości również się sprawdziło. Powrót starych problemów bezrobocia i ubó-

stwa wywołał nie tylko w Polsce prostą reakcję w postaci hojnych zasiłków dla bezrobotnych, bardziej dostępnych rent inwalidzkich i wcześniejszych emerytur. Autorka rozumiała jednak opiekuńczość w znacznie szerszej perspektywie – inwestycji w człowieka. W późniejszych latach zyskującej coraz większe poparcie. Warto podkreślenia jest to, że omawia ona jako inwestycję również zabezpieczenie społeczne dochodu. Unikamy w ten sposób utożsamienia całej tej problematyki z inwestycjami w kapitał ludzki, ze skupieniem uwagi wyłącznie na ilości i jakości edukacji i szkoleń. Ten aspekt zostaje jednak również rozpoznany i podkreślony jako szeroko rozumiane poradnictwo.

W czysto świadczeniowym wymiarze inwestycji w człowieka Autorka podkreśla główne napięcie – między uznaniową i selektywną techniką opiekuńczą a opartą na socjalnych prawach obywatelskich techniką zaopatrzeniową. Ta ostatnia stanowi odmianę stylu opiekuńczego o charakterze emancypacyjnym, ceną jest jednak schematyzm i odpersonifikowanie. Późniejsze tryumfy haseł i praktyk adresowania do najbardziej potrzebujących (upowszechniające się kryteria dochodowe), indywidualizacji (m.in. w postaci kontraktu socjalnego) oraz wymagania zmiany zachowań korzystających (warunkowanie) mogą świadczyć jednak o tym, że technika zaopatrzeniowa była dotychczas raczej w defensywie, jeżeli nie w odwrocie.

Siłą książki jest nie tylko zarysowanie możliwości rozwoju polityki społecznej w kontekście wówczas radykalnej wizji przekształceń ustrojowych. Główna nadzieja związana z nowym porządkiem była ulokowana w tym, że stworzy on też lepsze warunki do dyskusji nad wartościami, celami i środkami polityki społecznej. A ta dyskusja doprowadzi do obalenia uprzedzeń i osiągnięcia kompromisów. Tym samym Autorka wyraziła wiarę w ideał, który w latach 90. był szeroko dyskutowany na świecie jako zagadnienie demokracji deliberacyjnej.

Poza głównymi liniami argumentacji naszkicowanymi wyżej, książka jest przebogata w błyskotliwe i subtelne analizy wielu szczegółowych zagadnień. Towarzyszą im propozycje nowych pojęć, klasyfikacji i typologii. W znakomitej większości zaskakująco aktualne. Przykładowo, w nawiązaniu do pojęcia produktywności aktów prawnych (Adama Podgóreckiego) Autorka zarysowuje podstawy tego, co jest obecnie znane jako ewaluacja ekonomiczna, uwzględniająca wszystkie korzyści i koszty. Z kolei w kontekście aktywności życiowej znajdujemy interesujące rozważania o różnicach między trybem a stylem życia. W tym samym rozdziale mamy też ciekawe definicje i typologie działalności społecznej i działaczy społecznych. Niektóre z uwag na marginesie głównych rozważań, np. o nowych ryzykach socjalnych czy o hojnej i skąpej polityce społecznej, nieco później stawały się poważnymi tematami w literaturze światowej.

Język i styl stosowane przez Autorkę są najwyższej próby. Nie jest to jednak podręcznik dla początkujących, a więc i język jest dla większości tego typu odbiorców zbyt skomplikowany. Czytelnicy nieco bardziej zaawansowani będą jednak czytali książkę z dużą satysfakcją.

Podsumujmy, dlaczego ta książka jest nadal ważna. Powstawała w okresie rozkładu i wycofywania się starego porządku ustrojowego i niejasności co do tego, jaki ostatecznie ukształtuje się porządek nowy. Autorka nie tylko wychodzi poza wąskie definicje polityki społecznej sprowadzające ją do regulacji rynku pracy i zabezpieczenia społecznego. Uwzględnia dylematy aksjologiczne i ukazuje, że można przekroczyć domniemane sprzeczności między podstawowymi wartościami. W tym kontekście ujmuje ona dylematy instrumentalne, wprowadzając koncepcję stylów prowadzenia polityki społecznej. Aby ostatecznie uchwycić z całą jasnością to, co później zdominowało dwie dekady najważniejszych reform w Polsce i na świecie – kierunek uspołeczniający upaństwowioną politykę społeczną z napięciem wewnętrznym pomiędzy urynkowaniem a działalnością społeczną. W efekcie otrzymujemy jedną z najlepszych syntez problematyki filozoficzno-naukowej polityki społecznej socjalizmu i kapitalizmu.

Można jedynie dodać z nutką goryczy, że nam zostało już tylko badanie i rozwijanie poszczególnych wątków. Borykanie się z zagadnieniami mniej fundamentalnymi, głównie dotyczącymi modeli kapitalizmu oraz proporcji i wzajemnych relacji w pluralistycznym porządku rynku i państwa, rodziny i społeczeństwa. Książka Jolanty Supińskiej wydatnie nam w tym pomaga, i mamy nadzieję, że będzie równie dobrze służyć kolejnym pokoleniom polityków społecznych.

Obecne wydanie poza powyższym wprowadzeniem, zostało uzupełnione o bibliografię i poddane korekcie.

Ryszard Szarfenberg

Słowo wstępne do wydania z 1991 roku



Oddając tę książkę do rąk czytelników winna jestem kilka wstępnych wyjaśnień. Tytułowe „*dylematy*” miałabym prawo potraktować niezbyt literalnie, jako chwyt publicystyczny, kładąc nacisk raczej na to, że dylemat jest trudnym wyborem, niż na to, że – według słownika – ma to być wybór między dwiema – i tylko dwiema – możliwościami. Byłoby to nawet zasadne, gdyż zarówno w sensie ontologicznym, jak i epistemologicznym możliwości jest zawsze nieskończenie wiele; w rzeczywistości społecznej między „czystymi” systemami wywiezionymi ze sprzecznych ze sobą zasad nie rozciąga się próżnia, lecz wiele systemów „mieszanych”, zaś w świadomości ludzkiej pomiędzy skrajnościami rozciąga się *continuum* poglądów kompromisowych, eklektycznych czy wielokryterialnych. Jednakże – mimo to – pragnę zachować w prezentowanej książce literalne, słownikowe, rozumienie dylematu na użytek przyjętej tu metody wykładu, *metody rekonstrukcji idei przewodnich polityki społecznej*. W sensie metodologicznym płodne wydaje się postępowanie myślowe, którego punktem wyjścia jest przeciwstawienie sobie dwóch – dokładnie i tylko dwóch – pojęć czy poglądów. Jako swoiste „typy idealne” są one używane i w dalszych fazach rekonstruowania sporu ideowego, jednakże – właśnie wskutek konfrontacji z tymi skrajnymi opcjami – obraz tego sporu staram się stopniowo komplikować. Tak więc rozważany problem jest dużo bardziej skomplikowany w punkcie dojścia niż w punkcie wyjścia, schemat „ujęcia dylematowego” zostaje przewyciężony po spełnieniu przezeń swej roli, dydaktycznej i systematyzującej. (Szerzej o zaletach i ograniczeniach tej metody piszę w rozdziale I). „Na wejściu” stawiamy więc czoła dylematowi, by „na wyjściu” pojawił się kompromis lub nawet dylemat okazał się pozorny.

Następna sprawa do wyjaśnienia także wiąże się z tytułem książki. Tytuł ten jest, być może, zbyt obiecujący. Muszę więc zastrzec się, że o wielu trudnych

i ważnych wyborach, przed którymi staje każda polityka społeczna, *nie będzie tu mowy*.

Po pierwsze, czytelnicy nie znajdą rozważań o wzajemnych uwikłaniach procesów zaspokajania potrzeb ludzkich i procesów rozbudowy potencjału wytwórczego społeczeństwa, uwikłaniach określanych często jako konflikt (lub – wręcz przeciwnie – jako wzajemne wspomaganie) polityki gospodarczej i polityki społecznej lub jako wybór między konsumpcją bieżącą a przyszłą, między interesami obecnych i przyszłych pokoleń. Jest to problematyka niezwykle doniosła praktycznie, zaś w jej obrębie trudno jest nie tylko podejmować słuszne decyzje, ale i diagnozować. Złożoność wzajemnych powiązań między zaspokojeniem potrzeb a rozwojem gospodarczym uniemożliwia intuicyjne ich rozumienie, a bezsilność intelektualna (jeśli nie interes grupowy) często skłania do przyjmowania uproszczonych schematów myślowych. Jednym trudno wyzwoić się z przeświadczenia, że każdy dodatkowy nakład na łóżko szpitalne, klasę szkolną czy podwyżkę robotniczej płacy zmniejsza nasze szanse w światowym wyścigu produkcyjnym, drugich cechuje naiwna wiara w to, że każdy wzrost konsumpcji niechybnie zwiększy wydajność pracy, wzmocni motywacje i zaowocuje sukcesem gospodarki narodowej. Jedni są pewni, że każdy przyrost możliwości produkcyjnych da – opóźniony, ale wielokrotniony – efekt konsumpcyjny, inni dostrzegają wyłącznie autonomizację pędu do inwestycji, snów o potędze gospodarczej i odczłowieczonych mechanizmów rynkowych, niweczących nadzieje na chleb, igrzyska i wolność. Nie brak tu więc sporów, które dałoby się opisać jako dylematy polityki społeczno-ekonomicznej, ewentualnie – *jako dylematy z pogranicza polityki społecznej i polityki gospodarczej*. Echa tych sporów będzie można znaleźć wszędzie tam, gdzie zastanawiam się nad ewentualnością kolizji analizowanych koncepcji z efektywnością (m.in. ekonomiczną), dokonuję więc oceny – przykładowo – idei równości, bezpieczeństwa czy aktywności społecznej w „porządku efektywnościowym”. Ponadto – przedstawiając dylematy instrumentalne polityki społecznej – omawiam także instrumenty ekonomiczne. Nie jest to jednak nić przewodnia książki.

Po drugie, nie piszę też o trudnych wyborach między grupami potrzeb i grupami dóbr zaspokajających potrzeby (typu: konsumpcja czy czas wolny, żywność czy kultura, zdrowie czy wykształcenie, mieszkanie czy samochód, płace czy świadczenia społeczne). Wybory te są trudne nie dlatego, że kwestionuje się któreś z ludzkich potrzeb (to zdarza się rzadko), a dlatego, że trzeba te potrzeby hierarchizować jako mniej i bardziej pilne, skoro zasoby niezbędne do ich zaspokajania są zawsze zbyt skąpe (czy to przy dochodzie narodowym na głowę mieszkańca wynoszącym 300 czy 30 000 dolarów). Co pilniejsze – rozgęścić szpitale czy szkoły? Co bardziej porywające dla ludzi i bardziej pożyteczne dla ich rozwoju – zapewnić każdej rodzinie samodzielne mieszkanie czy upowszechnić prywatne środki transportu? Czyje budżety obficie zasilać z kiesy państwowej – rodzin z dziećmi czy emerytów? Te pytania stanowią

codziennosc polityki społecznej, absorbują najwięcej doraźnej uwagi decydentów i adresatów tej polityki. Są to dylematy planisty (zarówno centralnego, jak i rodzinnego), *dylematy za krótkiej koldry*. Jednakże i te problemy – tak ważne i na codzień widoczne – odsuwam na plan dalszy. Interesuje mnie raczej to, komu system społeczny powierza prawo do hierarchizacji ludzkich potrzeb (kwestii tej poświęcam znaczną część rozdziału II), niż to, jaka konkretnie hierarchia bywa ustalana i powinna być ustalona. W książce tej odeszłam bowiem od koncepcji – skądinąd sensownej i użytecznej – traktowania polityki społecznej jako konglomeratu wielu polityk szczegółowych (np. płac, zatrudnienia, mieszkaniowej, zdrowotnej) nastawionych na zaspokajanie izolowanych potrzeb ludzkich.

Po trzecie, nie eksponuję w tej pracy wizji polityki społecznej jako toczącej się w społeczeństwie walki o podział, o wpływy i wartości, w której biorą udział różne grupy; jako „historii naturalnej problemów społecznych” różnie definiowanych i ocenianych przez różne grupy i instytucje publiczne, podejmujące następnie własne działania lub domagające się od innych podjęcia działań, by te problemy rozwiązać. Innymi słowy, na ogół abstrahuję od tego wszystkiego, co jest *robieniem* i *dzianiem się polityki społecznej*, interakcją między podmiotami i adresatami tej polityki, czy to w ujęciu klasowym czy też np. przy użyciu kategorii grup nacisku. Stawiam sobie natomiast pytanie – m.in. pisząc o różnych odmianach kolektywizmu, o aktywności ludzkiej, o koncepcji uspołecznienia polityki społecznej – jak ład społeczny i siły drżące w jednostkach wpływają na wyłanianie się podmiotów polityki społecznej? Jest to więc pytanie niejako wstępne, otwierające perspektywę na „robienie” polityki społecznej – ale tylko otwierające.

Skoro więc zrezygnowałam z przedstawienia w tej książce tak fundamentalnych zagadnień, czy pozostało mi cokolwiek istotnego? Sądzę, że tak. Pozostały zagadnienia, które są doniosłe zarówno w okresach gospodarczej prosperity, jak i kryzysu, zarówno dla uczestników jednej, jak i drugiej z antagonistycznych wobec siebie klas bądź grup interesu. *Spory o optymalny sposób godzenia kolektywizmu z indywidualizmem, o ocenę równości i aktywności życiowej zbiorowości i jednostek, o racje przemawiające za rygoryzmem i permissywnością, za opiekuńczością i leseferyzmem* – dotyczą opcji determinujących sposób myślenia o strategii polityki społecznej, choć nie zawsze uświadamianych, racjonalizowanych i otwarcie głoszonych. Postaram się przedstawić całą gradację stanowisk posiłkujących się argumentami o słuszności, użyteczności czy też nieuchronności dokonanych wyborów.

Idee i koncepcje dyskutowane w tej książce są – jeśli można tak rzec *odpryskami systemowego dylematu*, formułowanego w przeszłości następująco: *kapitalizm czy socjalizm*. Minął jednak czas, kiedy to wielu wydawało się oczywiste, że np. kapitalizm to indywidualizm, nierówność społeczna, ryzyko i aktywność egoistyczna, zaś socjalizm to kolektywizm, równość społeczna i bez-

pieczeństwo, altruistyczna aktywność społeczna; kiedy ponadto pojęcia te wydawały się jednoznaczne. A może ten mityczny czas nigdy nie istniał? W każdym razie współcześnie dokonuje się *revival* wielowymiarowego postrzegania tego tradycyjnego dylematu ustrojowego, rozszczepienie go na szereg kwestii częściowych. Dylematy te – traktowane ongiś jako międzyustrojowe, bo dotyczące idei mających za sobą sankcje ustrojowe – okazują się coraz częściej dylematami wewnątrzustrojowymi, zaś rosnącą popularność zdobywają sobie stanowiska eklektyczne, mieszane i pośrednie, coraz częściej też kwestionuje się tradycyjne formuły owych dylematów. I te właśnie zagadnienia spróbuję w tej książce naszkicować.

1

O polityce społecznej i jej dylematach

Rys polityki społecznej

Działanie i nauka

Terminem „polityka społeczna” zwykło się określać zarówno pewną sferę *działań* politycznych, jak i pewien typ *dociekań* naukowych. Kryjącą się pod tą nazwą naukę można uprawiać albo jako naukę *o polityce społecznej* (a więc badającą celową działalność zwaną także polityką społeczną), albo raczej jako naukę *dla polityki społecznej* (wspomagającą myślowo przekształcenia społeczne, „rozpoznającą teren”, na którym mają być prowadzone działania). Aby nauka *dla polityki społecznej* była rzeczywiście przydatna, powinna obejmować – ale tylko jako jeden z elementów – naukę o polityce społecznej, o jej realnym przebiegu, o jej minionych błędach i powodzeniach. Zaś nauka o polityce społecznej może rozwijać się z powodzeniem nawet mimo niechęci do wartościowania i mimo braku ambicji doradczych.

Pojęcie polityki społecznej można starać się sprecyzować określając *przedmiot*, *cele*, *środki* i *podmioty* polityki społecznej. Będą się one częściowo pokrywać, częściowo zaś będą odmienne wówczas, gdy będziemy mówili o działalności i wówczas, gdy będziemy mówili o nauce. Podjęta tu próba określenia konstytutywnych cech polityki społecznej w obu jej rozumieniach będzie miała mniej sprawozdawczy a bardziej projektujący charakter. Panują bowiem w tej dziedzinie tak znaczne rozbieżności terminologiczne, że systematyczne ich referowanie zajęłoby zbyt wiele miejsca.

Przedmiot i zakres

Przedmiot polityki społecznej – w obu ujęciach – wciąż się zmienia i rozszerza. Wolniej zmienia się jej naczelne zadanie, a mianowicie obrona człowie-

ka przed niezaspokojeniem jego potrzeb⁹, początkowo najbardziej elementarnych, niezbędnych dla fizycznego przetrwania, a następnie także potrzeb rozwojowych, co prowadzi – w działalności pewnych instytucji i sił społecznych, w pismach pewnych szkół naukowych – do coraz głębszego wchodzenia w złożone problemy życia społecznego i do formułowania coraz bardziej przemyślnych i kompleksowych programów postępu społecznego¹⁰. Chodzi tu zawsze o potrzeby konkretnych, żyjących ludzi, z krwi i kości; one też są kryterium, ostatecznym sprawdzianem postępu. Polityka społeczna ma nimi zaprzątniętą uwagę w tym samym stopniu, co polityka gospodarcza rozbudową potencjału wytwórczego, a polityka „polityczna” – umocnieniem lub zmianą aktualnego systemu sprawowania władzy. Każda z nich, przejęta swym posłannictwem, penetruje całą rzeczywistość dostępną poznaniu.

Rzeczywistość obserwowana z pozycji potrzeb człowieka i postępu społecznego jest – można rzec – nierównomiernie oświetlona. Jako że genezę nowoczesnej polityki społecznej lokuje się zwykle w wieku XIX, najsilniejszy snop światła pada na „świat pracy najemnej”, wyłaniający się z chaosu, pełen nowych napięć i zagrożeń, pozbawiony początkowo wszelkich instytucji ochronnych. Potem stopniowo zaczyna się postrzegać zagrożenia potrzeb innych niż zarobkowe i zauważać problemy wszystkich grup składających się na społeczeństwo. Impulsy płyną z obu stron, raz praktyka odkrywa nowe potrzeby społeczne, na straży których zaczynają stawać instytucje polityki społecznej, raz naukowcy lub inni reprezentanci myśli społecznej alarmują opinię publiczną wykrytymi przez siebie zagrożeniami lub obejmują projektami reformatorskimi nowe sfery rzeczywistości. Dzisiaj można powiedzieć, że przyjęcie punktu widzenia będącego wyróżnikiem polityki społecznej obliguje do stałego penetrowania czterech wielkich sfer życia, a mianowicie: 1) pracy, 2) dobrobytu, 3) kultury społecznej i 4) ładu społecznego.

- *Sfera pracy* jest przedmiotem uwagi dlatego, że niesie ona człowiekowi najwięcej zagrożeń, a zarazem ukrywa w sobie wielkie szanse samorealizacji. Polityka społeczna formułuje tu kolejno hasła pracy bezpiecznej, praworządnej, ergonomicznej i satysfakcjonującej – wyzwolonej od alienacji, twórczej i samorządnej. Towarzyszy im ciągle domaganie się dla wszystkich prawa do przedsiębiorczości.
- *Sfera dobrobytu*, początkowo pojmowana jako domena ekonomii, zawiera – obok materialnego poziomu życia, odpowiedniej ilości i jakości dóbr i usług – takie komponenty, jak czas wolny, zdrowie oraz nadające się do życia środowisko, naturalne i sztuczne. Polityka społeczna formułuje tu hasła zabezpieczenia przed niedostatkiem materialnym i przed

⁹ Zob. W. Szubert, *Studia z polityki społecznej*, Warszawa 1973.

¹⁰ Zob. J. Danecki, *Postęp społeczny a postęp ekonomiczny*. W: *Społeczne aspekty rozwoju gospodarczego*, pod red. J. Daneckiego, Warszawa 1974.

bezradnością życiową, gwarantowania wszystkim obejmującego wszystkie te składniki minimum fizjologicznego i społecznego, prawa do płacy sprawiedliwej, a także prawa do zapobiegliwości i własności indywidualnej.

- *Sfera kultury* jest dla polityki społecznej ważna nie tylko jako zbiór naczelných wartości, którym ta polityka powinna służyć, ale i jako wspólny świat symboli i pojęć nabywanych w trakcie edukacji, bez których niemożliwe byłoby porozumienie się i współżycie ludzi; jako przedmiot wzbogacającej ludzkie życie „konsumpcji kulturalnej” (w tym – kontaktu z dziełami sztuki); jako zbiór wzorów zachowań w różnych okolicznościach życiowych składających się na – szczególnie doniosłą praktycznie – kulturę społeczną. Formułuje się tu hasła równego startu oświatowego, upowszechniania kultury, aktywnego stosunku do kultury, próbuje się lansować rozmaite wzory osobowe.
- *Sfera ładu* społecznego to innymi słowy organizacja życia społecznego, instytucjonalne ramy, w których przebiega życie człowieka, stosunki społeczne w skali mikro, mezo i makro, ustrój gospodarczy, polityczny i społeczny. Ład społeczny warunkuje realizację takich haseł, jak demokracja, pokój, rozwój czy wolność. Przesądza też często o możliwościach postępu w sferze pracy, dobrobytu i kultury.

W różnych wersjach polityki społecznej różne jest rozłożenie akcentów, nie wszędzie wszystkie z wymienionych tu haseł są akceptowane lub traktowane jako ważne. Na przykład w najpopularniejszym określeniu przedmiotu polityki społecznej autorstwa A. Rajkiewicza akcent kładzie się – z jednej strony – na „warunki pracy i bytu” i – z drugiej strony – na „stosunki międzyludzkie w miejscu pracy i miejscu zamieszkania”, a więc na elementy ładu społecznego i społecznego ustroju pracy raczej w mikro – niż w makroskali¹¹. Inni – jak M. Olędzki – podtrzymują stanowisko K. Krzeczковского utożsamiając przedmiot polityki społecznej z makrostrukturą społeczną¹². Bywa też, że niektóre z wymienionych dziedzin są poza zasięgiem uwagi badaczy mieniących się politykami społecznymi. Sądzę jednak, że współcześnie taki właśnie zasięg przedmiotowy jest niezbędny, jeśli polityka społeczna nie ma być niekompetentna i bezradna. Przed wszystkoizmem ratuje to ujęcie konsekwentne trzymanie się owego punktu widzenia będącego *differentia specifica* polityki społecznej – interesujące jest to, co wpływa znacząco na ewolucję i zaspokojenie potrzeb, to, co grozi przyjętej koncepcji postępu społecznego lub ją urealnia. Z tego punktu

¹¹ A. Rajkiewicz, *Polityka społeczna – problemy i zadania*, „Polityka Społeczna” 1975, nr 10.

¹² M. Olędzki, *Wstęp do teorii polityki społecznej. Propozycja wyjścia z kryzysu*, Warszawa 1981.

widzenia selekcjonuje się informacje, syntetyzuje się je i ocenia. A czasem okazuje się nieodzowny „inspekcyjny wypad” poza wymienione sfery, jeśli tam ujawniają się jakieś nowe zagrożenia lub szanse dla ludzkich potrzeb.

Cele

Z punktem widzenia właściwym polityce społecznej wiążą się bezpośrednio jej cele, a ściślej – cała „optatywna” sfera dążeń, od wartości poprzez cele finalne, instrumentalne aż do konkretnych etapowych zadań. Lista naczelných wartości bywa różna – wiele będzie się na ten temat pisać w niniejszej pracy – ale zawsze rzeczywisty punkt odniesienia (lub alibi) stanowi dla niej *dobro człowieka*. Tę najogólniejszą dyspozycję ideową, to założenie przyjmowane zanim jeszcze przystąpi się do konstruowania hierarchii wartości i celów, to ostateczne kryterium, na zastosowanie którego jako argumentu rozstrzygającego godzą się uczestnicy sporów ideowych (np. sporów o dobro wspólne, wartość czy bezpieczeństwo) – możemy uznać za element *paradygmatu polityki społecznej*. Drugi element tego paradygmatu to tak eksponowana przez K. Krzeczковского myśl przekształceń społecznych, aktywistyczny stosunek do przedmiotu badań. „Moglibyśmy ideologię różnych grup, spotykanych jako czynniki polityki społecznej, uogólnić w ten sposób, żeby za przewodnią myśl wszystkich programów społecznych uważać myśl przekształceń społecznych jako wspólną ideę najbardziej rozbieżnych ujęć” – pisał K. Krzeczkowski¹³. Sądzę, że jeżeli uda się udowodnić polityce społecznej zdradę tego humanistycznego punktu widzenia, to nawet wierność obszarowi badań i oddziaływań nie daje jej prawa do posługiwania się tą nazwą.

Środki działania

Oczywiste jest, że zgoła co innego mamy na myśli, gdy mówimy o środkach działalności praktycznej i o środkach – a raczej metodach – stosowanych w badaniach naukowych. Najogólniej biorąc, każdy przedmiot działający stara się używać wszelkich danych mu i dostępnych środków przekształcania rzeczywistości. Tak więc nie jest to żadnym wyróżnikiem polityki społecznej, że jej podmioty używają środków prawnych, ekonomicznych, informacyjnych i kadrowych.

Pragnę w tym miejscu zaoponować przeciwko pogładowi – szczególnie rozpowszechnionemu poza kręgiem osób parających się polityką społeczną, ale i tu mającemu swoich zwolenników – uznającemu za konieczną i wystarczającą cechę definicyjną polityki społecznej posługiwanie się nieodpłatnymi

¹³ K. Krzeczkowski, *Problematyka polityki społecznej*. W: *Polityka społeczna. Wybór tekstów teoretycznych*, Centralny Ośrodek Metodyczny Studiów Nauk Politycznych, Warszawa 1984, s. 48.

świadczeniami socjalnymi. W tym ujęciu polityką społeczną jest tylko działalność tzw. sfery socjalnej, społecznej czy budżetowej usług socjalnych czy infrastruktury społecznej; środki polityki społecznej sprowadzają się wtedy do środków stosowanych przez placówki tu zaliczane. Sądzę, że środki te są jedynie elementem najbardziej tradycyjnego instrumentarium polityki społecznej z czasów, gdy była ona przede wszystkim ratownictwem. Nawet najnowocześniejsza, imperialistyczna w swym obejmowaniu coraz to nowych dziedzin, polityka społeczna nie może lekceważyć ani rutynowo traktować tych środków, nikt bowiem jej w tym nie wyręczy. Ale też nie może się do nich ograniczyć, jeśli chce poważnie traktować swe zadania.

Należy podkreślić jeszcze jedną cechę właściwą środkom stosowanym przez politykę społeczną. Jest nią dążność do instytucjonalizacji, formalizacji i organizowania warunków życia dla całych zbiorowości. Wprawdzie polityka społeczna jest w ostatecznym rachunku najbardziej zainteresowana efektami w skali mikro, to jednak na zjawiska w tej skali zwykła wpływać jedynie pośrednio, nie rozważając z osobna poszczególnych „przypadków ludzkich”. Odwrotnie czyni *praca socjalna*, umiejętność czy też sztuka, która polega na wspomaganiu rozwoju i ratowaniu w krytycznych sytuacjach życiowych jednostek i małych niesformalizowanych grup. Praca socjalna, rozwijająca się bardzo dynamicznie na całym niemal świecie, może mieć identyczny jak polityka społeczna punkt widzenia, przedmiot i system wartości – różni się natomiast od niej pod względem środków i podmiotów. Praca socjalna bezpośrednio oddziałuje tylko w mikroskali, rozstrzyga tylko niepowtarzalne problemy jednostkowe, co nie wyklucza jej pośredniego oddziaływania na świat instytucji i na mezo- i makro skalę (niejako „przy okazji” kontaktu z instytucjami, pełniąc raczej funkcje informacyjne, nie władcze). Wobec tego zadaniem polityki społecznej staje się umożliwianie istnienia placówkom skupiającym adeptów pracy socjalnej i wykonującym usługi w tym zakresie. I w tym – pośrednim – sensie praca socjalna jest ważnym i specyficznym środkiem polityki społecznej.

Podmioty działania

To, jak jest robiona polityka społeczna, zależy przede wszystkim od tego, *kto* ją robi. I dotyczy to zarówno działalności praktycznej, jak i badawczej. *Podmiotem działalności* określanej jako polityka społeczna może być każda instytucja, grupa czy nawet – wyjątkowo – jednostka, jeśli postanowi oddziaływać na życie publiczne w imię jakoś tam rozumianego dobra człowieka i stara się przekształcić w czyn „myśl przekształceń społecznych”; jeśli – ponadto – dysponuje jakąś egzekutywą, jakąś siłą sprawczą.

Najwięcej uwagi przyciągają te instytucje, które są sformalizowane i ponadto rozporządzają przymusem i władzą, a więc w pierwszej kolejności *państwo*. Działające w danym społeczeństwie podmioty polityki społecznej są na

ogół zróżnicowane, zarówno pod względem siły oddziaływania, jak i kierunku swych dążeń. Różna też może być siła i różny stopień integracji państwowych „podmiotów częściowych” ucieleśnionych w rozmaitych segmentach systemu politycznego i administracyjnego państwa (z wyznań polskich uczonych wykonujących funkcje ekspertów wynika, że decydenci nie stanowią zwartego zespołu, wykazują różną podatność na sugestie ekspertów, a często trudno jest zorientować się, które „podmioty częściowe” są podmiotami rozstrzygającymi sprawy strategiczne). Struktura partyjno-państwowego centrum politycznego „zbiorowego decydenta” bywa nieczytelna, trapiąca partykularyzmem i konfliktami. Równie wiele rozbieżności może występować pomiędzy pozostałymi, niepaństwowymi podmiotami. Warto również w analizie uwzględnić podmioty potencjalne, „gabinety cieni”, wyłaniające się orientacje polityczne czy społeczne, grupy inicjatywne gotujące się do działania, dopiero kształtujące swą myśl programową – już dziś uwzględniane jako ważna okoliczność w kalkulacjach politycznych czynionych przez aktualne podmioty działania, zaś jutro mające szansę odegrania czynnej roli na arenie publicznej. „Lista imienna” podmiotów polityki społecznej zmienia się wraz z modelem tej polityki i jego historycznymi konkretyzacjami.

Rodzaje metod badawczych

Jaka jest *metoda polityki społecznej* jako nauki? To zagadnienie omówię najobszerniej, m.in. dlatego, że w dalszym ciągu tej pracy nie będę już miała okazji powrócić do tego tematu. Metoda polityki społecznej musi pozostawać w ścisłym związku z podstawowymi funkcjami tej nauki celowościowej, przygotowującej – wedle sformułowania S. Rychlińskiego – „naukowo usystematyzowany zbiór wskazówek dla praktyki”¹⁴.

W związku z tym pytaniem trzeba rozszyfrować i zdezagregować użyte tu pojęcie nauki *dla* polityki społecznej. Ma ona nieść pomoc w formułowaniu programów działania, co wymaga opracowania *procedury diagnozowania, prognozowania, planowania, kontrolowania realizacji planów* po to, by móc je „z marszu” korygować. Najogólniej rzecz biorąc, diagnoza powinna być prawdziwa, zbiór wariantów prognostycznych powinien być porządkowany wedle kryterium prawdopodobieństwa, a warunki ziszczenia się każdego wariantu winny być wyczerpująco wyłożone, program i plan powinny być słuszne, wewnętrznie spójne, wykonalne dzięki znalezieniu skutecznych i dostępnych środków i optymalne – maksymalizujące pożądany efekt przy danych zasobach. Pomyślnie wywiązanie się z tych zadań będzie zależeć zarówno od wykorzystania dorobku innych nauk, jak i od oryginalnego wkładu polityki społecznej.

Pytanie o *wkład innych nauk* w rozwiązywanie problemów polityki społecznej można odnieść do głównych typów nauk, do poszczególnych dyscyplin

¹⁴ S. Rychliński, *Wybór pism*, Warszawa 1976, s. 249.

naukowych i wreszcie do konkretnych koncepcji i teorii. A więc zapytajmy, po pierwsze, jak polityka społeczna, będąca jedną z nauk celowościowych (teleologicznych czy praktycznych – terminologia jest tu różnorodna), może korzystać z dorobku innych „bratnich” nauk celowościowych, a ponadto z dorobku nauk teoretycznych (nomotetycznych), systematycznych (idiograficznych), historycznych (genetycznych) i wreszcie metodologii nauk?

Diagnozowanie

Diagnoza użyteczna dla polityki społecznej powinna odpowiadać na pytania: jak doszło do tego, co jest; dlaczego do tego doszło; jakie są ograniczenia swobody działania politycznego; jakimi środkami (aktywami, zasobami) dysponują ci, którzy chcą się włączyć do „robienia” polityki społecznej?

Ze sposobu sformułowania pierwszego z tych pytań wynika, że już na etapie gromadzenia danych empirycznych na temat ludzkich potrzeb i stanu ich zaspokojenia nie można uniknąć wartościowania. Już wówczas trzeba odwoływać się do aksjologii, a także do pewnych nauk praktycznych (metodycznych czy technicznych) po to, aby opracowywać optymalne normatywy zaspokojenia poszczególnych potrzeb. Bowiem najważniejszą i specyficzną cechą diagnozy w polityce społecznej jest *odnoszenie każdego stwierdzonego faktu do jakiegoś normatywu*. Jeśli chodzi o zaspokojenie podstawowych potrzeb materialnych, udaje się te normatywy kwantyfikować (minimalna i optymalna powierzchnia mieszkaniowa na jedną osobę, maksymalne normy skażenia środowiska pracy i zamieszkania, minimum i optimum dochodów jako normatyw pozwalający oceniać wielkość budżetów pieniężnych, ośmiogodzinny dzień pracy jako normatyw pozwalający ocenić strukturę budżetów czasu itp.). W miarę przechodzenia do potrzeb rozwojowych, potrzeb wyższego rzędu, normatywy stają się coraz bardziej mgliste i z wielkim trudem poddają się kwantyfikacji (np. „ideał człowieka kulturalnego” czy „zdrowie psychiczne”). Tak więc nawet w fazie diagnozy nie wystarczy posłużenie się pełnym warsztatem empirycznym stworzonym przez różne nauki systematyczne i teoretyczne. Wąski empiryzm odrzucający rozważania filozoficzne – wydający się trapić w ostatnich dekadach socjologię pozostającą pod wpływem pozytywizmu – jest w polityce społecznej bodajże jeszcze większym grzechem. Można powtórzyć za P. Sztompką, że „kult liczby, faktu, konkretności prowadzi do gromadzenia nieskończonych zasobów danych szczegółowych”, że w ślepy zaulek prowadzi fetyszizacja ankiet, testów, „rytuału statystycznego”, „technikocentryzm” (dopasowanie problematyki badań do przyjętych technik badawczych)¹⁵. Oczywiście, działalności „normatywotwórczej” grożą podobne błędy jak chaotycznemu i drobiazgowemu gromadzeniu faktów – zbiór szczegółowych normatywów może dać całość

¹⁵ P. Sztompka, *Teoria socjologiczna końca XX wieku*. Wstęp do książki J. H. Turnera, *Struktura teorii socjologicznej*, Warszawa 1985, s. 16.

przypadkową, nie przepojoną wspólną myślą. Aby tego uniknąć, jego zaplecze teoretyczne i aksjologiczne musi być bardzo poważnie potraktowane.

Odpowiedź na pytanie: jak doszło do tego, co jest (uzyskiwana metodami właściwymi naukom historycznym) ma dostarczyć roboczego materiału pozwalającego odpowiedzieć na następne pytanie: dlaczego do tego doszło. Teoria porządkująca i wyjaśniająca fakty okazuje się przy każdym z tych pytań niezbędna. Bowiem każda teoria powinna odpowiadać na pytanie: dlaczego, a jej wyjaśnienia winny być dedukcyjnie powiązane z tym, co mają wyjaśniać; potencjalnie sprawdzalne empirycznie; kompletne; spójne semantycznie; zunifikowane z innymi wyjaśnieniami w ramach szerszej teorii i wreszcie – potwierdzone jako prawdziwe. Oby tylko zawsze udawało się pokryć zapotrzebowanie polityki społecznej na teorie rzeczywiście obdarzone wszystkimi tymi zaletami.

Kolejne pytania dotyczące – z jednej strony – pola niemożności i – z drugiej pola możliwych oddziaływań także wymagają odwoływania się do bardzo różnorodnej wiedzy. Musi to być często specyficzna wiedza gromadzona przez nauki systematyczne i praktyczne, dotycząca np. środowiska fizycznego, stanu techniki, możliwości ludzkiego organizmu. Musi też ona uwzględniać cechy tych podmiotów, które potencjalnie mogą podejmować politykę społeczną, wspierać ją lub biernie czy nawet czynnie w realizowaniu jej przeszkadzać.

Prognozowanie

Warianty prognostyczne mogą być przygotowywane metodą ekstrapolacji trendów (wykorzystują wtedy dorobek nauk historycznych, umiarkowanie tylko wnikając w sens i mechanizm rzutowanych w przyszłość zaszłości) lub mogą wykorzystywać wiedzę o prawidłowościach życia społecznego teoretycznie udowodnionych. Luki pozostawione przez historię i teorię wypełni intuicja wspomagana dynamicznie rozwijającą się w ostatnim okresie metodologią prognozowania.

Programowanie

W fazie wyboru pożądanych kierunków działania, precyzowania celów i środków na plan pierwszy wysuwa się z jednej strony aksjologia, z drugiej – prakseologia. Przy czym refleksja nad wartościami nie może mieć czysto akademickiego charakteru, jeśli większość ludzi ma zgodzić się co do tego, że wybrany program jest słuszny. Trzeba w niej wykorzystywać badania opinii publicznej, analizę dokumentów programowych różnych grup politycznych i badania różnych przetargów grupowych; a także szukać naukowej podstawy procedur negocjacyjnych prowadzących najkrótszą drogą do kompromisu. Zaś to, co nazywamy prakseologicznym zapleczem poszukiwań programów spójnych i jak najskuteczniejszych, ma charakter zdroworozsądkowego uogólnienia praktyki, akademicka prakseologia okazuje się zwykle zbyt akademicka i abstrakcyjna.

Propozycje programowe będące ukoronowaniem postępowania badawczego dla polityki społecznej mogą występować w dwóch wariantach, z których każdy wymaga odmiennego zaplecza naukowego. *Pierwszy wariant*, można go nazwać „planistycznym”, polega na drobiazgowym opisie stanu docelowego (a także stanów etapowych) i szczegółowym rozdysponowaniu środków, ale tylko – istniejących na razie na papierze – środków materialnych. *Drugi wariant* – „socjologiczny” – zajmuje się przede wszystkim zmianą wyjściowego układu sił społecznych na korzyść tych sił, które np. dążą do najsluszniejszych celów i – lub – dysponują najpotężniejszymi środkami działania i nacisku. Pierwszy wariant sprowadza całą procedurę do odpowiedzi na dwa pytania: jak jest, jak ma być. Drugi wariant odpowiada przede wszystkim na pytania: jak z tego wyjść, jak do tego dojść. Pierwszy można zilustrować dwiema statycznymi fotografiami stanu istniejącego i stanu pożądanego. Drugi – to nieostry, ale dynamiczny obraz ruchu, jakby zanotowany przez kamerę. Pierwszemu wariantowi grozi, że cyzelowanie coraz doskonalszych programów będzie się odbywać w pustce społecznej, że zabraknie tych, którzy pilnowaliby ich realizacji; może to prowadzić do klęski mimo zapisania w planie niezbędnych środków materialnych. Drugiemu wariantowi grozi, że dopiero w trakcie realizacji ujawnią się poważne dysonanse, luki i ślepe uliczki programu zarysowanego zbyt grubymi kreskami.

Kontrolowanie

I wreszcie ostatnia faza postępowania – bieżące kontrolowanie i korygowanie realizowanych już programów i planów. Pojawia się tu ponownie zapotrzebowanie na te metody i techniki badawcze, jakie były niezbędne w pierwszej fazie diagnostycznej. Jednak pole obserwacji zawęża się, w centrum uwagi pojawia się funkcjonowanie polityki społecznej, pierwsze skrzypce zaczyna więc grać nauka o polityce społecznej.

Zależnie od fazy opisanej tu procedury i od konkretnego zadania zmienia się zapotrzebowanie na wsparcie ze strony różnych dyscyplin naukowych. Oprócz sporadycznego zapotrzebowania na dorobek nauk technicznych czy przyrodniczych – przykłady podawałam powyżej – wciąż pojawiają się problemy będące przede wszystkim przedmiotem zainteresowania filozofii, psychologii, socjologii i ekonomii; niezbędna okazuje się pomoc w systematyzowaniu faktów niesiona przez prawoznawstwo, demografię, etnografię czy różne socjografie szczegółowe.

Metoda docelowa

Ze względu na ogrom i wielorakość problematyki, różnorodność technik i metod karkołomne wydaje się zamierzenie, by uczynić z dawania wskazówek dla praktyki przedsięwzięcie w pełni i konsekwentnie odpowiadające kryterium naukowości. Jednakże warto chociażby przybliżać się do tego ideału. Co

zatem można powiedzieć o docelowej metodzie badawczej polityki społecznej, której elementy winna ta nauka stopniowo przyswajać?

Składa się na nią *wielowarsztatowość*, umiejętność – jeżeli nie stosowania, to przynajmniej rozumienia efektów stosowania różnorodnych technik, wypracowanych przez różne nauki systematyczne, teoretyczne i praktyczne, połączona z umiejętnością sprowadzania tych efektów do wspólnego mianownika, jakimi są ludzkie potrzeby. Następnie – *wielodyscyplinarność* (zarówno interdyscyplinarność, rozwijanie zaniedbanych rubieży powstających na pograniczach tradycyjnych dyscyplin naukowych, np. socjoekonomii czy „socio-medycyny”, jak i ponaddyscyplinarność, całościowe ujmowanie problemów społecznych lekceważące dyscyplinarną przynależność poszczególnych wątków tych dociekań). Ponadto – pragmatyczny stosunek do konkurujących ze sobą o monopol na prawdę absolutną teorii, dostrzeganie w jakich warunkach i w jakich zastosowaniach ujawniają one swoje zalety, a w jakich ograniczenia, kiedy rozjaśniają, a kiedy zaciemniają obraz badanego problemu społecznego. Trudno tu o nazwę trafiającą wszystkim do przekonania. Postawę tę A. Stinchcombe określa mianem „programowego eklektyzmu”¹⁶, P. Sztompka woli nazwać „dialektyczną syntezą”¹⁷, a J. Danecki – „dialogiem paradygmatów” szanującym odmienności ujęć, ale ich nie zacierającym¹⁸.

Dialog paradygmatów

Paradygmat każdej nauki (czy to teoretycznej, czy innej) zawiera pewne najogólniejsze i nie poddane weryfikacji założenia dotyczące badanego przedmiotu, a także dotyczące istoty człowieczeństwa, społeczeństwa, świata fizycznego czy duchowego; tworzy – jeśli można posłużyć się sformułowaniem J. Szackiego – „szuflady teoretyczne” ułatwiające selekcjonowanie i porządkowanie materiału empirycznego¹⁹. Można mówić zarówno o paradygmatach każdej z dyscyplin naukowych (np. odmiennie postrzegają „naturę ludzką” ekonomia, socjologia, psychologia czy biologia), jak i o paradygmatach leżących u podstaw poszczególnych teorii czy rodzin teorii czy „rodzin teoretycznych” tworzonych w ramach jednej dyscypliny.

W owym dialogu paradygmatów do polityki społecznej należy uczynienie cnoty z jednostronności paradygmatów leżących u podstaw poszczególnych teorii; zredukowanie rozmaitych ogólnych teorii do roli teorii średniego zasięgu, precyzyjnie przypisanej do tej problematyki, w odniesieniu do której dowiodły one swojej mocy eksplanacyjnej. (Dopuszczalne staje się wówczas takie „użytkowe” potraktowanie np. każdego z dwóch głównych – według Bur-

¹⁶ Zob. P. Sztompka, *Teoria socjologiczna....* jw., s. 28.

¹⁷ Tamże, s. 44.

¹⁸ Wypowiedź na seminarium w Instytucie Polityki Społecznej.

¹⁹ Zob. J. Szacki, *Historia myśli socjologicznej*, t. II, Warszawa 1981, s. 817.

rella i Morgana – typów teorii socjologicznych: socjologii regulacji i socjologii zmiany radykalnej)²⁰. Znowu można powiedzieć, że jest to zadanie przerastające siły skromnej dyscypliny praktycznej. Zgoda, ale polityka społeczna może – i często musi – rozstrzygać te dylematy poznawcze doraźnie, dla konkretnych celów, pozostawiając wyrafinowanym metodologom ferowanie ostatecznych wyroków.

Rzeczywista praktyka badawcza

W tym miejscu warto zapytać, jak bardzo rzeczywista praktyka badawcza polityki społecznej *odbiega* od zarysowanego powyżej jej stanu idealnego. Uchylę się od rozwijania odpowiedzi na to pytanie, zasygnalizuję jednak – bijąc się we własne i cudze piersi – kilka najistotniejszych odstępstw. Sądzę, że polityka społeczna w swej warstwie diagnostycznej została zbyt zdominowana przez techniki statystyczne, że jest ona nadal zasilana przede wszystkim przez ekonomię, demografię i prawoznawstwo, a zaniedbuje filozofię, socjologię i psychologię, nie podejmuje współpracy z prakseologią i socjotechniką; że satysfakcjonuje ją dość ubogi i częściowo zdezaktualizowany zestaw koncepcji powstałych na gruncie tych nauk; a jeśli nawet absorbuje nowinki – to raczej czerpie z dorobku badań empirycznych niż z dorobku teoretycznego, który mógłby ją zainspirować do „przewietrzenia” stosowanych kategorii analitycznych, sposobów wyjaśniania wydarzeń i rozwinięcia własnego paradygmatu, własnej najogólniejszej wizji człowieczeństwa i społeczeństwa.

Te wszystkie mankamenty i jednostronności są zapewne zawinione przez środowisko naukowe polityków społecznych, ale nie bez winy są też decydenci będący odbiorcami ich twórczości naukowej. O ile nauki teoretyczne wydają się bardziej zdolne do samoistnego rozwoju pod wpływem „wewnętrznych impulsów” płynących z samego „społeczeństwa nauki”, o tyle naukom celowościowym niepomrotnie trudniej się rozwijać, gdy brak impulsów z zewnątrz w postaci rosnących wymagań, coraz trudniejszych pytań kierowanych w ich stronę przez decydentów, naturalnych mecenasów każdej nauki praktycznej. Gdy nawet te najbardziej zdroworozsądkowe i dawno wypracowane zalecenia nie znajdują zbytu, nie są kierowane do realizacji, środowisku łatwo popaść w rozgoryczenie połączone z samozadowoleniem.

Role uczonych

Podmiotem nauki o polityce społecznej jest środowisko naukowe, które ma swoje zaplecze instytucjonalne w placówkach badawczych o odpowiednim zakresie i które skupia naukowców będących – w przeważającej większości – „częstkowymi politykami społecznymi”. Jest to naturalną pochodną ogromu

²⁰ Zob. P. Sztompka, *Teoria socjologiczna*..., jw., s. 23.

problemów obejmowanych przez tę dyscyplinę i wynika z prakseologicznie uzasadnionego podziału zadań. Owa „częstkowość” ma trzy aspekty.

Po pierwsze, poszczególni członkowie tego środowiska zajmują się najczęściej wycinkiem – bardzo wąskim lub stosunkowo szerokim – przedmiotu polityki społecznej; mogą przy tym mieć nader ogólne czy nawet ogólnikowe pojęcie o pozostałych wycinkach i o całości tego przedmiotu. Wobec tego niezbędna jest grupa „specjalistów od syntezy”, „epików” czy „panoramistów”; bez ich udziału środowisko jako całość staje się niezdolne do istnienia.

Po drugie, „częstkowi politycy społeczni” zdolni są kompetentnie się posługiwać tylko pewnymi metodami i technikami badawczymi. Wobec tego niezbędne staje się istnienie grupy „tłumaczy”, wytrawnych metodologów umiejących kojarzyć rozmaite sposoby oglądu tych samych zjawisk i rozmaite sposoby definiowania tych samych w istocie problemów praktycznych.

Po trzecie, „częstkowi politycy społeczni” jakby obsługują inne fazy procedury tworzenia „usystematyzowanego zbioru wskazówek dla praktyki” (albo inaczej – doprowadzają swoje rozumowanie do innej fazy tej procedury). Można więc – z tego punktu widzenia – wyróżnić wśród polityków społecznych: a) diagnostyków; b) programistów; c) badaczy dążeń ludzkich, najczęściej – systemów wartości i aspiracji życiowych; d) ideologów; e) programistów konkretyzujących programy i optymalizujących je w długim horyzoncie czasu; f) doradców korygujących, bieżącą politykę. Im bardziej częstkowe zadanie, tym częściej bywa tak, że wykonuje je naukowiec, który nie jest instytucjonalnie związany z polityką społeczną ani się z nią nie identyfikuje; zaś praktyczna użyteczność jego badań nie jest zamierzona, a zostaje stwierdzona *ex post*. Zdarza się to najczęściej diagnostom.

Eksperci – władza – społeczeństwo

Szczególnie doniosłą funkcją, piastowaną przez nielicznych, ale mogącą stanowić ukoronowanie wysiłków całego środowiska polityków społecznych, jest funkcja *eksperta* czy też *doradcy politycznego* podmiotów działających. Ów „styk nauki z praktyką” najeżony jest jednak wieloma trudnościami i zagrożeniami. Wydaje się, że funkcje te powinni sprawować ci, którzy specjalizują się naukowo w programowaniu i korygowaniu realizacyjnych programów; ponadto ci, którzy są najbardziej kompetentni i lojalni wobec całego środowiska, a także nieugięci w przedkładaniu swych racji. Jednak zdarza się, że podmioty działające wolą wynajmować jako ekspertów ludzi o całkiem odmiennych cechach. Nawet zakładając, że „finalny ekspert”, przez usta którego przemawia pośrednio całe środowisko naukowe, został trafnie wybrany, pozostaje problem: czy na tę ofertę odpowiedzieć pozytywnie, komu warto radzić i pod jakimi warunkami, aby efekty doradztwa nie były odwrotne od zamierzonych przez doradcę? Eksperci rządowi mogą więc zetknąć się z następującymi sytuacjami:

- Polityk udaje, że chce słuchać; w istocie traktuje obecność ekspertów jako dekorację, upiększanie ich image'u sprzedawanego społeczeństwu; nie zamierza się z nimi liczyć, a właściwi doradcy – kierujący się obcymi polityce społecznej kryteriami – pozostają ukryci w cieniu. Taka sytuacja, często u nas spotykana, co wynika ze zwierzeń ekspertów, prowadzi prędzej czy później do polaryzacji – jedni eksperci przeistaczają się w „dworzan”, drudzy – rezygnują.
- Polityk chce słuchać, ale chce słuchać w specyficzny sposób. Polityk albo wpisuje „częstkowe” rady eksperta w szerszy kontekst polityki odrzucanej przez eksperta jako reprezentanta całego środowiska polityków społecznych lub jako obywatela (jest to np. sytuacja projektanta ubezpieczeń społecznych w Prusach Bismarckowskich, gdy dostrzegł on, że ubezpieczenia wraz z ustawami antyzwiązkowymi współtworzą słynną później socjotechnikę „bata i marchewki”); albo też realizuje on rady eksperta wyrywkowo, stosując niedopuszczalne – w oczach tego drugiego – zasady selekcji, np. w imię zwiększenia wydajności siły roboczej czy manipulacji politycznej, w celu „opędzenia” doraźnych potrzeb gospodarki, wygrania kampanii wyborczej czy chwilowego uśmierzania niepokojów w jakimś zrewoltowanym środowisku. W tej sytuacji polaryzacja wśród ekspertów jest mniej wyraźna – pozostaje „środek” gotów pójść na kompromis, byle dokonać jakiejś, choćby drobnej, korekty stanu rzeczywistego.

W obu wymienionych sytuacjach ujawnia się rozbieżność systemów wartości, celów i reprezentowanych interesów. Bywa jednak i tak, że polityk chce słuchać, ekspert chce doradzać, ale porozumienie między nimi jest omalże niemożliwe. Wynika to z braku wspólnego języka, z odmiennego zakresu doświadczeń.

Bywa to winą eksperta (gdy np. jest zbyt akademicki, niezyciowy, monodyscyplinarny) lub winą decydenta (np. zdominowanie przez mentalność „urzędniczą” czy planistyczną, upodobanie do „robótek ręcznych” jak to określił w jednej z dyskusji Cz. Bobrowski – i niechęć do rozwiązań generalnych, zainteresowanie tylko doraźnymi efektami). Z charakteru tych trudności wydaje się wynikać szansa ich przewyciężenia przy wykorzystaniu nauki. W ten sposób pojawia się jeszcze jeden temat badawczy dla polityki społecznej: jak zrationalizować „sztukę dialogu” naukowców i polityków. Problem ten jest zresztą przedmiotem uwagi coraz większej liczby publikacji²¹. Sytuacja jest bardziej złożona, jeśli brak wzajemnego porozumienia między ekspertami i decydentami wynika z – sygnalizowanego uprzednio „rozmycia” i nieczytelnego dla

²¹ Zob. K. Frieske, J. Regulski, *Studia nad metodologią ekspertyz naukowych*, „Polska 2000” nr 1, Komitet Badań i Prognoz PAN, Warszawa 1984, wraz z aneksem zawierającym abstrakty ważniejszych pozycji piśmiennictwa polskiego na ten temat.

osób postronnych rozczłonkowania kompetencji decyzyjnych pomiędzy rozmaitych „decydentów cząstkowych”, spośród których tylko nieliczni (reprezentujący niektóre tylko ogniwa systemu władzy) kontaktują się bezpośrednio z ekspertami. Jeżeli jest to przejaw błędów organizacyjnych, może im zaradzić ekspertyza teoretyków organizacji. Lecz bywa to też przejawem głębiej zakorzenionego układu sił i wpływów, wobec którego najlepsze rady okazują się bezsilne.

Jeśli pozycja eksperta „insidera” (wg. terminologii R. Mertona) uwikłanego w struktury władzy²² z wymienionych wyżej względów okaże się nieznośna, politykowi społecznemu mającemu ambicje wpływania na sprawy tego świata pozostają następujące możliwości działania jako „outsidera”:

— Służyć swymi radami podmiotom innym niż państwowe, w tym: podmiotom potencjalnym. Wprawdzie w stosunkach z każdym z tych podmiotów mogą pojawiać się te same nieporozumienia, co w stosunkach z głównym dysponentem władzy politycznej, ale im więcej partnerów wchodzi w rachubę, tym większa szansa na spotkanie partnera o zbliżonych dążeniach, interesach i mentalności. Powstaje wówczas swoisty rynek pracy, na którym eksperci mogą aktywnie poszukiwać odpowiedniego mecenasa. Nawet jeśli ów mecenas jest mniej potężny, to w mniejszym stopniu grozi skarykaturowanie pierwotnych koncepcji w trakcie ich realizacji.

— Adresować swe programy „w ciemno”, do całej opinii publicznej, liczyć na to, że z czasem wyłonią się nowe lub przeobrażą stare podmioty oddziaływania politycznego (może i pod wpływem upowszechnionych w ten sposób idei programowych) zdolne do ich realizacji. Zresztą i eksperci wiążący się instytucjonalnie z jednym tylko podmiotem politycznym stawiają często warunek podawania ich ekspertyz do publicznej wiadomości – zapewnia to im dodatkowe, może wdzięczniejsze, audytorium, pozwala też im zachować twarz w razie podejmowania przez decydentów prób obarczania ekspertów odpowiedzialnością za politykę niezgodną z przyjętymi ekspertyzami. Forum opinii publicznej jest też niezbędne dla odbywania się negocjacji w kwestiach polityki społecznej, negocjacji, w których winni uczestniczyć eksperci o różnych poglądach i różne podmioty polityczne.

— Pisać dla potomności, prognozując skazać się na odgrywanie roli Kassandry, ćwiczyć metody diagnozowania, prognozowania i programowania, by następne pokolenia mogły ich użyć do celów praktycznych, dawać świadectwo klęskom i błędom prowadzonej współcześnie polityki społecznej – następcom ku przestrodze. Jest to wersja najmniej satysfakcjonująca adeptów nauki praktycznej, którzy woleliby objaśniać świat po to, by go zmieniać.

²² Zob. R. K. Merton, *Teoria socjologiczna i struktura społeczna*, Warszawa 1982, s. 271 i dalsze.

Resumé

Najistotniejszym wyróżnikiem polityki społecznej jest jej niezmienny punkt widzenia – można go nazwać paradygmatem – z którego da się wywieść zmienny w czasie, konkretny przedmiot oddziaływań i który jest też punktem wyjścia dla wyboru systemu wartości i celów, zmiennego w czasie i będącego terenem ciągłych sporów i przewartościowań. Środki i podmioty są wspólne polityce społecznej i innym politykom, jeśli mówimy o ich najogólniejszych cechach definicyjnych. Natomiast zawsze przy konstruowaniu postulowanego modelu lub przy prezentowaniu konkretnej polityki społecznej nieodzowne jest scharakteryzowanie zastosowanych środków i stosujących je podmiotów.

Ujęcie „dylematowe”

Pojęcie dylematu w polityce społecznej

Dylemat – w definicji słownikowej – to sytuacja wymagająca trudnego wyboru między dwiema różnymi możliwościami. Dylemat pojawia się więc wówczas, gdy *nie sposób maksymalizować jednocześnie obie rozważane możliwości*. Ta niemożność równoczesnej maksymalizacji wynika albo z nieusuwalnej logicznej sprzeczności (i dylemat ma wówczas charakter „ponadczasowy”), albo ze specyficznego kontekstu (i wówczas mamy do czynienia z empiryczno-sytuacyjnym konfliktem wartości, celów, socjotechnik czy struktur)²³.

Ofensywna polityka społeczna winna świadomie rozstrzygać dylematy aksjologiczne, instrumentalne i konstrukcyjne. A więc dylematy towarzyszące wyborowi naczelnych wartości, którym należy podporządkować – osadzone skądinąd w realiach miejsca i czasu – zestawy zmieniających się wciąż celów; dylematy pojawiające się przy wyborze dominującego typu stosowanych środków działania (innymi słowy, przy wyborze generalnego nastawienia, wywierającego silne piętno na konkretnych decyzjach dotyczących sposobów oddziaływania na rzeczywistość społeczną); dylematy dotyczące powoływania instytucji i dopuszczania do głosu sił społecznych, przesądzające o strukturze organizacyjnej i charakterze społecznym celowych działań składających się na system polityki społecznej. Są to więc dylematy, których rozstrzygnięcie oznacza przyjęcie modelu i długofalowej strategii polityki społecznej. Dopiero w tak nakreślonych ramach sensowne jest stawianie bardziej szczegółowych pytań, wzajemne dopasowywanie celów i środków, uwzględnianie ograniczeń, rozstrzyganie – najbliższych mentalności planistów – praktycznych dylematów „za krótkiej kołdry”, pojawiających się tam wszędzie, gdzie mamy do czynienia z rzadkością dóbr i „nadmierzem słusznych celów”.

²³ Zob. S. Nowak, *Kryteria wartościowania*, „Polska 2000”, nr 1, Komitet Badań i Prognoz PAN, Warszawa 1981, s. 152.

Ograniczenia i walory ujęcia „dylematowego”

Sprawdzanie kluczowych wyborów strategicznych polityki społecznej do „dylematowego” schematu jest podwójnym uproszczeniem. Po pierwsze dlatego, że często możliwości bywa więcej niż dwie, a wówczas należałoby mówić raczej o wielozłonowych alternatywach niż o dylematach. Po drugie dlatego, że w formule „albo – albo” zawarta jest sugestia, że wybór musi mieć charakter „zero-jedynkowy”; natomiast w rzeczywistości najczęściej dokonuje się wyborów „ilościowych”, ustalając proporcje, w jakich powinny wystąpić oba przeciwstawne elementy. Przestrzeń między ekstremalnymi elementami wypełniona jest bowiem continuum rozwiązań pośrednich, a wybór polega na ustaleniu dominanty. Dotyczy to w szczególności wyborów strategicznych, globalnych, które są przedmiotem niniejszych rozważań. Polityka społeczna jest kombinacją tysięcy szczegółowych decyzji i mało jest prawdopodobne, aby wszystkie te decyzje udało się utrzymać w tym samym duchu i stylu. Nie byłoby to też zapewne zbyt sensowne; chyba żebyśmy opowiedzieli się zdecydowanie za „czystością modelową” jako nadrzędną zasadą – można by ją nazwać metodologiczną – w odpowiedzi na pytanie: jednolitość czy różnorodność, homogeniczność czy heterogeniczność polityki społecznej? Inna jest sytuacja w mikroskali, przy podejmowaniu pojedynczych decyzji. Stosować karę śmierci czy jej nie stosować, stosować ją wobec przestępców gospodarczych czy też wykluczyć taką możliwość, skazać na śmierć konkretnego przestępcę czy też poprzestać na karze pozbawienia wolności – te dylematy muszą mieć „zero-jedynkowy” charakter, ale generalny wybór między stosowaniem rygorów a stosowaniem perswazji nie powinien być rozważany jako wybór między surowym karaniem za wszystko lub za nic, powinien być traktowany jako wybór ilościowy.

Pamiętając o tych wszystkich uproszczeniach, uważam jednak „ujęcie dylematowe” za dobry punkt wyjścia dla dalszych rozważań nad modelem i strategią polityki społecznej, wyostrażający główne kontrowersje, sprzyjający logicznemu porządkowaniu argumentacji i konfrontowaniu idei.

Dobór dylematów rozważanych w tej pracy jest zapewne w jakimś stopniu arbitralny. Nie upierając się przy tym, że jest to jedynie możliwy i jedynie słuszny zestaw naczelných problemów polityki społecznej, sądzę jednak, że jest on przydatny do rekonstruowania całościowych modeli polityki społecznej. Czy oznacza to, że prezentowane schematy zadawania pytań i odpowiadania na nie mają walor uniwersalny? Uchylę się od rozważania tej kwestii. Moją intencją jest uczynienie z rekonstruowanej tu „logiki wyboru” *instrumentu przydatnego do analizy polskiej polityki społecznej* – nie tylko tej, którą realizowano w ciągu ostatnich czterdziestu kilku lat, ale i takiej, jaką i wówczas i obecnie z nadzieją obmyślano (i szukano dla niej wykonawcy) albo przed którą z obawą przestrzegano; mieszczącej się więc w wiązce hipotetycznych wariantów dających

się wyobrazić w naszych warunkach. Ponadto, niewyobrażalność zastosowania pewnych rozwiązań na naszym gruncie może okazać się sugestywnym uzupełnieniem „pozytywnej” charakterystyki polskiej polityki społecznej. Wszystko to skłania do bogatego czerpania z uniwersalnej „skarbnicy pytań i odpowiedzi”, sięgania do odwiecznych problemów nurtujących myśl społeczną i do schematów rozumowania ukształtowanych w innych warunkach historycznych i geopolitycznych, nie obywatelującego się jednak bez selekcji. Jej kryterium jest określona wyżej intencja i – z konieczności – intuicja wprzęgnięta w służbę tej intencji.

Mógłby ktoś oponować, że nie powinnam rozrywać spójności systemów myślowych i rozważać każdego z naczelných pytań polityki społecznej odrębnie. Że pewne wybory wartości, środków i podmiotów działania często współwystępują ze sobą, wydają się więc stanowić swą logiczną konsekwencję lub służyć tym samym interesom. Że polityka społeczna nie jest zatem zwykłym zbiorem decyzji strategicznych mogących występować we wszelkich możliwych kombinacjach i cechuje ją – w mniejszym lub większym stopniu – systemowość. Odpowiadam na to – zgoda, zapewne tak bywa lub nawet jest. Ale opisanie modeli decyzyjnych (czy też modeli uzasadniania) poszczególnych dylematów uważam za pierwszy krok ku opisaniu całościowych modeli (typów, stylów) polityki społecznej. Taka procedura budowania całościowego modelu „od dołu”, a raczej od pojedynczych twierdzeń poczynając, pozwala na bardziej systematyczną analizę; ma w dodatku ten walor, że nie przesądza z góry o logicznej lub aksjologicznej konieczności współwystępowania pewnych poglądów, które zwykły współwystępować w doktrynach ukształtowanych historycznie. Powstaje więc okazja do zweryfikowania przystawalności starych „zbitok światopoglądowych” do wymogów współczesności, okazja do myślenia o nowych systemach ideowych. Ten etap syntezy znajduje bardzo blade odbicie w tej pracy; jej głównym zadaniem jest przyczynienie się do owego „pierwszego kroku”.

Tworzywo analizy

Trzeba teraz zadać pytanie, *jakim tworzywem* posłużę się przy opisie owych najważniejszych dylematów, jakiego typu myślenie, w jakim języku wyrażane i wreszcie czyje idee i opinie będą przedmiotem uwagi?

Ukazując, jak różnie mogą być rozumiane i rozstrzygane podstawowe pytania polityki społecznej, będę sięgać do trzech następujących źródeł inspiracji:

- a) teorii i doktryn, a więc uporządkowanych systemów myślowych, wytworzących własny, precyzyjny i wyspecjalizowany, język;
- b) występujących w społeczeństwie opinii i odczuć określanych jako „myślenie potoczne”, „mądrość obiegowa”, „zdrowy rozsądek” czy też – choć to kategoria stosowana w innych kontekstach – zapisane w duszy

- każdego człowieka „prawo naturalne”; zarówno tych opinii i odczuć, które wydają się powszechnie podzielane, jak i tych, które dają się wyraźnie przyporządkować do jakichś środowiskowych subkultur;
- c) praktyki polityki społecznej, interpretowanej *ex post* lub z zewnątrz; do deklarowanych intencji, ale także do założeń ukrytych w rozwiązyaniach z pozoru czysto technicznych i do realnych efektów tej polityki.

Teorie i ideologie społeczne

Sięgnięcie do dorobku myśli społecznej nie wymaga, jak sądzę, szerszych uzasadnień. Różne *teorie społeczne* dostarczają różnych sposobów objaśniania ludzkiego świata i różnie rozstrzygają podstawowe dylematy poznawcze (a między sposobem rozstrzygania tych dylematów i dylematów społecznego działania zachodzi sprzężenie zwrotne), ich paradygmaty zawierają rozmaite założenia, nierzadko zabarwione ideologicznie, ich twierdzenia stają się przesłankami rozumowań „celowościowych”. Różne *ideologie społeczne* (zarówno nowe, jak i tradycyjne, odżywające wciąż w kolejnych mutacjach) dostarczają różnych sposobów oceniania świata; systematyczne rozważanie podstawowych dylematów praktyki społecznej stanowi więc o ich istocie.

Usprawiedliwienia wymaga więc raczej fakt, że *rzadko będę wprost nawiązywać do ukształtowanych doktryn* i tylko sporadycznie będą tu padać ich nazwy. Zdecydowałam się na taką procedurę z kilku powodów, bardzo różnej natury.

Po pierwsze, wprowadzie szerszy kontekst teoretyczny czy doktrynalny pozwala lepiej zrozumieć niuanse interpretacyjne sformułowań pozornie blisko znaczących, ale bywa też, że przeszkadza w akceptacji poszczególnych tez. Czasem lepiej skupić się na argumentacji, zapominając o jej – np. – „liberalnej” czy „katolickiej” proveniencji.

Po drugie, o każdej historycznie ukształtowanej teorii czy doktrynie można powiedzieć, że pewien obszar zagadnień ujmuje nowatorsko, oryginalnie i w sposób pogłębiony, że – na innym obszarze – ogranicza się do powtórzenia tez przyjętych skądinąd i wspólnych całej „rodzinie” systemów myślowych, że wreszcie – pewien obszar zagadnień ignoruje lub zbywa ogólnikami. Ponadto każdy system myślowy ma swoją burzliwą biografię, przechodzi fazy wyłaniania się, klasycyzmu i epigoństwa, nie wspominając już o różnicach dzielących poszczególne indywidualności twórcze. Wierność w referowaniu kłóciłaby się więc z moim zamiarem systematycznego odtworzenia „logiki wyboru”.

Po trzecie, w pracy mającej ambicje syntetyczne i niewielką objętość wszelkie próby wydobywania istoty poszczególnych doktryn, sprowadzenie ich do porównywalności, przetłumaczenia na wspólny język i wzajemnej konfrontacji, byłoby karkołomne i sprawiłoby tylko, że ojcowie duchowi poszczególnych doktryn nie rozpoznałiby swej progenitury.

Po czwarte, większość poważnych systemów myślowych ma w swej fazie dojrzałości charakter kompromisowy, tworzy programy bardziej wykonalne ale za to mniej homogeniczne. Natomiast w ujęciu dylematowym – dla większej wyrazistości obrazu – warto poświęcić nieproporcjonalnie więcej uwagi poglądom skrajnym, co jest oczywistym grzechem przeciwko zasadzie wierności w referowaniu cudzych poglądów.

Po piąte, ciągle i mozolne wyjaśnianie, jakie to liczne wersje, warianty i od-cienie przybierało – gdzie i kiedy – każde z rozważanych tu pytań i każde z og-niw rekonstruowanego tu rozumowania, byłoby tak czaso- i miejscochłonne, że groziłoby tej pracy paraliżem i czyniło ją nieczytelną.

Na zakończenie przedstawię szósty powód – last but not least – przyjęcia takiej konwencji. Nie jestem historykiem myśli społecznej ani teoretykiem me-todologii nauk społecznych, brak mi więc stosownych kompetencji. Dlaczego zatem ważę się podejmować tak zasadniczą problematykę? Bo wciąż ją po-dejmują i rozstrzygają – choćby podświadomie – politycy społeczni, decyden-ci i eksperci, którzy również – omalże z reguły – nie są specjalistami w tych dziedzinach. Zaś akademicy historycy myśli i metodologowie nie kwapią się – omalże z reguły – do tego, aby rozważać praktyczne możliwości aplikacji badanych przez siebie systemów myślowych i kategorii analitycznych. W sy-tuacji, gdy do każdego z dwóch środowisk naukowych (które można określić umownie jako „teoretyków” i „praktyków”) przypisana jest tylko połowa kom-petencji niezbędnych dla poprawnego prowadzenia takich dociekań, konieczne staje się *spotkanie w pół drogi*. Chciałabym, aby próba zaprezentowana w tej pracy stała się zachętą do takiego spotkania.

Myślenie potoczne – jego siła i słabość

Myślenie potoczne jest bez porównania słabiej rozpoznane i opisane niż usystematyzowane doktryny. A ono właśnie najsilniej oddziałuje na prakty-kę polityczną.

Również doktryny ideologiczne i teorie naukowe docierają do decydentów często o tyle, o ile zostają wchłonięte i – przy okazji zbanalizowane przez myśle-nie potoczne, stanowiące przecież według T. Hołównki „zlepek nie powiązanych ze sobą elementów, z których część może pochodzić z epoki jaskiniowej, część – z modnych teorii naukowych (nigdy w czystej postaci, lecz zawsze w dziwacz-nej kombinacji wątków), część ze wskazań dominującej religii [...], część – z fi-lozofii (każda staje się prędzej czy później czymś zdrowym rozsądkiem), część wreszcie z lokalnej tradycji, bezmyślnie przekazującej z pokolenia na pokolenie pewne stereotypy”²⁴. Myślenie potoczne nie jest tylko cechą *odbiorców polityki społecznej* i jego znaczenia nie można sprowadzić jedynie do warunków recepcji

²⁴ T. Hołównka, *Myślenie potoczne. Heterogeniczność zdrowego rozsądku*, Warszawa 1986, s. 136–137.

„naukowo uzasadnionej” polityki społecznej. „Mądrość obiegową” wywiera też przemożny wpływ na tych, którzy powołani są do aktywnego kreowania polityki społecznej. Ci, którzy uchodzą za *decydentów*, dziedziczą po poprzednikach i rozwijają własną wizję zdrowego rozsądku jako jeden z elementów subkultury „kapitanów przemysłu”, funkcjonariuszy aparatu partyjnego czy innych pokrewnych środowisk, niezależnie od tego, jakimi dyplomami mogą się osobiście wylegitymować²⁵. Ci, którzy uchodzą za *ekspertów* i bywają czasem traktowani jako monolityczne podmioty myślenia ściśle naukowego, sami przyznają, że opracowywane przez siebie ekspertyzy traktują „...raczej jako opinie elity intelektualnej, nie zaś jako wypowiedzi mające uzasadnienie w systematycznej wiedzy naukowej [...] Ogólnie można sądzić, że «zbiorowa», wyłaniająca się z poglądów ludzi nauki, koncepcja ekspertyzy naukowej koncentruje się [...] nie na «naukowości» ekspertyzy, a raczej na obywatelskim zaangażowaniu członków elity umysłowej”²⁶. W pewnych przypadkach może to wynikać z niewłaściwego doboru ekspertów i powierzenia im zadań przekraczających wąskie ramy reprezentowanej przez nich dyscypliny naukowej. Może też oznaczać, że nauka nie wypełniła zadań poznawczych, do realizacji których była potencjalnie zdolna. Ale zasadne jest też przypuszczenie, że „być może, zdrowy rozsądek odzwierciedla po prostu naturę rzeczywistości, której bogactwa, różnorodności i paradoksów nie sposób zawrzeć w jakimkolwiek spójnym systemie poglądów, podczas gdy wizje świata niezdroworozsądkowe czynią rozpaczliwe i deformujące wysiłki wtłoczenia jej w jednolite, konsekwentne doktryny”²⁷. Myślenie potoczne wypełnia więc wszystkie luki w naukowym poznaniu świata, a jednocześnie staje się źródłem wielu pomysłów doskonalenia świata; bywa obficie stosowaną *namiaszką teorii i namiaszką ideologii*.

Im bardziej zależy nam na demokratyzacji ładu społecznego, tym bardziej powinniśmy śledzić z uwagą – i szanować – stan i przemiany „mądrości obiegowej” *różnych grup społecznych*. Waga opinii konkretnej grupy społecznej, jej wpływ na przyszłą ewolucję poglądów reszty społeczeństwa i na aktualne procesy decyzyjne, zależą – według S. Nowaka – od: 1) intensywności wartościowania; 2) liczebności grupy; 3) bezpośredniego jej udziału we władzy; 4) zdolności do wywierania wpływu na władzę²⁸.

Punkt pierwszy na tej liście można zmodyfikować (skoro interesują nas tu – oprócz ideologicznych – także poznawcze aspekty myślenia potocznego) i sformułować następująco: siła przekonań i ich stwierdzona *ex post* *zdolność do wyjaśniania nowych faktów społecznych* powinna, zdawałoby się, dawać niejaką przewagę pewnym grupom, sprawiając, że właśnie one staną się w danym

²⁵ Zob. K. Obuchowski, *Psychologia dążeń ludzkich*, Warszawa 1983, s. 306.

²⁶ Zob. Wyniki badań przeprowadzonych wśród autorów ekspertyz PAN w: K. Frieske, J. Regulski, *Studia nad metodologią...*, jw., s. 73.

²⁷ T. Hołówka, *Myślenie potoczne...*, jw., s. 140.

²⁸ Zob. S. Nowak, *Kryteria wartościowania...*, jw., s. 157.

społeczeństwie centrami opiniotwórczymi. Ale pozostawmy na boku tak złożone kwestie, jak społeczny obieg idei. Ile tu waży ludzki racjonalizm, interesowność i inne czynniki? Co sprawia, że emitowane przez pewne grupy wizje i recepty budzą zaufanie ogółu, inne zaś zawsze będą witane z podejrzliwością?

Apologeci zdrowego rozsądku „szarego człowieka” podkreślają, że jest on fundamentem wszelkiej wiedzy społecznej i antidotum na szaleństwa teoretyków i ideologów. Krytycy obnażają jego woluntaryzm, przypadkowość, niepodatność na racjonalną argumentację (ludzie wolą to, co mile widziane, niż to, co prawdziwe; wierzą tylko tym autorytetom, które potwierdzają ich dotychczasowe sądy; szary człowiek wybiera te poglądy, które są zdecydowane, współbrzmiające z otoczeniem i przyjemne). Dla J. K. Galbraitha (deklarującego, że jego książki są wyzwaniem rzuconym „mądrości obiegowej”, reprezentowanej zresztą przede wszystkim przez osobistości z tytułami naukowymi i na stanowiskach politycznych) głównym grzechem owej mądrości obiegowej jest inercyjność, kurczowe trzymanie się poglądów od dawna ewidentnie sprzecznych z faktami²⁹. Natomiast zdaniem T. Hołówki głównym grzechem myślenia potocznego jest nagromadzenie wewnętrznych sprzeczności, możliwość zdroworozsądkowego uzasadniania sądów i działań diametralnie przeciwstawnych sobie. Paradoksalny jest fakt – dający się również zaobserwować w sporach wokół dylematów polityki społecznej – „...że «zdrowym rozsądkiem» i terminami pokrewnymi szermujemy najgoręcej nie w kwestiach, które zdają się trywialne i uzgodnione, lecz wręcz przeciwnie – tam, gdzie występuje olbrzymia polaryzacja stanowisk, przede wszystkim w sprawach moralnych, obyczajowych i estetycznych. Zaciekłość, z jaką usiłujemy wtłoczyć jakieś przeświadczenie do ogólnoludzkiego credo bywa najczęściej wprost proporcjonalna do partykularyzmu owego przeświadczenia”³⁰. Dodać do tego można, że o ile „za nami” stoi zwykła nauka i zdrowy rozsądek, o tyle naszego przeciwnika pomawiamy często o to, że wyznawana ideologia mąci tok jego rozumowania. Tak pisze o tym T. Geiger: „Zarzut ideologiczności podnoszony jest z zamiłowaniem po to, by w oczach opinii publicznej argumenty przeciwnika pozbawić wartości i wzmocnić przez to własne pozycje. «To, co ja mówię, odpowiada faktom – co mówi mój przeciwnik, jest ideologią»”³¹.

Niezależnie od tego, ile złego byśmy powiedzieli o mankamentach myślenia potocznego, jego wpływ na politykę społeczną będzie przemożny i trzeba się z tym liczyć. Trudno te poglądy ignorować czy wyrugować całkowicie na rzecz uporządkowanych systemów myślowych. Trzeba więc – mimo oporności tej materii – doskonalić je, obnażać największe – zakorzenione w nim – absurdy i ana-

²⁹ Zob. J. K. Galbraith, *Społeczeństwo dobrobytu. Państwo przemysłowe*, Warszawa 1973, s. 25–36.

³⁰ T. Hołówka, *Myślenie potoczne...*, jw., s. 17.

³¹ T. Geiger, *Ideologia i prawda. Socjologiczna krytyka myślenia*. W: *Problemy socjologii wiedzy*, Warszawa 1985, s. 447.

chronizmy; wspierać zdroworozsądkowe przekonanie tych grup i osób, które nawet czasem wyprzedzają rozwój nauki i ideologii, myśląc zgodnie z „duchem czasu”. Praktyczny wniosek – na użytek tej pracy – jest następujący: przy rekonstrukcji sporów w głównych kwestiach polityki społecznej warto rejestrować i te poglądy, które nie zostały nigdzie zapisane, które nawet są ewidentnie sprzeczne z aktualnym stanem nauki, ale za to oddziałują na wyobraźnię społeczną.

Działania polityki społecznej

Wspomnę jeszcze pokrótce o trzecim rodzaju tworzywa, służącego prezentacji dylematów polityki społecznej. Jest nim *zbiór decyzji i działań* składających się na realnie prowadzoną – a nie tylko obmyślaną – politykę społeczną. Będzie to dla mnie źródło pomocnicze, gdyż tylko sporadycznie może się zdarzyć, że sposób myślenia uzewnętrzniający się w decyzjach politycznych nie został dotychczas zwerbalizowany na piśmie ani w mowie. Znaczenie tego źródła niepomniernie by wzrosło, gdybym chciała w tej pracy dać diagnozę popularności i realnego wpływu poszczególnych poglądów. Jednakże, skoro swoją pracę traktuję jako zaledwie pierwszy krok ku syntezie, celowo upraszczam sobie zadanie i traktuję wszystkie referowane poglądy *jako równe sobie*. Uwaga, jaką im poświęcam, nie zawsze jest więc proporcjonalna do liczby ich wyznawców czy częstotliwości ich wdrażania.

Resumé

W rekonstruowanych przeze mnie sporach uczestniczyć więc będą jakby trzy rodzaje podmiotów: po pierwsze, realni (ale tu najczęściej anonimowi) reprezentanci naukowej lub obiegowej myśli społecznej; po drugie, „wymyśleni” przez nich oponenci (jak wiadomo, chcący odnosić łatwe zwycięstwa dyskutanci często „ustawiają” sobie przeciwników, walcząc z karykaturami swych rzeczywistych polemistów); po trzecie, wymyśleni przeze mnie uczestnicy sporu (nawet jeśli na razie nie istniejący, to możliwi, niezbędni dla ukazania pełnego pola sporu i pola wyboru). Pojawiające się sporadycznie cytaty i przykłady będą przy tym pełnić rolę ilustracji lub stylistycznego urozmaicenia, nie można zaś ich traktować jako najważniejszych przejawów prezentowanych poglądów.

I jeszcze jedna uwaga – pragnę ukazać w tej pracy możliwie pełną gamę poglądów, uporządkować je, zastanowić się nad ich wewnętrzną logiką, podłożem ideologicznym i emocjonalnym, zgodnością z faktami. Nie jest natomiast moim zamiarem *rozstrzyganie* prezentowanych dylematów. Ukazując słabe i mocne strony wszystkich referowanych poglądów unikam ostatecznego podsumowania ich punktów dodatnich i ujemnych. Chcę zachować bezstronność, choć czynię jednak odstępstwa od tej zasady i czytelnikowi łatwo będzie nieraz wyczytać między wierszami, po której stronie sporu lokuję swoje sympatie.

Typy dylematów

Umowność typologii

Obecnie przedstawię najogólniejsze problemy związane z trzema typami dylematów rozważanych w tej pracy. Rozróżnienie dylematów aksjologicznych, instrumentalnych i konstrukcyjnych jest w znacznym stopniu umowne. Mianem aksjologicznych można określić te dylematy, przy których dyskusowaniu dominuje, nadaje ton sporom lub jest genetycznie pierwotna *argumentacja „słusznościowa”*, co nie znaczy, że mało ważne dla przebiegu i wyniku tych sporów jest powoływanie się na *użyteczność* i *nieuchronność* – rola tych trzech „porządków oceny” zależna jest od stanowiska zajmowanego w sporze. Dylematy nazywane tu instrumentalnymi dotyczą przede wszystkim wyboru metod działania skutecznego, jednakże i tu słuszność i nieuchronność mogą stać się głównymi drogowskazami dla niektórych uczestników sporu. Dylematy konstrukcyjne, dotyczące w tak ogólnym ujęciu przede wszystkim typu ładu społecznego, mogą być dla jednych kwestią tworzenia sprawnych mechanizmów, a dla innych – kwestią sprawiedliwego ustroju. Można przytoczyć wiele przykładów zbędnej i szkodliwej ideologizacji sporów w sprawach nader praktycznych i przyziemnych (choćby dylemat „coca-cola czy kwas chlebowy” lub walka z prywatnym rzemiosłem), a także niedostrzegania ideologicznych przesłanek poglądów powołujących się na czysty pragmatyzm (spór o surowość karania albo spór o rynek).

Wartości i interesy

Nieufność do ideologii, unikanie wszelkich zdań wartościujących na rzecz wypowiedzi o charakterze czysto naukowym czy pragmatycznym są z wielu względów rozpowszechnione. Po pierwsze, ze względu na niejasność haseł ideologicznych będących w istocie „bardzo ogólnymi rozmytymi kompleksami wrażeń i emocji”. „Z dziesiątków tysięcy maszerujących pod hasłem «Żądamy wolności» być może nawet dwóch ludzi nie ma jednakowego wyobrażenia o tym, czego żądają. Zgadza się ze sobą w słowie, lecz nie w sprawie”³². A J. Szacki stwierdza: „Sytuacja polityki upodobniła się w jakimś stopniu do sytuacji etyki czy estetyki, w których nikt nie kwestionuje *Dobra* i *Piękna* jako wartości najwyższych, wszystko natomiast zależy od tego, jak się je rozumie. Na rynku idei niemal ustalałaby wszelka konkurencja, gdyby te same wielkie słowa oznaczały dla wszystkich jedno i te same rzeczy. Zniknęli gdzieś lub prawie zniknęli wrogowie *wolności*, *pokoju*, *równości*, *demokracji*, *praw człowieka* itd., rozmnożyli się natomiast przyjaciele «prawdziwej» czy «rzeczywistej» *wolności*, *pokoju* itd.”³³. Po drugie, wskutek nagminnej we wszystkich

³² Tamże, s. 454.

³³ J. Szacki, *Dylematy idei dobra wspólnego*, „Więź” 1985, nr 10–11–12.

społecznościach manipulacji wartościami rodzi się pogląd – będący zresztą zdrową reakcją na te nadużycia – że wszelkie deklaracje aksjologiczne należy traktować jako szum informacyjny; zaś naprawdę w życiu społecznym liczą się interesy grupowe i indywidualne.

Jednakże, skoro polityka społeczna jest zobowiązana do wyboru jednego spośród możliwych typu postępu społecznego, skonkretyzowania go i „skierowania do realizacji”, musi świadomie rozważać problemy aksjologiczne. Nie może przy tym poprzestać na „hasłowym” ujęciu, musi ujednoznaczyć dokonane wybory i uzyskać w tej sprawie społeczny konsensus. Nie idzie tu o dobór haseł do lansowania lecz rzeczywisty punkt wyjścia do myślenia programowego.

Nie można też zgodzić się z poglądem o konieczności porzucenia rozważań nad wartościami na rzecz badania interesów. Przede wszystkim zwróćmy uwagę na to, że pojęcie interesu zdaje się zakładać pojęcie wartości. Twierdząc, że pewni ludzie wykazują większą skłonność do operowania kategoriami wartości niż kategoriami interesu, ma się zwykle na myśli to, że – po pierwsze – wysoką rangę przyznają oni wartościom „niematerialnym” (przeciwstawia się więc tu sobie dwie grupy wartości, a nie wartości interesom), lub – po drugie – wysoką rangę przyznają upowszechnianiu cenionych przez siebie wartości w całym społeczeństwie. Natomiast konflikt interesów jest dążeniem dwóch grup do partykularnego zawłaszczenia, zagarnięcia dla siebie jak największej puli tych samych wartości. Wspólnota wartości staje się więc bazą konfliktu określanego jako konflikt interesów.

Wartości indywidualne i społeczne

Wartości można definiować jako to, co jest cenione przez ludzi, jako najogólniejsze kryteria oceny świata i najogólniejsze cele, do których ludzie starają się zmierzać. *Wartości indywidualne – cenione przez osoby ludzkie* – mają swe odpowiedniki bądź to w „uwniosłonych” potrzebach (wyróżnionych spośród wszystkich odczuwanych potrzeb, zyskujących szczególne znaczenie symboliczne), bądź to w ludzkich cnotach (pożądanych u siebie i u innych), bądź to w zasadach regulujących życie społeczne (pod rządami których chciałoby się żyć). *Wartości społeczne* można rozumieć na dwa różne sposoby. Można tak określać owe pożądane przez ludzi stany społeczeństwa, a więc pewną klasę wartości cenionych przez jednostki³⁴. Mogą one jednak oznaczać także to, co jest *cenione przez instytucje społeczne*.

W swoim czasie T. Parsons utrzymywał, że główną cechą systemu społecznego są właśnie wartości, które „widoczne lub niewidoczne mogą przejawiać się w konkretnych sytuacjach i wnikliwy teoretyk jest w stanie wydedukować

³⁴ Taką nomenklaturę stosuje się najczęściej w prowadzonych u nas badaniach ankietowych mających za przedmiot ludzkie systemy wartości. Zob. np. J. Koralewicz-Zębik, *System wartości a struktura społeczna*, Wrocław–Warszawa 1974.

ich specyficzne treści³⁵. W ostatnich latach M. Rokeach (który zapoczątkował nowy etap rozwoju socjologii wartości, scalając biegnące dotychczas niezależnie od siebie dwa nurty myślowe – niesprawdzalnych empirycznie abstrakcji w stylu Parsonsa z jednej strony i badań empirycznych odnoszonych do tworzonych ad hoc kategorii i wskutek tego nieporównywalnych) po gruntownym rozważeniu natury wartości indywidualnych³⁶ podjął problem wartości instytucjonalnych, cenionych przez twory ponadindywidualne, a więc – w tym drugim sensie – wartości społecznych³⁷. M. Rokeach dostrzega *możliwość rekonstruowania systemów wartości i instytucji*, tak jak archeolog rekonstruuje całe cywilizacje przeszłości na podstawie rozproszonych śladów, przy użyciu pięciu rodzajów źródeł, wzajemnie uzupełniających się i likwidujących swe ograniczenia: 1) dokumentów tworzonych przez instytucję; 2) indywidualnych systemów wartości wyznawanych przez reprezentatywnych funkcjonariuszy instytucji (przy założeniu, że są one utrwalonym w ich świadomości efektem socjalizacji, przez którą przeszli w swej instytucji); 3) indywidualnych systemów wartości wyznawanych przez pewne grupy klientów, będących przedmiotem szczególnie silnego oddziaływania instytucji; 4) systemu wartości instytucji, takiego, jakim go postrzegają jej funkcjonariusze; 5) systemu wartości instytucji, takiego, jakim go postrzega ogół jej klientów. Zabrakło w zalecanej tu procedurze szóstego, bardzo ważnego elementu – systemu wartości instytucji tkwiącego *implicite* w prowadzonej przez nią polityce, zgodnie z maksymą „po czynach ich poznać je”. Sądzę, że na jednym z następnych etapów dociekań zapoczątkowanych przeze mnie w tej pracy warto będzie tę procedurę wypróbować. Na razie istotna jest dla mnie konstatacja, że sensowne i wykonalne jest badanie systemów wartości instytucji – a więc także instytucji polityki społecznej. A skoro sensowne i wykonalne jest *badanie* wartości instytucjonalnych, to samo można powiedzieć o ich *projektowaniu*.

Listy wartości cenionych przez ludzi bywają mniej lub bardziej rozbudowane, mniej lub bardziej szczegółowe (M. Rokeach wyróżnił 18 wartości nadrzędnych i 18 wartości instrumentalnych). Zdaniem Rokeacha nie ma potrzeby operowania odmiennymi zestawami wartości w odniesieniu do ludzi i w odniesieniu do instytucji. Budzi to pewne wątpliwości. Można się jednak zgodzić z tym, że instytucje pełnią ważną rolę pośredniczenia w oferowaniu jednostkom tego, co jest dla nich cenne, stawiając przy tej okazji pewne warunki i mając okazję do modyfikowania układów preferencji.

³⁵ Cyt. za J. L. Spates, *The Sociology of Values*, „Annual Review of Sociology” 1983, vol. 9, s. 27.

³⁶ Zob. M. Rokeach, *Nature of Human Values*, New York 1973.

³⁷ Zob. M. Rokeach, *From Individual to Institutional Values*. W: *Understanding Human Values. Individual and Societal*, pod red. M. Rokeach, New York 1979, s. 47.

Ważna jest też teza, że instytucje *specjalizują się w służeniu wybranym wartościom*³⁸. Trudno oczekiwać, aby jedna instytucja była zdolna do szerzenia i wdrażania całego spectrum ludzkich wartości. Konsekwencją podziału funkcji między instytucjami jest specjalizacja w lansowaniu „podzbiorów” wartości związanych z ich sferą działania. Instytucje „obsługujące” różne segmenty systemu wartości cenionego w danym społeczeństwie konkurują między sobą o ludzkie umysły (starając się modyfikować wyjściową hierarchię wartości zakodowaną w tych umysłach) i o ograniczone zasoby, jakie społeczeństwo jest skłonne przeznaczyć na realizację tych właśnie podzbiorów wartości. Jest to gra o wpływy, którą można tylko częściowo interpretować jako grę interesów. Zarazem można wskazać na pewne zespoły instytucji, które służą tym samym zestawom wartości i świadczą sobie wzajemnie usługi; nie mówiąc już o tym, że wszystkie instytucje – nawet te w pewnym zakresie konkurencyjne – łączy wspólny paradygmat ideowy, skoro są przynależne do tej samej kultury. *Rozmiary kooperacji i konkurencji* między instytucjami nie są stałe, zmieniają się w czasie i w przestrzeni (przykładowo – zdaniem Rokeacha – do instytucji kooperujących ze sobą należą: w tradycyjnym społeczeństwie religia i nauka, w Stanach Zjednoczonych – rodzina i religia, we frankistowskiej Hiszpanii – religia i edukacja, w Związku Radzieckim – instytucje polityczne i edukacyjne, a w izraelskim kibucu – instytucje rodzinne i gospodarcze).

Warto by spojrzeć w tej perspektywie na problem relacji między polityką społeczną i gospodarczą, a także ocenić spójność wszystkich instytucji składających się na tzw. sferę społeczną. Zaś konfrontacja różnych źródeł wiedzy o systemie wartości każdej z tych instytucji (wedle recepty Rokeacha, uzupełnionej o dodatkowy szósty punkt) pozwoliłaby dostrzec wszystkie wyrwy w jej wewnętrznej spójności (np. ujawnić zasadnicze nieporozumienia co do istoty i sensu istnienia instytucji pomiędzy jej klientami, funkcjonariuszami i oficjalnymi deklaracjami; co nie wyklucza np. dogłębnego przesiąknięcia instytucjonalnym systemem wartości, mimo otwartego kontestowania przeciwko niektórym jej elementom, zdegrustowanych, ale od lat uzależnionych klientów).

Wybór dylematów aksjologicznych

W tej przydługiej dygresji chciałam zwrócić uwagę na niewykorzystane jeszcze możliwości badań empirycznych nad aksjologią instytucjonalną. Jednak pora wrócić do zamierzonego w tej pracy wstępnego przeglądu aksjologicznej problematyki polityki społecznej i wyjaśnić, *jakie wartości – i dlaczego* – postanowiłam uczynić przedmiotem odrębnych rozdziałów.

W socjologii wartości sformułowano pogląd, że typotwórczy, bo pozwalający budować „dwuwartościowe modele polityki”, jest stosunek podmio-

³⁸ Tamże, s. 51.

tów politycznych do dwu kluczowych wartości – równości i wolności; różne kombinacje poglądów na ten temat (np. wysoka ocena obu wartości, wysoka – jednej, niska – drugiej, niska ocena obu; gradację ocen można rozbudowywać) określają polityczną naturę podmiotu i w tych ramach można rozwijać jej bardziej szczegółową charakterystykę³⁹. Mój punkt wyjścia był jednak inny. Postanowiłam przyjrzeć się rozmaitym interpretacjom, uzasadnieniom i konkretyzacji czterech wartości należących niewątpliwie do naczalnych – *kolektywizmu, równości, bezpieczeństwa i wartości biologicznych* – przez pryzmat dwu innych wartości naczalnych – *wolności i efektywności*. Sądzę, że są to wartości, które polityka społeczna powinna uznać za główne wytyczne dla swoich przedsięwzięć, a na ich straży powinny stać urządzenia i instytucje polityki społecznej. Wiele innych wartości, bardziej „prywatnych” czy „czysto moralnych” – jak choćby godność – powinny raczej służyć wytyczaniu warunków brzegowych, których polityce społecznej – ani żadnej innej – nie wolno przekroczyć, niż być w centrum uwagi strategicznej.

Cztery pierwsze spośród wymienionych powyżej wartości zrosły się nierozdzielnie z pojęciem polityki społecznej. Wiara w nie była potężnym impulsem, któremu polityka społeczna zawdzięcza swoje narodziny. Z kolei instytucje polityki społecznej walczyły przyczyniły się do awansu tych wartości w kulturze współczesnej i w nowoczesnym społeczeństwie. Dwie ostatnie wartości – jedna odwieczna, eksponowana zwłaszcza w nobilem kręgu kulturowym, druga coraz modniejsza w czasach kolejnych rewolucji przemysłowych – rzadziej kojarzone są z pojęciem polityki społecznej. Co więcej, częste są zarzuty pod adresem polityki społecznej, że zaniedbuje ona te wartości, a nawet się z nimi kłóci. Polityka społeczna była pomawiana o to, że służąc bezpieczeństwu i równości, dobru wspólnemu i rozwojowi ludnościowemu – prowadzi do totalizmu, stagnacji i inercji społecznej, „uśmiercania” życia społecznego, infantyilizacji i ubezwłasnowolniania człowieka, marnotrawstwa, ekstensywności, schematyzmu itd.

Zarzuty te formułowane są w społeczeństwach o bardzo różnych systemach gospodarczych, politycznych i bardzo różnych typach polityki społecznej. Ich oskarżycielska wymowa wydaje się jednak szczególnie obciążająca w społeczeństwie, które ma kompleks zniewolenia i kompleks niegospodarności. Zamiarem moim jest przyczynienie się do poszukiwania takich interpretacji kolektywizmu, równości, bezpieczeństwa i wartości biologicznych, które będą niesprzeczne z wolnością i efektywnością; a więc przyczynić się do rewindykowania przez politykę społeczną tych ostatnich wartości. W poszczególnych rozdziałach wychodzić będę od przeciwstawięń oczywistych z logicznego punktu widzenia, a więc kolektywizm będę konfrontować z indywidualizmem, równość z nierównością, a wartość bezpieczeństwa z wartością ryzyka, róż-

³⁹ J. L. Spates, *The Sociology of Values*, jw.

ne interpretacje wartości biologicznych – ze sobą wzajemnie. Jednak w toku wywodów „wolnościowy” i „efektywnościowy” punkt widzenia będzie stale obecny.

Rozważenie ewentualności tych lub jeszcze innych konfliktów wartości, ocena, czy są one wyłącznie pozorne, realne dla pewnych tylko konkretyzacji czy też realne zawsze i wszędzie, mają wielkie znaczenie praktyczne. Niedostrzeżona w porę kolizja między wartościami przyjętymi za drogowskazy programowe w polityce społecznej zrodzi programy dysfunkcjonalne. I odwrotnie, fałszywe przeświadczenie o kolizji między wartościami zrodzi programy jednostronne, niepotrzebnie zubożone.

Jeśli analiza wykaże, że konflikt aksjologiczny – wbrew głoszonym poglądom – jest pozorny, trzeba starać się przekonać o tym opinię publiczną i poszukiwać społecznych korzeni notorycznego podtrzymywania tych poglądów (tu zapewne przydatna okaże się m.in. kategoria interesu). Jeśli analiza wykaże, że konflikt aksjologiczny ma charakter sytuacyjno-empiryczny, trzeba tak formułować warunki brzegowe, by konkretny program realizujący jedną z wartości nie godził w drugą wartość. I stwierdzić, czy ten potencjalnie bezkolizyjny program jest wykonalny „tu i teraz”. Jeżeli nie – lub jeżeli stwierdzona kolizja okazuje się immanentna i ponadczasowa, wręcz logiczna – to pozostaje potraktowanie jej jako konfliktu ilościowego i takie „okrojenie” obu wartości, aby udało się z każdej z nich zachować najistotniejsze treści. Najbardziej pomyślna jest sytuacja, kiedy to dwie wartości nie tylko nie kolidują ze sobą, ale nawet działania podejmowane w ich imię mają wspólne pole wzajemnego wzmacniania. Polityka społeczna może wówczas stać się znacznie tańsza (nie tylko w sensie ekonomicznym).

Wybór dylematów instrumentalnych i konstrukcyjnych

Sądzę, że dużo mniej uzasadnień i usprawiedliwień wymaga podjęta przeze mnie problematyka środków i podmiotów działania polityki społecznej. Rozważania na te tematy są w polityce społecznej na porządku dziennym, mają konkretny charakter i nikt nie powątpiewa w ich użyteczność. Dotyczą one materii empirycznie uchwytnej. Trudności zaczynają się dopiero w momencie, w którym chcemy uporządkować obraz złożony z masy szczegółowych informacji, wychwycić dominanty, wykryć wewnętrzną logikę – zwaną tu stylem działania.

Dylematy instrumentalne dotyczą – z jednej strony – intensywności i głębi oddziaływań; wyboru proporcji między stosowaniem środków informacyjnych, ekonomicznych i prawnych; wewnętrznych proporcji w obrębie każdej z tych grup środków; częstotliwości zmian stosowanych środków (od długofalowej stabilizacji zasad do jednorazowości i uznaniowości podniesionych do rangi zasady) szerokości gamy stosowanych środków (od grania na jednej nucie do obfitego stosowania najróżnorodniejszych środków).

Dotyczą też – z drugiej strony – koncepcji człowieka, roboczo przyjętej za podstawę *stylu działania* – rygorystycznego, bodźcowego, liberalnego lub opiekuńczego. Każdy z wyróżnionych stylów działania odmiennymi metodami stara się osiągnąć zmianę ludzkich zachowań w kierunku pożądanym przez władzę. Bowiern polityka społeczna – jeśli chce zaspokajać ludzkie potrzeby – musi w pewnym stopniu modyfikować ludzkie zachowania; nie mówiąc o tym, że na ogół władza ma więcej powodów, by chcieć kontrolować zachowanie obywateli. W tym ujęciu problematyka instrumentalna polityki społecznej pokrywa się z zakresem badawczym socjotechniki. Socjotechnika programowo odcina się od aksjologii. Jak to w swoim czasie ujmował A. Podgórecki, socjotechnika jest jak nóż, może ratować życie, gdy znajdzie się w ręku chirurga, może niszczyć życie, jeśli znajdzie się w ręku zbrodniarza⁴⁰. Z pewnością narzędzia nie są obojętne z punktu widzenia przyjętego systemu wartości, zaś przyjęty styl działania musi być z tego punktu widzenia oceniany, gdyż nie tylko zakłada on pewną koncepcję człowieka, ale i potrafi przekształcać rzeczywistych ludzi na modłę przyjętych założeń. Ale oczywiście najbardziej dezawuuującym zarzutem jest stwierdzenie nieskuteczności stosowanych instrumentów, rozbieżności skutków osiąganych i oczekiwanych. Należy więc wciąż rozstrzygać, jaki środek i jaki styl działania jest najlepiej dostosowany do poszczególnych wartości i celów, jakim ma służyć, do poszczególnych podmiotów, na jakie ma oddziaływać.

Spojrzenie na politykę społeczną jako na układ: *dyrygent – instrumenty – orkiestra – słuchacze* nie wyczerpuje istoty tej polityki. Dlatego też dwojaki może być ujęcie problemu *aktywności ludzkiej*. Po pierwsze, jakie mają być proporcje między dwoma rodzajami „środków osobowych” czy też „zasobów kadrowych” polityki społecznej – między służbami profesjonalnymi a „społecznikami”; pytamy więc, w jakich przypadkach, które z tych „ludzkich narzędzi” dadzą większą nadwyżkę efektu nad kosztem ich pozyskania. I będzie to wówczas dylemat instrumentalny.

Można też pytać, w jakim stopniu jednostki ludzkie mogą swobodnie działać realizując własne koncepcje i pomysły, czy polityka społeczna zawęża czy też poszerza to ich pole swobodnego działania i wyboru. I wówczas będzie to jeden z głównych *dylematów konstrukcji*. Kwestia będzie dotyczyła dopuszczalności – bądź niedopuszczalności – istnienia w polityce społecznej podmiotów niezależnych od centrum dyspozycyjnego, prowadzenia działalności spontanicznej i różnorodnej (zarówno pod względem wartości, celów, jak i środków) obok działalności zaplanowanej i skoordynowanej.

Inne dylematy konstrukcji mogą dotyczyć: natury centrum dyspozycyjnego i stopnia jego kontroli przez mechanizmy demokratyczne; liczebności szczebli,

⁴⁰ Zob. *Socjotechnika. Praktyczne zastosowania socjologii*, pod red. A. Podgóreckiego, Warszawa 1968, s. 46.

na których stanowiona i realizowana jest polityka społeczna, a także stopnia hierarchiczności tego układu, gęstości powiązań i zależności pionowych i poziomych; roli w stanowieniu i realizowaniu polityki społecznej tych instytucji, które należą do „otoczki” zakładów pracy i obejmują swym oddziaływaniem pracowników, i tych instytucji, które koncentrują się (przestrzennie i organizacyjnie) wokół miejsca zamieszkania i obejmują swoim oddziaływaniem mieszkańców.

Za kluczowy problem – superdylemat – uznaję *wybór między upaństwowioną i uspołecznioną polityką społeczną*. Bezpośrednio dotyczy on konstrukcji i społecznej natury podmiotów działających w polityce społecznej. Nie sądzę, żeby struktura podmiotowa (wraz z przyporządkowaną jej strukturą interesów i innymi jej atrybutami) wyznaczała jednoznacznie system wartości i styl działania polityki społecznej. Ale też jestem przekonana, że charakter działającego podmiotu zwiększa znacznie prawdopodobieństwo wyboru pewnych wartości, celów i instrumentów (a niektóre wybory zgoła wyklucza). Stąd też wynika moje opowiedzenie się za zarysowanym w zakończeniu książki modelem „uspołecznionej polityki społecznej”. Opcję tę trudno uznać za konkluzję wywiedzioną wprost z rozważań zawartych w tej pracy. Jest to raczej hipoteza sugerująca kierunek dalszych poszukiwań modelowych. Trzeba będzie konkretyzować oba przedstawione sobie skrajne modele, oceniać ich logikę wewnętrzną, ich słuszność, sprawność i wykonalność, a wreszcie – szukać możliwości rozwiązań kompromisowych.

2

Kolektywizm a indywidualizm

Cztery interpretacje kolektywizmu i indywidualizmu

Odmiany kolektywizmu

Stanowisko, nazwane tu kolektywizmem daje się zilustrować za pomocą następujących hipotetycznie sformułowanych stwierdzeń:

1. Zbiorowość „bardziej istnieje” niż jednostka: to zbiorowość jest i powinna być *podmiotem praw*, działań i roszczeń, jednostka ludzka jest tylko elementem i wytworem zbiorowości. Rzeczą oczywistą jest zatem przyznanie prymatu dobru zbiorowości (dobru wspólnemu) nad dobrem jednostki.
2. Zbiorowość nie jest wprawdzie ważniejsza od jednostki, ale *wie lepiej*, co jest dobrem tej jednostki; wykształciła odpowiednie umiejętności – w ramach społecznego podziału pracy – które pozwalają najpierw odczytywać obiektywne potrzeby jednostek, a następnie zorganizować sprawne ich zaspokajanie. Toteż jednostka dla własnego dobra powinna dać sobą powodować, oddać się do dyspozycji zbiorowości.
3. *Potrzeby więzi, przynależności i konformizmu* są potrzebami szczególnie silnie odczuwanymi przez jednostkę, a jednocześnie – szczególnie wartościowymi, szlachetniejszymi, „bardziej ludzkimi” od potrzeb izolacji czy wyróżnienia. Należy zatem stwarzać jak najwięcej okazji do rozbudzania tych potrzeb i przeżywania wspólnotowości.
4. Zbiorowe formy życia – a zwłaszcza zbiorowe formy zaspokajania potrzeb – są z reguły nowocześniejsze i sprawniejsze od jednostkowych, ujawniają wszelkie możliwe efektywnościowe przewagi, są „przyszłościowe”, toteż postęp społeczny polega na ich upowszechnianiu.

Każde z powyższych stwierdzeń można uznać za wyraz ideologii kolektywistycznej. Każde z nich jednak dotyczy innych spraw, w każdym z nich zbior-

rowość jest w innym sensie nadrzędna w stosunku do jednostki. Można więc mówić o różnych kolektywizmach, które niekoniecznie muszą iść ze sobą w parze, a nawet mogą popadać w sprzeczność między sobą. Oczywista jest różnica między „zbiorowością – organizmem” a „zbiorowością – rodzicem” i między aprobatą dla więzi międzyludzkich jako „szczęściodajnych” a pochwałą „technicznie najdoskonalszych” zbiorowych form organizacyjnych.

Odmiany indywidualizmu

Można następnie sformułować cztery analogiczne – ale przeciwstawne – sady dające się scharakteryzować jako indywidualistyczne:

1. Istnieją *tylko poszczególni ludzie*, tylko ich potrzeby są istotne; zbiorowość „jako taka” i „dobro wspólne” to hipostazy.
2. *Tylko jednostka jest kompetentna* w kwestii swych potrzeb i dążeń; taki ład społeczny i gospodarczy jest dobry, który te potrzeby i dążenia sprawnie obsługuje.
3. Każda zbiorowość musi uszanować prawo człowieka do samorealizacji przez rozwój tego, co w nim odrębne i niepowtarzalne, choćby oznaczało zachowanie nonkonformistyczne; wynika z tego *prawo do izolacji* w sferze prywatności; tłok i zagęszczenie społeczne zabijają refleksję.
4. We wszelkich zbiorowych formach organizacyjnych zawarte są zadatki na *alienację i przymus*; w najlepszym przypadku stanowią one zło konieczne i nic więcej.

Te indywidualistyczne akty wiary są w oczywisty sposób sprzeczne z tymi deklaracjami kolektywistycznymi, które są „z tej samej pary”, ale wcale nie muszą się kłócić z *każdą* z przytoczonych uprzednio wersji kolektywizmu. Na przykład niechęć do zbiorowych form organizacji życia nie musi oznaczać niechęci do przeżywania wspólnoty z innymi osobami ludzkimi – ale okazji po temu szuka się poza wielkimi sformalizowanymi strukturami.

Ważność problemu dla polityki społecznej

Wszystkie wersje wielowymiarowego dylematu „kolektywizm czy indywidualizm” dotyczą bezpośrednio istoty polityki społecznej. Polityk społeczny czuje się pewniej i częściej zabiera głos w dyskusjach nad kolektywizmem „paternalistycznym” (bowiem często musi podejmować decyzje narzucania innym jednostkom konkretnych zachowań „dla ich dobra”) i nad kolektywizmem „organizacyjnym” (bowiem w jego gestii leży rozbudowa i eksploatawanie tzw. infrastruktury społecznej, w której obiektach ma miejsce konsumpcja zbiorowa). Kolektywizm „szczęściodajny” sprowadza się w polityce społecznej do „rodzinocentryzmu”. Ale pytanie o stosunek do idei „dobra wspólnego”, które pragmatycznie nastawionemu politykowi społecznemu może wydawać się zbyt filozoficzne, ma jeszcze większe znaczenie dla prowadzenia przemysłanej, ofensywnej polityki

społecznej. Zanim zapytamy „*jaki* system wartości ma realizować polityka społeczna”, musimy zadać pytanie „*czyj* system wartości należy realizować”.

Indywidualizm – osoba czy rodzina

Dla ułatwienia dyskusji nad tym dylematem istotne może być sprecyzowanie, *czym jest jednostka, indywidualizm*. Sprawa nie jest jednoznaczna. We wszystkich tradycyjnych ujęciach filozoficznych było oczywiste, że mowa o osobie ludzkiej. Natomiast indywidualizm w pragmatycznie zorientowanej polityce społecznej przybiera często postać programu zwiększania uprawnień i możliwości działania rodziny nuklearnej, a więc jakby „jednostki zbiorowej”. Ów „rodzinocentryzm” uważa się za postęp w stosunku do wcześniejszej praktyki utożsamiania owego indywidualizmu z osobą – ale z osobą pracownika, a więc z jednym tylko wymiarem egzystencji osoby ludzkiej. Rodzina jest podmiotem o wiele pełniejszym, wielowymiarowym. Jest wprawdzie podmiotem zbiorowym, ale podnoszenie tego faktu można by skrytykować za nadmierny formalizm. Można utrzymywać, że tego typu mała, niesformalizowana grupa, której członków łączą więzi uczuciowe i codzienne wspólne bytowanie, nie może zdominować jednostki, a raczej stanowi jej przedłużenie i naturalne zaplecze. Pedantyczne promowanie i strzeżenie praw jednostki – i tylko jednostki – wyizolowanej z komórki rodzinnej prowadzi jedynie do zbędnej i niechcianej ingerencji instytucji w intymną sferę ludzkiego życia. Ingerencja taka (np. w formach przewidzianych przez kodeks rodzinny i opiekuńczy) ma sens tylko w sytuacjach skrajnych, wyraźnie patologicznych. (Konsekwencją tego stanowiska powinno być zresztą potępienie przepisów, zgodnie z którymi sąd może odmówić rodzicom rozvodu „z uwagi na dobro dziecka”, a więc dobro jednostki, która w danej zbiorowości jest najsłabsza). Ponadto czynienie pojedynczego człowieka podmiotem uprawnień uniemożliwia rzetelną ocenę jego – uwarunkowanych przecież przez sytuację rodzinną – potrzeb i stanu ich zaspokojenia. W polityce podziału środków ekonomicznych pod pojęcie „jednostka” podstawia się pojęcie „gospodarstwo domowe” i ma to jeszcze takie – dodatkowe – uzasadnienie, że w ramach rodziny może zawsze powstać kilka – również jednoosobowych – gospodarstw domowych, jeśli taka będzie wola osób tę rodzinę tworzących. Jest to więc kategoria bardziej – choć tylko pod pewnym względem – indywidualistyczna niż kategoria rodziny.

Istnieją jednak i argumenty przemawiające na rzecz tradycyjnego, literalnie *indywidualistycznego* stanowiska. Można dowodzić, że pole konfliktów między osobą ludzką a jej rodziną jest znacznie rozleglejsze niż margines patologii społecznej, choćby dlatego, że nadal w naszym społeczeństwie żyje wiele rodzin typu tradycyjnego⁴¹, funkcjonujących po trosze wedle wzorów zbliżonych

⁴¹ Zob. A. Dodziuk-Lityńska, D. Markowska, *Współczesna rodzina w Polsce*, Warszawa 1975.

do ładu monocentrycznego. Kiedy wybucha konflikt, trudno podtrzymywać założenie o tożsamości stron tego konfliktu. Indywidualizm popiera dążenie odśrodkowe jednostek, które nie chcą podporządkować się decyzjom ich dotyczącym, ale podejmowanym przez zbiorowość rodzinną. Nieuchronnie natyka się przy tym na jeszcze jedną trudność definicyjną – kiedy mianowicie zaczyna się (a także – kiedy się kończy) człowiek: wraz z osiągnięciem pełnoletności, wraz z urodzeniem czy nawet wraz z poczęciem, i czy prawa jednostki pełnoletniej, niepełnoletniej, jeszcze nienarodzonej, już cierpiącej na demencję starczą mogą być identyczne.

Czy indywidualizm, pozostając indywidualizmem, może proponować jednostce państwo jako obrońcę przed totalizmem rodziny? Jakie formy tej obrony są dopuszczalne, by nie doprowadziły do zdania jednostki – wyrwanej z rodzinnej otoczki ochronnej – na łaskę sformalizowanych instytucji państwowych? Gdyby do tego doszło, okazałoby się, że najbardziej skrajny indywidualizm sąsiaduje – w zamkniętym kręgu alternatyw – z najbardziej skrajnym kolektywizmem. Zapewne jednostka powinna być wyposażona w narzędzie obrony i w możliwości życia alternatywnego, poza rodziną. Do niej należy decyzja, czy i kiedy z tych możliwości skorzystać. Program indywidualistyczny głosi prawo jednostki do przejściowej lub trwałej izolacji od wszelkich zbiorowości (a więc także od rodziny) oraz jej prawo do krążenia między zbiorowościami, przypisywania się i „wypisywania”, „kontraktualnego” charakteru związków łączących człowieka z tymi zbiorowościami.

Koncepcje człowieka

Jeszcze jeden wymiar ideologii indywidualistycznej warto tu zasygnalizować. Na ogół indywidualizm, przyznając bezwzględny prymat jednostce, formułuje jednocześnie pewne oczekiwania dotyczące tego, jak jednostka tę swoją pozycję zechce wykorzystywać. Oczekiwania te opierają się na jakichś – mniej lub bardziej zwerbalizowanych – założeniach dotyczących *wewnętrznego ładu* osoby ludzkiej, koncepcjach psychologicznych człowieka. Są one wypadkową wiedzy empirycznej i opcji ideowych. Zawierają więc pewne elementy myślenia życzeniowego, są jednak zarazem swoistym wzbogaceniem, „uzupełnieniem” aksjologicznym indywidualistycznej koncepcji wyjściowej. Tak np. można interpretować rozważane przez K. Obuchowskiego rozróżnienia „starego” i „nowego” indywidualizmu. Indywidualizm stary, określany też jako „biologiczny”, miał kłaść nacisk na sukces jednostki zmierzającej do zdobycia przewagi nad innymi, egoistycznej, stawiającej opór wpływom otoczenia. I taką jednostkę – można dodać – miał obsługiwać policentryczny układ społeczny. Nowy indywidualizm sprzyja „jednostce z silnym poczuciem podmiotowości, dążącej do autonomii, samej określającej swoją strategię życia i realizowane w nim zadania, zorientowanej na rozwój osobisty i zorientowanej na współ-

działanie z innymi ludźmi i negocjacje z nimi, wartościującej ich i siebie nie za pomocą kryterium podobieństwa i podporządkowania, ale za pomocą kryteriów cech specyficznych i rodzaju realizowanego celu”⁴². Taki indywidualizm zawłaszcza więc pewne wartości kolektywizmu „wspólnotowego” i harmonizuje z makrospołecznym „systemem porozumień”, jest zasadniczo sprzeczny z ukształtowanymi formami instytucjonalnego i rodzinnego wychowania, organizacji pracy, nauczania i rozrywki.

Konflikty między jednostkami

Jeszcze obszerniejszych wyjaśnień, zakłócających prostotę „wywoławczych” sformułowań rozważanego tu dylematu, wymagałby problem *konfliktów* i *sprzeczności* między jednostkami. Ma on olbrzymie znaczenie praktyczne, ale należy go – jak sądzę – rozpatrywać w kontekście dylematów instrumentalnych, wraz z problemem *stylu rozwiązywania* i usuwania tych sprzeczności. Jeśli polityka jest konsekwentnie indywidualistyczna, zmierza do znalezienia takich procedur, które dają stronom sporu równą pozycję wobec bezstronnego arbitra, bez względu na ich przynależność do szerszych zbiorowości.

O jakiej zbiorowości mowa

Aby wielowątkowy spór kolektywizmu z indywidualizmem sprowadzić do takiego poziomu konkretności, który pozwoli zweryfikować poszczególne stwierdzenia i wprowadzić niektóre z nich do doktryny polityki społecznej, trzeba zadać jeszcze dwa pytania: 1) *jaka jest skala zbiorowości*, której dotyczą przytoczone tezy? 2) czy tezy te dotyczą zbiorowości bez względu na rodzaj praw rządzących jej życiem wewnętrznym, czy też dotyczą jedynie pewnych *typów ładu zbiorowego*?

Rozpiętość odpowiedzi na pierwsze pytanie może być olbrzymia, bowiem zbiorowością może być zarówno rodzina, ród, załoga zakładu pracy, społeczność współmieszkańców, publiczność jednej instytucji (a więc skala *mikro*), klasa, kasta, region, ogół pracowników jednej gałęzi przemysłu (skala *mezo*), jak i naród, ogół obywateli jednego państwa czy wreszcie cała ludzkość (skala *makro* i skala *globalna*). Identyfikacja jednostek z jedną z tych zbiorowości może pozostawać w ostrej sprzeczności z ich utożsamianiem się ze zbiorowościami większymi lub mniejszymi. Gorący patriota państwa narodowego może zdecydowanie odmawiać prawa do decydowania o jego sprawach zarówno partoklarystycznie nastawionej władzy lokalnej, jak i społeczności międzynarodowej. Kto inny uzna patriotyzm za przejaw egoizmu zbiorowego „...w ramach stada związanego wspólnym interesem grupowego przeżycia i grupowej ekspansji”, przy czym „solidarność naturalna grupy jest [...] zwykle solidarność-

⁴² K. Obuchowski, niepublikowane tezy do opracowania pt. *Nowy indywidualizm*.

cią przeciwko czemuś lub komuś. Ludzie bowiem bardziej łączą się *przeciwko* aniżeli *dla*⁴³, co jest główną przeszkodą w szerzeniu idei uniwersalistycznych mających być kwintesencją człowieczeństwa.

Kolektywizm głoszący solidarność wszystkich mieszkańców globu wymaga więc rezygnacji z dotychczasowych form kolektywizmu. Także kolektywizm głoszący nadrzędność klas społecznych w stosunku do jednostki bywa w równie silnej opozycji wobec etatyzmu i nacjonalizmu. W polityce społecznej trzeba rozstrzygnąć, jakie powinny być relacje między indywidualizmem a kolektywizmami kolejnych, coraz wyższych szczebli i która z tych zasad ma zyskać rangę zasady naczelnej, „typotwórczej”.

Jeśli chodzi o *naturę zbiorowości*, której nadrzędność się głosi, to pewne – najbardziej skrajne – wersje kolektywizmu w ogóle od niej abstrahują. Zbiorowość jest według nich zawsze ważniejsza, mądrzejsza i sprawniejsza od pojedynczego człowieka, a jej wewnętrzna struktura i ład nie wpływają na tę ocenę. Opcja jednostki na rzecz ideologii kolektywistycznej pociąga za sobą wówczas *bezw warunkowe* oddanie się do dyspozycji zbiorowości. „Jednostka widzi swoją wartość w podporządkowaniu się określonej grupie społecznej, bez względu na rodzaj realizowanych przez nią celów”⁴⁴.

Typ ładu społecznego

Można też stawiać warunki dotyczące ładu społecznego, praw regulujących życie wewnętrzne zbiorowości, której wyższość miałoby się głosić. Każdy z czterech typów ładu społecznego opisanych przez Stanisława Ossowskiego⁴⁵ może stać się przedmiotem apologii, tworząc parę z przyporządkowanym doń typem ideologii kolektywistycznej. Ossowskiego „*ład przedstawień zbiorowych*” jest akceptowany przez kolektywizm konserwatywny (antyetatystyczny, a więc wyraźnie wrogi innym typom kolektywizmu). „Antyetyatyzm ma w tym przypadku sens dwojaki. Po pierwsze, uwydatnia podstawowe znaczenie związków jednostki ze wspólnotami o przewadze więzów bezpośrednich i niewyrozumowanych (takimi jak rodzina lub społeczność lokalna); po drugie, jest wyrazem nieufności do organizacji formalnych, stawiających sobie określone i zrationalizowane cele, zamiast po prostu trwać jako wspólnota, bezrefleksyjnie ogarniająca wszystkie sfery życia. Dobra może być tylko taka organizacja życia zbiorowego, która sama kształtowała się przez stulecia i której zasady zo-

⁴³ A. Grzegorzcyk, *Wartości moralne a postawy grup społecznych*. W: *Spółczeństwo wychowujące. Rzeczywistość i perspektywy*, pod red. B. Suchodolskiego, Wrocław–Warszawa 1983, s. 164 i 171.

⁴⁴ K. Obuchowski, tezy do opracowania pt. *Nowy indywidualizm*.

⁴⁵ Zob. S. Ossowski, *O osobliwościach nauk społecznych. Dziela*, t. IV, Warszawa 1967, s. 125.

stały zapisane nie w kodeksach, lecz w obyczajach i uczuciach”⁴⁶. Takie cechy mieszały wspólnoty religijne, a także narodowe. Przy ładzie policentrycznym postawmy znak zapytania, gdyż – być może – akceptacja tego układu da się przypisać wyłącznie do ideologii indywidualistycznej.

Praktycznie największe znaczenie będzie mieć konflikt między kolektywizmem akceptującym wyłącznie ład monocentryczny i kolektywizmem głoszącym wyższość wyłącznie takich zbiorowości, których wewnętrzna organizacja zawiera elementy „systemu porozumień”, traktowanego jako ideał społeczny. Kolektywizm głoszący wyższość zbiorowości zorganizowanej monocentrycznie jest współcześnie najbardziej agresywny i wywiera największy wpływ na praktykę polityki społecznej. Jest zwykle najbardziej „kompletny”, bowiem bywa kolektywizmem we wszystkich czterech wyróżnionych na początku znaczeniach. Używa przy tym czasem na swoją korzyść argumentów, które – po bliższym przyjrzeniu się – okazują się raczej racjami na rzecz innych, niemonocentrycznych, wersji kolektywizmu.

Świadomi wielości znaczeń nadawanych „kolektywowi” i „indywiduum” możemy powrócić obecnie do sformułowanych na początku tego rozdziału czterech par przeciwstawnych twierdzeń konstytuujących dylemat „kolektywizm – indywidualizm” i rozważyć je wedle kryteriów słuszności, nieuchronności i użyteczności.

Dobro zbiorowości a dobro jednostki – spór o prymat

Dylemat pozorny?

Czy rzeczywiście trzeba wybierać między dobrem zbiorowości a dobrem jednostki, czy ten dylemat nie jest pozorny? Istnieją różne sposoby zaprzeczenia stereotypowi nieuchronnego konfliktu między dobrem wspólnym i jednostkowym:

1. Można *zaprzeczyć istnieniu jednostki*, w tym sensie, że za „naturalne” uzna się roztopienie się jednostki we wspólnocie. Jeśli jednostki przejawiają dążenia indywidualistyczne, to jest to efekt opartego na fałszu „wmówienia im” potrzeb „pozornych”; tak głosi wspomniany już konserwatyzm. Dobrem komórki jest zdrowie organizmu, który ta komórka współtworzy. Zanegowanie odrębności dobra jednostkowego jest twierdzeniem „mocniejszym” niż pogląd o niższości tego dobra; jest to więc swoisty „kolektywizm do kwadratu”.
2. Można *zaprzeczyć istnieniu zbiorowości*. W pewnych wersjach liberalizmu pojęcie dobra wspólnego jest zbędne, wystarczy mówić o wypadkowej dążeń indywidualnych, które są – i powinny być – egoistyczne. Natomiast pod szyldem dobra wspólnego pewne jednostki usiłują prze-

⁴⁶ J. Szacki, *Dylematy idei dobra wspólnego*, „Więź” 1985, nr 10–11–12, s. 19.

myć swoje egoistyczne interesy. Zaprzeczenie istnieniu zbiorowości jako podmiotu, którego potrzeby są czymś więcej niż sumą potrzeb jednostkowych, można nazwać „indywidualizmem do kwadratu”.

3. Można twierdzić, że *dobro wspólne w zasadzie musi być zgodne z dobrem jednostki*, a tylko przemijające okoliczności wywołują doraźne odchylenia od owej „naturalnej” harmonii. Zdaniem J. Szackiego tak właśnie należałoby interpretować myśl liberalną, wedle której „niewidzialna ręka” kieruje działaniami nieświadomych tego jednostek ku realizacji interesów społeczeństwa; na pewno zaś takie jest założenie wszelkich utopii społecznych, tłumaczących dotychczas przejawiające się kolizje dążeń jednostkowych i zbiorowych tym, że „albo jednostki są ciemne i zdeprawowane, albo też państwo jest źle zorganizowane”⁴⁷. Wystarczy szybko i radykalnie rozprawić się z tymi błędami – nawet uciekając się do przemocy – by powrócić na zawsze do „naturalnej harmonii”. To utopijne założenie bywa więc często – jak zauważa J. Szacki – wygodnym usprawiedliwieniem działań państwa w istocie brutalnie pomiatającego dobrem jednostki.
4. Można wreszcie wskazywać na taki *sposób definiowania dobra zbiorowości* – jeden z możliwych, niekonieczny ale najsluszniejszy – *który wiąże je z dobrem jednostki*. Według J. Szackiego personalizm głoszący, że dobro każdej jednostki jest dobrem wspólnym, nakładający na zbiorowość „...obowiązek nie tylko powściągnięcia apetytów jednostek, lecz także stwarzania warunków dla rozwoju osób” zapoczątkował koniec epoki „...w której mylnie mniemano, że cokolwiek odejmie się jednostce, będzie stanowić zysk zbiorowości, na każdym zaś ograniczeniu prerogatyw zbiorowości skorzysta niechybnie jednostka”⁴⁸. Jednakże daleko do takiej operacjonalizacji tej naczelnej zasady, która pozwoliłaby wyrugować z praktyki społecznej wszelkie przejawy kolizji kolektywizmu z indywidualizmem. Zasada ta jest więc raczej wyrazem nadziei na rozwiązanie konfliktu niż dowodem na jego nieistnienie.

Warianty rozwiązań

Jeśli nie przekonają nas powyższe wywody, musimy powrócić do pytania *o sposoby rozstrzygania* kolizji między dobrem zbiorowym a dobrem jednostki. Możliwe są następujące odpowiedzi:

- w razie konfliktu prymat należy zawsze przyznać dobru wspólnemu;
- w razie konfliktu prymat trzeba przyznać zawsze dobru jednostki;
- w razie konfliktu trzeba stworzyć sytuację społeczną sprzyjającą wzajemnym ustępstwom, negocjacjom, w których żadna ze stron nie ma trwałej przewagi.

⁴⁷ Tamże, s. 17.

⁴⁸ Tamże, s. 20.

Opcja kolektywistyczna

Pierwsza z tych odpowiedzi jest, jak już była o tym mowa, tożsama z opcją kolektywistyczną. Koresponduje ona z najdawniejszymi formami organizacji życia społecznego. „Rację miał bodaj Herbert Spencer, widząc w społeczeństwach militarnych, przynających zbiorowości wszechwładzę w stosunku do jednostki, naturalną w pewnych warunkach organizację życia społecznego...”⁴⁹. W wieku XIX występowała ona najczęściej „w kontekście swego rodzaju organicyzmu, który zakłada, że całości przysługuje prymat bezwzględny w stosunku do części”. Idei kolektywizmu towarzyszyła nader często idea przymusu państwowego. Bowiem zdolne do istnienia „jako trwała rzeczpospolita” miało być jedynie państwo represyjne, tłumiące aspiracje jednostek, «harmonizujące obywateli namową i przymusem» bez troszczenia się o to, czy którykolwiek z nich udzielił mu swego przyzwolenia i będzie jako jednostka szczęśliwy⁵⁰. Widziano więc ład monocentryczny realizowany w skali państwowej jako jedyną możliwą konkretyzację idei prymatu dobra wspólnego. Zgadzali się z tym w gruncie rzeczy i ci zwolennicy indywidualizmu, którzy odrzucając prymat dobra wspólnego – odrzucali jednocześnie ideę państwa i opowiadali się za anarchią.

Pogląd o konieczności bezwzględnego podporządkowania jednostki zbiorowości uzasadniany był na różne sposoby. Wskazywano na moralną słuszność takiego stanowiska, piękno i harmonię życia zbiorowości („ideologia mrowiska”), zgodność z naturą ludzką i tradycją. Stawiano – pochopnie – znak równości między nieuchronnością *życia jednostki w społeczeństwie* (w którym społeczny podział pracy wiąże jednostkę coraz gęstszą siecią powiązań z innymi ludźmi) i nieuchronnością *bezwzględnego podporządkowania społeczeństwu*. Wskazywano wreszcie na korzyści, jakie sama jednostka wyciągnie ze swego „oddania się” zbiorowości. Rezygnacja z indywidualizmu miała być ceną płaconą za bezpieczeństwo.

Jak wyobrażano sobie *sposoby integrowania jednostek z dobrem zbiorowości*, a raczej z jego wykładnią przyjętą za oficjalną? Nawet w ładzie monocentrycznym nie był to tylko przymus. Można było ukrywać przed jednostką jej tożsamość, starać się przywracać stan świadomości właściwy czasom, w których panował ład przedstawień zbiorowych. Ład monocentryczny starał się więc – operując symbolami narodowymi czy religijnymi – przybrać powierzchowność tego archaicznego ładu, kamuflując ukryte w cieniu, ale wciąż stosowane środki represyjne, można też było – nie ukrywając monocentrycznej struktury, a nawet szczycąc się nią – rozbudzać w ludziach poczucie dumy z przynależności do potężnej wspólnoty. Duma ta miała być zarazem motywem do działania na rzecz zbiorowości i nagrodą za podjęcie tych trudów; nagrodą,

⁴⁹ Tamże, s. 15.

⁵⁰ Tamże, s. 16.

której rozmiary rosły wraz z interioryzacją wartości kolektywnych przez jednostkę.

Ku opcji indywidualistycznej – resumé

Problematyka walki z tak rozumianym kolektywizmem i historia poszukiwań rozwiązań ustrojowych, które przywracałyby prymat dobru jednostki lub stwarzały warunki do porozumienia między stronami konfliktów (Ossowskiego „system porozumień”) to jedno z naczelných zagadnień nauk społecznych w ogóle. W tym kontekście trzeba oceniać prawomocność wszelkiej władzy i wszelkiej polityki, a więc także polityki społecznej. Nie sposób było więc tę problematykę pominąć, ale też nie sposób dokonać nawet pobieżnej enumeracji pytań dla niej kluczowych.

Z dotychczasowych rozważań wynika jeden wniosek – wiara lub niewiara w odrębność i nadrzędność dobra zbiorowego wywiera niezatarte piętno na całym modelu polityki społecznej. Osobiście skłaniam się – choć pełna wahań – do poglądu, że pojęcie dobra wspólnego jest użyteczne, że ponadto nie da się go sprowadzić do prostej sumy dóbr indywidualnych; jednakże jego interpretacja powinna być maksymalnie indywidualistyczna.

Przyjmijmy więc, że *dobro wspólne jest tym samym, co „dobro innych”*, a zwłaszcza dobro: najsłabszych, tych, których jeszcze nie ma (przyszłych pokoleń), tych najbardziej twórczych, którzy są w stanie zwiększać pulę wartości cenionych przez innych ludzi. Dobro wspólne nie jest zatem sumą prostą, lecz *sumą ważoną dóbr jednostek*; po pierwsze tych, którzy skazani są na przegraną (w wyścigu, w sporze, w konflikcie); po drugie tych, o których losach rozstrzyga się pod ich nieobecność. Ich szanse trzeba więc wspierać w imię idei równości szans (o której będzie mowa w rozdziale III). Natomiast szanse tych trzecich trzeba wspierać z odmiennych powodów. Oni i tak mają szanse większe od przeciętnych; rzecz jednak w tym, by społeczny katalizator spotęgował korzystne dla innych efekty ich działań. Taki powinien być punkt wyjścia – konkretyzując te założenia natkniemy się na wiele prób nadużyć i na kolizje interesów między tymi trzema grupami, pojawi się wiele nowych – już mniej abstrakcyjnych – sytuacji trudnego wyboru.

Dobro wspólne legitymizuje się więc dobrem innych, niczym więcej. Gdy podejrzewa się istnienie konfliktu na linii zbiorowość – jednostka, to reprezentant wspólnoty ma udowodnić konieczność okrojenia dobra jednostki. Natomiast *jednostka winna być zwolniona z obowiązku dowodu*, że jej dążenia nie godzą w zbiorowość. Innymi słowy, ogólna dyspozycja ideowa powinna być – moim zdaniem – indywidualistyczna, zaś ustępstwa na rzecz kolektywizmu są dozwolone jedynie w imię sprawności lub konieczności. Nie znaczy to, że ustępstwa te będą małe. Wystarczy uświadomić sobie, jak w ciągu ostatnich stu lat rozrosło się „minimalne państwo” liberałów.

Kto ma orzekać, co jest dobrem jednostki?

Potrzeby – subiektywne czy obiektywne?

Powyższe pytanie trzeba zadać, jeśli za cel polityki społecznej postanowiło się przyjąć „*zaspokajanie potrzeb ludzkich*” i „służenie dobru człowieka” (czasem dobru szarego czy prostego człowieka); a takie deklaracje bardzo często składają zarówno uczeni, jak i decydenci odpowiedzialni za politykę społeczną państwa. Wchodzimy więc tym samym na teren dociekań bardziej specyficzny dla polityki społecznej, traktowanej jako jedna z polityk prowadzonych w państwie. Jeżeli postawimy znak równości między potrzebami a *pragnieniami*, uświadamianymi przez ludzi i przeistaczającymi się w motywy ich działań, to sprowadzimy zadania polityki społecznej do „obsługi” tych pragnień. Będzie to rola doniosła, ale bierna. Jeśli natomiast uznamy, że polityka społeczna jest zobowiązana do brania pod uwagę jedynie potrzeb definiowanych jako *warunki dobrego funkcjonowania jednostki*⁵¹, damy jej tym samym prawo do orzekania, co jest „naprawdę” ludzką potrzebą, a co jest jej złudzeniem. Takie stanowisko może być indywidualistyczne w tym sensie, że przyznaje nadrzędność dobru jednostki, ale zarazem jest kolektywistyczne w tym sensie, że nie ufa jej własnemu odczytaniu swego dobra.

Obszary zgodności, sporu, ignorancji

Istnieje dość znaczny obszar zgodności między powyższymi stanowiskami – na których ludzkie pragnienia pokrywają się z naukowo uzasadnionymi normatywami – i *dwa obszary sporne*. Z jednej strony jest to zbiór tych pragnień, których zasadność, racjonalność, słuszność bywa podważana. Z drugiej strony jest to zbiór czynników uznawanych przez „obserwatorów zewnętrznych”, „reprezentantów zbiorowości”, „ekspertów” za niezbędne dla rozwoju człowieka, ale ignorowanych, lekceważonych czy niepożądanych przez część ludzi czy nawet przez większość. Trzeba tu jeszcze dodać, że obszar badań naukowych jest znacznie rozleglejszy od obszaru pragnień odczuwanych i werbalizowanych przez ludzi. Na przykład nauka o żywieniu wyróżnia kilkaset niezbędnych dla organizmu składników pokarmowych, o których istnieniu przeciętny zjadacz chleba nawet nie słyszał. Ten *obszar ignorancji* jest więc niejako walkowerem oddawany przez jednostkę do dyspozycji ekspertów. Opcja na rzecz kolektywizmu lub indywidualizmu (w obecnie rozważanym rozumieniu) zależy m.in. od diagnozy proporcji między tymi obszarami.

Można tu posłużyć się bardzo szczegółowym przykładem dylematów polityki żywnościowej. Cz. Kos próbował określić w przybliżeniu siłę preferencji

⁵¹ Zob. np. A.H. Maslow, *Teoria hierarchii potrzeb*. W: *Problemy osobowości i motywacji w psychologii amerykańskiej*, Warszawa 1964.

(i siłę niechęci) dla różnych artykułów żywnościowych, zależną od przyjęcia indywidualistycznego lub kolektywistycznego punktu widzenia. Oto wybrane pozycje z opracowanej przez niego tablicy⁵²:

Produkty lub grupy produktów	Preferencje konsumentów	Zalecenia nauki o żywieniu	Preferencje ze względu na społeczne koszty produkcji
Ziemniaki	–	–	+++
Mięso wieprzowe	+++	--	+
Cukier i przetwory	++	--	+++
Rośliny motylkowe	--	+++	++

Warto by tu jeszcze uwzględnić preferencje ze względu na łatwość zwiększenia produkcji i wygodę producentów (bo tak najczęściej w naszej gospodarce konkretyzują się kryteria – pozornie ekonomiczne – stosowane przez podmioty gospodarujące). Rozbieżność między zaleceniami nauki o żywieniu a preferencjami efektywnościowymi należałoby traktować jako rozbieżności między grupami ekspertów o odmiennych specjalnościach. Można rzec, że żywieniowcy kierują się dobrem jednostki, a ekonomiści – „dobrem wspólnym” rozumianym jako dobro gospodarki narodowej.

„Planiści” i „ekonomiści” o modelu konsumpcji

Istotę sporu między kolektywizmem a indywidualizmem trafnie – po części – charakteryzuje S. Kurowski rekonstruując „model dyskusji o modelu konsumpcji” (abstrahując tu od oceny, czy autor opowiada się po właściwej stronie w rekonstruowanym przez siebie sporze)⁵³. W jego terminologii jest to spór między „planistami” i „ekonomistami”, jako, że spór ten dotyczy potrzeb zaspokajanych przez gospodarkę. „«Ekonomiści» składają kapitalną deklarację na temat, co to są potrzeby. Są tym, czego chcą ludzie, a nie tym, co określi ktoś, kto jakoby wie lepiej, co ludzie powinni chcieć. Konsument w uświadomieniu swoich potrzeb i ujawnieniu ich na rynku może się więc obejść bez pośrednictwa planisty, którego usiłowania, by wejść w jego rolę w określaniu potrzeb są czystą uzurpacją [...] «planista» nie chce bynajmniej narzucać konsumentom tego, co on sam pragnie. Jego ambicje idą znacznie dalej, chce on, aby konsumenci utożsamili się z jego preferencjami, pragnęli tego, co on wie, że powinni pragnąć [...] Dla podjęcia decyzji o strukturze produkcji (zdaniem planistów – J.S.) trzeba dokonać *wnikliwej oceny potrzeb* [...] U «ekonomi-

⁵² Zob. Cz. Kos, *Układy preferencji konsumpcji żywności*. W: *Polityka żywnościowa PRL*, pod red. K. Rycia, R. Zabrzewskiego, Warszawa 1975, s. 170.

⁵³ S. Kurowski, *Spór o wzorzec konsumpcji*, „Ekonomista” 1971, nr 6, s. 919.

stów» nie trzeba dokonywać żadnej oceny potrzeb, gdyż potrzeby stanowią to, czego ludzie chcą, u «planistów» zaś to ludzkie chcenie wymaga jakiejś oceny, a więc czyjejś akceptacji [...] Kto ma dokonać tego społecznego wartościowania? Prawdopodobnie ci, którym «planiści» powierzają także decyzje w zakresie struktury produkcji, czyli kierownicze siły społeczeństwa»⁵⁴.

Potrzeby rzeczywiste, otoczkowe i pozorne

Najobszerniej wyłożonym wyznaniem wiary w to, że *sluszne i możliwe jest naukowe poznanie rzeczywistych ludzkich potrzeb* jest książka J. Szczepańskiego⁵⁵. Co więcej, autor twierdzi, że w kraju, który wchodzi do grona społeczeństw zamożnych, pożądana jest taka polityka społeczna, która zmierza przede wszystkim do regulowania procesu rozwoju potrzeb (w odróżnieniu od tradycyjnej polityki społecznej, która „...traktowała potrzeby jako sprawę niejako naturalną, bez wdawania się w rozróżnianie potrzeb rzeczywistych i potrzeb pozornych. Zajmując się bowiem klasami raczej upośledzonymi miała do czynienia przede wszystkim z nie zaspokojonymi potrzebami rzeczywistymi»⁵⁶.

J. Szczepański wyróżnia *potrzeby rzeczywiste* (wyznaczone przez wymogi systemu, jakim jest sam człowiek, a także przez wymogi systemów społecznych, gospodarczych, politycznych i kulturalnych, w jakich jednostka uczestniczy), *potrzeby otoczkowe* (kiedy to „obiektywny składnik” potrzeby obrasta – zbędnymi w istocie – uzupełnieniami, które mogą nawet zupełnie zmienić naturę potrzeby) i *potrzeby pozorne* (których zaspokajanie nie tylko nie jest funkcjonalne, ale nawet prowadzi do regresu systemu biopsychicznego człowieka czy też do rozkładu systemów zewnętrznych, w których tkwi jednostka). Jest przy tym optymistą w kwestii diagnozy tych trzech rodzajów potrzeb, licząc na dorobek nauki, jak i na zwykły zdrowy rozsądek. Dostrzega trudności odróżnienia zbędnych funkcjonalnie „otoczek psychicznych, kulturalnych i społecznych” potrzeb rzeczywistych od niezbędnych funkcjonalnie „warunków rozwoju psychicznego, kulturalnego i społecznego jednostki”, ale nie przywiązuje do nich większego znaczenia.

J. Szczepański jest świadom tego, że proponowana przezeń rekonstrukcja potrzeb rzeczywistych będzie poważnie odbiegała od pragnień i aspiracji obecnych w ludzkiej świadomości, gdyż potrzeby otoczkowe mogą być odczuwane znacznie intensywniej niż potrzeby rzeczywiste. „Zjawisko wydaje się naturalne, gdyż zaspokojenie składnika rzeczywistego podnosi energetyczną zdolność organizmu i sprzężonej z nim psychiki do intensywniejszej reakcji»⁵⁷. Nie

⁵⁴ Tamże, s. 929–930.

⁵⁵ J. Szczepański, *Konsumpcja a rozwój człowieka. Wstęp do antropologicznej teorii konsumpcji*, Warszawa 1981.

⁵⁶ Tamże, s. 336–337.

⁵⁷ Tamże, s. 222.

kamufluje więc sprzeczności między tak rozumianą misją polityki społecznej a nastrojami społecznymi (choć odrzuca przymus i opowiada się za perswazją, jako podstawowym środkiem realizacji tej polityki).

Można postawić pytanie, czy J. Szczepański rzeczywiście rekonstruuje, poznaje czy też konstruuje, obmyśla i lansuje strukturę potrzeb, czy opisuje *prawdziwy* model czy też raczej *śluszy* wzorzec zaspokajania potrzeb. Wydaje się, że w szacie merytokracji wystąpił tu moralista, którego koncepcje wykazują oczywiste pokrewieństwo z tym, co określane bywa jako „etos protestancki”. Imperatyw moralny samodoskonalenia, potępienie próżności, zabawy, marnotrawienia i niszczenia dóbr (to ostatnie zyskuje współcześnie dodatkowe uzasadnienie, jakim jest alarm ekologiczny), pochwała sprawności, energii życiowej i ascetyzmu – to główne aksjologiczne wątki tych rozważań. Nieprzypadkowo większość przykładów potrzeb rzeczywistych zaczerpnięto z tradycyjnej literatury chłopskiej, a także z życia, jakie prowadzą współcześnie żołnierze i trenujący sportowcy. Nie przewiduje się przy tym sytuacji, w których zaspokojenie „odkrytych” potrzeb rzeczywistych wymagałoby większych nakładów materialnych niż zaspokojenie pragnień odczytywanych przez ludzi.

Naszkicowany tu wzorzec życia godziwego zasługuje niewątpliwie na lansowanie. Czy jednak w naszej pedagogice publicznej ma on zyskać monopol, czy nie należałoby dać szansy innym wzorcom, np. takim, które zawierają nieco większą domieszkę hedonizmu? Ponadto nie powinno się, moim zdaniem, żadnego wzorca przedstawiać jako koniecznego, porażającego swą nieuchronnością (choć taki może być charakter pewnych prawd „częstkowych”, dotyczących np. wpływu sposobu żywienia na zdrowie). Osobny problem stanowi sposób promowania lansowanego wzoru. Próbę interioryzacji takiego wzoru niektórzy mogą uznać za działanie jeszcze bardziej perfidne niż narzucanie go siłą.

Eksperci – interpretatorzy pragnień?

Bardziej finezyjnym wariantem kolektywizmu jest przekonanie mającego wpływ na decyzje polityczne merytokracji, że nie tyle lepiej zna potrzeby, co lepiej *interpretuje* pragnienia zgłaszane przez jednostki, lepiej umie je „przetłumaczyć” na potrzeby. Warto tu posłużyć się wprowadzonym przez T. Kocowskiego rozróżnieniem „*potrzeb pierwotnych*” (nie dających się niczym zastąpić, nie mających substytutów) i „*okazji*” (konkretnych sposobów zaspokajania potrzeb, mających z reguły substytutu)⁵⁸. Badacz-decydent powinien traktować z pełnym szacunkiem zgłaszane przez ludzi pragnienia, których przedmiotem pozornie są owe okazje, ale w istocie jest to jedyna dostępna ludziom forma nazewnictwa i skonkretyzowania swych potrzeb. Ludzie na ogół pragną tego,

⁵⁸ T. Kocowski, *Globalna koncepcja potrzeb ludzkich*, „Polska 2000”, nr 1, Komitet Badań i Prognoz PAN, Warszawa 1979.

co jest im znane z autopsji lub przynajmniej ze słyszenia (np. wskutek międzykulturowej dyfuzji wzorców wywołującej pragnienie imitacji, tzw. efekt demonstracji). Dla badacza te deklarowane konkretyzacje ludzkich pragnień stanowią jedynie surowiec wymagający dalszej obróbki.

Badacz zadaje przy tym następujące pytania: „jakie potrzeby zaspokaja dana okazja? Jak skutecznie je zaspokaja? Jakie jest znaczenie (waga) tych potrzeb w całym systemie? Czy okazja ta stwarza kolizje lub zagrożenia dla innych potrzeb, jakich i w jakim stopniu? W każdym przypadku celem końcowym analizy jest optymalizacja systemów okazji ze względu na repertuar [...] Wynika stąd, iż przedmiotem analizy powinny być nie poszczególne okazje, lecz całe systemy okazji związanych z daną kategorią potrzeb (np. system żywienia, komunikacji, oświaty). Dopiero w kontekście systemowym potrafimy określić znaczenie oraz wartość funkcjonalną konkretnych okazji”⁵⁹. Do tak złożonej analizy lepiej przygotowany wydaje się komputer niż najbardziej nawet chętna i oświecona jednostka. Gdy okaże się, że pewne kolizje są dziś nieusuwalne, postęp techniczny i organizacyjny powinien zmierzać do wynalezienia nowych, jeszcze nieznanых, „okazji” (nowych tworzyw, urządzeń, środków terapeutycznych, nowych instytucji i systemów organizacyjnych, nowych stylów życia i sytuacji społecznych) likwidujących te kolizje. Wówczas pozostaje tylko zachęcić ludzi do korzystania z nich. Można to potraktować jako poszerzenie dotychczasowej oferty o nowe możliwości (pozostawiając jednostce prawo wyboru), można też potraktować tę nową ofertę jako „propozycję nie do odrzucenia” (ten wariant będzie bardziej zgodny z „duchem kolektywizmu”).

Od czego zależy *skuteczność* takiej perswazji? W różnych dziedzinach różne jest przeświadczenie jednostki o własnych kompetencjach, różna jest więc zatem i podatność na argumenty profesjonalistów. „Najjaskrawszym przykładem sytuacji, kiedy wybór sposobu zaspokajania danej potrzeby leży w zasadzie poza konsumentem, jest ochrona zdrowia. Konsument występujący w roli pacjenta, nie będąc lekarzem, nie posiada kwalifikacji niezbędnych do tego, aby wybrać właściwe metody terapii. Jednocześnie poczucie własnej niewiedzy jest tutaj na tyle powszechne, że na ogół pacjenci zdają się na opinię specjalistów, cedując na nich uprawnienie co do wyboru zestawu środków pozwalających na zaspokojenie grupy potrzeb związanych z ochroną zdrowia. Nieco podobnie przedstawia się sprawa, gdy chodzi o oświatę i zdobywanie kwalifikacji zawodowych [...] Inaczej jest w przypadku tych potrzeb konsumpcyjnych, których determinanty fizjologiczne są tak odległe, że trudno jest znaleźć punkt odniesienia pozwalający na ich, przeprowadzoną z zewnątrz i w tym sensie obiektywną, ocenę [...] Na przykład jeśli skutki określonego wyboru form spędzania wolnego czasu uzna się w świetle postulatów wzorca (preferowanego przez kolektyw – J.S.) za nie sprzyjające rozwojowi ludzkiej osobowości, można

⁵⁹ Tamże, s. 42–43.

podpowiadać formy inne. Sugestie te nigdy nie będą jednak przekonujące (nawet jeśli jednostka aktywnie uczestniczyła w tworzeniu wzorca) w tym sensie, w jakim przekonujące są np. zalecenia lekarzy”⁶⁰.

Pragmatyczne argumenty za kolektywizmem

Inny typ argumentacji za *przyznaniem podmiotowi kolektywnemu większych kompetencji* w orzekaniu o potrzebach jednostek zawarty jest w stanowisku, którego rzeczników – jak się zdaje – najłatwiej byłoby znaleźć w centralnym aparacie zarządzania i planowania. Jest to argumentacja bardzo pragmatyczna, w jej świetle kolektywizm jawi się jako wymóg społecznej procedury zaspokajania indywidualnych potrzeb. Arbitralność decyzji centrum gospodarczego ma być „rzeczywistą potrzebą” gospodarki narodowej, a arbitralność decyzji centrum politycznego ma służyć zbawiennemu uproszczeniu mechanizmów społecznych. Ponieważ rynek daje tylko pozory odpowiedzi na pytanie: jakie są ludzkie potrzeby, zaś trudno zamienić rządzenie w permanentną ankietyzację, prościej i taniej jest symulować ludzkie potrzeby, wykorzystując po trosze dorobek nauki, a po trosze zdrowy rozsądek decydentów. Zadanie jest ułatwione, bowiem te potrzeby, do zaspokajania których niezbędne są działania kolektywne, są potrzebami typowymi, łatwo dającymi się standaryzować i odgadywać. Stanowisko to powołuje się na łatwość, taniość i niekontrowersyjność centralnego „domyślenia się” potrzeb aktualnie przez ludzi odczuwanych, nie zaś na jakąś misję doskonalenia człowieka czy inne ambicje optymalizacyjne.

W miarę narastania złożoności systemu społeczno-gospodarczego rośnie konieczność planowania o coraz dłuższym horyzoncie czasu, zaś *planista musi* – choćby nie miał po temu kompletu naukowo uzasadnionych przesłanek – *przewidywać przyszłe potrzeby przyszłych* – często jeszcze nienarodzonych czy niedojrzałych – *ludzi*. Czasem jest to „domyślanie się” przyszłości, czasem – gdy zabraknie „punktów zaczepienia” dla prognozy – jest to stwarzanie przyszłych potrzeb, bowiem podjęta dziś decyzja o przyszłej podaży dóbr przesądzi o przyszłych aspiracjach (podaż stwarza popyt). „Powstrzymywanie się od formułowania modelu konsumpcji, w oczekiwaniu na rozwiązanie pewnych problemów teoretycznych, nie zahamuje, rzecz jasna, działań gospodarczych, kulturowych i społecznych, które faktycznie już dzisiaj przesądzą o kierunkach rozwoju konsumpcji”⁶¹.

Nie tylko model konsumpcji, ale i model życia zaczyna być kształtowany z takim wyprzedzeniem, przecież dzisiaj kształcimy tych nauczycieli, którzy jutro będą kształcić pojutrzejszych dorosłych. Skoro nie umiemy odgadnąć,

⁶⁰ A. Kantecki, *Elementy metodyki perspektywicznego planowania rozwoju konsumpcji*. W: *Perspektywiczna polityka społeczna*, pod red. J. Daneckiego, Warszawa 1981, s. 142–145.

⁶¹ Tamże, s. 131.

jakie będą przyszłe ludzkie potrzeby, stwarzajmy podstawy sprzyjające temu wariantowi tych potrzeb, które uznajemy (my – czyli dziś żyjąca zbiorowość) za szlachetniejszy. Nikt nam nie może zarzucić, że losowe wybranie byle jakiego wariantu spośród wielu możliwych sprzyjałoby lepiej aspiracjom tych jednostek, które po nas nadejdą. „Obmyślanie” potrzeb powinno – co najmniej – wypełnić białe plamy pozostawione przez „domyślających się” przyszłych potrzeb.

Resumé opcji kolektywistycznej

Tak więc wśród argumentów na rzecz kolektywistycznej tezy „zbiorowość wie lepiej niż jednostka, co jest dobrem jednostki” wyróżnić można takie, które wskazywały na większe kompetencje zbiorowości (toteż *śluszne* jest, aby zbiorowość decydowała o sprawach ważnych dla ludzi), takie, które wskazywały na prostotę i wygodę procedury kolektywnego rozstrzygania spraw jednostkowych (co zwiększa *efektywność* zaspokajania potrzeb) i wreszcie takie, wedle których nie ma innego wyjścia we współczesnym społeczeństwie (toteż kolektywne – a właściwie centralne – przesądzanie o sposobach zaspokajania jednostkowych potrzeb jest *nieuchronne*). Łatwiej było zaakceptować te argumenty, jeśli wierzyło się w bezkolizyjność ludzkich pragnień i kolektywnych rozstrzygnięć, ale nawet przekonanie o rozległych rozbieżnościach pomiędzy upragnionymi i oferowanymi przez zbiorowość sposobami życia nie wszystkich zniechęciło do tego, co przeciwnicy kolektywizmu zwykli określać mianem „uszcześliwiania na siłę”.

Indywidualizm – apologia jednostki

Indywidualizm w tej kwestii może mieć charakter ofensywny lub defensywny. *Ofensywny* jest wówczas, gdy traktuje jako naczelny aksjomat ową tezę, iż człowiek zna i rozumie swoje potrzeby, a potrzeby są tym – i tylko tym – czego chcą ludzie. Często teza ta jest podbudowana przekonaniem, że człowiek jest panem samego siebie, podmiotem obdarzonym wolną wolą, a nie wytworem okoliczności życiowych. Zbiorowość powinna mu pozwolić – ewentualnie pomóc – w realizacji tych suwerennych dążeń. Najszcześniejsze jest społeczeństwo, w którym każdy może realizować taki styl życia, jaki mu odpowiada; nawet jeśli nie osiągnie przy tym jakichś wymyślonych (czy wydumanych) normatywów zaspokojenia potrzeb.

Konkretyzując te najogólniejsze tezy trudno abstrahować od niezliczonych przypadków głupoty, ciemnoty i agresji jednostek, odbiegających drastycznie od filozoficznego wzorca. Można te przypadki traktować jako skutek zniewolenia przez zbiorowość, z którego wyzwolone jednostki szybko się otrząsną. Można też – pozostając „ofensywnym indywidualistą” – liczyć na zbawienne skutki interakcji między osobami ludzkimi, na dyfuzję wzorów pochodzących

od jednostek bliższych ideałowi pełnego i świadomego siebie człowieczeństwa do tych, którzy są ewidentnie niekompetentni. Indywidualne relacje „twarzą w twarz” miałyby zastąpić odgórnie narzucany model.

Indywidualizm – nieufność do zbiorowości

Indywidualizm nazwany tu *defensywnym* nie tyle apoteozuje jednostkę, co dezawuuje zbiorowość, na różne sposoby podważa kompetencje tej zbiorowości, demonstrowa nieufność do nauki, wytyka jej błędy i sprzeczne teorie, oskarża o schematyzm, kwestionuje ponadto dobrą wolę zbiorowości. Jest podejrzliwy, dowodzi, że „kolektywizm drugiego typu” głoszący, że zbiorowość chce służyć jednostce i najlepiej zna potrzeby tej jednostki, nieuchronnie przeistacza się w „kolektywizm pierwszego typu” (głoszący, że potrzeby zbiorowości są najważniejsze, a potrzeby jednostki nieistotne) czy też wręcz służy mu za kamuflaż.

Pragmatyczne argumenty za indywidualizmem

Indywidualizm, wypowiada się nie tylko w sprawie kompetencji i woli jednostki i zbiorowości, ale i w sprawie *efektywności* proponowanych rozwiązań. W swej najbardziej ofensywnej wersji (którą można by nazwać „ortodoksyjnie rynkową”, co odpowiada referowanemu przez S. Kurowskiego stanowisku „ekonomistów”) stara się dowieść, że suwerenny konsument dobrowolnie i bezbłędnie wybiera taką strukturę konsumpcji która pozwala w skali społecznej maksymalizować satysfakcje indywidualne przy danych możliwościach ekonomicznych. Wolny konsument jest więc sytym konsumentem, pozytywne efekty ulegają kumulacji. Wynika to ze zdolności pojedynczego konsumenta (której to zdolności może być pozbawione centrum administrujące gospodarką) do agregowania wartości użytkowych różnych nabywanych na rynku dóbr i usług i maksymalizowania „użyteczności jako takiej”. Dążąc – zgodnie z ekonomią neoklasyczną – do wyrównywania krańcowych użyteczności, konsumenci decydują się nie tylko na substytucję różnych „okazji”, ale także na substytucję potrzeb, nawet bardzo odległych. Zakłada się tutaj, że nie istnieje żadna naturalna, dająca się wydedukować ze struktury systemu „człowiek”, hierarchia potrzeb. Głównym dążeniem człowieka jest mieć „jak najwięcej czegokolwiek”, co konkretyzuje się rozmaicie w rozmaitych warunkach gospodarczych. Ten sojusz suwerennych dążeń jednostki i optymalizacji gospodarczej ma miejsce oczywiście tylko wtedy, gdy przeszkody administracyjne nie blokują zachowań jednostkowych i mechanizmów rynkowych. Ta skrajna wizja budzi nie mniejsze podejrzenia niż skrajny kolektywizm – czy to rzeczywiście gospodarka jest magicznie uległa zachciankom jednostek, czy też raczej jednostki są wciągane w tryby maszyny urabiającej ich osobowość.

W złągodzonej – a zarazem rozszerzonej o „nieekonomiczne” obszary potrzeb – wersji indywidualizm dopuszcza inne, nierynkowe wskaźniki potrzeb

i mechanizmy zgłaszania roszczeń, kładzie większy nacisk na uprawnienia jednostki jako obywatela niż jako uczestnika rynku. Obstaje jednak nadal przy tezie, że taka „oddolnie” wyłaniająca się struktura potrzeb pozwala uzyskać maksimum jednostkowych satysfakcji z danych zasobów publicznych.

Najtrudniej rzecznikom indywidualizmu utrzymywać, że samostanowienie jednostek jest *konieczne* i nie ma od niego ucieczki. Wszak współczesna rzeczywistość jest wyraźnie przychylna kolektywizmowi. Można najwyżej tak mocno oskarżać kolektywizm o nietrafność decyzji i marnotrawstwo środków, że wyniknie z tego wniosek o jego zasadniczej niereformowalności i nieuchronnym (tylko kiedy?) upadku.

Resumé

I tu – wychodząc od konstrukcji dylematu wyostrzającego przeciwstawne racje – na zakończenie rozważań stajemy wobec *konieczności kompromisu*, bowiem okazało się, że obie strony mają poważne argumenty. Z kolektywizmu warto zaczerpnąć pewien sceptycyzm w ocenie jednostek, które pragną często tylko tego, co widzą wokół siebie, potrzebują więc wsparcia w ukazywaniu nowych, lepszych „okazji” zaspokajania tych samych potrzeb. Instrumentem realizacji tego zadania nie musi być jednak przymus, głębszą interioryzację i utrwalenie pożądanych postaw osiągnie się „nagłaśniając” style życia tych jednostek, które innowacyjnie i satysfakcjonująco umiały redefiniować swoje potrzeby, podsuwając obraz pewnych grup wzorotwórczych. Warto ponadto pamiętać, że decyzje przesądzające o zaspokajaniu potrzeb przez przyszłe choć nie tak znów odległe – pokolenia muszą być podejmowane dziś i lepiej jest, jeśli są one podejmowane świadomie i ktoś (desygnowany do pełnienia tej roli przez zbiorowość?) przyjmuje za nie odpowiedzialność; nie ma przeszkód, by decyzje te poprzedzała publiczna debata, która będzie zbiorową formą konfrontowania indywidualnych pomysłów na uszczęśliwianie „późnych wnuków”.

Cała reszta powinna być przeniknięta duchem *indywidualizmu*, niechęci do schematyzmu i komenderowania. Rynek wydaje się dobrą i sprawdzoną na świecie „maszyną do obsługiwanie potrzeb ludzkich”, ma istotne walory użytkowe i humanistyczne i błędem jest dostrzeganie w nim tylko czynnika niesprawiedliwej redystrybucji dochodów. Nie trzeba więc go krępować i pozbawiać istotnych cech dlatego tylko, że obala iluzję omnipotencji centrum ekonomicznego. Trzeba natomiast obudowywać go wieloma innymi mechanizmami i instytucjami, dzięki którym jednostki będą mogły zaspokajać odczuwane przez siebie potrzeby występując już nie w roli nabywców, lecz w roli obywateli. Taka „obudowa” rozwinęła się bardzo w krajach mających jednocześnie gospodarkę zdominowaną przez rynek. Jeśli nie zechcemy wyciągnąć z tego faktu wniosku o nieuchronności ukształtowania się takiego „mieszanego” rozwiązania, to uznajmy chociaż, że jego użyteczność została dość powszechnie dostrzeżona.

W ten sposób od umiarkowanie indywidualistycznej opcji ideowej doszliśmy do kwestii instrumentalnych.

Dobro jednostki – razem czy osobno

Ranga kolektywistycznych potrzeb jednostki

Jakie potrzeby jednostki są ważniejsze – potrzeby więzi czy potrzeby izolacji? Co to znaczy – ważniejsze potrzeby? Samo sformułowanie tego pytania, z konieczności lakoniczne, musi budzić wiele wątpliwości. Rozwikłajmy ten skrót myślowy. Za *ważniejsze* można uznać te potrzeby, które plasują się na szczycie jakiejś hierarchii potrzeb, „naturalnej” dla wszystkich ludzi lub kształtującej się – pod wpływem osobowości i biologii – dla każdego człowieka oddmiennie. Ale psychologowie odnoszą się dziś niechętnie do takiego hierarchizowania potrzeb i wolą podkreślać ich systemową współzależność. „Ważniejsze” może też oznaczać „najbardziej zagrożone”. Gdy zagrożenia występują w skali masowej, te właśnie potrzeby stają się najważniejsze dla decydentów odpowiedzialnych za politykę społeczną. Ważniejsze mogą to być także takie potrzeby, których zaspokojenie zależy głównie – czy nawet wyłącznie – od warunków stwarzanych przez politykę społeczną. Zobowiązują ją programowo do działania i są *dla niej* zawsze najważniejsze. Tak czy owak, nie chodzi tu o rangowanie dla rangowania, o sztukę dla sztuki, lecz o wytypowanie tych potrzeb (pragnień), których zaspokajanie polityka społeczna postanawia wspomagać, usuwać bariery utrudniające ich realizację, a być może także rozbudzać, gdy są nieuświadomione i premiować tych, którzy odczuwają je najsilniej i wokół nich koncentrują większość swych zabiegów życiowych.

Jeśli zbiorowość chętniej przyznaje wyższą rangę tym *potrzebom i pragnieniom jednostki, których przedmiotem jest zbiorowość*, mamy do czynienia ze szczególną odmianą „kolektywizmu drugiego typu” – szczególną, bo zakładającą, że człowiek jest przede wszystkim zwierzęciem stadnym. Wymienione na występie potrzeby więzi miały posłużyć tylko jako hasła wywoławcze. Do potrzeb „kolektywistycznych” dałoby się zapewne zaliczyć, sięgając do kategoryzacji proponowanej przez T. Kocowskiego⁶²: 1) potrzebę przynależności, 2) potrzebę łączności, 3) potrzebę integracji, 4) potrzeby normatywne (których przedmiotem jest akceptowany przez grupę system norm), 5) potrzebę kooperacji, 6) potrzebę socjalizacji, 7) potrzebę konformizmu, 8) potrzebę uczestnictwa, 9) potrzebę demokratyzmu, 10) potrzebę praworządności, 11) potrzebę zorganizowania. Ponadto T. Kocowski wyróżnia m.in. takie pożądane przez ludzi gratyfikacje społeczne (które u innych autorów są traktowane równorzędnie z potrzebami) jak: 12) akceptację i więź emocjonalną, 13) prestiż, 14) władzę. Głównym składnikiem tych potrzeb są cechy szerszej zbiorowości lub więzi jednostki z szerszą zbiorowością

⁶² T. Kocowski, *Globalna koncepcja potrzeb ludzkich*, jw., s. 43–47.

Zróźnicowanie potrzeb „kolektywistycznych”

Nie zawsze docenia się różnorodność – a nawet w pewnych warunkach przeciwstawność – tych potrzeb, stawiając pochopnie znak równości między „potrzebami społecznymi” i „potrzebami prospołecznymi”. Nawet jeśli istnieje jakiś uniwersalny przepis łączący w optymalnych proporcjach tych kilkanaście składników, zapewniając jednostce pełny komfort stosunków ze zbiorowością, to w ludzkiej świadomości ta potencjalna harmonia bywa zachwiana. Pragnienie integracji, konformizmu i zorganizowania może przytłumić pragnienia demokratyzmu i praworządności; pragnienia prestiżu i władzy mogą przytłumić pragnienia kooperacji i więzi emocjonalnej. Wśród ludzi pragnących licznych i intensywnych więzi z szerszą zbiorowością należy więc wyróżnić tych, którym potrzebna jest ona jako przedmiot walki, zdobywania i podporządkowania, i tych, dla których zbiorowość jest niezbędna jako partner emocjonalny, z którym chce się współbrzmieć i współdziałać. Dylemat: *walka czy współpraca* przejawia się tym samym nie tylko w sporach o lepszy ład społeczny, ale i w próbach wartościowania różnych typów osobowości. Podobnie jest z rozważanym przez Tönniesa dylematem: *Gesellschaft* łączący nie tyle ludzi co role społeczne przez nich pełnione, sformalizowany, gdzie motorem ludzkich zachowań jest wyrachowanie czy *Gemeinschaft*, w którym dominują więzi pokrewieństwa, braterstwa i sąsiedztwa, kontrolowany przez obyczaj, łączący nie tyle role społeczne co osobowości. I tutaj możemy mówić o odmiennym podłożu osobowościowym każdego z tych łańdów.

Jakże odmienne są od siebie takie zjawiska, jak opisane przez Fromma „syndrom autorytarny” nacechowany uwielbieniem dla władzy, hierarchii i dyscypliny, najlepiej przystosowany do współbrzmienia z paramilitarną organizacją życia zbiorowego; jak przedstawiany przez Riesmana „człowiek zewnątrzsterowny”, który chce być przez wszystkich lubiany i upodabnia się do wszystkich, goniąc za modą i rozrywką; „osobowość demokratyczna”, rozkwitająca w gąszczu pluralistycznych instytucji przedstawicielskich; osobowość podatna na uleganie popędom stadnym i odnajdująca satysfakcję we współbrzmieniu z amorficzną zbiorowością o cechach tłumu; wreszcie osobowość zdolna do kontemplacji braterskiego porozumienia z gronem sobie podobnych. Sygnalizuję tu tylko wyrywkowo różnorodność sposobów przejawiania się owej hasłowej potrzeby więzi, posiłkując się pojęciami (wyrwanymi z kontekstu) bardzo różnych teorii i siatek pojęciowych. Twierdzenia o słuszności, użyteczności czy nieuchronności przewagi „kolektywistycznej orientacji” w postawach ludzkich nie mogą więc być formułowane en bloc.

Osobność – pożądana i niepożądana

Z kolei potrzeba izolacji, intymności, prawo do prywatności, introwertyzmu (utożsamiane przez niechętnych z egocentryzmem, narcyzmem, znie-

czulicą i mizantropią) są wysoko cenione przez zwolenników i propagatorów *postaw indywidualistycznych*. (Notabene – dążenie do wywyższenia własnego indywiduum ponad zbiorowość uważam za bardzo szczególną, ale jednak odmianę kolektywizmu. Przedmiotem pożądania jest tu bowiem więź społeczna, a mianowicie więź łącząca dominującego ze zdominowanymi; była już o tym mowa).

Jednocześnie *przymusowa izolacja* – tak jak *przymusowe skoncentrowanie* wielu ludzi w zamkniętej przestrzeni – tożsama z odrzuceniem, napiętnowaniem czy banicją, będzie zawsze traktowana jako zagrożenie. Niewłaściwe zaspokajanie potrzeb więzi i izolacji może pogłębiać upośledzenie pewnych kategorii ludzi. Najlepszym przykładem jest tu opisana przez M. Sokołowską ewolucja miejsca człowieka niepełnosprawnego w społeczeństwie⁶³. W miarę rozwoju cywilizacyjnego społeczeństw inwalidzi, początkowo „widzialni choć niezadbani” (a więc intensywnie uczestniczący w życiu społecznym, bowiem prymitywna technika i rodzinne formy gospodarowania pozwalają na wykorzystanie z pożytkiem nawet ich niepełnosprawnych rąk), stają się „niewidzialni choć bardziej zadbani” (zamknięci w swych mieszkaniach lub w specjalnych zakładach, odrzuceni przez system industrialny przyznający prymat produkcji, przebojowości i tężyznie fizycznej). I dopiero w najnowocześniejszych społeczeństwach zyskują oni stopniowo pozycję „widzialnych i zadbanych”, dzięki ergonomizacji – dostosowaniu do psycho-fizycznych cech człowieka – urządzeń technicznych i rozwiązań przestrzennych w środowisku pracy i zamieszkania, dzięki odwrotowi od „kowbojskich” wzorów osobowych. Pełnienie wszystkich normalnych ról społecznych przez inwalidów dowodzi wyrwania się ich z przymusowej izolacji, zarazem humanizując całe społeczeństwo. Można wymienić i inne kategorie ludzi, którym przydarza się taka przymusowa izolacja. Odrzucenia i osamotnienia nie można więc w żadnym razie utożsamiać z realizacją potrzeby izolacji, będą one traktowane jako zło społeczne przez wszystkich ludzi, bez względu na ich predyspozycje osobowościowe.

Resumé

Sądzę, że polityka społeczna powinna być na tyle zróżnicowana, aby mogły istnieć jakieś „nisze ekologiczne” zarówno dla tych, którzy pragną bez reszty pogрузić się we wspólnotach różnego typu (byle nie były to wspólnoty przestępcze), jak i dla tych, którzy nie mogą znieść gwaru i szumu przeurbanizowanego środowiska i przejawiają skłonności pustelnicze. Typowe dla współczesności, zbiurokratyzowane struktury organizacyjne mogą nie zadowalać ani jednych ani drugich. Oprócz tak zdeklarowanych i skrajnych postaw, w biografii większości ludzi na pewnych jej etapach mają prawo objawiać się

⁶³ M. Sokołowska, *Oddziaływanie na proces społecznej rehabilitacji pacjentów*, „Studia Socjologiczne” 1969, nr 3.

„odruchy ku wspólnotowości” lub „odruchy wycofania” i jest to zapewne jeden z warunków normalnego rozwoju jednostki. I na realizację tych „przelotnych przygód” powinno się znaleźć miejsce w przestrzeni społecznej. Postulaty te mogą okazać się bardzo ważne w perspektywie zdrowia psychicznego. Natomiast wielką ostrożność trzeba wykazać wobec wszelkich prób „uwznioślenia” czy to potrzeb „stadnych” czy to potrzeb „egocentrycznych”.

Organizacja zaspokajania potrzeb – zbiorowo czy indywidualnie?

Dylemat instrumentalny czy aksjologiczny

To pytanie dotyczy tylko i wyłącznie formalnej strony życia publicznego. Ma więc ono w znacznej mierze charakter *instrumentalny* a nie aksjologiczny; „wyższość” jest najczęściej utożsamiana z „wyższą efektywnością”. Są jednak powody, aby i tę kwestię rozważać w kontekście *aksjologicznym*. Sądy w tej sprawie bywają bowiem aprioryczne i generalizujące, niechętnie bywają poddawane weryfikacji, etykiety „postępowości”, „nowoczesności”, „moralności” przylegają na stałe do konkretnych zbiorowych lub opartych na indywidualnych zabiegach form.

Można się tylko domyślać, że prawdziwym choć nie zawsze przywoływanym źródłem tych sądów bywa stosunek ich wyznawców do dylematu: kolektywizm – indywidualizm w trzech omawianych uprzednio znaczeniach. Jednak jeśli ktoś uważa, że zbiorowość (np. państwowa) jest ważniejsza od jednostki, że ponadto ma ona prawo decydować o sposobie zaspokojenia przez jednostkę jej potrzeb i że człowiek powinien realizować przede wszystkim swój silnie rozwinięty „instynkt państwowy” to nie zawsze przekonaniom tym musi towarzyszyć predylekcja do kolektywnych form organizacyjnych. Można przecież sądzić, że organizacyjna „atomizacja” życia społecznego silniej zwiąże osamotnione i pozbawione „konkurencyjnych” zbiorowych grup odniesienia jednostki z jedyną zbiorowością, jaka ma być warta przywiązania, a mianowicie z państwem. Sytuacja taka zasługiwałaby na miano „próżni socjologicznej” (w odróżnieniu od tych zjawisk, które opisał podsumowując badania nad systemem wartości Polaków Stefan Nowak, a które słusznie J. Danecki proponuje nazwać „próżnią identyfikacyjną”: bowiem brak *przywiązania* jednostki do zbiorowości pośrednich, mieszczących się między rodziną a narodem nie musi wcale oznaczać, że takie „pośrednie struktury” nie istnieją i nie wywierają silnego piętna na trybie życia jednostek)⁶⁴.

Ocena służebności kolektywnych form organizacyjnych wobec państwowej wersji ideologii kolektywistycznej (w poprzednich trzech rozumieniach)

⁶⁴ Zob. S. Nowak, *System wartości społeczeństwa polskiego*, „Studia Socjologiczne” 1979, nr 4.

zależy zapewne od wiary – lub niewiary – w możliwość ich hierarchicznego podporządkowania i zdyscyplinowanego współdziałania. Z kolei ideologowie indywidualizmu (w dotychczas rozważanych trzech rozumieniach) mogą w pewnych formach zbiorowych dostrzegać przychylne środowisko – np. wtedy, gdy zapewniają one jednostce anonimowość i status „klienta, który zawsze ma rację”, albo wtedy, gdy pozwalają one wyrwać się jednostce spod kontroli rodziny, sąsiadów czy współpracowników (a więc gdy pewne formy zbiorowe służą jako dobrowolnie wybrane schronienie przed innymi – narzucenymi – formami zbiorowymi). Bywa jednak i tak, że przekonanie o wyższości form zbiorowych jest niezależne od innych opcji, jest elementem „mądrości obiegowej”.

Formy zbiorowe – kryteria klasyfikacji

Jakiego rodzaju formy zbiorowe wchodzą w zakres zainteresowań polityki społecznej? Jest ich bardzo wiele i można je porządkować na rozmaite sposoby. Oto kilka najważniejszych klasyfikacji pozwalających precyzyjniej lokalizować zarzuty i pochwały, często niesłusznie generalizowane i adresowane do wszystkich możliwych zbiorowych form organizacyjnych.

1. Na pierwszym miejscu trzeba uwzględnić klasyfikację „branżową”, według najważniejszych czterech sfer zainteresowania polityki społecznej.

W sferze pracy rozważyć trzeba walory: włączania się wytwórców w społeczny podział pracy (od gospodarki naturalnej do daleko posuniętej specjalizacji i kooperacji); kolektywnych form organizacyjnych produkcji (od małych zakładów rzemieślniczych do kombinatów-gigantów); prywatnej, grupowej i ogólnospołecznej własności środków produkcji; sposobów stanowienia prawa pracy (od indywidualizmu umów o pracę do kolektywizmu układów zbiorowych⁶⁵; indywidualnych i zbiorowych sporów między pracownikami i pracodawcami)⁶⁶.

W sferze dobrobytu różnaitość tradycyjnych i nowych instytucji publicznych organizujących kolektywne zaspokajanie ludzkich potrzeb jest szczególnie duża. Są to rozmaite typy sieci osiedleńczej (od rozproszenia osadnictwa rolniczej Irlandii do skrajnego zagęszczenia Wysp Japońskich), zbiorowe formy mieszkalnictwa (od bloków mieszkalnych po hotele pracownicze i internaty), placówki tzw. infrastruktury bytowej (np. pralnie i inne zakłady usługowe, zakłady gastronomiczne), przychodnie lekarskie wchodzące w skład zespołów opieki zdrowotnej, domy pomocy społecznej, szkoły wszystkich

⁶⁵ Zob. T. Zieliński, *Idea zbiorowego prawa pracy w socjalistycznym porządku prawnym*, „Państwo i Prawo” 1980, nr 10.

⁶⁶ Zob. T. Zieliński, *Zbiorowe spory pracy a współczesne koncepcje ładu społecznego*, „Ruch Prawniczy, Ekonomiczny i Socjologiczny” 1984, z. 2.

szczebli, instytucje kulturalne działające – w terminologii A. Kłoskowskiej⁶⁷ – w drugim układzie kultury (instytucje lokalne, jak teatr, kino, stadion, dom kultury) i w trzecim układzie kultury (ponadlokalne, „zdalnie oddziaływujące” z centrum środki społecznego przekazu, jak prasa i RTV), turystyka zbiorowa, wczasy pracownicze.

W *sferze kultury społecznej* skłonność do kolektywnych choć nieformalnych zachowań może przejawiać się w podtrzymywaniu więzi pokrewieństwa w ramach wielkiej rodziny czy rodu, w kohabitacji grupowej („komuny” różnego typu), w intensywności więzi sąsiedzkiej. Przeciwną tym zjawiskom będą tendencje do atomizacji rodziny, anonimowości sąsiedztwa i „programowej pojedynczości” osób wybierających życie w stanie wolnym. Większość tych zjawisk nie wymaga formalizacji, co jednak nie znaczy, że są one w pełni niezależne od istnienia sformalizowanych instytucji zbiorowych w pozostałych sferach życia społecznego (np. od form mieszkalnictwa).

W *sferze życia publicznego* możliwe są bardzo różne proporcje między tymi prawami, które obywatel „ma na własność” jako jednostka, a tymi prawami, które jednostka może uzyskać pod warunkiem przystąpienia do jakiejś zbiorowości, np. do partii politycznej (w klasycznej teorii demokracji przewidywano jedynie działania pojedynczych obywateli mających prawa wyborcze, zaś partie polityczne traktowano jako szkodliwe zmywy; we współczesnej demokracji członek partii ma niejednokrotnie znacznie więcej do powiedzenia niż „tylko” obywatel). System polityczny nie tylko obdarza prawami, ale i karze za zachowania bezprawne. W tym wymiarze jest kolektywistyczny, jeśli stosuje zasadę odpowiedzialności zbiorowej (co jest szczególnie drastycznym rozwiązaniem), jeśli tworzy placówki zbiorowego odbywania kary i stosuje metodę resocjalizacji grupowej (co z kolei jest powszechnie przyjęte)⁶⁸.

2. Druga klasyfikacja wynika z zastosowania *kryterium dostępności* i pozwala wyróżnić: formy w zasadzie ogólnodostępne; formy konsolidujące elitę i w zasadzie tylko dla uprzywilejowanych dostępne; formy przypieczętowujące marginalizację outsiderów i upośledzonych, piętnujące uczestników (getta lub azyle).
3. Trzecia klasyfikacja jest efektem pytania o *lokalizację „mózgu” i „serca”* instytucji zbiorowej. Pozwala wyróżnić: formy inicjowane i kontrolowane odgórnie; formy inicjowane i kontrolowane oddolnie i „od wewnątrz” (zbliżona do niej jest klasyfikacja Illicha, dzielącego instytucje zbiorowe na „manipulacyjne” – narzucające swe usługi, czyniące ze swych klientów ofiary „reklamy, agresji, indoktrynacji, uwięzienia lub kuracji wstrząsowej” – i na „towarzyskie”, które cechuje dobrowolność

⁶⁷ A. Kłoskowska, *Spoleczne ramy kultury*, Warszawa 1972, s. 60–62.

⁶⁸ L. Lernell, *Współczesne zagadnienia polityki kryminalnej. Problemy kryminologiczne i penologiczne*. Warszawa 1978, s. 196–224.

i spontaniczność użytkowania, stanowiące rodzaj sieci ułatwiającej porozumienie i współpracę podjętą z inicjatywy użytkowników⁶⁹.

4. Czwarta klasyfikacja wyróżnia formy uporządkowane wedle *kryteriów koncentracji organizacyjnej i przestrzennej* (od mikro poprzez mezo do skali makrospołecznej).
5. W ostatniej, tj. piątej klasyfikacji zastosowano jako wyróżnik *czas trwania i częstotliwość kontaktów* jednostek z instytucją. Istnieją więc: obiekty, w których użytkownicy bywają przelotnymi gośćmi; obiekty, które wywierają silne piętno na trybie życia jednostek, wiążących się z nimi (lub wiązanych) w pewnych fazach swego życia; instytucje „totalne”; ingerujące stale we wszystkie prywatne sprawy jednostki⁷⁰.

Można też zauważyć, że kolektywne rozwiązania w pewnych sferach pociągają za sobą cały łańcuch instytucji kolektywnych w innych sferach, kopiujących dość wiernie cechy „instytucji-lokomotywu”. Taką „lokomotywą” jest najczęściej zbiorowa forma pracy (zwłaszcza wielki zakład produkcyjny) i zbiorowa forma zamieszkiwania (np. osiedle – zbiór bloków mieszkalnych), pociągające za sobą wiele rozmaitych obiektów infrastruktury społecznej i infrastruktury bytowej.

Typy argumentacji „za i przeciw” można pobieżnie prześledzić na trzech wybranych przykładach: wielkich zakładów pracy, gastronomii zbiorowej, szkoły.

Wielkie zakłady pracy – za i przeciw

Z ekonomiczną i organizacyjną *koncentracją produkcji* wiąże się najczęściej nadzieje na potaniecie produkcji oraz na podniesienie jej standardu dzięki absorpcji najnowocześniejszych technologii (na ogół projektowanych z myślą o produkcji wielkoprzemysłowej – a więc błędne koło?), opłacalności organizowania zaplecza badawczego, większej zdolności do inwestowania i ekspansji. Zapomina się przy tym często (w praktyce gospodarczej), że efekt skali działa tylko do pewnego momentu. Oprócz tej ekonomiczno-technicznej argumentacji pojawiają się tezy o politycznej i społecznej wyższości wielkich zakładów pracy. W swoim czasie miały one przyspieszyć proces tworzenia świadomej swych celów i rewolucyjnej klasy robotniczej, a także rozbijać konserwatywne układy lokalne. Uważano, że więź z zakładem pracy wtedy staje się źródłem dumy i integruje emocjonalnie kolektywy pracownicze, gdy zakład jest silny i poważany (np. jako stały partner konsultacji naczelnych władz politycznych z „najważniejszymi zakładami pracy”). Współzarządzanie takim zakładem miałoby dawać więcej satysfakcji, gdyż bliżej jest ze szczebla zakładowego

⁶⁹ I. Illich, *Spoleczeństwo bez szkoły*, Warszawa 1976, s. 102–106.

⁷⁰ Zob. E. Goffman, *Charakterystyka instytucji totalnych*. W: *Elementy teorii socjologicznych*, Warszawa 1975.

do szczybla centralnego. Ta siła i integracja kolektywu pracowniczego może być użyta do pełnienia bardzo różnych funkcji. Bywało już tak w naszej historii, że kolektywy powoływane do życia jako „bojowe oddziały dowodzone bezpośrednio z kwatery głównej” przeistaczały się w ośrodki oporu, ułatwiając – nawet w czysto technicznym sensie – samoorganizację sił społecznych zrewoltowanych przeciwko establishmentowi. Niektórzy to właśnie uznają za zaletę wielkich zakładów. Skala wielkiego zakładu pracy czyni ponoć sensowną rozbudowę wielu urządzeń socjalnych, które ich potencjalni użytkownicy – nie tak anonimowi jak w obiektach ogólnodostępnych – łatwiej mogą i chcą kontrolować, a także dostosowywać do swych specyficznych potrzeb. To tylko niektóre z argumentów wysuwanych na rzecz istnienia fabryk – gigantów. Należałoby je uzupełnić, przytaczając ogólniejsze argumenty za wszelkimi zbiorowymi formami wytwarzania, traktowanymi jako opozycja wobec form czysto indywidualnych (abstrahując zatem od problemu skali).

Stanowisko krytyczne wobec „wielkoskalowego wynaturzenia” procesów wytwórczych staje się ostatnio coraz popularniejsze. Jego rzecznicy, skupieni pod sztandarem z wypisanym na nim prowokacyjnym hasłem „Małe jest piękne”⁷¹, wskazują na ociążałość, łatwość patologizacji struktur organizacyjnych, konserwatywizm we wszystkich możliwych znaczeniach tego słowa, marnotrawstwo, dehumanizację, nieuchronność monopolizacji i jej licznych negatywnych efektów (u nas w latach siedemdziesiątych administracyjnie przyspieszono ten proces, dokonując zabójczej dla drobnych przedsiębiorstw reorganizacji, nazwanej potem przez publicystów „pykozą”), konsolidowanie agresywnych grup interesu, paraliżujących każdą sensowną i dalekowzroczną strategię planowaną przez centrum, parcelowanie urządzeń publicznych, wnoszenie na drodze do wszelkich atrakcyjniejszych dóbr dodatkowych barier administracyjnych (czego symbolem stały się parkany strzegące wstępu na „plaże zakładowe”).

Z czysto gospodarczego punktu widzenia coraz oczywistsze się staje, że tylko współistnienie różnych form organizacyjnych produkcji – od skrajnie kolektywistycznych do skrajnie indywidualnych, byle zweryfikowanych, np. na rynku – zapewni żywotność organizmowi gospodarczemu. Sytuacja taka będzie korzystna również dla jednostek poszukujących na rynku pracy zatrudnienia w systemie najlepiej dostosowanym do preferowanego przez nie „stylu pracy”.

Żywnienie zbiorowe – za i przeciw

Obiekty *gastronomii zbiorowej* nie rzutują w takim stopniu na całokształt trybu życia jednostki jak czyni to zakład pracy, choć często stanowią (w postaci stołówek pracowniczych) jeden ze składników „otoczki socjalnej” przedsię-

⁷¹ Zob. E.F. Schumacher, *Small is Beautiful. A Study of Economics as if People Mattered*, London 1975.

biorstwa i umacniają jego wpływ na tryb życia. Wprawdzie sam czas przebywania w tych placówkach nie jest znaczącą pozycją w budżecie czasu członków rodziny, jednakże rozmiary czasu wyzwolonego od żmudnych – szczególnie w naszych warunkach – zabiegów aprowizacyjnych i kulinarnych radykalnie ten budżet zmieniają. Oszczędność czasu konsumentów jest jednym z głównych argumentów przemawiających za zbiorowym żywieniem. Inne argumenty to oszczędność nakładów w skali społecznej (lepsze wykorzystanie surowców, narzędzi i pracy ludzkiej, efekt skali), wyższa jakość posiłków (zgodność receptur ze wskazaniami diety, kwalifikacje profesjonalnych kucharzy wyższe od umiejętności przeciętnej gospodyni). Dodatkowym walorem tzw. zamkniętych (czyli obsługujących zbiorowość zgromadzoną w celu wspólnego wykonywania obowiązków – pracy lub nauki) placówek gastronomicznych może być optymalny rytm żywienia (nie dający się zrealizować w warunkach domowych, jeśli pracownicy i uczniowie wiele godzin poświęcają na pracę wraz z dojazdem).

Dla wyznawców kolektywizmu pierwszego i drugiego typu (zbiorowość jest ważniejsza; zbiorowość wie lepiej) walorem takich placówek jest możliwość narzucania zmian w sposobie żywienia (żeby było zdrowiej albo żeby było taniej); zmian, do których samodzielnie gospodynię domową trzeba by przekonywać mozolnie, a może w dodatku bezowocnie. Szansę wywierania takiego racjonalizującego wpływu na spożycie ma zresztą również gastronomia otwarta. Z kolei od gastronomii otwartej oczekuje się przede wszystkim urozmaicenia oferty, zwiększenia możliwości wyboru jednostki – w porównaniu z przeciętną kuchnią domową i przeciętną stołówką. Ale i w stołówkach pewna swoboda wyboru nie jest wykluczona.

Jeśli chodzi o efekty psychospołeczne, to oczekiwania wobec – by użyć tego umownego skrótu – stołówek i restauracji są także dość odmienne. Dla wyznawców kolektywizmu trzeciego typu ważne jest to, że stołówka ma wzmacniać więzi pracownicze i poszerzać obszar obserwacji i kontroli pracodawcy nad pracownikami; restauracja zaś ma łączyć luksus anonimowości konsumenta z dodatnim choć dyskretnym oddziaływaniem obecności współbiedniaków. W tradycji wielu narodów takie wspólne celebrowanie posiłków jest ważnym elementem dnia powszedniego. Brak formalnych przeszkód, aby całe rodziny korzystały z gastronomii otwartej (zdarzają się takie w stołówkach pracowniczych i szkolnych), ponadto ważną funkcją zbiorowego żywienia jest „proteżowanie” tych wszystkich jednostek, które nie są w stanie prowadzić własnej domowej kuchni (ze względów rodzinnych, zdrowotnych, mieszkaniowych) i stwarzanie „odskoczni” tym, którzy od rodziny chcą się – choćby przelotnie – odseparować.

Większość argumentów przeciwko placówkom zbiorowego żywienia w jego „stołówkowej” wersji wywodzi się z obawy – wciąż doświadczalnie potwierdzonej – że łatwo im wymknąć się zarówno spod kontroli jednostek – konsu-

mentów, jak i spod kontroli zbiorowości nadzorującej, a więc zakładu pracy. Nie działają wówczas – lub są ignorowane – czujniki sygnalizujące marnotrawstwo, złą jakość; zwycięża, jako łatwiejszy, schematyzm oferty, symbolizuje go słynna „zupa z kotła”. Jeśli zarzut nieuchronnej „immanentnej nieefektywności” stołówek okaże się słuszny, wszelkie rozważania o potencjalnych walorach zbiorowego żywienia będą jałowe. Łatwo zauważyć, że jest to jedno ze szczególnych zastosowań ogólniejszej tezy o zasadniczej nieefektywności własności społecznej w ogóle i konsumpcji społecznej (czyli nieodpłatnej) w ogóle. Ponadto wysuwa się zarzut rozbijania więzi rodzinnych, okrawania czasu prywatnego, jaki członkowie rodziny powinni poświęcić sobie, choćby przy wspólnej pracy nad przygotowaniem posiłku. Zarzut ten pozostaje w mocy nawet wtedy – a może szczególnie wtedy – gdy żywienie zbiorowe jest atrakcyjne i różnorodne, stając się rodzajem rekreacji. Przeciwnicy zbiorowego żywienia uznają je więc za zło konieczne, chcąc je ograniczać, a za główny nurt postępu w tej dziedzinie uznają modernizację gospodarstwa domowego (pracooszczędne narzędzia pracy, uszlachetnione surowce, oświata kulinarna) przy zachowaniu jego samodzielności; bowiem tylko w ten sposób ludzie znajdą pełną satysfakcję, twórczo realizując własne pragnienia w przychylnym mikrośrodkowisku.

Jak już pisałam, wszystkie te „za” i „przeciw” bywają prawdziwe lub nieprawdziwe. Warto więc pilnie badać przesłanki ich prawdziwości i szacować prawdopodobieństwo ich wystąpienia „tu i teraz”, odsuwając na bok fałszywe ideologiczne uprzedzenia.

Szkola publiczna – za i przeciw

Trzecią instytucją zbiorową, wokół której toczą się nie wygasające nigdy dyskusje, jest *szkola* – instytucja o największych tradycjach, pełniąca wyjątkowo złożone i doniosłe funkcje społeczne. Wydawałoby się, że sama idea szkoły publicznej stanowi tabu i nie może być kwestionowana, zaś dyskusje mogą dotyczyć jedynie modelu szkoły. Jednakże po głośnym ataku I. Illicha okazało się, że i w tej dziedzinie skrajny indywidualizm jest do pomyślenia⁷². Argumentacja za istnieniem szkoły publicznej odwołuje się do nieuchronności, sprawiedliwości i efektywności. Stwierdza się, że nie ma innego sposobu, który pozwalałby kształcić powszechnie i fachowo zarazem, zaś wykształcenie jest współcześnie niezbędne każdej jednostce i każdej zbiorowości, chroni przed degradacją i podtrzymuje rozwój.

Im bardziej człowiek jest atakowany masą różnorodnych informacji płynących z różnych źródeł, tym potrzebniejsze jest porządkowanie tych informacji przez obligatoryjne instytucje szkolne. Bez tego wiodącego – bo działającego systematycznie i w sposób sformalizowany – ogniwa żadne społeczeństwo wychowujące nie podołałoby zadaniom socjalizującym. Chodzi tu o socjali-

⁷² Zob. I. Illich, *Spoleczeństwo bez szkoły*, jw.

zaczę rozumianą jako ogólny trening życia w grupie sformalizowanej. Szkoła – pierwsza forma zbiorowa i sformalizowana, z którą styka się młody człowiek – ma go przygotować do oczekujących nań na dalszej drodze życia następnych – analogicznych – form organizacyjnych. Chodzi tu także o socjalizację rozumianą jako kształtowanie postaw konformistycznych wobec struktur społeczno-politycznych, o „wychowanie dobrego obywatela i dobrego pracownika”, co najczęściej interpretuje się w duchu kolektywistycznym⁷³. Chodzi też o uczestnictwo w kulturze narodowej i ogólnoludzkiej, o przekazanie kanonu zdolnego sprawić, aby wszyscy ze wszystkimi o wszystkim mogli rozmawiać⁷⁴. Pewien schematyzm rozwiązań organizacyjnych i sztywność programowa są zaletami, gdyż zapewniają porozumienie interpersonalne i równy start całej młodzieży. Ten schematyzm i sztywność, poza tym, że użyteczne, są też nieuchronne w społeczeństwie, w którym nie wszyscy nauczyciele i uczniowie są entuzjastami i geniuszami. Jedna i druga strona mogą pełnić zadowalająco swe role tylko wówczas, gdy podlegają kontroli i rygorom⁷⁵.

Do tych argumentów dowodzących niezbędności istnienia jednolitych szkół publicznych dorzuca się czasem argumenty za zwiększoną *koncentracją przestrzenną obiektów szkolnych*, które muszą wówczas – rzecz jasna – być odpowiednio większe. Zgodnie z tym stanowiskiem, dopiero przekroczenie pewnej minimalnej wielkości pozwala szkole zgromadzić pełny zestaw nowoczesnych pomocy szkolnych i grono nauczycieli wszystkich specjalności (którzy nie muszą przeżywać osamotnienia w roli „jedynego inteligenta w środowisku”). Tylko taka szkoła może mieć zaplecze w postaci zurbanizowanej, wielofunkcyjnej jednostki osiedleńczej, poszerzającej zakres doświadczeń społecznych uczniów. Najlepiej, jeśli zasadę optymalnej koncentracji sieci szkolnej da się pogodzić z zasadą bliskości miejsca nauki i miejsca zamieszkania. Jeśli jednak nie pozwala na to zbyt rozproszona sieć osiedleńcza, warto – mimo wszystko – realizować model „szkoły zbiorczej” organizując system zbiorowych dojazdów do szkół.

Z kolei zwolennicy programu *społeczeństwa bez szkoły* dostrzegają w instytucji szkoły omalże głównego deprawatora jednostki. Illich przytacza pogląd, wedle którego źle się stało, że „...nasza wyobraźnia jest «cała przepojona duchem szkoły». Pozwalamy państwu stwierdzać powszechne braki w wykształceniu jego obywateli i ustanawiać jedną wyspecjalizowaną agencję celem ich usunięcia. Padamy ofiarą wspólnego złudzenia, że potrafimy odróżniać, co jest niezbędnym wykształceniem dla innych, a co nie jest, tak samo jak poprzed-

⁷³ Zob. A. Siciński, *Społeczeństwo istniejące a społeczeństwo pożądane*. W: *Społeczeństwo wychowujące. Rzeczywistość i perspektywy*, pod red. B. Suchodolskiego, Wrocław 1983.

⁷⁴ Zob. A. Kłosowska, *Uwagi na temat modelu wykształconego Polaka*. W: *Model wykształconego Polaka*, pod red. B. Suchodolskiego, Wrocław 1980.

⁷⁵ Zob. S. Bortnowski, *Spór ze szkołą*, Kraków 1982.

nie pokolenia ustanawiały prawa określające, co jest święte, a co nieświęte⁷⁶. Szkoła jest więc jedną z instytucji najbardziej „manipulacyjnych”. Oto podstawowe grzechy szkoły, zilustrowane cytatami z tej samej książki. „Szkoły same wypaczają naturalną skłonność do wzrostu i zdobywania wiedzy, zamieniając ją w zapotrzebowanie na naukę”. „Istota ludzka, stając się więźniem systemu szkolnego, zrzuca się odpowiedzialności za własny wzrost, co prowadzi niejednokrotnie do czegoś w rodzaju duchowego samobójstwa”. „Skoro człowiek raz uzna potrzebę szkoły, bez trudu wydaje się na łup innych instytucji”. „Skoro raz nauczyliśmy się potrzebować szkoły, wszelka nasza działalność jest skłonna przybierać formę stosunku klienta do innych wyspecjalizowanych instytucji.

Skoro raz zdyskredytowano samouka, wszelka nie uprawiana zawodowo działalność staje się podejrzana”. Szkoła sztucznie wytwarza kategorię dzieciństwa, segreguje ludzi według wieku, dyskryminuje młodszych i starszych (dziwaczna jest „decyzja społeczna przyznająca środki na kształcenie przede wszystkim tym obywatelom, którzy wyrosli i utracili niezwykle zdolności wykazywane w ciągu pierwszych czterech lat życia, a nie osiągnęli szczytowego zapалу do nauki zrodzonego z pobudek wewnętrznych”). Ale jest to wątpliwy przywilej dla dzieci. „W rezultacie uczęszczania do szkoły dzieci zostają usunięte poza nawias codziennego świata zachodniej kultury i pogrążone w środowisku o wiele bardziej prymitywnym, magicznym i śmiertelnie poważnym”. Trójwładza nauczyciela – jako opiekuna, jako moralisty i jako lekarza – wypacza dziecko. Nauczyciele „czują się uprawnieni do grzebania w prywatnych sprawach swoich klientów pod przymusem wysłuchujących ich pouczeń⁷⁷. Obowiązek „pełnoetatowego” przebywania uczniów w szkole nasila tę ingerencję.

Jaki jest zatem program pozytywny skrajnego indywidualizmu oświatowego? Przede wszystkim – samokształcenie, m.in. poprzez dyskusje w gronach swobodnie się dobierających wedle kryterium wspólnych zainteresowań, nieskrępowane stałym miejscem i harmonogramem spotkań. Wykorzystywanie do kształcenia zawodowego osób, które nie są profesjonalnymi pedagogami, ale posiadły praktyczne umiejętności zawodowe. Aby utrzymać zasadę bezpłatności kształcenia, należałoby otwierać kredyty przeznaczone na kształcenie konkretnych jednostek (odbierając fundusze przyznawane dotychczas instytucjom szkolnym). „Takie kredyty pozwoliłyby ogółowi ludzi opanować te umiejętności, na które jest największy popyt, w sposób dla nich dogodny, lepiej, szybciej, taniej i z mniejszą ilością niepożądanych skutków ubocznych niż w szkole⁷⁸.

Na rzecz takiego programu wydaje się przemawiać burzliwy w ostatnich latach proces upowszechniania komputerów osobistych, dających natychmiasto-

⁷⁶ I. Illich, *Spoleczeństwo bez szkoły*, jw., s. 62.

⁷⁷ Tamże, s. 113, 83, 82, 68, 74 i 73.

⁷⁸ Tamże, s. 48.

wy – bez opuszczania mieszkania – dostęp do banków informacji. Nie zmienia to jednak dość powszechnie podzielanej oceny, że taki – czysto indywidualistyczny – model jest utopijny. Co więcej, nawet propozycje stworzenia – na marginesie obecnego systemu szkolnego – alternatywnie traktowanych indywidualnych form zdobywania wiedzy są u nas uznawane za niedopuszczalne w swym radykalizmie (prywatne szkoły, które zaczęły ostatnio powstawać, są zbiorowe, choć bardziej kameralne i luźniej kontrolowane przez szerszą zbiorowość). Formy te bywają akceptowane, ale jako element kształcenia równoległego, a nie alternatywnego. Jest to więc sytuacja inna, niż w poprzednio omawianych przykładach.

Łatwiej chyba o kompromis w sporze o stopień „zbiorczości” sieci szkolnej. Przeciwnicy tej idei wskazują głównie na trudności techniczne – przede wszystkim transportowe – w jej realizacji, na wiążące się z tym zachwianie proporcji między czasem, jaki dziecko spędza w sformalizowanej zbiorowości szkolnej i we własnej rodzinie (wietrzą czasami u pomysłodawców zapędy indoktrynacyjne). Uznają przy tym za nadrzędną zasadę służebności sieci szkolnej wobec sieci osiedleńczej (nawet gdyby negatywnie oceniali obecny stan rozproszenia tej sieci), dopatrując się m.in. kulturotwórczej misji w owej pozycji samotnego nauczyciela małej szkółki wiejskiej (jako „jedynego inteligenta w środowisku”). Kwestionują też często stopień koncentracji uznany za optymalny, wskazując, że – choć może dogodny dla instytucji – przekracza on skalę ludzką, przytłacza ucznia, przeistacza wychowanie w taśmową produkcję dyplomów. Są tu jednak możliwości regionalizacji rozwiązań, dostosowywania ich do warunków miejscowych.

Resumé

Sądzę, że nawet pobieżne rozważenie tych trzech wybranych przykładów pozwala dostrzec bogactwo przesłanek trafnego wyboru i niebezpieczeństwa towarzyszące apragmatycznemu podejmowaniu decyzji. To, że zbędna „ideologizacja” kwestii technicznych bywa często szkodliwa, nie oznacza jednak, że wolno ignorować wzorotwórcze funkcje form organizacyjnych, wśród których przebiega życie człowieka. Jeśli efekty są niejednoznaczne i trudne do przewidzenia, najlepiej sprawdza się różnorodność współistniejących ze sobą rozwiązań organizacyjnych.

3

Równość a nierówność społeczna

Uwagi wstępne

Pułapki generalizacji

Zanim przystąpię do zarysowania podstawowych problemów pojęciowych i zrelacjonowania sporów toczących się wokół słuszności, nieuchronności i użyteczności równości (i nierówności) społecznej, pragnę wskazać na główny grzech owych wielkich, odwiecznych sporów ideologicznych. Jest nim *skłonność do werbalnej generalizacji, do rozważań o „równości w ogóle”*, zakładających jakby, że czyjaś pozycja na skali obrazującej rozpiętości pod jakimś jednym względem pociągać za sobą musi identyczną pozycję na innych skalach, obrazujących rozpiętości pod wszelkimi innymi względami. Takie globalne, syntetyczne ujmowanie równości jest – oczywiście – logicznie uzasadnione, zgodne z zasadami ekonomiczności myślenia, wreszcie użyteczne dydaktycznie, ale tylko na etapie pierwszych ustaleń pojęciowych i wstępnych deklaracji ideologicznych. Natomiast niedobrze się dzieje, gdy to „zbiorcze” ujęcie staje się – przynajmniej w warstwie werbalnej – chronicznym nawykiem i utrzymuje się na etapie socjograficznej diagnozy i eksplikacji mechanizmów społecznych.

Ta maniera nie wyklucza – nader częstego, świadomego lub nieświadomego – wywodzenia koncepcji i argumentacji z zawężonego de facto postrzegania zjawiska, a następnie *nieuprawnionego poszerzania „pola trafności” wysuwanych tez*. Na przykład twierdzenia dotyczące w istocie nierówności płacowych (i, załóżmy, w odniesieniu do nich prawdziwe) bywają formułowane jako prawdy dotyczące „nierówności w ogóle”. Czasem jest to zwykłe niechłujstwo językowe, czasem – oczywisty dla uczestników sporu skrót myślowy. Wiele wyjaśnia kontekst sytuacyjny. XVIII-wieczni myśliciele mogli – mówiąc o ide-

ale równości – mieć na myśli tylko równość obywateli wobec prawa, a XIX-wieczni – na przykład równość wobec własności środków produkcji; kontekst historyczny i kontekst teoretyczny, w jakim te słowa padały, zdawał się to dopowiadać. Jednakże dalsze losy rozmaitych – „częstkowych” w istocie – ideologii i teorii, czyniących z równości oś swych rozważań, były nieoczekiwane. Oderwane od swego wyjściowego kontekstu poszczególne prawdy „szły w lud”, stereotypizowały się, w nowych warunkach bywały przypisywane do nowych obszarów rzeczywistości, często raczej zaciemniając niż rozjaśniając sytuację. Takie nieuprawnione przenoszenie twierdzeń, pierwotnie dotyczących jednych konkretnych na inne (lub na wszelkie) konkrety, jest wszechobecne i we współczesnych sporach egalitarystów z elitarystami. Postaram się to zilustrować, rekonstruując różne stanowiska i argumentacje – i te najbardziej skrajne, i te najczęściej przyjmowane.

Jak ich unikać

Uniknąć tego zamętu można na dwa sposoby. Po pierwsze, można pieczołowicie rekonstruować konteksty wypowiedzi. Ta metoda jednak jak to już deklarowałam – nie przybliży nas do operacjonalizacji stanowisk niezbędnej dla współczesnej polityki społecznej. Po drugie, można bezwzględnie przestrzegać zasad *konkretyzacji i wielowymiarowości analizy nierówności społecznych*. Przysparzają one wielu kłopotów diagnostycznych i odbierają stanowiskom tak ceniony przez ideologów walor angażującej emocjonalnie przejrzystości, ale tylko one pozwalają spożytkować w praktyce wnioski z toczonych dyskusji.

Wymiary nierówności

O tym, jak miałyby wyglądać taka wielowymiarowa i dostatecznie konkretna analiza nierówności społecznych, piszę w ostatniej części niniejszego rozdziału. Tu zasygnalizuję jedynie, jakie *dobra, ciężary i jakie role społeczne pełnione przez ludzi* powinny być przedmiotem analizy i oceny. Lista tych dóbr i ról powinna pokrywać się z całym obszarem zainteresowań polityki społecznej, a mianowicie z jej czterema głównymi sferami: pracą, dobrobytem, kulturą i społeczeństwem. Będzie więc obejmować: dostęp do pracy (dającej środki utrzymania, bezpiecznej, wygodnej, praworządnej, satysfakcjonującej, kwalifikowanej, twórczej, pozwalającej na partycypację w jej organizowaniu), konsumpcję (z dochodów pieniężnych i bezpłatną, a zwłaszcza żywność, mieszkanie, urządzenia czasooszczędne), majątek, czas wolny, dogodne do życia otoczenie sztuczne i naturalne, zdrowie, prokreację, wykształcenie, dopływ informacji o świecie, uczestnictwo w kulturze artystycznej, prestiż, udział we władzy, kontrolę nad władzą, niezależność, bezpieczeństwo itp.

Funkcje dóbr krążących między ludźmi

Ponadto – obok tego „asortymentowego” podejścia – bardzo ważne dla śledzenia referowanych tu sporów jest uświadomienie sobie, że wszystkie dobra krążące między ludźmi pełnią jedną (lub wszystkie) z następujących funkcji:

- *funkcję „inwestycyjną” w stosunku do danej jednostki* – gdy dostęp do danego dobra pozwala człowiekowi uruchomić tkwiący w nim potencjał życiowy, rozwinąć go i wciąż na nowo odtwarzać w miarę zużywania (taką funkcję pełnią na pewno wyżywienie, mieszkanie, wykształcenie, zdrowie, kultura; centrum decyzyjne może starać się rozprawadzać te dobra we właściwych im tylko, odrębnych systemach dystrybucji, zawsze jednak będą one w jakimś stopniu „płacochłonne”);
- *funkcję „inwestycyjną” w stosunku do następców jednostki* w procesie zastępowalności pokoleń; innymi słowy, funkcję nakładu na rozwój młodego pokolenia (nakłady te mogłyby docierać bezpośrednio do młodego pokolenia tylko pod – zgoła nierealistycznym – warunkiem likwidacji rodziny i oddania dzieci na wychowanie państwu: skoro więc większość dzieci wychowuje się w rodzinach, znaczną część środków asygnowanych przez ich dysponenta jako nakład na rozwój młodego pokolenia trzeba będzie adresować do ich rodziców);
- *funkcję motywacyjną*, bodźcującą tak „doinwestowane” jednostki do działań pożytecznych dla dysponenta tych środków (bezpośredniego pracodawcy lub rzecznika dobra wspólnego, to zależy od sytuacji);
- *funkcję nagradzania za zasługi* tych, którzy działali cnotliwie lub pożytecznie z własnej woli i bez instytucjonalnej zachęty (wówczas dystrybucja dóbr nie ma na celu wywołania jakichś działań lecz służy bezpośrednio tylko wymierzeniu sprawiedliwości; jednak, na dłuższą metę i pośrednio, ogólne przeświadczenie, że ład społeczny sprzyja nagradzaniu cnotliwych, wspomaga procesy interioryzacji wartości tego ładu przez jednostki i przyczyni się do ogólnie sprawniejszego jego funkcjonowania).

Funkcje inwestycyjne i motywacyjną dobra pełnią nawet wówczas, gdy ich krążenie między ludźmi nie podlega kontroli żadnego ośrodka decyzyjnego. O pełnieniu funkcji nagradzania jest sensowne mówić tylko wtedy, gdy taki ośrodek (jeden lub więcej) istnieje i z taką intencją ingeruje w krążenie dóbr.

Po zasygnalizowaniu tych kilku najważniejszych – nie jedynych przecież – wymiarów analizy powróćmy do podstawowych pojęć, niezbędnych w dalszych rozważaniach.

Podstawowe pojęcia i założenia

Równość to równość

Równość, hasło wzięte ze sztandarów Rewolucji Francuskiej, jest zarazem dość jednoznacznym – bo z arytmetyki wziętym – pojęciem opisowym, pozwalającym się łatwo operacjonalizować. I dlatego ważne jest, aby – przy zasadniczo odmiennym zastosowaniu – zakres tego pojęcia był zbliżony zarówno jako *kategorii aksjologicznej*, jak i *analitycznej*. Można najwyżej poczynić zastrzeżenie, że warto zajmować się – w analizach i w programach – nierównościami dopiero wtedy, kiedy ich rozmiar staje się istotny statystycznie lub psychologicznie.

Dlatego nie wydają mi się trafne definicje równości społecznej, które relatywizują i komplikują to pojęcie, utożsamiając „równość społeczną” z „usprawiedliwioną nierównością społeczną”. Na przykład E. Kostowska, uznaje – za J. Małanowskim – za nierówność społeczną tylko taki stan, „w którym jednostka lub grupy społeczne mają większy dostęp do dóbr lub wartości będących przedmiotem aspiracji społeczeństwa, kosztem innych jednostek lub grup”⁷⁹. Jest to próba wyeliminowania pewnych nierówności z pola analizy, zakłócająca – moim zdaniem – klarowność tego pojęcia. Sformułowanie to ma jeszcze jedną wadę – już w momencie rejestrowania nierówności zakłada się, że jej źródłem jest ów „koszt innych”, a więc np. ubytek stanu posiadania lub poniżenie innych ludzi, a to powinno być dopiero przedmiotem dowodu.

Trzy odmiany idei równości

Fundamentalne znaczenie ma natomiast rozróżnienie trzech pojęć: równości miar, równości szans i równości sytuacji⁸⁰; znaczenie tego rozróżnienia jest fundamentalne choćby dlatego, że nawet arytmetyczny sens tych pojęć jest zupełnie inny. Są to w istocie trzy różne – choć „spokrewnione” – wartości i nie można wykluczyć, że wystąpią między nimi kolizje. Trzeba więc, podobnie jak w przypadku kolektywizmu, zająć się trzema różnymi egalitaryzmami (i ich odwrotnościami) przyjmującymi zupełnie różne definicje wartości naczelnej.

Równa miara czy jedna miara

Postulat *równej miary* jest w gruncie rzeczy tożsamy z Perelmanowskim rozumieniem sprawiedliwości jako *równego traktowania* wszystkich, którzy należą *do tej samej kategorii* wyróżnionej ze względu na jakieś – dowolne – kryterium. Ta moralnie neutralna i nie implikująca żadnej hierarchii wartości „zasada zasad” podkreśla po prostu walor konsekwencji, nieczynienia żadnych

⁷⁹ Zob. E. Kostowska, *Idea równości społecznej*, Warszawa 1983, s. 282.

⁸⁰ Zob. Z. Morecka, *Społeczne aspekty gospodarowania*, Warszawa 1981, s. 25.

indywidualnych wyjątków od raz przyjętego kryterium podziału ludzi na kategorie, bez względu na sympatie, antypatie, zobowiązania czy interesy. Jak to sformułował K. Ajdukiewicz: „Nikommu nie należy się nic z tego tylko tytułu, że to właśnie on, a nie kto inny”⁸¹.

Nie wyczerpuje to jednak treści postulatu równej miary. Z reguły bywa on utożsamiany z postulatem *jednej miary*. Za cnotę uznaje się tu „czystość”, „jednokryterialność” zasady podziału. Jeśli główną cnotą ma być „jednokryterialność” podziału, wyżej wypadnie ocenić taką sytuację, w której podstawą udziału (lub braku udziału) w dobrach jest własność (lub brak własności), niż sytuację, w której jednych wynagradza się za własność a drugich (własności pozbawionych) za pracę. Jak widać, formalistyczna zasada równej miary nie tylko jest czymś jakościowo odmiennym od idei równych szans i równości sytuacji, ale pole ich potencjalnego konfliktu jest rozległe, zaś pokrewieństwo duchowe – dość odległe.

Jaka miara?

Wśród rozlicznych konkretyzacji zasady jednej miary można znaleźć i takie: „każdemu według *pozycji*, jaką mu daje urodzenie” lub „każdemu według jego *godności*”⁸². Nawet wówczas, gdy ową jedną miarą ma być *praca*, powstanie kategoria osób dotkliwie upośledzonych – a mianowicie ludzi niesprawnych i nie mających dostępu do pracy. Bliższe powinowactwo ideowe łączy wyznawców formuły równej miary z egalitarystami sytuacji i szans jedynie wtedy, gdy precyzują oni tę formułę w duchu merytokratycznym, a więc w sposób następujący: jedyne istotne kategorie ludzi, pomiędzy którymi nierówności dają się usprawiedliwiać, to – z jednej strony – zbiór jednostek, które cechuje talent, wola i impet pożytecznego działania, oraz – z drugiej strony – zbiór jednostek niezdolnych, leniwych i niesprawnych. Status jednostki ma być proporcjonalny do realizacji przez nią swych potencjalnych cech typu „być” (i ona ma być ową „jedną miarą”), nie powinien zaś pozostawać w żadnym związku z cechami typu „mieć” jednostki i jej środowiska społecznego. W tej wersji nie aprobejuje się więc większości miar stosowanych w społeczeństwach znanych z historii.

Reasumując, przyjęcie w polityce społecznej idei równej miary wymaga: *po pierwsze* – odżegnania się od protekcji, nepotyzmu i innych postaci uznaniowości łamiącej raz ustalone zasady; *po drugie* – zdecydowania się na „jednokryterialny” schemat podziału ludzi na kategorie; *po trzecie* – dokonania wyboru owego jedynego kryterium (w tej fazie formalizm ustępuje miejsca opcjom aksjologicznym, dając w efekcie liczną rodzinę ideologii „równej miary”, skłóconych ze sobą i często skłóconych z ideami równości szans i równości sytuacji).

⁸¹ Cyt. za: M. Ossowska, *Normy moralne, próba systematyzacji*, Warszawa 1985, s. 144.

⁸² Zob. Z. Ziemiński, *Związki między sprawiedliwością a równością*, „Etyka” 1981, nr 19, s. 102.

Równość szans czy równość startu życiowego

Idea *równości szans* jest chyba najpowszechniej akceptowana spośród trzech „równościowych” wartości. Szczególnie wymagającą wersję formuły równych szans reprezentuje Z. Morecka, postulująca realną równość całych „ścieżek życiowych”. Tak przynajmniej interpretuje jej wypowiedzi M. Pohorille, polemicznie stwierdzając: „Konsekwentna realizacja postulatu równości szans wymagałaby w końcu, aby *ciągle na nowo* tworzyć ludziom nowe sytuacje wyjściowe. Jest to praktycznie niemożliwe lub, ściślej biorąc, wykraczałoby daleko poza to, co powszechnie rozumie się przez równość szans – oznaczałoby de facto równość sytuacji. A stworzenie takiej równej sytuacji na etapie stosowania równości miar wymagałoby, aby jednostki, które osiągnęły w przeszłości lepsze wyniki dzięki bardziej wydajnej pracy (jeśli to ona będzie równą miarą – J.S.), zostały ich pozbawione”⁸³. Innymi słowy, rodzi się kwestia, ile razy można startować od nowa, ile razy wolno i należy prostować ludzkie „ścieżki życiowe”.

Najczęściej przyjmuje się, że korekta ma być dokonywana jedynie we wczesnych latach życia. Równość szans jest więc precyzowana jako zasada *równości warunków startu życiowego młodego pokolenia*. Wymaga to zbudowania adekwatnego do rzeczywistości modelu awansu życiowego jednostki, zdefiniowania sukcesu życiowego, ustalenia faz życia i czynników, których znaczenie dla odniesienia sukcesu życiowego jest kluczowe. Nagminne utożsamianie startu życiowego ze startem oświatowym może posłużyć jako przykład posługiwania się modelem zbyt powierzchownym i częściowo zdezaktualizowanym. Jest też przykładem zabiegu odwrotnego niż ten, któremu poświęcone były uwagi wstępne do tego rozdziału; idea generalna zbyt szybko została tu sprowadzona do zadania szczegółowego, ważnego, ale nie wyczerpującego jej zawartości.

Innego rodzaju zawężeniem – i formalizacją – idei równości szans jest tradycyjny postulat „...co najmniej nie zamykania z góry nikomu drogi do wyróżnionych pozycji społecznych”⁸⁴, sprowadzający problem do braku formalnych barier.

Jeszcze jedna uwaga – hasło równości szans wypiera czasami ze społecznej świadomości ideę *istnienia szans*, a bez jej realizacji hasło to staje się puste lub przeistacza się w wizję równego trwania w bezruchu i braku perspektyw.

Równość sytuacji

Najprostsza ale budząca najwięcej kontrowersji jest idea *równości sytuacji*. W odbiorze społecznym największą wagę przypisuje się do równej sytuacji

⁸³ M. Pohorille, *Potrzeby. Podział. Konsumpcja*, Warszawa 1985, s. 141.

⁸⁴ Z. Ziemiński, *Związki między sprawiedliwością...*, jw., s. 105.

w stosunku do systemu dystrybucji dóbr, równego *podziału dóbr*. Idea równości sytuacji obejmuje jednak także równy *podział ciężarów* i równy *dostęp do ról społecznych*. Bowiem idee równości „...są jednym z typów idei regulujących podział dóbr, jak i relacje między ludźmi”⁸⁵. Najprecyzyjniej rozwija tę ideę formuła: „każdego człowieka w każdych okolicznościach należy traktować dokładnie tak samo, jak innych”⁸⁶. *Jedną miarą jest tu człowieczeństwo*. Pozostaje tylko wyjaśnić, kogo będzie się uważać za człowieka. Formuła ta jest więc do pogodzenia zarówno z ideą równej miary, jak i z ideą równej sytuacji. Bardziej popularna – ale też bardziej zawiła, wprowadzająca nowe elementy – jest formuła *każdemu według potrzeb*. Kolizje między równością sytuacji a większością interpretacji równości miar i szans są oczywiste. Tak więc np. trudno jest utrzymać równość sytuacji, jeśli uprzednio dało się wszystkim szanse ekspansji i samorealizacji (nawet jeśli to były równe szanse). Ale też trudno osiągać znaczniejsze sukcesy w dziele zrównywania szans, jeśli nie zapewniło się uprzednio równości sytuacji.

Co to znaczy społeczna

Wyjaśnić trzeba jeszcze jedną kwestię, co to znaczy nierówność społeczna. Ci autorzy, którzy odczuwają potrzebę wyjaśnienia przymiotnika „społeczna” (a nie są to bynajmniej wszyscy autorzy pisujący na ten temat) wskazują na dwa elementy (łącznie lub rozłącznie): równość społeczna to równość „*wyprodukowana*” przez warunki społeczne, będąca pochodną procesów zachodzących w makroskali (zaś nierówność społeczna to... jw.); równość społeczna to równość *zachodząca między dużymi zbiorowościami ludzkimi*, mająca więc charakter statystyczny (a nierówność... etc.). Warto podtrzymać te ustalenia, co nie uchroni nas jednak przed pewnymi niejasnościami.

Na ogół rzecznicy idei równości szans i równości sytuacji przyznają, że znoszenie nierówności między jednostkami wchodzącymi w skład tych samych grup społecznych nie jest ani możliwe ani potrzebne – nierówności te wynikają z cech jednostek, a także ze splotu indywidualnych okoliczności życiowych. Ale czy rzeczywiście nieistotne społecznie i niewarte odnotowania jest to, że w tych samych środowiskach społecznych jedni rodzice troszczą się o rozwój swych dzieci, a inni swe dzieci zaniedbują? Że w każdym środowisku społecznym pojawiają się ludzie niepełnosprawni? Przecież możemy wówczas mówić o nierównościach społecznych między zbiorowościami dzieci prawidłowo wychowywanych i dzieci zaniedbanych, między zbiorowościami ludzi zdrowych i inwalidów; możemy też winić społeczeństwo, że nie stworzyło instytucji niweczących skutki ryzyka tego typu (i w tym – okrężnym – sensie mówić o społecznych, systemowych, uwarunkowaniach tych nierówności).

⁸⁵ E. Kostowska, *Idea równości...*, jw., s. 275.

⁸⁶ Z. Ziemiński, *Związki między sprawiedliwością...*, jw., s. 101.

Idea równości a idea regulacji

I wreszcie uwaga końcowa. Istnieje pewne ciche założenie, jakie przyjmują twórcy i wyznawcy rozmaitych formuł sprawiedliwości społecznej, w tym również formuł egalitarnych. Zakładają oni, że słuszne jest, aby świat społeczny został przez kogoś wreszcie uporządkowany, aby ustanowić nowe prawa lub wzmocnić stare prawa nadszarpnięte zębem czasu, by powołać do życia nowe mechanizmy społeczne lub wyregulować stare, że *ktoś* musi czuwać nad owymi „regulacjami społecznymi”.

Akceptuje się więc samą ideę regulacji. Prędzej czy później, rzecznicy tych koncepcji muszą sprecyzować, komu godzi się to doniosłe zadanie powierzyć i jakie sposoby działania są tu dozwolone; czy w ogóle istnieją dające się akceptować – drogi dojścia do stanów pożądaných. Pojawia się więc pokusa, by w imię idei kształtowania sprawiedliwych (nie-) równości społecznych zaaprobować kolektywizm pierwszego i drugiego typu (zdefiniowane na początku poprzedniego rozdziału). Zatwardziali indywidualiści będą jednak obstawać przy zdaniu, że regulatorem nierówności społecznych nie musi być „ktoś”, lecz wystarczy „coś” – a więc jakiś mechanizm, „automatyzm społeczny”, np. rynek. Ten automatyzm albo już – ich zdaniem – istnieje i działa zgodnie z oczekiwaniami, albo wystarczy go jednorazowo zainstalować i zdać się na jego samoczynne działanie, zaprzestając ingerencji. I tu mogą pojawić się prawdziwie trudne do rozstrzygnięcia dylematy „wdrożeńiowe”.

Czy równość jest dobra

Równość społeczna tak czy inaczej rozumiana, staje się dla wielu ludzi wartością, jest – ich zdaniem – dobra, bo piękna, przyjemna, eliminująca lęk przed poniżeniem, stanowiąca warunek wstępny braterstwa; a także dobra, bo sprawiedliwa i słuszna.

Emocje za i przeciw równości

Często się podkreśla, że *egalitarne* emocje, nie wymagające żadnych dodatkowych uzasadnień, są, po pierwsze, w historii społeczeństw zjawiskiem stosunkowo nowym, jest to „skłonność, która przenika ducha tylko naszych czasów”⁸⁷, „... egalitaryzm przeżywa w XX wieku wyraźny awans w hierarchii wartości społecznych”⁸⁸, i po drugie, zjawiskiem bynajmniej nie powszechnym, także i dziś. Prowadzi to nieraz do ambiwalencji postaw tych samych ludzi. „*Psychiczna atrakcyjność nierówności może być równie głęboka i ważna, i to nie tylko dla tych, którzy odnoszą korzyści z istnienia nierównego statusu*”⁸⁹.

⁸⁷ E. Gellner, *Społeczne korzenie egalitaryzmu*, „Etyka” 1981, nr 19, s. 22.

⁸⁸ E. Kostowska, *Idea równości...*, jw., s. 278.

⁸⁹ E. Gellner, *Społeczne korzenie egalitaryzmu*, jw., s. 22.

Można w ludzkiej psychice doszukać się przeświadczenia o „niepokojącym uroku wielkich przywilejów”, „głębokiego, pozytywnego pragnienia nierówności, jako pragnienia odczuwanego nawet (a może przede wszystkim) przez mniej uprzywilejowanych”, nierówność może dawać „porywające samo przez się przeżycie”⁹⁰. Nierówności społeczne – podobnie jak równość – mogą więc być uznawane za dobre, bo *przyjemne*. Dotyczyć to może głównie nierówności sytuacji, ale także nierówności szans i miar. W pewnych warunkach opisane tu emocje może zaspokajać marginesowy społecznie kult idoli popkultury lub rodziny królewskiej; w innych nastroje te mogą odciskać silniejsze piętno na życiu społecznym i propagatorzy idei egalitarnych winni to dostrzegać.

Słuszność równości

Przekonanie, że *równość społeczna* – w tym także *równość sytuacji* – jest *sprawiedliwa*, może opierać się na założeniu, że losy i osiągnięcia życiowe jednostek są zdeterminowane głównie – lub nawet bez reszty przez okoliczności zewnętrzne; przez dziedziczenie kapitału finansowego, kulturowego, społecznego (społecznych koneksji) czy wreszcie „kapitału genetycznego”. Ten *determinizm* – interpretowany dwojako, „... z większym ukłonem ku biologicznym lub większym ukłonem ku kulturotwórczym wyjaśnieniom” może ogarniać nawet takie typowo indywidualne cechy ludzkiej psychiki, jak dobre chęci czy silna wola. Tak więc np. „niektórzy zwolennicy genetycznej determinacji zachowań jednostki skłonni są do twierdzenia, że również predyspozycje do przejawiania określonych cech temperamentalnych, i w konsekwencji motywacji, mogą być odniesione do genetycznego wyposażenia jednostki”⁹¹. Człowiek jest bardziej sumą okoliczności życiowych niż podmiotem używającym swej wolnej woli. *Niesłuszne* jest więc – w myśl referowanego stanowiska – nagradzanie za to, że ktoś skorzystał z danego mu przywileju; niesłuszne jest karanie za to, że ktoś pozbawiony został warunków rozwoju.

Wprawdzie wiele jednostek zażarcie i skutecznie pokonuje wzniesione na ich drodze przez społeczeństwo bariery, jednak ostateczny rezultat tych zmagañ jest z reguły niewspółmierny do osiągniętej pozycji, wyjątki potwierdzają tę regułę. „Czy przypadkiem nie jest tak, że dziecko wiejskie wkłada więcej wysiłku w ukończenie średniej szkoły niż syn profesora w zrobienie doktoratu? Któremu z nich się więcej należy za «wysiłek»?”⁹² Gdybyśmy uznali, że wysiłek jest zasługą jednostki a nie pochodną genotypu, winniśmy wynagradzać za „... odległość między punktem wyjścia (mierzoną np. biologicznie zdeterminowanym talentem i miejscem rodziców w strukturze społecznej) a punktem

⁹⁰ Tamże.

⁹¹ Zob. W. Wesołowski, *Uwarstwienie i merytokratyczna sprawiedliwość*, „Studia Socjologiczne” 1980, nr 4, s. 95.

⁹² Tamże, s. 93.

dojścia jednostki czyli zajętą pozycją społeczną”⁹³. Można tę dyrektywę zastosować przy wydawaniu sądów moralnych o jednostkach, natomiast nie wydaje się to możliwe w operującej schematami polityce społecznej. „Egalitarnym deterministom” narzuca się zatem wniosek, że powoływanie się na zasługi jako usprawiedliwienie nierówności społecznych nie daje się obronić.

Czy rzeczywiście aprobatą równości sytuacji musi wiązać się z niewiarą w ludzkie możliwości? Na pewno nie, skoro w tradycji myśli socjalistycznej hasła równości i godności ludzkiej wypowiedziano zawsze jednym tchem. To też najczęściej powiada się, że na razie – z winy ustroju społecznego niewiele zależy od jednostki; dopóki nie usunie się pęt i barier, nagradzanie za rzekome zasługi nie może być uznane za słuszne. Tak więc, jeśli przyjmiemy „słuszcnościowy” porządek oceny, winniśmy domagać się stosowania podziału według potrzeb w okresie budowy socjalizmu, a stosowania podziału według zasług – dopiero w komunizmie. Jednak przyjęło się tradycyjnie odwracać tę sekwencję obowiązujących zasad, ale to już pod wpływem uznanej w tej kwestii za priorytetową – argumentacji „efektywnościowej”.

Jest jeszcze jeden wart uwagi sposób uzasadniania równego dzielenia przez społeczeństwo dóbr pomiędzy jednostki mierne i wybitne. Powiada się mianowicie, że takie cechy pracy, jak odpowiedzialność, złożoność mierzona wykształceniem, ryzyko itp. „same się nagradzają”, należy je księgować po stronie „ma” a nie po stronie „winien”; są przedmiotem pożądania, źródłem autotelicznej satysfakcji, a także szansą na lepsze ułożenie sobie życia pod wieloma innymi względami. Zgodnie z tym optymistycznym stanowiskiem, im bardziej rozwinięty i twórczy człowiek, tym mniej są mu potrzebne wyrazy zewnętrznego uznania, nagrody odnajduje w sobie, satysfakcje czerpie z doświadczenia własnego rozwoju (M. Rokeach umieścił na liście 18 naczelnych wartości ludzkich „poczucie dokonań, trwałego wkładu”)⁹⁴.

Słuszność nierówności

Z kolei pogląd głoszący, że *społeczne nierówności sytuacji są przejawem sprawiedliwego nagradzania* tych, którzy uczynili lepszy użytek ze swego człowieczeństwa, zakłada dużo pochlebniejszą ocenę zarówno zdolności jednostki do samodzielnego kształtowania swego losu, jak i towarzyszących temu okoliczności społecznych. Słuszności tego poglądu dowodzi się często na przykładach wybranych jednostkowych biografii ludzi wybitnych, po czym wnioski rozciąga się na nierówności między zbiorowościami „Słuszcnościowe” argumenty na rzecz „merytokratycznej sprawiedliwości” dają się przedstawić następująco:” 1) wysiłek, jaki młoda osoba wkłada w osiągnięcie wyższych poziomów wykształcenia i kwalifikacji, powinien być adekwatnie nagradza-

⁹³ Tamże, s. 96.

⁹⁴ M. Rokeach, *The Nature of Human Values*, New York 1973.

ny, ponieważ większy wysiłek zasługuje na większą nagrodę; 2) osoby o wyższym poziomie wykształcenia i większych kwalifikacjach dają więcej społeczeństwu, i dlatego są upoważnione do otrzymania więcej od społeczeństwa; 3) talent w nauce, sztuce i innej działalności zawodowej winien być dodatkowo czy ponad normę wynagradzany, niezależnie od tego, że jest on rezultatem genetycznego wyposażenia jednostki; talent rozwijany zasługuje na najwyższe uznanie i najwyższe nagrody⁹⁵. W tezach tych nie precyzuje się, jaki rozmiar dystansów społecznych i ile płaszczyzn nierówności przytoczona argumentacja ma usprawiedliwiać. Toteż jak podkreśla W. Wesołowski możliwe są tu rozmaite i bardzo dowolne interpretacje, od zdecydowanie elitarystycznych po omalże „egalitaryzujące”.

Dotychczas referowane stanowiska i kontrstanowiska operowały pojęciem „zasług jednostki”, akceptując lub odrzucając je jako kryterium nagradzania, uznając lub kwestionując możliwość ich istnienia, postrzegając zaobserwowane nierówności między zbiorowościami jako statystyczny efekt nagradzania jednostek za zasługi lub – wręcz przeciwnie – widząc w nich główną barierę uniemożliwiającą nagradzanie jednostek stosownie do ich zasług. W pewnych tekstach ideologicznych można natknąć się ponadto na ideę „zasług zbiorowości”, w szczególności zasług klas społecznych, postrzeganych nawet w perspektywie międzypokoleniowej. Z tytułu zasług miałyby klasom przysługiwać trwałe przywileje, prowadzące do nierówności sytuacji, szans, a nawet miar. Znajdują się więc rzecznicy przywilejów dla arystokracji – bo ta kulturalna i szlachetna kasta wydała na przestrzeni dziejów tylu mężów opatrznościowych naszej historii – lub dla klasy robotniczej – bo należy jej się to po latach wyzysku, cierpień i walki o nowy sprawiedliwy ustrój. Roszczenia takie bywają pochodną – chwalebnych skądinąd – uczuć dumy czy godności klasowej, ale budzą wiele wątpliwości.

Jeszcze jeden sposób uzasadniania nierówności sytuacji powołuje się nie na kryterium zasługi a na *kryterium potrzeby*. Jednak nie chodzi tu o zestandaryzowaną potrzebę „rzeczywistą” (która – zgodnie z hasłem „równych żołądków” – służyła uzasadnianiu równości sytuacji) a o rozbudzone pragnienia, rosnące wraz z witalnością organizmu, żywością intelektu, wykształceniem i doświadczeniem. Zgodnie z tym stanowiskiem ani żołądki, ani zmysły, ani intelekt nie są równe. Mniejsza o przyczyny, ale jeśli chcemy – inspirowani przez teorie utylitarystyczne – maksymalizować sumę ludzkich satysfakcji, to dajmy więcej tym, którzy „potrafią chcieć”, „umieją się delektować”, zamiast mozolnie – i często bezskutecznie – wzbogacać układy preferencji osobników prymitywnych i pogodzonych ze swym statusem. Nie trzeba dodawać, że zarówno rzecznicy, jak i krytycy tego poglądu uważają się za spadkobierców prastarych ideałów humanizmu.

⁹⁵ W. Wesołowski, *Uwarstwienie i merytokratyczna sprawiedliwość*, jw., s. 89.

Zamiast resumé

Niezależnie od tego, jak podsumujemy wszystkie „za” i „przeciw” w tym sporze aksjologicznym, możemy przypuszczać – za Gellnerem – że współcześnie straciły swą wiarygodność odziedziczone po minionych wiekach dogmatyczne podstawy rozmaitych systemów hierarchii i nierówności (jako że zapanował powszechny relatywizm), a więc „...nic nie stoi na przeszkodzie, abyśmy wszyscy byli równi. Można sądzić, że równość wymaga mniej racji niż nierówność, a skoro brak jest odpowiednich racji lub przesłanek na rzecz określonej wizji porządku społecznego, to niejako automatycznie świadczy to na korzyść egalitaryzmu”⁹⁶.

Czy równość jest nieuchronna

Nieuchronność nierówności – odwieczna natura ludzka czy wymóg modernizacji

Niezależnie od tego, że równość i nierówność społeczna są postrzegane przez ludzi jako dobre lub złe – bywa, że współczesne przejawy równości lub nierówności, a także narastanie tych przejawów, uznaje się za nieuchronne. Tego typu tezy są – w odróżnieniu od uprzednio omawianych opcji ideowych – sprawdzalne empirycznie, choć wystąpią przy tym te różnorakie trudności warsztatowe, jakie trapią wszystkich badaczy życia społecznego. W szczególności okaże się, że *granica* między tym, co użyteczne, a tym, co nieuchronne, jest płynna.

O *nieuchronności nierówności społecznych w sensie absolutnym* mówią ci, którzy widzą ich praprzyczynę w „naturze ludzkiej”; w tych jej cechach, które są niezmiennie, niepodatne na skorodowanie przez żadne systemy społeczne. Grzechem pierworodnym człowieka ma być dążenie do dominacji nad innymi, pęd do wyróżnienia się, a nieuleczalną przywarą – niechęć do pracy, gdy brak przymusu ekonomicznego. Ten tradycyjny argument antyegalitarny ma to do siebie, że nie zapowiada on narastającej dynamiki dążeń godzących w wizję egalitarnego ładu, tylko akcentuje ich odwieczność i trwanie.

Inaczej jest z argumentacją na rzecz tezy o nieuchronnym związku między modernizacją a narastaniem nierówności społecznych. Ma być ono ceną, jaką płacą społeczeństwa za burzliwy rozwój techniki, racjonalizację sterowania rozwojem ekonomicznym i społecznym przez wielkie sformalizowane organizacje, koncentrację władzy w rękach takiej czy innej techno- lub merytokracji itp. Zrezygnować z ładu społecznego naznaczonego przez narastające dystanse między ludźmi teoretycznie można – ale za cenę wielowymiarowego regresu, marginalizacji w stosunku do dynamicznej czołówki światowej⁹⁷; za cenę

⁹⁶ E. Gellner, *Społeczne korzenie egalitaryzmu*, jw., s. 40.

⁹⁷ Zob. koncepcje Daniela Bella omawiane w: W. Morawski, *Nowe społeczeństwo przemysłowe. Analiza i krytyka koncepcji*, Warszawa 1975.

odrzuć tak cenionych we współczesnych społeczeństwach wartości, jak „orientacja na osiągnięcia”, efektywność, prężność i witalność.

Inni z kolei „zrezygnowani, antyegalitaryści” (którzy, jak Gellner to formuluje, „gdyby tylko równość była możliwa do zrealizowania w społeczeństwie, przyjąłby ją z radością”⁹⁸) widzą nawet teoretyczną możliwość funkcjonowania nowoczesnego społeczeństwa egalitarnego, ale nie widzą praktycznej możliwości *pokojuowego przekształcenia starego ładu w nowy*, rewolucję zaś odrzucają, jako – nieuchronnie lub prawie nieuchronnie – wyniszczającą jednych ludzi a wywyższającą innych, tyle, że nowych.

Nieuchronność równości – powrót do natury czy wymóg modernizacji

Powiada się także, choć rzadziej, że to – wręcz przeciwnie – *narastanie równości społecznej jest współcześnie nieuchronne* (a przynajmniej, że powrót do minionych drastycznych nierówności jest mrzonką). I w tym przypadku można – jak się okazuje – odwołać się do *natury ludzkiej*, w tonie aprobowującym wywodząc wrodzony egalitaryzm postaw z faktu „równości żołądków”⁹⁹ lub też w tonie krytycznym ukazując destrukcyjny wpływ odwiecznej „bezinteresownej zawiści”, i dostrzegać we współczesności symptomy powrotu do owej natury. Można też dowodzić, że długotrwałe trendy kulturowe modyfikują – w sposób korzystny dla równości – odwieczny pęd człowieka do dominacji nad innymi ludźmi. Choćby rewolucja seksualne, która „...ogromnie osłabiła pewien ważny motyw dążenia do kontroli nad ludźmi. Nawet dla tych, którzy nie mają władzy ani wpływów, seks jest dzisiaj łatwiej osiągalny”¹⁰⁰.

Powiada się też, że to właśnie *procesy modernizacyjne* i wymogi trwania współczesnego społeczeństwa w stanie homeostazy wymuszają wielowymiarową egalitaryzację. Nie ma więc mowy o okropnościach proegalitarnej rewolucji, przemocą rozbijającej mechanizmy społeczne, skoro jest ona zbędna – to właśnie te mechanizmy nieubłaganie prą ku egalitaryzmowi. Przykładowo można tu wymienić olbrzymią mobilność zawodową i zmienność ekip rządzących, co nie tylko zwiększa rotację na pozycjach uprzywilejowanych i upośledzonych (i ty będziesz miał swoje pięć minut sukcesu), ale i zmusza do – mającego swe źródło w kunktatorstwie – dobrego traktowania nawet szarych obywateli i marginalnych zbiorowości, „...ponieważ może się kiedyś okazać, że właśnie oni trzymają w ręku jakąś istotną dźwignię”¹⁰¹.

⁹⁸ E. Gellner, *Społeczne korzenie egalitaryzmu*, jw., s. 22.

⁹⁹ U Kanta „to, co sprawia, że jesteśmy ludźmi, jest w nas wszystkich jednakowe i realne. To, co nas od siebie odróżnia, należy do świata pozorów”. Cyt. za E. Gellnerem, tamże, s. 41.

¹⁰⁰ Tamże, s. 31.

¹⁰¹ Tamże, s. 37.

Złożoność, anonimowość oraz krótkotrwałość ludzkich kontaktów w ramach wielu różnych organizacji, których znaczenie trudno bywa porównać, każe odrzucić we współczesnym życiu zawodowym normy obyczajowe respektujące hierarchię społeczną. Bogactwo staje się „mniej prestiżowym” środkiem osiągnięcia prestiżu niż sukces zawodowy, a najwyższa nawet pozycja nie umożliwi nikomu otoczenia się służalczością bliźnich, choćby wskutek profesjonalizacji i specjalizacji usług. Zwęża się repertuar pożądanых nagród, motywujących do pięcia się w górę; seks i służalczość to tylko przykłady zanikających nagród.

Obserwuje się też spontaniczny proces likwidacji zawodów i stanowisk zajmujących dotychczas najniższe pozycje w hierarchii prestiżu. „Głoszący nogami” pracownicy, którzy niejednokrotnie wolą być bezrobotni niż wykonywać najbardziej poniżające zajęcia, wymuszają stopniowo innowacje techniczne, zastępujące ten typ pracy ludzkiej. Zaś nieodwracalny trend wydłużania czasu wolnego powiększa obszar, na którym egalitaryzacja napotyka mniej barier.

Wreszcie sama – wciąż rosnąca współcześnie – zamożność społeczeństwa ma osłabiać dolegliwości nierównej konsumpcji. Gdy podnosi się wciąż minimalny poziom życia zagwarantowany ogromnej większości ludzi, nierówność w podziale nadwyżek pełni w coraz większym stopniu funkcje nadawania symbolicznego statusu wyższości. Co nie zmienia faktu – jak to już podkreślano – że hierarchia prestiżu także ma tracić na znaczeniu.

Zamiast resumé

Nie zamierzam ustosunkowywać się do tych znoszących się wzajemnie – argumentów. Chcę tylko zwrócić uwagę, że u jednych „rzeczników nieuchronności” (czy to równości czy nierówności społecznej) pobrzmiewa zadowolenie z „samorealizującej się utopii”, bo – zgodnie z ich przeświadczeniem – nieuchronne jest to, co dobre. Inni – szczerze lub obłudnie – deklarują niezadowolenie z tego, że ich ideał moralny okazał się nierealizowalny na tym świecie w skali społecznej.

Do niektórych wątków wypadnie jeszcze powrócić w następnej części tego rozdziału, gdyż jak to już sygnalizowałam – *płynna jest granica między „nieuchronnym” i niezależnym od czyichkolwiek, zbiorowych czy indywidualnych, zabiegów” i „użytecznym* tak bardzo, że nieuchronnie wszyscy rozsądni politycy, pragnący uniknąć rozkładu społeczeństwa, wprowadzą tę użyteczność w życie”.

Czy równość może być użyteczna

W imię jak rozumianej efektywności

To, co jedni uznają za wartość, może być przez innych traktowane (również lub zamiast) jako instrument do osiągnięcia innych wartości lub interesów. To, co jedni traktują jako nieuchronną konsekwencję pewnych procesów, inni –

poszukując środków skutecznego działania – postrzegają jako przesłankę pożądanego stanu i rzecz jasna – starają się ją sprowadzić. Toczy się w związku z tym spór, *jakie dystanse społeczne – malejące czy narastające – sprzyjają sprawnemu funkcjonowaniu społeczeństwa.*

W społeczeństwach, w których kwestią społeczną staje się niska sprawność działania większości mechanizmów społecznych, *efektywność* może autonomizować się, z pragmatycznie oczywistej zasady działania *awansuje do roli samostanowiącej wartości* (omalże bez związku z tym, jakim celom służy sprawne działanie). Zjawisko takie wystąpiło chyba współcześnie w świadomości społecznej Polaków, choć efektywność funkcjonuje tu raczej jako wartość odświeżona, a nie jako wartość realnie ukierunkowująca ludzkie dążenia. Dlatego też wszelkie tezy o sprzeczności równości (lub nierówności) społecznej z efektywnością wywierają duże wrażenie i przyczyniają się do dezawuowania tych wartości.

Ponadto można postulować zwiększenie (lub zmniejszenie) nierówności społecznych dowodząc, że np. posłuży to pomnożeniu dobra wspólnego, bezpieczeństwa czy wolności, że zwiększy to pulę dóbr konsumpcyjnych i wolnego czasu do podziału. Jeśli ta argumentacja okaże się przekonująca, to może ujawnić się w praktyce *kolizja aksjologiczna*, zmuszająca do rozstrzygnięcia dylematu: albo ograniczymy (czasowo lub trwale) realizację wyznawanego przez nas ideału równości (nierówności) społecznej, albo ograniczymy realizację innych ważnych ideałów: bezpieczeństwa, wolności, konsumpcji, czasu wolnego itd. To ograniczenie realizacji innych wartości może objąć całą wspólnotę, może też dotyczyć niektórych tylko grup społecznych (w tym drugim przypadku będziemy raczej mówić o kolizji wartości i interesów).

Tak więc efektywność może oznaczać wypadkową *różnych sprawności* cechujących dane społeczeństwo, może też oznaczać *szczególną sprawność* w realizacji wybranej wartości. W imię tej efektywności chce się czasami potraktować cenioną przez siebie równość społeczną jako instrument (zdejmując ją niejako z piedestału) albo nawet w imię tej efektywności postanawia się ograniczyć dążenia do równości (poświęcając ją na ołtarzu innego bóstwa). Te same zabiegi mogą dotyczyć nierówności społecznej.

Egalitaryzm społeczeństwa a jakość

Rozważmy po pierwsze, jak można oceniać kierunek ogólnych *zależności między stopniem egalitaryzmu społeczeństwa a jego stanem*. Najbardziej rozpowszechnione wydają się poglądy, wedle których nierówności społeczne wpływają pozytywnie na jakość kultury i cywilizacji, dynamizm i innowacyjność społeczeństwa.

Oskarża się więc egalitarne społeczeństwo o to, że wytwarza ono masową kulturę odpowiadającą złym gustom masowej publiczności (degradującą się w stosunku do kultury „obsługującej” nieliczną uprzywilejowaną publiczność

o odpowiednim wykształceniu i wyrobionym smaku), że produkcja zaspokajająca pragnienia mas staje się tandetna, że nawet jakość polityki i polityków zabiegających o poparcie mas wyborczych obniża się (o czym pisał już ironicznie Tocqueville: „Moralne panowanie większości opiera się po części na założeniu, że wielu ludzi zgromadzonych razem posiada więcej wykształcenia i rozumu niż jeden człowiek, że liczba prawodawców jest ważniejsza niż ich dobór”)¹⁰². W społeczeństwie równych szans, ceniącym osiągnięcia, ale w którym brak zobiektywizowanych mierników sukcesu i wyróżników wysokiego statusu, powszechną przywarą staje się *konformizm*, psychiczna zależność od opinii innych ludzi. Troska o potrzeby większości sprzyja zaniedbaniu ludzi utalentowanych i marnowaniu ich talentów. W świecie, w którym współlistnieją nie odgródzone od siebie jakąś żelazną kurtyną zbiorowości różniące się stopniem egalitaryzmu, porządek egalitarny jednej z grup „może powodować migrację najzdolniejszych członków grupy do innych grup, stwarzając dla nich większe możliwości sukcesu, znalezienia wyrazu dla ich osobowości i przejawienia uzdolnień”¹⁰³. Może to być migracja międzynarodowa lub – w ramach gospodarki narodowej – międzysektorowa.

Generalnie, *równość ma pociągać za sobą „zbylejaczenie”*. Nawet przeciwnicy elitaryzmu zauważają ten negatywny efekt uboczny równości, choć go nie demonizują: „po prostu nie możemy jednocześnie mieć ciastka i zjeść go. Nie możemy łączyć przewag arystokratycznego i demokratycznego społeczeństwa; nie możemy mieć elity kulturalnej tworzącej bez oglądania się na masowe gusty w społeczeństwie kładącym nacisk na wartość sądów potocznych”¹⁰⁴.

Przeciwstawne dotychczas referowanym i ocenianym poglądy o *użyteczności równości społecznej* są mniej popularne, ale nie są bynajmniej odosobnione. Podkreśla się więc przede wszystkim użyteczność równości jako *spoiwa zbiorowości*. M. Rokeach wręcz utożsamia równość z braterstwem w swym katalogu naczelných wartości¹⁰⁵. Znaczenie tego spoiwa rośnie w sytuacjach ekstremalnych: „Zagrożenia zewnętrzne sprzyjają rozwojowi idei egalitarnych. Okupacja hitlerowska w Polsce więcej zapewne przyczyniła się do rozwoju postaw egalitarystycznych niż demokratyczne zasady Konstytucji marcowej. Edukacja pod Verdun skuteczniej przełamywała ciasne ramy pojęcia *société* niż wzniosłe słowa wypisywane na budynkach urzędowych Republiki Francuskiej. Egalitaryzm był bowiem potrzebny dla trwania”¹⁰⁶.

Kwestionuje się też tezę o zgubnym wpływie upowszechniania dóbr na ich jakość. Summa summarum, masowa skala produkcji, szeroka publiczność i rozbudowane „społeczne zaplecze” środowiska twórców przyczyniają się do

¹⁰² A. de Tocqueville, *O demokracji w Ameryce*. Warszawa 1976, s. 190.

¹⁰³ Z. Ziemiński, *Związki między sprawiedliwością...*, jw., s. 106.

¹⁰⁴ S. Lipset, *Political Man. The Social Bases of Politics*. New York 1960, s. 413.

¹⁰⁵ Zob. M. Rokeach, *The Nature...* jw.

¹⁰⁶ Z. Ziemiński, *Związki między sprawiedliwością...*, jw., s. 105.

szybszego krążenia i rozwoju twórczych idei, postępu naukowego i technicznego, ujawniania wszystkich talentów (które, nawet jeśli nie zyskają szczególnej opieki, chronione są przed zaprzepaszczeniem). Nawet jeśli udział tandetnych dóbr (ekonomicznych, kulturalnych, społecznych) jest większy w społeczeństwie egalitarnym niż elitarnym, to *ilość* – mierzona liczbami bezwzględnymi – *dóbr najwyższej jakości daje oczywistą przewagę społeczeństwu egalitarnemu*. Bowiem o jakości dóbr przesądzają ich cechy użytkowe i estetyczne, nie zaś ich niepowtarzalność. Zresztą procesy masowe nie muszą likwidować marginesu rękodziela czy rozmaitych kameralnych produkcji adresowanych do znanych – a nie anonimowych – odbiorców.

Kiedy nierówności pobudzają motywacje – warunki, ograniczenia

Drugi – szczególnie popularny nurt rozważań koncentruje się na sprawie *ludzkich motywacji*. Uważa się wówczas, że oddziaływanie dystansów społecznych odbywa się z reguły za pośrednictwem *ludzkiej świadomości* i – przede wszystkim – *ludzkich zachowań*. Chodzi tu głównie o zachowania związane z miejscem w społecznym podziale pracy, o coraz efektywniejsze wykorzystanie – na krótszą i dłuższą metę – ludzkiego potencjału.

Przekonanie, że nierówności społeczne wywierają przemożny wpływ na pobudzanie (lub paraliżowanie) ludzkich motywacji, opiera się na następujących *założeniach*: 1. Istnieje silny związek między układem wielowymiarowych dystansów społecznych a zachowaniem jednostek. 2. Jednostki umieją prawidłowo postrzegać układ nierówności i swoje w nim miejsce. 3. Jednostki są wyczulone na ten aspekt rzeczywistości. 4. Jednostki chcą i umieją to miejsce zmienić na lepsze, co stanowi dla nich dostatecznie silny motyw do podjęcia działań¹⁰⁷. 5. Można przewidzieć, jakie to konkretnie będą działania. Jeśli centralnemu planiście czy politykowi uda się ustalić (lub spróbować zgadywać), jakie zachowania są skorelowane z jakimi to mianowicie dystansami społecznymi, a także jeśli uda mu się stwierdzić, że dany typ dystansów społecznych mieści się w polu jego wolnego wyboru (a nie w sferze „nieuchronności”) – to może sięgnąć po ten instrument.

Założenia te można przyjąć w fazie studialnej. Ale chyba zbyt często popełnia się następujące *błędy*: 1) lekceważy się doniosłość oddziaływań innych niż stratyfikacja aspektów rzeczywistości na ludzkie zachowania; oddziaływań, które – przy niepomyślnym zbiegu okoliczności – mogą zniweczyć skuteczność mechanizmu, idealnie sprawującego się w sterylnych warunkach laboratoryjnych (skądinąd nieistniejących); 2) przecenia się w ogóle racjonalność i planowość ludzkich zachowań, będących często raczej nieskoordynowany-

¹⁰⁷ Albo inaczej – jednostki reagują w konkretnych sytuacjach na doraźnie dostępne i podsuwane im szanse zdobycia dóbr; nie jest dla nich ważne – więc nie musi być ważne i dla polityka, w jakim to szerszym układzie dystansów społecznych się odbywa.

mi odruchami jednostek słabo zorientowanych we własnej hierarchii dążeń i w wachlarzu dostępnych im ofert i możliwości życiowych; 3) solidnie udokumentowaną znajomość reakcji ludzi pełniących określone role na gradację nagród określonego typu generalizuje się, usiłując osiągnąć analogiczne efekty motywacyjne u ludzi pełniących zupełnie inne role i to przez różnicowanie dostępu do dóbr zupełnie innego typu i ponosząc – rzecz prosta – fiasko.

Motywacyjne funkcje elit – za i przeciw

Prezentację stanowisk uznających, że *nierówności społeczne sprzyjają pobudzaniu motywacji ludzkich* i „orientacji na osiągnięcia” rozpocznę od poglądu oryginalnego w swej skrajności, który rzadko pojawia się w literaturze, lecz jest zapewne popularny (jako swego rodzaju samousprawiedliwienie się) wśród członków współczesnych mutacji Veblenowskiej „klasy próżniaczej” pławiących się w „próżnowaniu na pokaz” i „konsumpcji na pokaz”.

Zgodnie z tym poglądem, nie wystarczy stworzenie systemu nagród za zachowania pożyteczne dla ogółu; trzeba jeszcze rozbudzić apetyty, aspiracje, aby te nagrody stały się maksymalnie pożądane. A ten cel najlepiej można osiągnąć, jeśli udostępni się ludziom *możliwość obserwowania elit*, ich „słodkiego życia” bogatszego pod wszelkimi możliwymi względami od życia zwykłego zjadacza chleba. Jest omalże obojętne, z jakiego tytułu elita korzysta z tych przywilejów, może też być zamknięta dla przybyszów z zewnątrz, „z dołu”; mimo to jej istnienie jest funkcjonalne. Człowiek, od którego oczekuje się reakcji na oferowane nagrody, nie musi – w myśl tej koncepcji – w pełni orientować się w całej złożoności dystansów społecznych, ale musi dostrzegać uroki życia ścisłych elit tego społeczeństwa, by lepiej smakowały mu te skromne nagrody, jakie są mu dostępne. Im bardziej niebotyczne są elity, tym skuteczniej ma działać na wyobraźnię owa „wizja wielkiego używania”.

W myśl innej bardziej ważkiej koncepcji – inspirowanej przez teorię K. Davisa i W. Moore’a – możliwe jest ustalenie gradacji różnych ról społecznych według stopnia ich „*ważności funkcjonalnej dla całego społeczeństwa*”. Większej ważności ról elitarnych winno towarzyszyć lepsze wyposażenie w rozmaite dobra materialne i niematerialne, chronienie przed ciężarami i ryzykami ponoszonymi przez ogół – po to, aby zapewnić dopływ wielu chętnych i selekcję najlepszych do pełnienia tych funkcji, aby bodźcować do coraz doskonalszego ich pełnienia (oraz – aby dać wyraz formule sprawiedliwości „każdemu według zasług”, ale to już argument innego typu). Nie zawsze jest przy tym jasne, jaka ma być miara owej „ważności”, często wiąże się ją z władzą i odpowiedzialnością, z wykształceniem i mistrzostwem w wykonywaniu zawodu, z rozmiarami i „strategiczną kluczowością” efektu ekonomicznego (postęp techniczny, ekspansja na rynki światowe, przełamanie barier wewnętrznych).

Przeciwko powyższym koncepcjom przemawiają następujące *proegalitarne tezy*: 1) rozpiętości społeczne, po przekroczeniu pewnego progu, wywołują nieznosne napięcie psychiczne, wiodą do frustracji, często rozładowywanej agresją; 2) „ważniejsze” funkcjonalnie okazują się te role zawodowe, których nikt nie chce pełnić ze względu na ich uciążliwość, nieatrakcyjność i „niedopłacenie”.

W myśl pierwszej z tych tez, „niebotyczne elity” nie pobudzają apetytów, a *psują smak dostępnych „szaremu człowiekowi” potraw*, choćby były one zadowalające z dietetycznego punktu widzenia. Psychologowie twierdzą, że człowiek działa najefektywniej wtedy, gdy poziom jego aspiracji nieco tylko przekracza możliwość ich zaspokojenia¹⁰⁸. Jeśli nawet zdobycie „miejsc na górze” nie jest wykluczone formalnie i realnie, zbyt ambitne zadanie i zbyt wyłożony wysiłek przekraczają wytrzymałość psychiczną przeciętnych ludzi. Zamiast dążyć do wspinania się po szczeblach drabiny społecznej, będą starali się – choćby bezwiednie – nią zachwiać. Udział frustratów w składzie takiego społeczeństwa przekroczy dopuszczalną granicę i społeczeństwo jako całość stanie się „chore”. Na ujawniającą się agresję jednostek społeczeństwo będzie musiało odpowiedzieć przemocą i tak uruchomi się w skali społecznej „spirała przemocy”. Tylko w społeczeństwie nieporozrywanym ostrymi podziałami możliwe jest rozwijanie więzi współpracy, będących podstawowym spoiwem nowoczesnych społeczeństw.

Zgodnie z drugą tezą, *najważniejsze „funkcjonalnie” są „słabe ogniwa”*, a więc, jeśli np. dużo więcej chętnych przypada na jedno stanowisko ministra zdrowia niż na jedno stanowisko salowej w szpitalu, należy zmniejszyć rozpiętość płacową między tymi stanowiskami. Rozpiętość między grupami zawodowymi cieszącymi się dużym prestiżem i atrakcyjnymi a grupami o niskiej atrakcyjności można – z pożytkiem dla ogółu – zmniejszać na dwa sposoby: likwidować najbardziej pogardzane zajęcia, by oszczędzić sobie wiecznych kłopotów z rekrutacją chętnych, odpowiednio programując postęp techniczny i organizacyjny¹⁰⁹; dużo obficie, niż to dotychczas było w zwyczaju, gratyfikować te uciążliwe zajęcia, których nie udało się zlikwidować. Skoro nie mogą one być źródłem autotelicznych satysfakcji, niech dają dostęp do większych pieniędzy i dłuższego czasu wolnego. Trzeba więc czasami wręcz odwrócić dotychczasowe układy nierówności dochodowych i pochodnych, co – przynajmniej „po drodze” – da efekt zniesienia „starych” nierówności. Alternatywą takiego rozwiązania jest wzmożenie przymusu jako środka polityki gospodar-

¹⁰⁸ K. Obuchowski, *Model i typy przystosowania psychicznego człowieka*, Zeszyty Naukowe UAM 1961, nr 5. Cyt. za: T. Kocowski, *Taktyka i strategia sterowania motywacją ludzką w skali masowej*. W: *Socjotechnika. Style działania*, pod red. A. Podgóreckiego, Warszawa 1972.

¹⁰⁹ Zob. J. Kordaszewski, *Kierunki humanistycznej racjonalizacji systemu pracy*. W: *Perspektywiczna polityka społeczna*, pod red. J. Daneckiego, Warszawa 1981.

czej, co miałyby liczne niekorzystne skutki uboczne. Dodatkowo wskazuje się na to, że nadmierne wynagradzanie wyróżnionych elit wywołuje wśród ich członków stopień wrażliwości na bodźce, które – wobec tego – muszą być coraz silniejsze, a mimo to coraz mniej skuteczne.

Warunki użyteczności bodźców materialnych na stanowisku pracy

Jeśli zrezygnować z wyróżniania spośród ogółu ról społecznych owej rodzi-ny ról obdarzonych nieco tajemniczą „ważnością”, pozostaje nam zespół twierdzeń o *użyteczności materialnego motywowania do lepszej pracy* na wszystkich istniejących stanowiskach; twierdzeń, których – w ich najogólniejszych sformułowaniach – nikt prawie w naszym kręgu kulturowym nie podważa, ale które niezwykle trudno jest operacjonalizować. Każdorazowo trzeba też stawiać pytanie, w jakich warunkach i w jakim zakresie skuteczność motywowania może się spełniać. Zaczniemy od *analizy „sytuacji wyjściowej”*, kiedy to – za pomocą *nierówności płacowych użytych jako bodziec – chcemy pracownika skłonić do większej wydajności na danym stanowisku pracy*. Konkretyzując i uzupełniając ogólne założenia, uprawomocniające pogląd, że nierówności mobilizują do działania, można wymienić następujące warunki społecznej użyteczności stosowania bodźców materialnych w tej sytuacji: 1) pracownik będzie wiedział i wierzył, że zwiększając wysiłek i inwencję w pracy uzyskuje w zamian za to satysfakcjonującą nagrodę (a płacowe złotówki przydadzą się na coś, czego człowiek potrzebuje i pożąda), zaś przyrost tej nagrody będzie co najmniej proporcjonalny do zwiększenia wysiłku; 2) pracownik jest w stanie, może zwiększyć wysiłek i inwencję, nie ma barier zdrowotnych, ekonomicznych, technicznych, organizacyjnych, informacyjnych uniemożliwiających zwiększenie jego indywidualnej wydajności – a więc nagradza się go za to, co rzeczywiście od jego woli zależy; 3) wzrost indywidualnej wydajności pracy każdego z bodźcowanych pracowników zostanie spożytkowany przez gospodarkę w skali mezo- i makroekonomicznej, przekształcając się we wzrost społecznej wydajności pracy¹¹⁰.

Kiedy brak efektu społecznego

Spełnienie tego trzeciego warunku pozwala ocenić zastosowany system bodźców jako zgodny ze sformułowaną przez J. Rawlsa zasadą sprawiedliwości, która zezwala na takie nierówności społeczne, które przynoszą „największy pożytek osobom znajdującym się w najmniej korzystnej sytuacji”¹¹¹ (w zasadzie tej ukryte jest więc założenie, że istnieją takie nierówności, które nie tylko

¹¹⁰ Zob. Z. Morecka, *Spoleczne aspekty...*, jw., s. 198.

¹¹¹ Zob. J. Rawls, *A Theory of Justice*, Cambridge Mass. 1977 oraz omówienie tej pracy W: H. Buczyńska-Garewicz, *Sprawiedliwość jako racjonalność*, „Etyka” 1981, nr 19.

nie powstają kosztem słabszych, ale w imię *korzyści słabszych*). Użyteczność staje się więc jakby gwarancją słuszności. W innym przypadku wprowadzenie nierówności płacowe zwiększą – na krótką metę – wysiłek pracowników, ale nie dadzą istotnego wzrostu „puli do podziału”, ogólnego dobrobytu i globalnego „funduszu motywacyjnego”, będzie więc trzeba uszczknąć coś z innych funduszy lub zabraknie – na dłuższą metę – środków podtrzymujących utworzony system bodźców.

Przyczyny braku globalnych efektów mogą być rozmaite. Łączy je to, że nie ma na nie żadnego wpływu „bodźcowany” pracownik. Na przykład przypisanie efektu do konkretnego pracownika może być trudne i łatwo tu o pomyłkę; jeśli np. pominie się stanowiska pracy mniej eksponowane i zaniedba się bodźcowania pewnych elementów „robotnika łącznego”, trudno liczyć na wzrost społecznej wydajności pracy. Bywa jeszcze inaczej. W konkretnej sytuacji – powiada się czasem, że dotyczy to współczesnej Polski – rozmiary globalnej nadwyżki ponad „fundusz konsumpcji niezbędnej” zapewniającej wszystkim poziom minimalny są tak niewielkie, że środków z „funduszu motywacyjnego” wystarczy tylko na skuteczne motywowanie nielicznych pracowników. Sfrustruje to pozostałych i zniweczy spodziewane pozytywne efekty systemu bodźców. Wtedy nie warto tworzyć takich „motywacyjnych enklaw”, by nie rozbudzać wśród ogółu płonnych nadziei na sówite nagrody¹¹².

Warto w tym miejscu poczynić dygresję na temat sygnalizowanego wcześniej poglądu, że nierówności społeczne są wtedy niesprawiedliwe, gdy pewne jednostki i grupy mają większy dostęp do dóbr kosztem innych jednostek i grup. Spełnienie przedstawionego przed chwilą trzeciego warunku użyteczności bodźców gwarantuje, że *fundusz motywacyjny nie zostaje nikomu „odebrany”, gdyż jest on częścią wartości wytworzonych tylko dzięki istnieniu owego funduszu*. Przestaje to być prawdą dopiero wtedy, gdy fundusz motywacyjny jest większy od przyrostu efektów, wówczas bowiem „krańcowa użyteczność bodźców” staje się ujemna. Zastosowano bodźce niepotrzebnie nadmierne albo przyrost wysiłku, do którego bodźce starały się skłonić pracowników, okazał się nieracjonalnie nadmierny, dając szybki spadek jego „krańcowej użyteczności” mierzonej uzyskanym przyrostem puli dóbr do podziału. Inny problem, to nieuchronny rozróżnienie czasu, opóźnienie efektu w stosunku do nakładu, a więc opóźnienie korzyści, jakie czerpie ogół społeczeństwa z działania systemu bodźców.

Jeśli wszystkie powyższe warunki nie zostaną spełnione *system bodźców zacznie być postrzegany jako system przywilejów* (przez te grupy pracownicze i jednostki, których on z jakichś względów nie objął) bądź jako *zbiór „nagród pocieszenia”* (przez tych, których wzmożony wysiłek został zmarnowany). A więc, w tych – dość trudnych do jednoczesnego spełnienia – warunkach nie-

¹¹² Zob. wypowiedź R. Bugaja, „Tygodnik Powszechny” 1986, nr 28.

równość płacowa może spełnić swoje motywacyjne zadanie w przedstawionej tu, wyizolowanej z szerszego kontekstu, „sytuacji wyjściowej”.

Funkcje motywacyjne płac

Uwzględnienie *szerszego kontekstu* wnosi liczne dalsze komplikacje. Zaczniemy od *funkcji płacy*. Nie dość, że płaca jest obciążona czterema funkcjami (dochodową, kosztową, motywacyjną wobec pracodawcy i motywacyjną wobec pracownika), to w ramach jednej tylko – ostatniej z wymienionych – funkcji system płac musi jednocześnie *zachęcać różne grupy pracowników do różnych, często sprzecznych, zachowań*: 1) do wyboru bardziej złożonej i twórczej pracy przez najzdolniejszych ludzi, w momencie startu zawodowego i na dalszych etapach rozwoju zawodowego; 2) do wyboru pracy nieatrakcyjnej – prostej, niebezpiecznej, upokarzającej – przez dostateczną liczbę chętnych, zapewniającą harmonijne funkcjonowanie gospodarki jako całości; 3) do stabilizacji w zawodzie i w zakładzie pracy poprzez stworzenie dostatecznie długiej i stromej ścieżki awansu zawodowego w obrębie zawodu i przedsiębiorstwa; umożliwiającej ciągły awans w miarę doskonalenia pracy, ale i także w miarę wzrostu „zasiedziałości” pracownika; 4) do uruchamiania – krótkotrwałych, ale często znacznych – przepływów siły roboczej do nowo powstających przedsiębiorstw i do branż uznanych za kluczowe (choćby doraźnie – a po ustaniu tej „doraźnej” potrzeby bardzo często przywileje płacowe ulegają petryfikacji, choć ich użyteczne funkcje dawno już wygasły)¹¹³. Stosowanie bardzo silnych bodźców płacowych w tych wszystkich kierunkach zaciera czytelność systemu bodźców w opisaney tu „sytuacji wyjściowej”, a ponadto – ponieważ każdy z tych nakładających się na siebie układów bodźców ma innego adresata – wynikowy układ dystansów płacowych musi okazać się dość spłaszczony, wbrew oczekiwaniom propagatorów tezy o uniwersalnym i niezawodnym narzędziu, jakim są silne nierówności płacowe. Dlatego „płacocentryzm”, rozumiany jako nadużywanie płacy w roli narzędzia polityki gospodarczej, skazuje ją na niepowodzenia.

Czy tylko płace

Powstaje pytanie – czy, w takim razie, należy stosować szerszy repertuar bodźców, dla płacy rezerwując rolę bodźca w „sytuacji wyjściowej”; do stabilizacji zawodowej skłaniać za pomocą związanych z nią innych silnych nierówności, np. warunków mieszkaniowych; do zdobywania wykształcenia skłaniać za pomocą powiązanych z cenzusem – np. – uprawnień władczych itp. Pozwoliłoby to „oczyścić”, „uprzejrzyścić” układ płac, ale za to zaciemnieniu uległyby inne układy, gdyż trudno wyobrazić sobie, aby całą dystrybucję mieszkań

¹¹³ Z. Morecka, *Společne aspekty...*, jw., s. 272.

czy też udziału we władzy udało się konsekwentnie podporządkować jednemu tylko kryterium pobudzania ściśle określonych zachowań pracowniczych.

Trzeba też postawić następne pytanie – czy aby płaca nie jest skutecznym środkiem oddziaływania na pracowników tylko wówczas, gdy liczne (albo i wszystkie) pozostałe czynniki statusu są „płacopochodne”? Gdyby tak było, wszystkie argumenty przemawiające za silnym zróżnicowaniem płac należałoby przenieść na inne wymiary nierówności społecznych. W szczególności można przypuszczać, że naprawdę doniosły wpływ na ludzkie postawy zyskują dochody z pracy wówczas, gdy pozwolą inwestować rodzicom w „nierówny start” (rzecz jasna – lepszy) ich dzieci (via własność i dziedziczenie majątku lub innymi drogami). Jeśli jednocześnie na drugim ekstremum pojawi się zagrożenie głodem (wskutek bardzo niskich płac najniższych lub wskutek bezrobocia), od wyników wyścigu płacowego może zależeć i wielkie zwycięstwo i wielka klęska życiowa. Przyjęcie powyższych poglądów zaostrzyłoby antyegalitarną wymowę systemów motywacyjnych, a przekonanie o „zasadniczej niepraktyczności” ideałów równościowych zyskałoby solidniejszą podbudowę.

Ale rozszerzenie repertuaru bodźców bywa – choć rzadziej – argumentem na rzecz spłaszczenia samych nierówności dochodowych. Dzieje się tak wówczas, gdy przyjmujemy, że w miarę wzrostu złożoności pracy (wykształcenia, odpowiedzialności, ryzyka) zmienia się rodzaj nagród motywujących skutecznie do lepszej pracy. Od pewnego szczebla poczynając nie warto więc podwyższać płac, gdyż ludzie, którzy na ten szczebel zawędrowali, stają się wrażliwi na działanie takich bodźców, jak pozapłacowe znaki prestiżu, dostęp do władzy czy też po prostu dostęp do zadań zawodowych, które mają twórczy charakter i dają szansę „sprawdzenia się”. Używanie „różnych walut” do opłacania różnych grup pracowniczych (i – szerzej – gratyfikowania ról społecznych różnego typu) sprawia, że obraz nierówności staje się mniej czytelny, co nie znaczy, że zacierają się głębokie dystanse społeczne.

Jak inwestować w człowieka

Punktem wyjścia przyjmowanym przez egalitarystów jest przekonanie, że głównym hamulcem efektywnego działania ludzi jest brak możliwości, a nie brak chęci. Akcentują oni nie motywacyjną lecz „inwestycyjną” *funkcję dóbr dzielonych pomiędzy ludzi* i twierdzą, że racjonalne jest pełne wykorzystanie całego potencjału ludzkiego, jakim społeczeństwo dysponuje; że ważne jest dobre odgrywanie wszystkich ról w teatrze społecznym; że zdrowy jest ten organizm, w którym zdrowe są wszystkie organy. *Racjonalne jest więc inwestowanie we wszystkich ludzi*, które może wprawdzie wymagać nierównych nakładów na rozwój poszczególnych osób, ale nie ma ważnych powodów, aby „wynikowy” status był silnie zróżnicowany. Największe nierówności dopuszcza się w wymiarze inwestycji w wykształcenie jednostek (co dotyczy zarówno

nakładu, jak i efektu). Zapewne największe nakłady trzeba będzie ponieść na wykształcenie – z jednej strony – absolwenta uniwersytetu i – z drugiej strony – absolwenta szkoły specjalnej, choć osiągnięty poziom rozwoju będzie z gruntu odmienny. Ale efekty ważne dla społeczeństwa będą porównywalne – w pierwszym przypadku społeczeństwo zyska ludzi szczególnie twórczych, wnoszących nowe wartości, w drugim przypadku społeczeństwo uwolni się od pełnienia szczególnie kosztownych i trudnych zadań opiekuńczych wobec osób bezradnych życiowo.

Generalnie rzecz biorąc, *wszystkie dobra potrzebne dla rozwoju organizmu i osobowości* (zaspokajające „potrzeby rzeczywiste” wg. terminologii J. Szczepańskiego) *powinny być dzielone egalitarnie* (równo, lub tak, by do stanu równości doprowadzić). Funkcję motywacyjną powinno się pozostawić tym dobrom (i przydzielanym rolom), które są pożądane, są źródłem przyjemności, ale niewiele ważą na rozwoju osoby (i taki byłby pożytek z odczuwania „potrzeb otoczkowych” i „pozornych” wg. terminologii J. Szczepańskiego), zaś funkcję nagradzania za zasługi mogłyby śmiało pełnić specjalnie w tym celu. wymyślone – i uznane przez ogół za wyróżnienie w wyniku umowy – dobra symboliczne, „znaki prestiżu”.

Poważną wadą tej koncepcji jest to, że wprowadzić dość łatwo przychodzi rozróżnienie owych funkcji pełnionych przez dobra, ale dużo trudniej jest podzielić dobra (i potrzeby) na „ważne” i „nieważne”. Prawie wszystkie dobra są wielofunkcyjne, prawie każda „okazja” (wg. terminologii Kocowskiego) służy naraz kilku potrzebom różnej natury.

Trzeba jeszcze wspomnieć, że dostrzeganie w dystrybucji dóbr głównie jej funkcji „inwestowania w ludzki potencjał” może także prowadzić do postaw antyegalitarnych. Prowadzi do nich wówczas, gdy uznamy za naturalne i „ekonomicznie uzasadnione” znaczne różnice „kapitałochłonności” inwestowania w osobników o różnych uzdolnieniach i przeznaczonych do pełnienia różnych ról społeczno-zawodowych (przykładowo, chirurgowi, skrzypkowi i zegarmistrzowi nie może nawet drgnąć ręka przy pracy, toteż ich stan psychofizyczny musi być szczególnie dobry, a ich warunki życia, regeneracji sił muszą być szczególnie „cieplarniane”). Większe nakłady trzeba ponieść tam, gdzie precyzja wykonania przesądza o końcowym efekcie, a cena błędu jest szczególnie wysoka.

Bez względu na to, jak – mniej lub bardziej egalitarnie – zinterpretujemy tę funkcję, o walorach „inwestowania w człowieka” można powiedzieć to samo, co o walorach „motywowania człowieka” – ujawniają się one tylko w określonych warunkach. Te inwestycje – jak i wszelkie inne inwestycje – mogą być nietrafione, zmarnowane. Ich efekt może być znikomy, gdy zabraknie racjonalnej eksploatacji stworzonego potencjału. Nie wystarczy wydobyć te specyficzne „bogactwa naturalne”, trzeba jeszcze stworzyć przemysł przetwórczy, który je spożytkuje.

Zasada podziału według pracy – antyegalitarna, proegalitarna czy złoty środek

Popularność zasady

Jeżeli analizę ograniczyć do zbiorowości ludzi zdolnych do pracy, a zasługi sprowadzić do zasług pracowniczych, to generalny problem stosunku do nierówności społecznych przekształci się we wciąż żywo dyskutowany problem *podziału według pracy*. Zasada podziału według pracy jest dość powszechnie akceptowana i wskazuje się na to, że jest ona zarówno słuszna (zgodna z ideą jednej miary, trafnie konkretyzująca ogólniejszą zasadę podziału nagród proporcjonalnie do zasług), jak i użyteczna (wynikające z niej nierówności są wystarczające, by motywować ludzi do lepszej pracy, a zarazem nie są zbyt duże, by uniemożliwić inwestowanie we wszystkich pracowników i w przygotowanie do pracy ich dzieci; w skali makro zapewnia harmonię społeczną). Zasada ta wydaje się więc i dobra, i użyteczna. Powstawać mogą tylko wątpliwości co do jej wykonalności w rozmaitych systemach gospodarczych.

Niejednoznaczność zasady

Jednakże, jeśli dwóch mówi to samo, to nie znaczy to samo. Losy tej zasady są podobne do losu innych wielkich idei, które – jak pisze Jerzy Szacki – nie mają żadnych jawnych wrogów, mają natomiast zwalczających się wzajemnie głosicieli ich „jedynie słusznej interpretacji”¹¹⁴. Wśród owych głosicieli znajdziemy zarówno elitarystów, jak i egalitarystów, choć nie będą to najbardziej skrajni i zagorzali reprezentanci tych nurtów ideowych.

Do zbioru „*łagodnych*” *wersji antyegalitaryzmu* można zaliczyć większość interpretacji zasady podziału dóbr „*według pracy*”, gdyż przyjęte kryterium wydaje się w naturalny sposób ograniczać maksymalne dystanse społeczne. Uznanie tej zasady za sprawiedliwą lub funkcjonalną (lub nawet – nieuchronną) może jednak prowadzić do uznania nawet bardzo dużych dystansów stwarzanych przez system nagród wówczas, gdy utożsamia się ją z formułą „każdemu według *efektu* jego pracy” (a pomiar efektu i jego „rozpisanie” pomiędzy różnych uczestników społecznego podziału pracy jest trudne i musi być – z konieczności – dość woluntarystyczne). Za wynagradzaniem efektów pracy wysuwa się przede wszystkim argumenty motywacyjne (bo wynagrodzenie za sam nakład pracy skłania do nieracjonalnego zwiększenia wysiłku nawet wówczas, gdy jest on nieefektywny), ale także i argumenty „słusznościowe” (twierdząc, że nie ma innych sensownych mierników zasług niż sukces na takim – czy innym – rynku; bowiem rynek jest dostarczycielem adekwatnych miar wartości).

¹¹⁴ J. Szacki, *Dylematy idei dobra wspólnego*, „Więź” 1985, nr 10–11–12.

Zaakceptuje bardzo znaczne dystanse społeczne również ten zwolennik zasady podziału według pracy, który optuje za szczególnie obfitym wynagradzaniem takich elementów składowych *nakładów* pracy, jak złożoność i jakość pracy, jeśli zastosuje ich rozszerzającą interpretację. Brak dobrych sposobów pomiaru *odpowiedzialności* jako jednego z elementów składowych nakładu pracy może sprzyjać nadmiernemu opłaceniu tego elementu w stosunku do innych. Włączenie do kalkulacji elementu *ryzyka* – jako „spokrewnionego” z tradycyjnie uwzględnioną w rachunkach wkładu pracy odpowiedzialnością – wydaje się uzasadnione, ale pozwala usprawiedliwiać bardzo wysokie gratyfikacje, jakie sami sobie wypłacają ludzie zawodowo i zarobkowo aktywni poza sektorem państwowym. Utożsamianie „mnożnikowego” wpływu *wykształcenia* na nakład pracy z czasem nauki szkolnej nie prowadzi do znacznych nierówności w tym przedziale, ale – w myśl innych koncepcji – trzeba tu zastosować przelicznik znacznie korzystniejszy dla kasty (bywa, że dość zamkniętej i samoreprodukującej się) ludzi z cenzusem. Nawet wtedy, gdy kwalifikacje wykształconych pracowników wcale nie są wykorzystywane przez pracodawcę, sprawiedliwie i pożytecznie jest wynagradzać je sowicie – twierdzą niektórzy. Sprawiedliwie – bo należy się każdemu zapłata za gotowość do wykonywania pracy złożonej. Pożytecznie – bo warto pracodawcy zachować do swej dyspozycji rezerwy czynników wytwórczych, które kiedyś mogą się przydać.

Bardzo trudno byłoby współcześnie znaleźć rzeczników *ideologii egalitarnej*, którzy by bez reszty odrzucali zasadę podziału według pracy. Dlatego nawet skrajnie egalitarni zwolennicy „urawniłowki” uznają konieczność dzielenia części dóbr (zaspokajających „mniej ważne” potrzeby dóbr „nieinwestycyjnych”) według pracy – rozumiejąc to w ten sposób, że uczestnictwo w dzielonych dobrach powinno być uzależnione od faktu wykonywania pracy przez ludzi do pracy zdolnych. Ale rozmiar tego uczestnictwa powinien być powiązany li tylko z *czasem trwania* pracy i z jej *intensywnością* – a więc z czynnikami, które są w naturalny sposób limitowane wydolnością ludzkiego organizmu. Granice tej wydolności mogłyby wyznaczać przedział, w którym nierówności w gratyfikowaniu byłyby nieistotne statystycznie i społecznie.

Tak więc opowiedzenie się za zasadą podziału według pracy nie jest jednoznacznym rozstrzygnięciem sporu między zwolennikami i przeciwnikami równości społecznej. Po pierwsze, jest ona trudna do operacjonalizacji; po drugie, nie da się jej stosować do wszystkich podmiotów i wymiarów nierówności; po trzecie, nie każdy typ ładu społecznego i nie każdy typ gospodarki stwarza mechanizmy umożliwiające jej realizację.

Elitaryzm contra egalitaryzm

Oskarżenia i obrońcy

Ogólnie charakteryzując odmienność podejść „antyegalitarnego” i „egalitarnego” można odwołać się do analogii z dziedziny sądownictwa. Dla *antyegalitarysty* właściwe będzie – po pierwsze – pierwotne „domniemanie winy” każdego ubogiego (ubogiego, a więc podejrzanego np. o lenistwo czy złą wolę); po drugie, „domniemanie zasług” każdego osobnika osiągającego wysoki status; po trzecie „domniemanie szkodliwości” (niesprawiedliwości, dysfunkcjonalności) procesów zrównywania statusu i – po czwarte – „domniemanie użyteczności” każdego procesu dywersyfikacji. W toku postępowania dowodowego – jeśli takowe zostanie przeprowadzone – te domniemania mogą być korygowane, ale zawarta w nich tendencja nie pozostanie bez wpływu na ostateczną diagnozę. Z kolei *egalitarysta* skoncentruje swoją uwagę na szukaniu „poszkodowanych” przez bogate i wpływowe grupy społeczne, domniemywać będzie, że każde bogactwo osiągane jest „czyimś kosztem” (jeśli nie kosztem czyjś pełnego garnka, to kosztem czyjś samopoczucia). Rzetelni i żywiący szacunek dla faktów rzecznicy tych dwóch stanowisk mogą osiągnąć dość znaczne zbliżenie swych poglądów na bieżącą politykę społeczną, jednak odrębność ich dyspozycji psychicznej, emocjonalnego zaangażowania raczej nie ulegnie zatarciu.

Różne elitaryzmy

Nie sposób pominąć jednak *wewnętrznego zróżnicowania* każdego z tych stanowisk. Zwłaszcza w „antyegalitarnym obozie” ich doniosłość dla praktyki społecznej jest olbrzymia. Trzeba więc przede wszystkim wyodrębnić stanowisko skrajnie antyegalitarne, które zasadnie będzie nazwać „*elitar-nym*”. Cechuje je aprobata dla: bardzo dużych dystansów społecznych (kiedy to droga z jednego szczebla drabiny społecznej na drugi jest bardzo wydłużona); małej „otwartości” struktur społecznych (praktycznie małej – choć współcześnie prawie nikt nie domaga się tworzenia formalnych barier ruchliwości społecznej); zależności statusu przede wszystkim od takich cech, które są uznawane za klasotwórcze (urodzenie, własność środków produkcji, dysponowanie środkami produkcji, sprawowanie władzy politycznej); maksymalnej liczby płaszczyzn nierówności, pozwalającej pewnym grupom kumulować wysokie pozycje pod wszystkimi względami; nierówności szans, poczynając od momentu startu życiowego. *Stanowiska mniej skrajne* łagodzą lub odrzucają niektóre z tych tez, co przedstawiłam na przykładzie różnych interpretacji podziału według pracy.

Różne egalitaryzmy

Stanowisko *skrajnie egalitarne* cechuje wiara w „równe żołądki”, „równe potrzeby”, podejrzliwość wobec ludzkich zasług, które – po bliższym przyjrzeniu – mogą okazać się przywilejami, skłonność do moralnego wywyższania „skrzywdzonych i poniżonych”, dominacja myślenia „słusznosciowego” i redystrybucyjnego nad „efektywnościowym”. Konkluzją jest teza: „im równiej, tym lepiej”.

Stanowisko *umiarkowanego egalitaryzmu* – najbliższe, jak sądzę, „złotego środka” – można zrekapitulować w następujących тезach:

1. Równość jest naczelną wartością, naczelną – ale nie konkurencyjną wobec pozostałych wartości, bowiem jej charakter jest odrębny. Idea równości oznacza przyznanie prawa każdemu człowiekowi do wszystkich innych wartości cenionych w danej kulturze.
2. Gdyby zaistniał poważny konflikt między działaniami na rzecz równości sytuacji i działaniami na rzecz równości szans (choć raczej powątpiewa się w możliwość ujawnienia się wewnętrznego konfliktu w „rodzinie wartości egalitarnych”), należy równość szans uznać za priorytetową.
3. Wiele przejawów równości bywa ponadto użyteczne z punktu widzenia sprawności społeczeństwa w osiągnięciu swych celów.
4. Wiele przejawów nierówności także bywa użyteczne dla sprawności społeczeństwa w osiągnięciu swych celów; trzeba to jednak każdorazowo udowodnić, wskazując jednocześnie, w jakich to warunkach ów dowód zachowuje słuszość, a w jakich ją traci; ponadto posłużenie się takim instrumentem zobowiązuje społeczeństwo do wykorzystania zwiększonej dzięki niemu sprawności w interesie – priorytetowo potraktowanym – grup o najniższym statusie (jak w zasadzie sprawiedliwości Rawlsa).
5. Wszelkie nierówności (położenia i szans) winny zaczynać się od pewnego – gwarantowanego wszystkim – poziomu, ustalonego w toku publicznej dyskusji i uznanego za aktualnie niezbędny¹¹⁵. Oprócz społecznie niezbędnego minimum konsumpcji należy ustalać szerzej rozumiane minimum egzystencji (w wymiarze absolutnym), a także minimum statusu (w relacji do położenia innych ludzi)¹¹⁶. Bowiem dłuższe pozostawanie poniżej poziomu minimum stawia jednostkę poza nawiasem społeczeństwa.
6. Należy poszukiwać sensownych programów planowej dekompozycji cech statusu społecznego, kierując się zasadą równiejszego dzielenia dóbr o „inwestycyjnym” charakterze, przeciwdziałając (jeśli użyć sformułowania A. Rajkiewicza) „kumulacji beneficjów” w pewnych grupach

¹¹⁵ Zob. J. Danecki, *Przesłanki długookresowej polityki podziału dochodów*. W: *Perspektywiczna polityka społeczna*, jw., s. 79.

¹¹⁶ Zob. S. Widerszpil, *Ku równości startu*, „Argumenty” 1971, nr 14.

i kumulacji upośledzeń w innych grupach, nabierających cech swoistych enklaw ubóstwa. Dobrem, które powinno się dzielić najbardziej egalitarnie jest zdrowie (co stawia określone wymogi modyfikujące podział wielu innych dóbr na stan zdrowia wpływających).

7. Wszelkie programy egalitaryzacji powinny być realistyczne i uwzględniać ogólne zasady dobrej roboty. Muszą więc koncentrować się na głębokich przyczynach nierówności społecznych (na uprzystępnianiu wszystkim tych dóbr i ról, które – jak magnes – przyciągają pozostałe czynniki statusu), darując sobie korygowanie ich powierzchownych skutków (co przypomina zawracanie Wisły kijem). Trzeba nastawić się na długofalowe i powolne zmiany, bo inne rozregulują tylko mechanizmy społeczne, zantagonizują społeczeństwo, pociągną za sobą przemoc. I pogodzić się z faktem, że pole skutecznych oddziaływań polityki społecznej (nawet realizowanej wedle najlepszego modelu) zawsze będzie mniejsze niż obszar niepożądanych nierówności społecznych.

Tak więc prezentowany powyżej umiarkowany egalitaryzm jest koncepcją odróżniania nierówności nieusprawiedliwionych od usprawiedliwionych, połączoną ze wskazaniem kryteriów owego usprawiedliwiania i sposobów usuwania tego, co usprawiedliwić się nie da. Nie należy tej koncepcji mylić z utożsamianiem – już na etapie definicji i rejestracji faktów – nierówności nieusprawiedliwionej z nierównością *tout court*.

Aneks – Jak opisywać nierówności społeczne

W polityce społecznej *opisuje się* rzeczywistość społeczną po to, żeby ją *oceniać*, a ocenia się po to, żeby *zmieniać*. Chcąc wyciągnąć praktyczne wnioski z tego, że pewne nierówności społeczne są słuszne, nieuchronne i użyteczne, zaś inne – niesłuszne, szkodliwe i usuwalne, trzeba najpierw aktualny stan nierówności precyzyjnie opisać. Pragnę tu przedstawić elementy, jakie powinien zawierać taki „*raport o stanie nierówności społecznych*”. W tym kontekście powrócę do pewnych wątków dyskusyjnych.

Nierówność – pod jakim względem

Ludzie przynależni do różnych zbiorowości są sobie nierówni. Należy więc zacząć od ustalenia listy dóbr i ciężarów, do których dostępność zamierzamy badać, a także listy pełnionych przez ludzi ról społecznych. Role te, jeśli są „nadawane” przez jakieś centrum decyzyjne, są „dobropodobne” i tak jak dobra są przedmiotem podziału; jeśli zaś są przez ludzi w miarę swobodnie wybierane jako element stylu życia, mogą stać się przedmiotem oceny (jako zasługi czy winy, jako konstruktywne lub destruktywne), nagradzania bądź karania. Lista obserwowanych dóbr i ról powinna pokrywać się – jak to już pisałam w uwa-

gach wstępnych do tego rozdziału – z zakresem głównych sfer polityki społecznej; sferą pracy, dobrobytu, kultury i społeczeństwa. Wówczas będziemy mogli sprecyzować, *pod jakim względem* ludzie są sobie nierówni.

Stopień szczegółowości tej listy ma znaczenie nie tylko ze względu na wymóg czytelności analizy (ujęcia bardziej zbiorcze dawałyby czytelniejszy obraz), ale i ze względu na trafność lub nietrafność jej funkcji demaskatorskiej. Na przykład żywność – badając nierówności pod względem wartości rynkowej, zawartości kalorycznej czy udziału białka w spożywanej żywności możemy zgubić z pola widzenia nierówność w dostępie do zdrowej żywności, pozbawionej zanieczyszczeń chemicznych i spożywanej w formie, miejscu i czasie zgodnych z wymaganiami diety. A ta właśnie nierówność może być rażąca. Inny przykład – nierówności społeczne pod względem czasu trwania życia ludzkiego (wg. W. Kuli – przez całe stulecia najbardziej jaskrawy, choć najmniej dostrzegany przejaw nierówności klasowych¹¹⁷) mogą zanikać, ale stopień sprawności w wieku podeszłym, rodzaj schorzeń i warunki umierania mogą stawać się pierwszoplanowymi czynnikami dywersyfikacji społecznej. Tak więc polityk społeczny – diagnosta musi korzystać z solidnego zaplecza wciąż aktualizowanych badań szczegółowych, aby wiedzieć, kiedy nowy typ zagrożeń albo nowy typ satysfakcji każe przestawić aparaturę pomiarową na inną czułość. Z drugiej strony – nadmierna szczegółowość analizy grozi zatraceniem odrębności takich dwóch stanów jak *nierówność* i *różnica*. Sprawy te są do końca nierozstrzygalne. Czy np. fakt, że młody człowiek wywodzący się ze środowiska chłopskiego ma większą szansę na zdobycie twórczego i prestiżowego zawodu jako inżynier niż jako filolog, oznacza tylko, że różne są typy karier w różnych środowiskach (fakt obojętny albo nawet korzystny, znamionujący bogactwo form życia społecznego) czy też jest przejawem dyskryminacji (wynikającej z gorszego poinformowania środowiska o współcześnie dostępnych typach karier, upośledzającej młodzież o określonym typie predyspozycji i uzdolnień)? Czy każdy z tych typów karier daje szansę na analogiczne sukcesy w całej biografii zawodowej? Trzeba więc w pewnym momencie arbitralnie rozstrzygać, które dobra i role są praktycznie substytutami, które zaś nie dają się niczym zastąpić i dostęp do nich powinien być otwarty dla wszystkich. Będzie to rzutować na problem – bardzo obszernie dyskutowany w literaturze – wyboru konkretnych mierników (przy próbach kwantyfikacji opisu, bardzo ważnych, choćby z uwagi na „arytmetyczną etymologię” takiego terminu jak równość społeczna) i symptomów (przy próbach „jakościowego” opisu) dostępu do dóbr i odcięcia od dóbr¹¹⁸.

Budując szereg „drabin społecznych” obrazujących nierówny udział ludzi w rozmaitych dobrach musimy być świadomi tego, że środowiskowe i jednost-

¹¹⁷ Cyt. za: E. Rosset, *Trwanie życia ludzkiego*, Warszawa 1979, s. 320.

¹¹⁸ Zob. *Problemy mierników poziomu życia ludności*, „Biblioteka Wiadomości Statystycznych” t. 23, GUS, Warszawa 1974.

kowe systemy wartości mogą do tego stopnia odbiegać od aksjologii oficjalnej (i od siebie nawzajem), że ludzie będą mieli zgoła inne wyobrażenie co do zajmowanego przez siebie szczebla i wysokości drabiny, na której są usytuowani. W skrajnych przypadkach przekonania o tym, co jest „góram”, a co „dołem”, mogą być diametralnie różne. Na przykład – założmy – dla połowy rodzin wielodzietnych ta ich wielodzietność jest głównie dobrem, a dla połowy – głównie ciężarem, nie będzie więc między nimi zgody, czy zajmują górny czy dolny szczebel na drabinie dzietności. Najlepiej byłoby zbudować drabinę ukazującą nierówności „satysfakcji z realizacji aspiracji prokreacyjnych”, ale skąd wziąć niezbędne do tego dane?

Z kolei wiele osób czerpie znaczne satysfakcje z uczestnictwa w kulturze artystycznej, a jednocześnie całe środowiska pozbawione są jakichkolwiek aspiracji w tej dziedzinie i wcale nie czują się zdeprymowane brakiem dostępu do kultury. Czy umieścić członków tych środowisk na najniższych szczeblach „drabiny kulturalnej” czy też wyłączyć ich z klasyfikacji? Nie będzie takich wątpliwości w stosunku do osób i grup lekceważących – z ciemnoty – zagrożenia swego życia i zdrowia. Wątpliwości te pojawiają się przy badaniu tych nierówności, które dotyczą „godniejszego” – co nie znaczy, że powszechnie pożądanego – sposobu życia. Tak samo, jak nie każdy o wielkiej rodzinie, tak nie każdy marzy o bywaniu w filharmonii, o wpływaniu na życie swego zakładu pracy, o twórczym życiu. Aby więc nie zatracić poczucia realizmu i nie dyktować polityce społecznej zbyt wyśrubowanych – i nieosiągalnych, i nieoczekiwanych przez ludzi – standardów, za sytuację docelową trzeba uznać niewielką – ale zauważalną – „nadwyżkę szans” w stosunku do już rozbudzonych aspiracji, czego nie należy utożsamiać z nadwyżką podaży w stosunku do popytu, bo to w wielu dziedzinach będzie jeszcze długo nierealne. (Przykładowo – w toku dyskusji nad ustawą o samorządzie pracowniczym w roku 1981 podkreślano, że przymus powoływania samorządów we wszystkich zakładach może obrzydzić ideę samorządową).

W związku z sygnalizowaną tu odmiennością indywidualnych i grupowych systemów wartości – które są często powiązane z wykształceniem i przynależnością do grupy społeczno-zawodowej – pragnę powrócić do rozważanej już koncepcji „różnoimennego wynagradzania” na różnych stanowiskach. Pracownikowi wykonującemu czynności rutynowe płaciło by się pieniędzmi i czasami, pracownikowi twórczemu – swobodą dysponowania własnym czasem i większą ilością czasu wolnego. Powstaje jednak od razu wątpliwość, czy „przesiadce” na inną drabinę towarzyszyłoby na pewno zupełne zobojętnienie na tradycyjny układ. Być może ów twórczy pracownik akceptowałby gratyfikacje „nowego typu”, ale raziałaby go degradacja w tej hierarchii, która przez ogół jest postrzegana jako najważniejsza. Bowiem stereotyp tego, co powszechnie uważa się za nagrodę, może silniej oddziaływać na sposób artykułowania swych interesów niż to, co się naprawdę ceni (casus – dwuznaczne samopoczucie na-

uczycieli akademickich). Sygnalizowałam już ten problem pisząc o motywowaniu do pracy. W tym momencie interesują mnie zakłócenia (nieco schizofreniczne), jakie to zjawisko wywoła – jeśli będzie nasilone – w obrazie szeregu stojących obok siebie i wyraźnie od siebie odrębnych „drabin społecznych”.

Nierówności w czasie

Pytanie drugie: *w jaki sposób czynnik czasu wpływa na nierówności społeczne?* Najprostszym i pierwszoplanowym zadaniem jest uzyskanie statycznego obrazu nierówności społecznych w danym punkcie czasu (a więc diagnoza *nierówności sytuacji*). Jednakże dopiero analiza całych ciągów czasowych pozwoli nam ocenić dotychczasową zasiedziałość poszczególnych osób i zbiorowości na poszczególnych szczeblach „drabiny społecznej”, częstotliwość i kierunek rotacji, tempo i kierunek dynamiki życiowej w skali biografii i w skali międzypokoleniowej. A więc będzie to diagnoza *nierówności szans* (startu młodego pokolenia i startów inaugurujących kolejne fazy biografii), a także stopnia otwartości struktur i strukturalnych podstaw poczucia stabilizacji życiowej.

Badania panelowe, analiza biografii, prognozy operujące ekstrapolacją lub bardziej wyrafinowanymi technikami uczynią to zadanie realnym. W uzyskanym obrazie będzie wprawdzie zawsze więcej niejasności niż w obrazie „migawkowym”, statycznym, ale ujawni się wiele ważnych problemów. Oto przykłady: Czy ma rację P. Wójcik, utrzymujący, że mniej ważna jest „statyczna” przewaga płacowa robotników nad nierobotnikami, skoro zarobki robotników w trakcie ich życiorysu zawodowego rzekomo spadają, a zarobki pracowników umysłowych – początkowo niskie – wykazują potem stałą tendencję wzrostową?¹¹⁹ Nawet jeśli dotyczy to – jak podejrzewam – pewnej tylko, kategorii zajęć robotniczych, to samo sformułowanie problemu jest godne uwagi. Ekonomisci zajmujący się teorią wzrostu¹²⁰ wyrażają przypuszczenie – warte weryfikacji – że większą satysfakcję daje konsumentom wzrost konsumpcji „wykładniczy” niż „organiczny” (choć ten ostatni daje większe „pole pod krzywą”), przy tym samym poziomie „w punkcie dojścia”. Jakie informacje są ważniejsze dla określenia statusu emerytów – aktualna relacja emerytur do płac czy nieuchronność rozwierania się „nożyc emerytalno-płacowych” w kolejnych fazach starzenia się i niedołączenia? Inny jest wpływ ciasnoty mieszkaniowej na samopoczucie, jeśli młode małżeństwo uznaje ją za przejściową dolegliwość towarzyszącą fazie startu życiowego, inny zaś – gdy ma się pewność, że spędzi się w tych warunkach całe życie. Skoro spora część gospodarstw mających aktualne dochody poniżej minimum socjalnego posiada samochód, ich „staż”

¹¹⁹ P. Wójcik, wstęp do pracy *Położenie klasy robotniczej w Polsce. Kwestia mieszkaniowa*, ANS, Warszawa 1983.

¹²⁰ Zob. U. Libura, *Konsumpcja a wykorzystanie możliwości produkcyjnych w gospodarce socjalistycznej*. Warszawa 1979, s. 122–123.

na tym niskim szczeblu jest zapewne krótki, co nie znaczy, że wkrótce wrócą na szczebel wyższy. ltd. ltd.

Dynamika zaspokajania potrzeb materialnych zależy od ogólnej dynamiki gospodarczej, ale interesuje nas, jakie nierówności ujawnią się w spożywaniu owoców wzrostu. Dynamika zaspokajania potrzeb „statusowych” zależy od trzech czynników: 1) przemian w funkcjonowaniu społeczeństwa, sprawiających, że np. przybywa wymagających obsadzenia „miejsc na górze” (stanowisk kierowniczych itp.), a ubywa „miejsc na dole” (funkcji szczególnie upośledzających); 2) środowiskowego zróżnicowania współczynników reprodukcji demograficznej, sprawiającego, że często osobnicy zajmujący najwyższe pozycje społeczne nie pozostawiają po sobie dostatecznej liczby następców gotowych odziedziczyć te pozycje (a więc rekrutacja nowych ludzi „z nizin” jest konieczna nawet wtedy, gdy „miejsca na górze” nie przybywa w toku organizacyjnego rozwoju społeczeństwa; 3) od tego, czy ład społeczny zapewnia równość szans awansu społecznego, drożność wszystkich kanałów awansu – strukturalnych i kulturowych (wg. terminologii J. Hryniewicza)¹²¹, równomierność ruchliwości społecznej (w górę, w dół i w bok) we wszystkich środowiskach (co objawia się np. w identycznym rozkładzie dróg szkolnych młodzieży, bez względu na jej pochodzenie społeczne).

Dynamika zaspokajania potrzeb (i związane z tym optymizm życiowy oraz akceptacja systemu społecznego) może więc być znaczna w środowiskach aktualnie nisko usytuowanych na drabinie społecznej – nawet w warunkach nierówności szans. Zaś postulat zrównania szans może być wówczas słabiej artykułowany. Czy zwalnia to polityka społecznego z obowiązku rejestrowania i piętnowania stwierdzonej nierówności szans? Chyba nie. Z kolei ogólna stagnacja społeczno-gospodarcza zwiększa odczuwaną dolegliwość nierównych szans. To samo można powiedzieć o oddziaływaniach między otwartością struktur (w jakikolwiek sposób osiągniętą) a rozmiarem rozpiętości społecznych. W otwartym społeczeństwie mniej rażą nawet znaczne rozpiętości, w kastowym – trudniej ludziom tolerować nawet małe dystanse.

Skala nierówności

Na następne pytanie, *dotyczące odległości między poszczególnymi szczeblami drabiny społecznej*, jest stosunkowo najłatwiej odpowiedzieć. Być może dlatego właśnie większość dyskusji na temat stanu nierówności społecznej koncentruje się wokół problemów typu „czy 1:2 to rozpiętość mała czy duża, czy 1:20 to rozpiętość mała czy duża”, mniej uwagi poświęcając trafności doboru zmiennych wziętych do pomiaru. Podstawowym problemem jest tu nie tyle zmierzenie rozpiętości, co ich ocena i ustalenia jakichś minimów i maksimów rozpiętości.

¹²¹ J. Hryniewicz, *Egalitaryzm a ruchliwość społeczna*, „Studia Socjologiczne” 1974, nr 3.

Ranga różnych wymiarów nierówności

Następnym zadaniem jest *określenie hierarchii ważności poszczególnych wymiarów nierówności*. Istnieje kilka możliwych sposobów uporządkowania owych – analizowanych zrazu z osobna – drabin społecznych. Ustalając rangę poszczególnych drabin mamy do wyboru kilka różnych *kryteriów „ważności”*: 1) za najważniejsze możemy uznać nierówności w dostępie do ról i dóbr – „magnesów”, które przyciągają jakby do ich dysponentów wiele innych dóbr pożądaných (np. takim magnesem może być albo własność środków produkcji, albo dobra praca, albo pieniądz jako taki); 2) za najważniejsze możemy uznać nierówności w dostępie do ról i dóbr „zbiorczych”, będących pochodną pozycji pod wieloma innymi względami i dlatego skorelowanych z nimi (np. prestiż albo majątek); 3) w innym sensie najważniejsze – bo najbardziej naganne – będą nierówności w dostępie do dóbr mających charakter „inwestycji w człowieka” i nierówności w stanie potencjału życiowego (np. zdrowie); 4) większą rangę można przyznać nierównościom w dostępie do tych dóbr, które łączą – z punktu widzenia człowieka – funkcje instrumentalne z autotelicznymi, a więc ich wartość można podnieść do kwadratu (np. za takie dobro możemy uznać wykształcenie, natomiast pieniądz jest ceniony tylko o tyle, o ile pozwala zdobyć inne dobra); 5) wreszcie rangę nierówności w dostępie do poszczególnych dóbr i ról możemy powiązać – omalże mechanicznie – ze skalą nierówności (zakładając, że najwięcej pragnień i napięć społecznych gromadzi się wokół tych dóbr, których rozkład najbardziej odbiega od normalnego).

Jak widać, podstawą tych zabiegów „porządkowych” może być nie tylko system wartości badacza, ale i jakaś – choćby potoczna – wiedza o mechanizmach życia społecznego. Efektem tego uporządkowania jest obraz nierówności społecznych, na którym niektóre drabiny są narysowane grubszą kreską.

Można też dążyć do zbudowania *jednej „zbiorczej” drabiny społecznej* (w czym przydatna może się okazać któraś z wersji znanej „metody genewskiej” mierzenia poziomu życia)¹²². Można też wszystkie problemy towarzyszące hierarchizowaniu potrzeb przenieść do mikroskali i starać się wyceniać wartość ogólnego poziomu życia jednostki (np. posługując się metodą mierzenia syntetycznego poziomu życia opracowaną przez M. Rakowskiego)¹²³, by potem oceniać społeczne rozpiętości tego wskaźnika. Nigdy jednak te syntetyzujące zabiegi nie zwolnią z obowiązku kreślenia analitycznych i wielowymiarowych „map nierówności społecznych”.

¹²² J. Rosner, *Poziom życia i jego mierniki*. W: *Polityka gospodarcza a polityka społeczna*, Warszawa 1971.

¹²³ M. Rakowski, *Pojęcie, wycena i analiza poziomu życia*, „*Ekonomista*” 1976, nr 3.

Nierówności – między kim a kim

Na jakie klasy statystyczne, na jakie „grupy istotne” dzielimy społeczeństwo, aby następnie mierzyć dystanse między nimi w dostępie do ról i dóbr? Możliwe jest oczywiście – choć pracochłonne – podejmowane jakby „na oślep” badanie wszelkich korelacji między posiadaniem różnych dóbr, ponoszeniem różnych ciężarów a sprawowaniem przez ludzi różnych ról, by następnie orzekać, które role, które dobra i ciężary są grupotwórcze. Wówczas „nosiciele” tych dóbr i ról utworzą kategorie uznane za istotne i analiza nierówności społecznych zostanie odniesiona do tych kategorii. Taki zabieg warto od czasu do czasu przeprowadzić, choćby po to, żeby oderwać się od – być może – zużytych stereotypów i zdezaktualizowanych założeń.

Na ogół jednak przyjmujemy z góry (na podstawie wiedzy o przeszłości lub na podstawie wyznawanej teorii społecznej), że pewne klasyfikacje badanej zbiorowości ludzkiej są istotniejsze od innych¹²⁴. Można tu wyróżnić następujące *podejścia*:

1. Dzielimy badaną zbiorowość na kategorie według cech „podejrzanych o sprawstwo” podstawowych nierówności społecznych, a więc na zantagonizowane wobec siebie klasy, na warstwy wyodrębnione ze względu na miejsce zajmowane w społecznym podziale pracy, wykształcenie itd.
2. Do poszczególnych kategorii zaliczamy jednostki o analogicznych lub zbliżonych potrzebach i zagrożeniach, co praktycznie najczęściej oznacza, że stosuje się kryteria demograficzne – wiek, płeć, dietność.
3. Za najważniejsze uznajemy poczucie solidarności grupowej, sprawiające, że pewna kategoria ludzi zaczyna być grupą (klasą, pokoleniem itp.) „dla siebie”. Znaczenie tego świadomościowego kryterium rośnie, gdy badania nierówności społecznych prowadzone są „na zamówienie” walczących o realizację swych interesów sił społecznych.
4. Można też przyjąć kryteria „obojętne merytorycznie”, ale podporządkowane wygodzie aparatu zbierającego dane czy też organizacji służb administracyjnych i statystycznych (np. w układzie wojewódzkim czy działowo-gałęziowym). Natomiast nierealne wydaje się badanie nierówności między zbiorowością „cnotliwych” a zbiorowością „występnych”, a więc tego, co najbardziej zaprzęta uwagę filozofów społecznych.

Podejścia te nie muszą prowadzić do rozwiązań zasadniczo od siebie odmiennych. Na przykład badanie nierówności głównie w układzie regionalnym można uzasadniać tym, że procesy koncentracji przemysłu w pewnych regionach są główną przyczyną narastania nierówności społecznych, że uwarunkowane lokalną tradycją i odmiennością warunków bytowania regionalne

¹²⁴ Na potrzeby analizy podziału dochodów J. Danecki wyróżnia jako kluczowe układy klasowo-warstwowy, działowo-gałęziowy, społeczno-demograficzny i przestrzenny. Zob. J. Danecki, *Przesłanki długookresowej polityki...*, jw., s. 52.

zróznicowania potrzeb są znaczne, że silne są „patriotyzy lokalne” i wreszcie tym, że danych dostarczą wojewódzkie urzędy statystyczne. Jeśli wszystkie te uzasadnienia okażą się – w danym przypadku – prawdziwe, pierwszoplanowe znaczenie podziału na społeczności lokalne będzie oczywiste. Z kolei wybór kryteriów demograficznych jako najważniejszych może wynikać z poglądu – chyba dość silnie zakorzenionego w kręgu badaczy identyfikujących się dziś w Polsce z polityką społeczną – że „sprawy ludzkie” są głównym źródłem ryzyk i deprywacji przydarzających się jednostkom (a nie jest powołaniem polityki społecznej ingerowanie w struktury makrospołeczne i doskonalenie instytucjonalnych zrębów społeczeństwa). Ale – uzasadniając ten wybór – mówi się też o solidarnościach pokoleniowych, wskazuje się też na łatwość i oczywistość stosowania „metryczkowych” kryteriów klasyfikacji. Na rozmaite sposoby można też uzasadniać badanie nierówności w układzie: klasa robotnicza – reszta społeczeństwa, wskazując bądź to na wyzysk jako cechę sprawczą niskiej pozycji robotników; bądź to na wspólne im zagrożenia wynikające z pracy fizycznej wykonywanej w szkodliwym środowisku, w kontakcie z niebezpiecznymi urządzeniami technicznymi; bądź to na świadomość i aktywność klasową; bądź to na jednoznaczność kryteriów ułatwiających wyodrębnienie kategorii statystycznej „pracowników fizycznych”. Z obserwacji życia społecznego może zaś wynikać, że np. wyraźnie odrębny syndrom cech położenia społecznego przypisany jest do zbiorowości branżowo-zawodowej, w obrębie której jednak wyróżnia się – pod względem nasilenia ryzyk – pewna kategoria demograficzna, a pod względem nasilenia samoświadomości i aktywności roszczeniowej – pewna grupa regionalna.

Wypada wreszcie powrócić do problemu omawianego już w poprzednim rozdziale, tym razem w kontekście diagnostycznym. Kogo mianowicie mamy grupować w wyróżnionych kategoriach zbiorowych – *jednostki czy rodziny* (a ściślej – gospodarstwa domowe)? W analizach cząstkowych problem ten występuje mniej ostro – wyraźnie widać, że pewne dobra, ciężary i role są przypisane do jednostki, inne – do rodziny. Wychowanie, czas i praca (ta ostatnia – z pewnymi wyjątkami) są „jednostkowe”. Budżet pieniężny, mieszkanie i – co oczywiste – struktura rodziny są „rodzinne”. Na etapie syntezy trzeba jednak zdecydować się, kto ma wystąpić w roli „wspólnego mianownika” – jednostka czy rodzina.

Decyzja ta ściśle wiąże się z przekonaniem badacza co do tego, za czyje losy – w ostatecznym rachunku – ma wziąć odpowiedzialność polityka społeczna. Jeśli polityka społeczna skoncentruje się na jednostce, ludzie – poprzez swe życie prywatne – mogą poważnie zmodyfikować skutki tej polityki, doprowadzając do „pozaplanowej” kumulacji korzystnych lub niekorzystnych cech (małżeństwa „wsobne” w kręgu ubóstwa lub w kręgu elity) lub łagodząc dysproporcje (wskutek „społecznie obojętnego” charakteru decyzji zapadających na rynku małżeńskim, lub nawet wskutek obyczaju aktywnie odwracającego

makrotendencje, np. jeśli dobrze sytuowani dyrektorzy przedsiębiorstw chętnie będą się żenić z nauczycielkami).

Mechanizmy sprawcze

Przypuszczenia co do *natury mechanizmów, które doprowadziły do powstania stwierdzonych nierówności społecznych*, wpływają na dobór przekrojów i kategorii analizy.

Była już o tym kilkakrotnie mowa. Pogłębione przedstawienie tych mechanizmów powinno jednak stać się zwieńczeniem całej analizy nierówności społecznych. Ważne są w szczególności odpowiedzi na pytania: które z tych mechanizmów są konstruktywne (nierówności są więc ubocznym skutkiem procesów skądinąd pożądaných), a które patologiczne, które z nich są tworem polityki i są przez nią w pełni kontrolowane, a które są efektem zaniechania przez nią działań (z wyboru bądź z konieczności), które zaś są przejawem działania jakichś obiektywnych praw rozwoju (w tym właśnie kontekście można np. toczyć dyskusję o użyteczności posługiwania się kategorią klasy w sensie marksowskim w analizie współczesnego społeczeństwa polskiego).

Rozważania na ten temat stanowią przejściową fazę między kreśleniem „mapy nierówności” a poszukiwaniem słusznego, realnego i efektywnego programu działania. A temu celowi każda diagnoza w polityce społecznej musi być podporządkowana.

4

Bezpieczeństwo a zagrożenia

Podstawowe pojęcia i problemy

Bezpieczeństwo – awans wartości

Bezpieczeństwo – potrzeba, którą psychologowie lokują na jednym z pierwszych miejsc w hierarchii ludzkich potrzeb¹²⁵, wartość, która rzadko była *explicite* głoszona przez ideologów i myślicieli przeszłości i rzadko trafiała na rewolucyjne sztandary (nic więc dziwnego, że z reguły nie pojawia się w podręcznikach historii myśli społecznej, choć równość i wolność zajmują tam wiele miejsca). Wartość ta przez tyle wieków nie zajmowała pierwszego miejsca w projektach przebudowy społecznej może dlatego, że bezpieczeństwo jawiło się raczej sprawą Boga i losu niż sprawą społeczeństwa, bezsilnego wobec żywiołów i plag; a może dlatego, że zawsze i wszędzie najpoważniejszym argumentem obrońców status quo przeciwko rewolucjom i ryzykownym projektom było to, że naruszają one poczucie stabilizacji i bezpieczeństwa zarówno możliwych, jak i niemożliwych. Nobilitacja tej wartości jest nierozłącznie związana z genezą nowoczesnej polityki społecznej, kiedy to rewolucja przemysłowa zrodziła wiele nowych zagrożeń – których „socjogeny” charakter trudno było kwestionować – znosząc jednocześnie z powierzchni ziemi tradycyjne instytucje dające dotychczas ludziom minimum poczucia bezpieczeństwa.

Bezpieczeństwo odmianą wolności

Bezpieczeństwo oznacza tyle, co wolność od zagrożeń. Jednostka ludzka osiąga stan bezpieczeństwa wówczas, gdy może zasadnie stwierdzić, że w przyszłości nie grozi jej nieszczęście, znaczne i trwałe pogorszenie sytuacji życiowej, pod tymi względami, które uznaje za najważniejsze. Stan bezpie-

¹²⁵ Zob. np. A. Maslow, *Teoria hierarchii potrzeb*. W: *Problemy osobowości i motywacji w psychologii amerykańskiej*, Warszawa 1964.

czeństwa ma swój wymiar *obiektywny* (gdy zagrożenia rzeczywiście nie mają dostępu do pewnego – znacznego – obszaru życia; redukcja ich do zera nie jest wyobrażalna, skoro każdy na pewno umrze). Ma też swój *subiektywny*. Poczucie bezpieczeństwa wynika z przeświadczenia (słusznego lub błędnego), że nic człowiekowi nie grozi, a także wynika z zaspokojenia potrzeby oparcia (źródłem psychicznego oparcia może być inny człowiek, grupa, nauka lub wiara; a jeśli go zabraknie, świat jest postrzegany przez jednostkę jako wyludniona „pustynia”)¹²⁶. W wymiarze obiektywnym przeciwieństwem bezpieczeństwa jest więc *zagrożenie*, a w wymiarze subiektywnym – *strach* i *lęk*. Lęk neurotyczny w sytuacji braku realnych zagrożeń jest dewiacją jednostkową. Jeśli jednak lęk neurotyczny szerzy się wśród bardzo wielu członków danego społeczeństwa i on staje się faktem społecznym, mającym swój obiektywny wyraz. Bezpieczeństwo jako wartość ideologiczna jest uwzniośleniem tej elementarnej (wg. R. Sutermeistera nawet fizjologicznej) potrzeby, proklamacją nadrzędności społecznych działań chroniących ludzi przed zagrożeniem i przed lękiem.

Definicja działania ryzykownego

Najogólniej rzecz ujmując, źródła zagrożeń jednostki mogą być dwojakie: 1) niezależne od jej działań (co nie znaczy, że niezależne od czyichkolwiek działań); 2) zależne od jej działań, w tym drugim przypadku użyteczne okazać się wprowadzenie pojęcia *ryzyka*, rozumianego tu (za *Słownikiem Wyrazów Obcych*) jako „przedsięwzięcie, którego wynik jest nieznany, możliwość, że coś się uda lub nie uda”, a więc jako *cecha ludzkiego działania*. Do działania ryzykownego przypisane są – nierozłącznie – *szansa* i *zagrożenie*; stopień prawdopodobieństwa wystąpienia tak jednego, jak i drugiego może być znany lub nieznany, ale zawsze niepewność, jaki będzie wynik w tym konkretnym przypadku, stwarza zagrożenie. Często podkreśla się, że człowiek wystawia się na to zagrożenie dobrowolnie (zwłaszcza w rozważaniach o ryzyku przedsiębiorcy)¹²⁷, ale sądzę, że ta dobrowolność może być bardzo względna. A mianowicie jednostka może stać przed koniecznością wyboru jednej z kilku decyzji niosących ryzyko (i wówczas „ucieczka w bezpieczeństwo” jest wykluczona), ponadto człowiek może podejmować decyzję pod silną presją ekonomiczną (np. ekonomiczny przymus zarobkowania i wystawiania się na „ryzyko pracownicze”) lub pod presją kulturową (np. „w obronie honoru”).

¹²⁶ Zob. W. Narojek, *Struktura społeczna w doświadczeniu jednostki*, Warszawa 1982, s. 94.

¹²⁷ Zob. np. W. Lamentowicz, *Spoleczne uwarunkowania zachowań przedsiębiorczych*. W: *Człowiek w systemie gospodarowania*, t. I, PTE, Warszawa 1986. Tenże autor jest jednak niekonsekwentny, gdy pisze o rozkwicie przedsiębiorczości konsumentów walczących o rzadkie towary na rynku. Jest to przecież walka podejmowana z konieczności – chyba, że ograniczyć tę tezę do „przedsiębiorczości spekulacyjnej”.

Typy sytuacji ryzykownych

Za istotne dla późniejszych rozważań nad stanowiskiem polityki społecznej w kwestii „ile bezpieczeństwa a ile zagrożeń powinno cechować życie społeczne” uważam rozróżnienie następujących typów sytuacji (decyzji, działań) ryzykownych:

1. Zagrożenie ma charakter absolutny i oznacza *realne pogorszenie* sytuacji w stosunku do status quo, natomiast szansa jest relatywna i może oznaczać po prostu „utrzymanie się na powierzchni”, czyli brak pogorszenia.
2. Zarówno zagrożenie, jaki szansa są realne i absolutne, w efekcie podjętych działań przyszła sytuacja będzie *albo gorsza, albo lepsza* od status quo; pogorszenie może oznaczać utratę wszystkiego, co człowiek dotychczas osiągnął, za to i sukces nie będzie spętany żadnymi wędzidłami. Ryzyko przybiera więc tu „czystą”, klasyczną postać.
3. Zarówno zagrożenie, jak i szansa są realne i oznaczają pogorszenie lub poprawę w przyszłości w stosunku do sytuacji obecnej; jednakże zagrożenie *nie może* przekroczyć granic pewnego chronionego obszaru ludzkiego życia (podobnie jak w pewnych typach spółek kapitałowych obowiązuje zasada „ograniczonej odpowiedzialności”, wytyczająca granicę między „funduszem ryzyka” i resztą zasobów).
4. Zagrożenie jest względne, sprowadza się do zaprzepaszczenia szansy na sukces, nie pociąga na sobą utraty zajętej już pozycji; natomiast szansa jest realna, polega na pięciu się w górę.

Jak widać, cztery powyższe sytuacje zostały uporządkowane poczynawszy od tych, które najsilniej godzą w potrzebę bezpieczeństwa, do tych, które – przynajmniej w wymiarze obiektywnym – zupełnie z nią nie kolidują. *Oprócz tych jakościowych różnic występują i ilościowe*, określone przez następujące zmienne: rozmiar spodziewanej poprawy, stopień prawdopodobieństwa sukcesu i porażki. Można tu posłużyć się analogią do gier hazardowych. Z gruntu odmienna jest sytuacja gracza w Toto-Lotka (mała stawka, duża wygrana, mała szansa wygranej), Loterię Państwową (średnia stawka, średnia wygrana, średnia szansa wygranej) i ruletkę (duża stawka, duża wygrana, średnia szansa wygranej). Przy tym rozmiar strat i zysków musi być odniesiony do osiągniętego już poziomu zaspokojenia potrzeb. Gdy ma się bardzo mało, nawet najmniejsza strata podważa podstawy egzystencji. Gdy ma się bardzo dużo, poniżenie związane z utratą przywilejów bywa – w pewnych sytuacjach – bardziej dojmujące.

Kto traci, kto wygrywa, kto przegrywa

W rozważaniach nad przedsiębiorczością socjalistyczną stawia się jeszcze jedno pytanie: *czyja strata i czyj sukces*. Na przykład W. Lamentowicz¹²⁸ su-

¹²⁸ Tamże.

geruje, że socjalistyczny menedżer podejmuje decyzje gospodarcze na *ryzyko zbiorowości, ale w interesie własnym* – co sprzyja nieodpowiedzialnemu ryzykowaniu, lub *na ryzyko zbiorowości i w interesie zbiorowości* – co sprzyja raczej apatii i rutynie. Sprzyja to także zastępowaniu rachunku ekonomicznego przez specyficzną procedurę bilansowania różnoimiennych wartości. Przedmiotem zagrożenia jest państwowy majątek produkcyjny, przedmiotem szansy pozycja menedżera w systemie władzy. Jednakże moje rozważania nie koncentrują się na decyzjach ludzi jako podmiotów gospodarujących. Interesuje mnie rola ryzyka we wszystkich ważnych decyzjach człowieka kształtującego swoją biografię. Tu regułą (a nie dewiacją) staje się różnoimiennosc i wielowymiarowość szacowanych strat i zysków, które mimo uwikłań w rozmaite układy społeczne – „w ostatecznej instancji” zostają sprowadzone do wspólnego mianownika, jakim jest jednostka i jej rodzina. Patrząc na relacje, jakie mogą zachodzić między jednostką podejmującą ryzykowne działania a społeczeństwem, można mówić o dwóch biegunowo odmiennych typach „gier” podejmowanych przez ludzi:

- Pewne gry, pewne rodzaje ryzyka, na które ważą się aktywne jednostki, nieuchronnie rodzą antagonizmy społeczne, gdyż *wygrane jednych oznaczają przegrane innych* (taką „grą o sumie zerowej” jest np. walka o pracę w warunkach gospodarki wytwarzającej bezrobocie, walka o towary w warunkach gospodarki wytwarzającej niedobory rynkowe, walka o pozycję społeczną w społeczeństwie silnie hierarchizowanym).
- Istnieją gry, w których *wszyscy mogą wygrać*, wyścigi, w których wszyscy mogą być w czołówce (np. gdy system gospodarczy przetwarza – bez większych strat sumę przedsiębiorczości indywidualnych w dynamikę ogólnogospodarczą, gdy zmagania jednostek z przyrodą dają w efekcie całej ludzkości pozycję „pana natury” – inna rzecz, że do czasu).

Ryzyko – asekuracja

Tak jak przeciwieństwem stanu bezpieczeństwa jest stan zagrożenia, a przeciwieństwem poczucia bezpieczeństwa jest poczucie strachu i lęku, tak przeciwieństwem działań ryzykownych są *działania asekuracyjne*, podejmowane w imię poszerzenia obszaru bezpieczeństwa. Motyw ten może więc tak samo dopingować do działania jak motyw bogacenia się w inne wartości i dobra.

Źródła zagrożeń

Problematyka wpływu działań jednostki na zaspokojenie przez nią potrzeby bezpieczeństwa jest ważna dla polityki społecznej pragnącej honorować dążenia jednostek, nie wyczerpuje jednak odpowiedzi na pytanie, jakie są współcześnie *najważniejsze źródła zagrożeń*. W tym miejscu pragnę przedstawić systematyczny przegląd tych źródeł:

1. *Przyroda* lub, używając nowocześniejszego terminu, ekosfera, „środowisko naturalne”, najstarsze źródło zagrożeń dla gatunku ludzkiego. Przyroda, gdy jest nieokiełznana i dominuje nad człowiekiem, zagraża niepewną co do wyniku międzygatunkową walką o byt, głodem, klęskami żywiołowymi, epidemiami. Gdy ginie, zdominowana przez człowieka, rodzi się obawa, że pociągnie za sobą także – pozornie zwycięski – gatunek ludzki, stanowiący, bądź co bądź, jeden z jej elementów.
2. *Technika*, stworzona przez człowieka technosfera, „sztuczne środowisko”. Niesie ona zagrożenia, gdy jest niedoskonała, niesprawna, kalecząca i nieergonomiczna. Stwarza też zagrożenia – choć innego rodzaju gdy jest wyalienowana, gdy jest tak doskonale i bujnie rozwinięta, że przerasta możliwości zrozumienia przez każdą jednostkę z osobna (choćby najlepiej wykształconą), przerasta możliwości obsługi, okiełznania, stwarza świat wykraczający poza „skalę ludzką” (np. w architekturze i urbanistyce).
3. *Spółeczeństwo*, system społeczno-ekonomiczno-polityczny i uwarunkowane tym systemem zachowania jednostek. Bogactwo konkretnych zagrożeń jest tu olbrzymie, a mechanizmy ich powstawania – zależnie od systemu – bywają przeciwstawne. Można tu wymienić:
 - a) zorganizowaną przemoc – wojny, zbrojne konflikty, represje, system prawny ograniczający wolność jednostek, niepraworządność, alienację polityczną;
 - b) ekonomiczną „walkę o byt” między konkurującymi producentami na rynku oraz jej odpowiedniki w innych sferach życia, co daje psychologiczny efekt „dżungli”¹²⁹;
 - c) wyzysk i alienację pracy;
 - d) nadmierne wymagania, formułowane bądź to bezpośrednio (np. jako dyktat perfekcjonistycznej kultury – „bądź święty” – lub jako wymóg jawnej eksploatacji), bądź to pośrednio (np. jako pochodna owych sytuacji konkurencyjnych i przerostu aspiracji);
 - e) nadmierne natręctwo instytucji ingerujących w życie prywatne jednostki i rodziny, naruszających niezbędną dla zachowania zdrowia psychicznego intymność nawet wówczas, gdy celem tych ingerencji jest dobro człowieka;
 - f) tempo zmian, jego nierównomierność i różnokierunkowość; na niekorzystny dla ludzkiej psychiki „szok przyszłości” wynikający z oszalałającego współcześnie tempa zmian, nawet tych korzystnych dla ludzkości, zwraca uwagę A. Toffler¹³⁰; skutkiem zbyt szybko dokonujących się przewartościowań może być anomia; znane są zagrożenia

¹²⁹ Zob. W. Narojek, *Struktura społeczna...*, jw., s. 94.

¹³⁰ Zob. A. Toffler, *Szok przyszłości*, Warszawa, s. 395 i dalsze.

wynikające z cyklicznych załamań gospodarki i ładu społecznego, a także napięcia wywoływane przez lokalnie lub krótkookresowo zwiększone tempo wydarzeń.

4. *Agresja innych jednostek*, występujące we wszystkich epokach i systemach zachowania patologiczne, przestępstwa przeciwko życiu, zdrowiu i mieniu, nietolerancja, nienawiść i zawiść objawiane w zachowaniach i w wypowiedziach.
5. *Sama osoba zagrożona* staje się niekiedy zagrożeniem dla siebie, czasem wbrew swej woli, czasem w efekcie wolnego wyboru. A konkretnie źródłem zagrożeń może być:
 - a) organizm jednostki jako całość psychofizyczna, jego niedomagania wrodzone i nabyte (a więc „przyroda tkwiąca w człowieku”);
 - b) czyny jednostki godzące w dobro i interesy innych osób lub systemu – ze względu na grożącą za nie odpowiedzialność i karę (ten efekt „bumerangu” ujawnia się z większą siłą, gdy rośnie nieuchronność odpowiedzialności, prawdopodobieństwo poniesienia kary; a także, gdy rośnie stopień internalizacji norm moralnych i dokucza „nie dający się uciszyć głos sumienia”);
 - c) czyny jednostki jawnie autodestrukcyjne, których negatywne dla sprawcy skutki wydają się obiektywnemu obserwatorowi pewne (choć subiektywny osąd swej sytuacji przez samobójców, alkoholiczków czy narkomanów może być z gruntu odmienny; dla nich może być to raczej „igranie z niebezpieczeństwem” niż „nieuchronne staczanie się”, skoro nawet naukowcy stwierdzają, że tylko pewien procent nadmiernie pijących zapada na chorobę alkoholową);
 - d) czyny jednostki konstruktywne, podejmowane w celu zwiększenia przyszłych korzyści mimo niepewności sukcesu i mimo zagrożenia przegraną (a więc świadome podejmowanie mniej lub bardziej skalkulowanego ryzyka, o którego odmianach pisałam uprzednio).

Nieco później zajmę się kwestią, czy należy dążyć do usunięcia wszystkich źródeł zagrożeń, czy jest to w ogóle możliwe i czy nie sparaliżuje to wszelkich ludzkich działań obarczonych niepewnością wyniku.

Przedmiot zagrożeń

Pora teraz sprecyzować, co rozumiemy zazwyczaj przez przedmiot zagrożeń, a więc po pytaniu: co zagraża? trzeba postawić pytanie: *co jest zagrożone?* Jak już była o tym mowa, jednostka może uznać za zagrożenie każde pogorszenie swej sytuacji, a nawet każdą utratę szansy przyszłej poprawy, nie mówiąc o braku oparcia (w kimś lub w czymś) i o płynącym z imaginacji lęku neurotycznym. Jednakże, gdy rozważamy bezpieczeństwo jako problem społeczny, jako jedną z wartości kształtujących politykę społeczną, ujęcie to wydaje się

zbyt szerokie; trudno, aby społeczeństwo brało odpowiedzialność za brak absolutnego błogostanu i wszechstronnego rozwoju swych obywateli, a w każdym razie, aby traktowało tę kwestię jako kwestię bezpieczeństwa. Sądzę zatem, że – w perspektywie polityki społecznej – za kolidujące z bezpieczeństwem (jako wartością i jako potrzebą) należy uznać zagrożenia: *życia, zdrowia fizycznego, zdrowia psychicznego, samodzielności ekonomicznej*.

Wszystkie te pojęcia są nieostre, w szczególności „zdrowie psychiczne” nie doczekało się powszechnie akceptowanych mierników nawet na poziomie minimum¹³¹. Jest to jednakże pojęcie ważne, dzięki któremu można „przemycić” do sfery zainteresowań polityki społecznej także te deprywacje, które mają – zdawałoby się – bardziej „luksusowy” lub bardziej prywatny charakter, ale w konkretnych przypadkach wywierają dezintegrujący wpływ na psychikę (np. brak szczęścia rodzinnego, niski prestiż, niewykorzystanie talentów).

Poziomy wolności od zagrożeń

Bezpieczeństwo jest stopniowalne, toteż *uwalnianie od zagrożeń zdrowia i samodzielności ekonomicznej może być realizowane* na czterech poziomach: 1) zapewniającym przetrwanie biologiczne (kiedy przedmiotem ochrony jest praktycznie tylko życie); 2) zapewniającym standard uznany w danej kulturze za minimalny, nie wykluczający człowieka poza nawias społeczeństwa; 3) utrzymującym dotychczasowy standard życia (nawet jeśli był wyższy od minimalnego); 4) zapewniającym standard uznany za „skromne optimum” nawet tym ludziom, którym obecnie daleko gorzej się żyje. Natomiast *ochrona życia* ma bardziej jednoznaczny, „zero-jedynkowy” charakter.

Teoria zabezpieczenia społecznego wobec wartości bezpieczeństwa

Jaki jest związek między tak szeroko zarysowanym ujmowaniem bezpieczeństwa jednostek a pojęciem *bezpieczeństwa socjalnego*, wypracowanym przez teorię zabezpieczenia społecznego¹³²? Ukrytym założeniem, przyjmowanym przez twórców instytucji zabezpieczenia społecznego, jest uznanie, że normą obowiązującą każdą jednostkę (a zarazem prawem przysługującym każdemu) jest pełnienie roli pracownika. Wobec tego za *ryzyko socjalne* (rozumiane tu jako „prawdopodobieństwo wystąpienia szkody”, wszelkiej szkody, nie tylko takiej, która jest skutkiem świadomego podjęcia ryzyka przez działającą jednostkę) uznaje się niemożność zadowalającego pełnienia roli pracownika zarabiającego swą pracą na utrzymanie własne i rodziny; niemożność, której

¹³¹ Zob. J. Piotrowski, *Zabezpieczenie społeczne. Problematyka i metody*. Warszawa 1966.

¹³² Zob. np. K. Dąbrowski, *Trud istnienia*, Warszawa 1975, s. 148 i dalsze.

– w skrajnych przypadkach – może towarzyszyć niezdolność do samoobsługi, do samodzielnego życia (co zresztą też może zostać przetłumaczone na język strat ekonomicznych, jako brak środków na opłacenie niezbędnych usług pielęgnacyjnych). Mimo stawiania coraz ambitniejszych zadań przed instytucjami zabezpieczenia społecznego – w miarę ich rozwoju i w miarę bogacenia się społeczeństw – punkt wyjścia pozostaje zawsze ten sam: *niezdolność do zarobkowania i szkoda ekonomiczna*; nawet jeśli „przy okazji” obok działań rekompensujących straty materialne podejmuje się działania wyrównujące straty innego rodzaju. Jeśli instytucje zabezpieczenia społecznego stać na coś więcej niż tylko *rekompensowanie* skutków ryzyk, jeśli starają się *usuwać* już zaistniałe i zapobiegać *powstawaniu* nowych ryzyk, to – siłą rzeczy – ich podejście do zagrożeń będzie musiało stać się bardziej wielowymiarowe. I to jednak nie podważa twierdzenia o specyficznym zawężonym „punkcie wyjścia” charakterystycznym dla tych instytucji.

Tak więc na „klasycznej” liście szczegółowych ryzyk społecznych (według konwencji 102 Międzynarodowej Organizacji Pracy) znajdują się:

- zagrożenie zdrowia (mające bardzo różne źródła, ale podobne w skutkach – niemożność zarobkowania i niemożność pokrycia dodatkowych wydatków na usługi lecznicze);
- zagrożenie starością, nieuchronne ze względów biologicznych, tu rozpatrywane ze względu na takie skutki, jak niemożność zarobkowania i – w dalszych fazach – niezdolność do samoobsługi;
- zagrożenie trwałą niesprawnością, bez względu na jej źródła, przejawiającą się w trwałej niezdolności do pracy i – w części przypadków – do samoobsługi;
- zagrożenie trwałą niesprawnością wyróżnione ze względu na specyficzne źródło jej powstania, a mianowicie inwalidztwo pracy (źródłem zagrożenia jest więc system ekonomiczny);
- zagrożenie bezrobociem, a więc niezdolność do zarobkowania wynikająca nie z czyjejkolwiek niezdolności do pracy, lecz z niezdolności systemu ekonomicznego do wykorzystania potencjału ludzkiego;
- zagrożenie okresową utratą zdolności do zarobkowania (absolutną lub względną, w proporcji do zwiększonych potrzeb) z powodu połogu, a potem opieki nad niesamodzielnym życiowo i ekonomicznie dzieckiem;
- zagrożenie osób niezdolnych do pracy, utrzymywanych przez pracownika, śmiercią ich żywiciela (ryzyko śmierci jest tu więc także rozpatrywane jednowymiarowo, jako ryzyko utraty źródeł utrzymania)¹³³.

Lista ta wydłuża się z czasem, przemiany społeczne i ekonomiczne tworzą nowe, dotychczas nieistotne w skali społecznej, zagrożenia; nowe zjawiska społeczne i nowe, bardziej ambitne, programy zabezpieczenia społecznego

¹³³ Zob. J. Piotrowski, *Zabezpieczenie społeczne...*, jw., s. 87.

skłaniają do bardziej analitycznego podejścia do „klasycznych” ryzyk, do rozdzielania ich na nowe kategorie (np. ryzyko odejścia żywiciela, jako pochodna rozkładu życia rodzinnego; ryzyko przedłużonego obciążenia uczącymi się, więc jeszcze niesamodzielnymi ekonomicznie, dziećmi, jako pochodna rosnącej roli kwalifikacji formalnych w życiu zawodowym; ryzyko okresowego przekwalifikowywania się, jako pochodna szybkich zmian społecznego podziału pracy i postępu techniczno-organizacyjnego).

Szczegółowe polityki społeczne wobec wartości bezpieczeństwa

Nowoczesne systemy zabezpieczenia społecznego mają wprawdzie tendencję do sukcesywnego obejmowania, oprócz pracowników i ich rodzin, ogółu obywateli czy mieszkańców kraju, mimo to jednak nie są one w stanie uporać się ze wszystkimi zagrożeniami; nie jest to zresztą ich celem. Tak więc – obok *zabezpieczenia społecznego* – ważnymi wycinkami generalnego problemu bezpieczeństwa jednostek zajmują się, jako swym „problemem numer 1”, polityki: *wymiaru sprawiedliwości, ochrony pracy i ochrony środowiska*. Suma tych czterech polityk szczegółowych nie powinna jednak limitować obszaru rzeczywistości, na którym ma się rozegrać społeczna batalia o bezpieczeństwo. Bowiem – co jeszcze raz podkreślam z naciskiem – bezpieczeństwo nie jest dziedziną, jest wartością, która powinna współwyznaczać wraz z innymi wartościami – sposób obmyślenia strategii całej polityki społecznej. Zależnie od konkretnej dziedziny i konkretnej sytuacji, może być wartością naczelną lub wartością „pomocniczą”. Rozważając pewne dziedziny i pewne sytuacje trzeba też – może tak się zdarzyć – tę wartość „zawieszać”. Przy rozstrzyganiu tych kwestii mogą się pojawiać znaczne rozbieżności stanowisk, ostre kontrowersje, sprzeczne uogólnienia w odmiennych doktrynach społecznych czy filozoficznych. Przejdę więc obecnie do ukazania rozrzutu możliwych stanowisk będących reakcją na następujące pytania; *czy – i kiedy – bezpieczeństwo jest dobre, słuszne i użyteczne? czy – i kiedy – zagrożenia są nieuchronne?*

Czy bezpieczeństwo jest dobre

Złe strony nadmiaru bezpieczeństwa

Czy rosnące bezpieczeństwo jednostek jest korzystne dla ich rozwoju i samopoczucia? Czy jest oczywistym przejawem postępu społecznego w mąkroskali? Mało kto odpowie na te pytania przecząco. Częściej opatruje się tę generalną aprobatę różnymi zastrzeżeniami, stwierdzając, że istnieje nie tylko minimalny poziom bezpieczeństwa, do którego mają prawo wszyscy, ale również poziom maksymalny, którego przekroczenie pociąga za sobą negatywne skutki uboczne.

Na czym może polegać *negatywny wpływ nadmiaru bezpieczeństwa na dobro jednostki*? Jeżeli jednostka żyje jak pod inkubatorem, na co dzień odgradzona od wszelkich zagrożeń całym systemem wymyślonych instytucji i urządzeń asekuracyjnych, skazana jest na zagładę w razie – zawsze możliwego, choć nawet mało prawdopodobnego – załamania tego systemu asekuracyjnego. Jest zbyt wydelikaccona, brak jej elementarnego treningu, odporności psychicznej i zaprawy w walce¹³⁴. Nadmiar asekuracji zmniejsza więc prawdopodobieństwo zagrożeń, ale może – w zamian za to – realnie zwiększyć rozmiar zagrożeń.

Oprócz tego „treningowego” znaczenia zagrożeń można mówić o ich walorach ludycznych – zapotrzebowanie na nie jest oczywiście bardzo różne. Większości starcza przeżywanie ich w świecie fikcji (reakcją na to zapotrzebowanie jest wiele gatunków współczesnej kultury masowej), na drugim krańcu lokują się ci, dla których autentyczne zagrożenie jest wartością naczelną i autoteliczną – np. alpinisci. Ale i dla tych, którzy są pośrodku, pewne formy – raczej te łagodniejsze – „hazardu życiowego” mogą w pewnych fazach życia, w pewnych szczególnych konfiguracjach, wydawać się atrakcyjne. Również „duch czasu” i „duch miejsca” mogą sprzyjać w skali społecznej bądź to strategii życiowej maksymalizującej bezpieczeństwo, bądź to strategii życiowej nastawionej na maksymalizację innych korzyści. Nie wydaje się jednak, aby przymus ryzyka jako norma społeczna był lubiany i akceptowany.

Natomiast z punktu widzenia „dobra ogólnego”, dobra systemu społecznego, nadmiar bezpieczeństwa w skali globalnej bywa czasem wskazywany jako przyczyna osłabienia selekcji gatunkowej. Tak jak szczupak w stawie, a wilk w lesie, w ludzkim świecie zagrożenia eliminują tych, którzy stanowią mniej udane egzemplarze gatunku ludzkiego, którzy są mało produktywni pod wieloma różnymi względami, asekuracja których pochłania większość środków przeznaczonych przez społeczeństwo na cele ochronne. Ten pogląd jest zresztą bardzo kontrowersyjny, wywodzi się z takiej odmiany myślenia kolektywistycznego, którą można oskarżyć o amoralizm czy nawet okrucieństwo.

Kolizje między bezpieczeństwami „częstkowymi”

Generalnie, *jednostki i grupy społeczne dążą do zwiększenia swego bezpieczeństwa*, jest to zauważalne choćby dla historyka, uważają więc bezpieczeństwo – a przynajmniej swoje bezpieczeństwo – za dobre. Galbraith stwierdza sarkastycznie, że „...choćby ryzyko stanowiło nieodłączny element modelu społecznego opisywanego przez tradycyjną ekonomię, od dawna już prawie nikt nie traktował go ze spokojem. I wszyscy ludzie narażeni na niepewność prędzej czy później próbowali się od niej uwolnić, kiedy ich dotknęła. W du-

¹³⁴ Zob. M. Paschalska, *Koncepcja kształcenia ogólnego z punktu widzenia postulatu „uczyć się, aby być”*. W: *Model wykształconego Polaka*, pod red. B. Suchodolskiego, Wrocław 1980.

żej mierze im się powiodło. Środki zastosowali bardzo różne. Dlatego też ci, którzy posługiwali się jednym sposobem, widzieli w nim konieczny środek ostrożności, a jednocześnie ubolewali nad niecnymi sposobami wymyślonymi przez innych”¹³⁵.

Często głoszone są poglądy doszukujące się w tych dążeniach nieracjonalności czy wewnętrznej sprzeczności. Zgodnie z nimi można wskazywać, że pewne normy osiągania i przejawy bezpieczeństwa „częstkowego” *kolidują* z innymi jego przejawami, również pożądanymi; że trzeba – wobec tego – dokonywać *wyboru* między nimi, rezygnując z utopijnej idei totalnego bezpieczeństwa pod każdym względem. Można też starać się wykazać, że pewne przejawy bezpieczeństwa mogą utrudnić realizację innych pożądanых wartości, np. wolności czy też awansu, kariery życiowej (które trudno wyobrazić sobie bez domieszki ryzyka). Nawet więc wtedy, kiedy traktujemy bezpieczeństwo jako wartość autoteliczną i odrzucamy ewentualność instrumentalnego manipulowania nim, mielibyśmy być zmuszeni do „samoograniczania się” w dążeniu do bezpieczeństwa. Jest to więc argumentacja odmienna od tej, która dotyczyła czysto „ilościowej” kwestii nadmiaru bezpieczeństwa.

Przejdźmy do rozważenia tych sytuacji, w których ma dochodzić do głosu *wewnętrzny konflikt między różnymi wymiarami bezpieczeństwa*. Jest to najczęściej konflikt między wolnością od tych zagrożeń, których źródłem jest przyroda i agresja ludzka, a wolnością od zagrożeń, których źródłem jest technika oraz system społeczny, ekonomiczny i polityczny. Zorganizowana walka z głodem, klęskami żywiołowymi, przestępczością powołuje do życia urządzenia techniczne i społeczne, które rodzą *nowe wtórne zagrożenia*. W miarę jak jednostka przestaje się czuć zagrożoną przez przyrodę, przytłacza ją technika. „Na przykład w dziedzinie techniki dążenie człowieka Zachodu do podboju przyrody prowadziło często do tego, że zmniejszano prawdopodobieństwo drobnych niewygód kosztem zwiększenia prawdopodobieństwa bardzo wielkich katastrof”¹³⁶. Powściągnięciu anarchicznej agresji jednostek towarzyszy upowszechnienie przymusu państwowego i ingerencji instytucji w życie prywatne; oddalaniu widma głodu – eksploatacja siły roboczej i presja konkurencji ekonomicznej; rozwojowi zabezpieczenia społecznego – zagrożenie utratą części dochodów wskutek redystrybucyjnej interwencji państwa i dalsze pogłębienie naruszeń intymności itd. Właśnie dlatego niesłuszne wydają się wszelkie opcje na rzecz maksymalizacji jednego z „bezpieczeństw częściowych” połączone z lekceważeniem niebezpieczeństw innych, potencjalnie konkurencyjnych.

Źródłem konfliktów mogą stać się także *działania asekuracyjne nastawione na zbyt powierzchowne i „niedokończone” łagodzenie zagrożeń*. Jeżeli

¹³⁵ J.K. Galbraith, *Spółczeństwo dobrobytu. Państwo przemysłowe*, Warszawa 1973, s. 87.

¹³⁶ *O nowy ład międzynarodowy. Raport dla Klubu Rzymskiego*, Warszawa 1978, s. 74.

system zabezpieczenia społecznego jest zbyt skąpy, zbyt schematyczny i zbyt nieufnie nastawiony do swych petentów, to nie jest w stanie wyrwać ich ze stanu trwałego uzależnienia od wsparcia innych ludzi. Inwalida, który ma co jeść, ale nie może samodzielnie się poruszać, człowiek stary, któremu przyznanie emerytury nie dało poczucia pewności jutra, każdy świadczeniobiorca, który traci prawo do skromnego wsparcia, jakby za karę, gdy wznowi pracę zawodową – ci wszyscy ludzie nie odzyskali swej samodzielności życiowej i ekonomicznej, mimo iż na ich rzecz okrojono dochody innych ludzi, finansując z podatków (lub w inny analogiczny sposób) fundusze zabezpieczeniowe. Gdy zabezpieczenie nie gwarantuje ofiarom ryzyk socjalnych standardu życiowego uznanego za minimalny, ich wyzwolenie nie zostaje osiągnięte, a wolność ogółu – w pewnym sensie (tak jak ją rozumie Milton Friedman) – zostaje ograniczona, nikt nie jest więc w pełni usatysfakcjonowany. Podobnie rzecz ma się z niesprawnym aparatem ścigania i wymiarem sprawiedliwości. Nie uwalnia on ludzi od lęku przed agresją przestępców, przysparza im natomiast lęku przed pomyłkami prokuratury i sądów. Generalnie, *do stwierdzeń o kolizjach aksjologicznych prowokują pewne nieudolne sposoby realizacji idei bezpieczeństwa*, a nie sama idea bezpieczeństwa. Także niedobór bezpieczeństwa, a nie tylko nadmiar bezpieczeństwa może więc być obwiniony o powodowanie takich kolizji.

Kiedy chronić jednostkę przed nią samą

Szczególnie trudne problemy pojawiają się, gdy *społeczeństwo przyznaje sobie prawo do ochrony jednostki przed nią samą*, przed jej działaniami autodestrukcyjnymi lub przed skrajną niefrasobliwością wobec zagrożeń zewnętrznych. Łatwiej zdecydować się na taką ingerencję, więcej argumentów za nią przemawia, gdy działania autodestrukcyjne są silnie splecione z agresją wobec innych ludzi i przysparzaniem im cierpień (choćby wobec własnej rodziny). Przykładem ingerencji odbieranych przez jednostki dokonujące niekonwencjonalnych wyborów jako zagrożenie może być udaremnienie samobójstwa, przymus badań profilaktycznych i szczepień, przymus ubezpieczeniowy. M. Friedman podaje przykład farmerów (Amisze), którzy ze względów religijnych odmawiają płacenia składek na ubezpieczenia społeczne i korzystania ze świadczeń z tego tytułu, represjonowanych za to przez rząd USA¹³⁷. Mniej egzotyczny będzie dla nas przykład kobiet akceptujących ekologiczną ideę „porodu naturalnego”, które nie chcą podporządkować się obowiązkowi rodzenia dzieci w szpitalach. A także przypadek tych rodzin osób umierających, które odrzucają szpitalną ofertę „ratowania życia aż do końca”. Widzą one w możliwości umierania w domu i wśród bliskich lepszy sposób zwiększenia poczucia

¹³⁷ Zob. M. Friedman, R. Friedman, *Free to Choose: A Personal Statement*, New York 1980.

bezpieczeństwa u człowieka umierającego. Zaś problemem najpowszechniejszym i mającym największe znaczenie praktyczne jest kwestia – czy walka z alkoholizmem i narkomanią ma sprowadzać się wyłącznie do ochrony otoczenia przed pijakiem i narkomanem, czy też ma posuwać się aż do odbierania człowiekowi prawa do niszczenia własnego organizmu.

„Złe bezpieczeństwo” contra działania ryzykowne

Mimo wielu analogii inną wymowę ma *ochrona człowieka przed skutkami podejmowanych przezeń działań ryzykownych*, stanowiących – przypomnijmy – splot zagrożenia i szansy. Są to bowiem działania, które mogą przysparzać znacznych wartości, zarówno jednostce, jak i społeczeństwu. Wydaje się oczywista dyrektywa, by w tym przypadku wybierać takie środki asekuracyjne, które nie paraliżują samych działań ryzykownych i nie odbierają ludziom chęci działania.

Walka z wszelkimi zagrożeniami może przybierać – najogólniej mówiąc – jedną z dwóch podstawowych form: walki z *przyczynami* zagrożeń, bądź z *objawami i skutkami* zagrożeń. Walka z takimi zagrożeniami, jak głód, wojna, choroba czy bezrobocie wtedy satysfakcjonuje, kiedy sięga do najgłębszych ich przyczyn. Takie działania, jak wsparcie czy zapomogi dla już poszkodowanych, są traktowane jako powierzchowne i niedoskonałe. Odwrotnie ma się rzecz, gdy chodzi o walkę z zagrożeniami towarzyszącymi działaniom ryzykownym. Tutaj cnotą staje się właśnie „powierzchnowość” ratownictwa, *takie wspomaganie ofiar ryzyka, które nie tłumi tkwiącego w ludziach „dynamizmu innowacyjnego”*. Z wielu analiz funkcjonowania naszego systemu gospodarczego można wyciągnąć wniosek, że system ten zbyt radykalnie rozprawił się nie tylko z zagrożeniami towarzyszącymi dotychczas uczestnictwu w procesach gospodarczych, ale i z samym dynamizmem, z samą przedsiębiorczością. Nieruchawy, scentralizowany, ekstensywny sposób gospodarowania – gdy zapanuje w sektorze państwowym – rodzi „*złe bezpieczeństwo*”, odbierane przez wielu pracowników jako frustrujące i alienujące. System gospodarczy zwalniający zatrudnionych przez siebie pracowników od *wysiłku* (co jest odwrotnością eksploatacji) pozbawia ich tym samym satysfakcji z pracy i nadziei na sukces; system zwalniający pracowników – w tym także tych na stanowiskach kierowniczych – od *odpowiedzialności* za swe czyny, daje im poczucie bezpieczeństwa – ale naraża się na marnotrawstwo i niegospodarność. Inną odmianą „złego bezpieczeństwa” jest stagnacja i inercyjność systemu (odwrotność Tofflerowskiego „szoku przyszłości”). Brak poczucia zagrożenia przez *ciągłe, wymagające aktywne dostosowywanie się, zmiany* łatwo może przerodzić się w poczucie braku perspektyw i narastania dystansu cywilizacyjnego w stosunku do reszty świata. Można dyskutować, czy są to zjawiska powszechne w naszym kraju. Wydaje się jednak

pewne, że doświadczają ich duże grupy pracowników i obywateli. Do możliwych – i rzeczywiście wybieranych – reakcji na to „złe bezpieczeństwo” zaliczyć można migracje młodych wykształconych ludzi z sektora państwowego do sektora prywatnego i z kraju za granicę.

Konflikty z innymi wartościami

W ten sposób zbliżyliśmy się do problemu „*zewnątrznych*” konfliktów bezpieczeństwa z innymi wartościami. Bowiemy dylemat polityki społecznej: „ingerować czy nie ingerować w ludzkie wybory wystawiające na szwank własne bezpieczeństwo” jest szczególnym przypadkiem szerszego pytania „czy narzucać ludziom inną niż ich własna hierarchię wartości”. Polityk społeczny musi więc rozważyć, czy – i w jakich sytuacjach – ma prawo zwiększać bezpieczeństwo ludzi kosztem ich wolności. Z kolei poszczególne jednostki dokonujące wyborów życiowych kolidujących z ich bezpieczeństwem mogą to czynić w imię bardzo różnych wartości: w imię nakazów religii (jak sekta wspomniana przez Friedmana), w imię najwyżej cenionych, wartych ryzyka, potrzeb samorealizacji czy prestiżu albo w imię ludzkiej godności i – szerzej – tożsamości. M.K. Mlicki tak komentuje propozycje Tofflera: „Kwestią otwartą zostaje, czy przystosowanie do sprostania cywilizacji przyszłości (która częściowo jest teraźniejszością) nie oznacza rezygnacji z wielu wartości, które dotychczas wiązano właśnie z człowieczeństwem”¹³⁸. Nawet w świadomości pijaka autodestrukcja może zyskiwać uzasadnienie aksjologiczne. Pijacy uprawiający styl picia „kontaktywny”, „dionizyjski” czy „heroiczny” mogą cenić – wyżej niż bezpieczeństwo – związane z tymi stylami wartości. A więc np. przeżywanie grupowej wspólnoty; pełnię, płodność i dynamikę życia – co cechuje wg. Nietzschego postawę dionizyjską – czy też przeżycie własnej mocy¹³⁹. Te wszystkie wybory dokonywane przez ludzi można uznać za rzeczywiście wolne wówczas, gdy zostali oni rzetelnie i przystępnie poinformowani o: charakterze i rozmiarach niebezpieczeństwa, na jakie się narażają; rzeczywistym funkcjonalnym powiązaniu między narażeniem się na to niebezpieczeństwo a realizacją najbardziej pożądanых wartości. Pierwszym – i trudnym do zakwestionowania – obowiązkiem polityki społecznej jest zatem emitowanie i kontrolowanie przyswojenia tych właśnie informacji. Potem dopiero można przystąpić do rozważania dylematu – czy ingerować w ów wolny wybór. Można bowiem sądzić, że prawda jest fundamentem wolności.

¹³⁸ M.K. Mlicki. *Z zagadnień socjotechniki humanistycznej w skali globalnej*. W: *Na krawędzi epoki*, pod. red. J. Rudniańskiego, K. Murawskiego, Warszawa 1985, s. 239.

¹³⁹ Zob. A. Kępiński, *Motywy polskiego pijaństwa i środki zaradcze*, W: *Alkohol w kulturze i obyczaju*, pod red. J. Górskiego, K. Moczarskiego, Warszawa 1972.

Poczucie bezpieczeństwa a prawda

Istnieje jednak pewien typ działań asekuracyjnych, które ujawniają – czy tylko pozorują – konflikt między bezpieczeństwem, wolnością i prawdą. Opierają się one na założeniu, że ludzie chcą czuć się bezpieczni i trzeba im to ułatwić, nawet za cenę *ukrywania przed nimi informacji o zagrożeniach*. Takie praktyki są karygodne, gdy ekipa rządząca decyduje się na nie w imię swego bardzo doraźnego interesu politycznego („na czas kampanii wyborczej”, „byle opadło wzburzenie społeczne”), gdy unika tym samym obowiązku usuwania zagrożeń (nie nazwanych, więc nieistniejących). Ale w pewnych sytuacjach można te praktyki uzasadniać właśnie względami moralnymi. Spotyka się trzy następujące typy *uzasadnień*: 1) bo zagrożenie jest nieuchronne a obrona bezskuteczna (dlatego ukrywamy przed chorym, że wkrótce umrze na raka; nie publikujemy danych o zatruciu atmosfery i żywności, skoro ludzie i tak będą musieli oddychać i jeść); 2) ochrona przed zagrożeniem jest rzeczą specjalistów; aby oni mogli działać rozważnie i skutecznie, nie trzeba dopuścić do zbędnej, szarpiącej wszystkim nerwy, paniki (np. polityka informacyjna po katastrofie w Czernobylu); 3) bo zagrożenie jest pozorne, etykieta zagrożenia przyłgnęła – pod presją myślenia stereotypowego – do zjawisk nowych, szokujących, ale w gruncie rzeczy pozytywnych. Zanim to ludziom wyperswadujemy, zatajmy przed nimi stan faktyczny. W podobny sposób broni się innych jeszcze decyzji politycznych – wybierania sposobów walki z zagrożeniami nie najbardziej skutecznych, ale uważanych przez ogół za najbardziej skuteczne (np. gdy ogół wierzy, że surowe kary odstraszą przestępców, polityka karna staje się bardzo rygorystyczna „by uspokoić opinię”)¹⁴⁰.

Jak widać, wszystkie te uzasadnienia odwołują się do troski o poczucie bezpieczeństwa obywateli. Czy wystarczy to, aby głosić realność konfliktu bezpieczeństwa z prawdą i wolnością? Sądzę, że nie. Przecież, wedle innej szkoły myślenia, *już samo upowszechnienie i przyswojenie wiedzy o zagrożeniu* – nawet gdy jest ono nieuchronne – jest *środkiem neutralizującym* to zagrożenie. Na tym właśnie polega idea „polskiej szkoły rehabilitacji inwalidów” – dokładne zrozumienie natury swej niesprawności i jej dalszej dynamiki pozwala optymalnie przystosować się do ograniczeń i znaleźć sposoby ich rekompensowania. Idea „bezbolesnych porodów” pozwala opanować ból dzięki zrozumieniu fizjologii porodu. Przekaz nagich informacji może być ponadto wzbogacony działaniami psychoterapeutycznymi, pouczeniem, jak „oswoić” lęk, zmobilizować siły, sprostać psychicznie zagrożeniu. A być może – w pewnych uzasadnionych przypadkach – jak „polubić” zagrożenie, zmienić system wartości, kiedy dotychczasowa dewiacja ma prawo stać się nową normą (np. perspektywa formalnego rozwiązania małżeństwa zaczyna być traktowana jako jedno z „wolnościowych” praw jednostki ludzkiej, a nie jako widmo katakli-

¹⁴⁰ Zob. J. Kwaśniewski, *Spółeczeństwo wobec dewiacji*, Warszawa 1983.

zmu krążące nad każdym ogniskiem rodzinnym). Rozładowywanie lęku nie powinno zastępować działań asekuracyjnych – gdy są potrzebne – ale powinno *stanowić ich istotne uzupełnienie*. A więc kalekie, jednostronne, są takie operacjonalizacje wartości bezpieczeństwa, które skłaniają głównie do manipulowania świadomością, ale także i takie, które sprzyjają programom usuwania najgłębszych przyczyn wielu obiektywnych zagrożeń lekceważą ujawniające się „po drodze” nastroje społeczne i odczucia zagubionych jednostek.

Resumé

A więc, *czy bezpieczeństwo jest dobre i czy nie pozostaje w sprzeczności z innymi wartościami i potrzebami?* Bezpieczeństwo jest niewątpliwie pierwszoplanową wartością jednostkową i społeczną. Nie znaczy to jednak, że wszystkie przejawy i sposoby osiągania bezpieczeństwa są dobre. Omówiłam najważniejsze, moim zdaniem, rodzaje „złego bezpieczeństwa”. Nie jest ono bynajmniej tożsame z „nadmiernym bezpieczeństwem”. Niesłuszne są stereotypy, zgodnie z którymi bezpieczeństwo musi być nudne, a ryzyko pasjonujące, maksymalizacja bezpieczeństwa musi prowadzić do minimalizacji wolności, a najłatwiej człowieka zabezpieczyć pętając mu ręce. Więcej prawdy jest w powiedzeniu, że człowiek głodny nie jest wolny. Człowiek przerażony i zaszczuty też nie jest wolny. Wolności nie powinno się sprowadzać wyłącznie do wolności ryzyka. *Należy dążyć do takiej wolności wyboru dróg życiowych, by mogli realizować swe aspiracje zarówno ci, którzy chcą maksymalizować swe bezpieczeństwo (wyznawcy „etosu bezpiecznego trwania przy swoim”¹⁴¹), jak i ci, którzy swą strategię życiową podporządkowują innym wartościom.* Sprzeczności między wolnością „od” (od zagrożeń) a wolnością „do” (wyboru stylu życia, rozwoju potencjału życiowego, dostępu do informacji, ekspresji uczuć i poglądów, wpływania na sprawy publiczne) nie mogą mieć charakteru zasadniczego, lecz tylko sytuacyjny i operacyjny.

Jakie zagrożenia są nieuchronne

Między optymizmem a pesymizmem globalnym

Aby ocenić, jakie jest pole manewru politycznego dla podmiotu pragnącego regulować proporcje między bezpieczeństwem i zagrożeniami, trzeba by bez mała napisać historię ludzkiej cywilizacji. Trzeba by też rozważyć historyzoficzny problem *determinizmu i indeterminizmu dziejowego*. Najtrudniej jest chyba wyodrębnić te zagrożenia zakorzenione w systemie społeczno-ekonomicznym, które są constans dla wszystkich – wyobrażalnych i zdolnych do życia – systemów, a także te elementy niepewności i ryzyka, które są nierozwal-

¹⁴¹ Zob. W. Lamentowicz, *Spoleczne uwarunkowania zachowań...*, jw.

nie powiązane z jakąś hipotetyczną „naturą ludzką” czy „naturą stada”. Tak jak jednostka ludzka pewne zagrożenia ma dane z zewnątrz a inne sama przywołuje swymi działaniami, tak i całe społeczeństwa mają ograniczone możliwości przesuwania granic między sferą bezpieczeństwa a sferą zagrożeń. Z tym, że dużo łatwiej dokonywać ingerencji w jednym kierunku – tworząc nowe zagrożenia – niż w drugim kierunku – zwiększając domenę bezpieczeństwa.

Mimo to do niedawna wydawało się, że w skali stuleci stały wzrost bezpieczeństwa gatunku ludzkiego i poszczególnych ludzi jest faktem oczywistym, może nawet nieuchronnym, jest prostą pochodną opanowywania przyrody przez człowieka. Pogląd ten był jednym z elementów składowych *optymizmu historiozoficznego*, wedle którego ekspansji ludzkiego gatunku towarzyszył i towarzyszyć będzie bezkonfliktowy przyrost wszelkich możliwych wartości. Dodawano do tego czasem, że wprawdzie wciąż pojawiają się nowe zagrożenia i nowe postacie starych zagrożeń (np. choroby cywilizacyjne zamiast „starych” chorób zakaźnych)¹⁴², ale bilans jest zdecydowanie dodatni. Optymizm historiozoficzny w skali globalnej miał swój odpowiednik w pochwalę ryzyka w skali życia ludzkiego, sprzyjał bowiem przeświadczeniu, że w tej loterii więcej losów jest pełnych niż pustych.

Ferment intelektualny, którego jednym z ważniejszych przejawów stały się raporty Klubu Rzymskiego, osłabił pozycję wyznawców etosu „człowieka – kowboja traktującego świat jak bezkresną prerię”, ukazał, że działania zwiększające bezpieczeństwo jednostek pociągały za sobą osłabienie bezpieczeństwa, a nawet zagrożenie zagładą całego gatunku. Pod wpływem tego fermentu nabrał znaczenia *nurt katastroficzny*, głoszący nieuchronność globalnej katastrofy, przeciwstawiający grozę holocaustu i ekospazmu niewinnym – z perspektywy czasu – tradycyjalnym „plagom egipskim”, traktujący wszystkie dotychczas funkcjonujące systemy asekuracyjne jako bezsilne, bo ignorujące istotę zagrożeń. *Drugi nurt upatrywał możliwość ratunku w zasadniczej reorientacji sposobu widzenia relacji między człowiekiem i światem*. Z tego, że człowiek jest „kosmonautą na statku kosmicznym ziemia”, wynika z gruntu odmienny sposób postrzegania zagrożeń niż w stereotypie „kowbojskim”. Wynika też konieczność przetasowania hierarchii wartości i wyboru zupełnie nowej strategii rozwoju – wzrostu zerowego. Postęp społeczny w tych warunkach jest nadal możliwy, dowodzili autorzy Klubu Rzymskiego, powołując się na słowa Johna Stuarta Milla z 1857 roku: „Chyba nie ma potrzeby podkreślać, że zastoju stan kapitału i ludności nie zakłada zastoju stanu wszelkich udoskonaleń. Byłoby równie wiele pola jak zawsze dla rozwijania kultury umysłowej oraz moralnego i społecznego postępu, równie wiele miejsca dla ulepszenia

¹⁴² *Choroby cywilizacyjne w Polsce do roku 2000*, ekspertyza PAN, Warszawa 1979 (materiał powielony).

sztuki życia oraz znacznie więcej prawdopodobieństwa jej udoskonalenia”¹⁴³. Natomiast odrzucali faustowską wiarę w technikę jako panaceum na wszelkie współczesne dolegliwości i zagrożenia¹⁴⁴.

Resumé

Tak więc zagrożenia globalne – nie dające się uniknąć lub usuwalne, ale za olbrzymią cenę, za cenę rewolucji świadomościowej – sprawiły, że bezpieczeństwo okazało się wartością rzadką, umykającą, a więc tym bardziej pożądaną. *Jeżeli ukazuje się światu alternatywę – zagłada albo zasadnicza przebudowa całego ludzkiego świata w imię bezpieczeństwa globalnego – to w pewnym sensie bezpieczeństwo to okazuje się nieuchronne*. Pytanie tylko, kiedy i w jakich formach dojdzie do tej przebudowy. I czy z oczywistości, takiego rozstrzygnięcia kwestii globalnej wynika – z równą siłą – oczywistość rozstrzygnięcia na rzecz bezpieczeństwa wszelkich konfliktów wartości i celów, także w kwestiach szczegółowych. Rzecz jasna, nie wynika. Nie ma tu żadnego automatyzmu, jest natomiast znamienne – i chyba już nieodwracalne – *dowartościowanie bezpieczeństwa*. I na tym wypada zakończyć te uwagi, w których możliwe było zaledwie zamarkowanie odpowiedzi na pytanie – gdzie przebiega granica między danym jednostce i systemowi polem manewru a obszarem zjawisk dających się już tylko oceniać.

Co jest użyteczne – bezpieczeństwo czy zagrożenia

Zagrożenia jako „sposób na motywację”

Użyteczność zagrożeń – ewentualna użyteczność – może zostać w polityce społecznej wykorzystana dwojako:

- można zrezygnować ze znanych i dostępnych sposobów usuwania „danych” (danych przez naturę lub przez historię) zagrożeń, bo widzi się pożytki z nich płynące, zaprzestać ich poszukiwania lub nawet zdemonstrować urządzenia już funkcjonujące;
- można stwarzać nowe „sztuczne” zagrożenia, głównie w kontrolowanych przez państwo strukturach formalnych i w systemie funkcjonowania gospodarki, w miarę tego, jak gospodarka przestaje być żywiołem nieokiełznanym przez nikogo.

Wiara w użyteczność zagrożeń bierze się z przeświadczenia, że ludzie cenią bezpieczeństwo; brak bezpieczeństwa zatem wywoła w nich nieprzyjemne napięcie i skłoni do działania. A więc zagrożenie jest użyteczne, bo jest – w oczach ludzi – złe. Zakłada się, że tylko bodźce negatywne skutkują.

¹⁴³ Cyt. za: *Granice wzrostu*, Warszawa 1973, s. 185.

¹⁴⁴ M. Mesarovic, E. Pestel, *Ludzkość w punkcie zwrotnym. Drugi raport dla Klubu Rzymskiego*, Warszawa 1977, s. 149.

Odczuwanie potrzeby bezpieczeństwa jest więc wtedy pożyteczne, gdy jest to potrzeba chronicznie nie zaspokojona, mimo wysiłków nigdy nie udaje się jej zredukować na długo. W pogoni za jej zaspokojeniem ludzie podejmują działania asekuracyjne, uruchamiając swoją energię, odrzucając inercję i lenistwo.

Pożytki z zagrożeń „danych”

Na czym ma polegać *pożytek zagrożeń „danych” ludzkości*? Jednostki ludzkie reagują bardzo rozmaicie na zagrożenie, różne są ich wyobrażenia skutecznych działań asekuracyjnych zależnie od ich osobowości, uzdolnień i posiadanych środków. Wśród tych reakcji wyróżnić można szkodliwe dla ogółu, obojętne ze społecznego punktu widzenia oraz – co najważniejsze – pożyteczne. Można wśród nich wyróżnić także zachowania stereotypowe i innowacyjne. Nadzieje na pożytek płynący z – jakichkolwiek – zagrożeń wiąże się z owymi cennymi dla ogółu innowacjami. Mogą one stanowić znikomy procent wszystkich zachowań sprowokowanych przez zagrożenie i nic to nie szkodzi; ważne, żeby wystąpiły. Nie należy więc nalepiać plasterków na głębokie rany – może ktoś prędzej odkryje antybiotyki. Nie należy tonącym rzucać kół ratunkowych – może ktoś prędzej nauczy się pływać lub osuszy jezioro. Lęk – obok lenistwa – ma być siłą napędową postępu cywilizacyjnego¹⁴⁵.

Wyznawcy referowanej powyżej polityki „laissez-passer” godzą się więc z klęską większości ludzi wystawionych na zagrożenie, składają niejako w ofierze na ołtarzu postępu; orientują się natomiast na margines innowatorów, którzy nawet na zagrożenie ze strony przyrody – rutynowo uznawane za nieuchronne – patrzą jak na podniecające ryzyko, wiążą z nimi nadzieję na opanowanie sił natury. Część z nich wygrywa, co służy abstrakcyjnemu Człowiekowi, przez duże C, a także pokoleniom, które nadejdą; liczniejszym – *summa summarum* – od tych, którym w swoim czasie odmówiono powierzchownej, połowicznej pomocy. Zyski mają przewyższyć poniesione „koszty ludzkie”. Jest to więc nieco podejrzana odmiana humanizmu.

Pożytki z zagrożeń „sztucznych”

Odmienne pod pewnymi względami są oczekiwania tych, którzy pragnęliby oprzeć funkcjonowanie całego systemu społecznego na *sztucznie konstruowanych sytuacjach ryzyka*, sztucznych sprzężeniach nagród i kar. Liczą oni na określone – zgodne z przyjętym przez jakieś centrum planem, z jakąś drobiazgową recepturą – zachowania ogółu (pracowników, obywateli, rodzin). Zakładają, że postawieni w sytuacji zagrożenia ludzie zdobędą się na reakcje rutynowe, przewidywane, zgodne ze schematem wy-

¹⁴⁵ Są to echa koncepcji darwinizmu społecznego; zob. np. H. Becker, H. Barnes, *Rozwój myśli społecznej od wiedzy potocznej do socjologii*, cz. II, Warszawa 1965, s. 342.

myślonym przez jakiegoś „inżyniera społecznego”. Rzecz jasna, preferują oni posługiwanie się „klasyczną” formułą ryzyka (zagrożenie absolutną stratą, szansa absolutnej poprawy). Zgodnie z referowaną przez Galbraitha „konserwatywną mądrością obiegową”: „Nagrodzie w postaci zysku pieniężnego musi towarzyszyć kara osobistego niepowodzenia gospodarczego. Obie były ważne. Likwidacja kary, będąca nieodzownym skutkiem wzrostu bezpieczeństwa społecznego, oznaczałaby zlikwidowanie połowy bodźców skłaniających ludzi do wysiłku”¹⁴⁶. Chodzi tu chyba nie tylko o takie „rachunkowe” podejście do skuteczności bodźców. *Tego rodzaju kombinację pozytywnych i negatywnych bodźców można uznać za najbardziej uniwersalny środek oddziaływania*, trafiający do wszystkich typów osobowości, zarówno do tych, u których odezwie się nuta lęku, jak i do tych, których porusza chęć zrealizowania ambitnych aspiracji i którzy mają żylkę ryzyka. Zastosowanie takiego uniwersalnego środka zwalnia od szacowania, który z tych dwóch typów motywacji – i w jakich proporcjach – motywuje do działania konkretne zbiorowości i jednostki.

Brak zabezpieczenia społecznego

Jakie zastosowania powyższych ogólnych zasad są najczęściej propagowane i praktykowane? Chcąc ludzi skłonić do intensyfikacji wysiłku pracowniczego lub do przedsiębiorczości ekonomicznej stawia się ich w sytuacji, w której muszą oni gromadzić własny *prywatny fundusz asekuracyjny* pozwalający przetrwać wszelkie wyobrażalne zagrożenia, odłożyć na „czarną godzinę”. Sukces w grze gospodarczej kusi więc nie tylko mirażem wzbogacenia się, ale i osłabia lęk przed ewentualnością katastrofy, jest jedynym – a więc z konieczności wybieranym – źródłem pewności jutra.

Bezrobocie

Inną odmianą stwarzanego przez system gospodarczy ryzyka jest perspektywa przejścia do „*rezzerwowej armii pracy*”. Tutaj nagrodą dla pilnego pracownika jest zachowanie status quo – statusu pracowniczego. Straszak bezrobocia może zachować skuteczność nawet wówczas, gdy zabezpieczenie społeczne chroni przed niedostatkiem, bowiem bezrobocie oznacza przejście z pozycji człowieka decydującego o swoim losie na pozycję człowieka ubezwłasnowolnionego. Oba te zagrożenia stwarzane przez system ekonomiczny są – formalnie rzecz biorąc – pochodną ryzyk świadomie podejmowanych przez jednostki, ale w większości są to „propozycje nie do odrzucenia”. W tradycyjnym kapitalizmie enklawy oferujące inne możliwości osiągnięcia celów życiowych mają

¹⁴⁶ J.K. Galbraith, *Spółeczeństwo dobrobytu...*, jw., s. 88.

charakter marginesowy¹⁴⁷. Dla odmiany, w gospodarkach socjalizmu realnego obszary działań ryzykownych i zagrożenia brakiem formalnego zatrudnienia i nominalnego zarobku schodzą na margines (pojawia się natomiast owo – opisane wyżej – „złe bezpieczeństwo”).

Penalizacja

Do właściwych każdemu człowiekowi dążeń asekuracyjnych odwołuje się *polityka karna*, która – aby przeciwdziałać, aspołecznym i agresywnym zachowaniom – operuje sankcjami. Do „naturalnych” dążeń dewiantów sięgających po jakieś atrakcyjne dla siebie nagrody w sposób burzący bezpieczeństwo innych ludzi dobudowuje się więc „sztuczne” kary. Powstała w ten sposób sytuacja „półsztucznego ryzyka” ma zniechęcić do działań przestępczych.

Polityka karna ma więc, odwołując się do instynktu samozachowawczego, doprowadzić do zaniechania działań. System ekonomiczny oparty na ryzyku ma – wręcz przeciwnie – odwołując się do „żyłki hazardu” pobudzić ludzi do aktywnego sięgania po to ryzyko. Natomiast wspólne dla obu tych dziedzin jest to, że zagrożenia wcale nie muszą być obecne „fizycznie” w życiu codziennym na masową skalę. *Wystarczy, aby były możliwe w świetle prawa i ciążyły nad świadomością ludzką*. Wszakże i terror określa się jako wszechobecną możliwość stosowania przemocy a nie jako sumę rzeczywiście dokonanych aktów gwałtu. Jednakże – ze względów dydaktycznych – cennym uzupełnieniem takiej polityki może być pewna ilość rzeczywistych ofiar. Zgodnie z tym stanowiskiem smutny los znanych z imienia i nazwiska bankrutów powinien trafić na łamy gazet, szubienica na głównym placu miasta nie powinna stać pusta.

O szkodliwości strachu i lęku

Jednakże nie każdy system ekonomiczny i nie każda polityka karna opiera się na tych zasadach. Istnieją poważne argumenty, oparte na dorobku psychologii i socjologii, które *podważają tezę o skuteczności sterowania ludzkimi zachowaniami za pomocą strachu*. Powiada się więc, że – zapewne – człowiek głodny i przerażony bywa dyspozycyjny, ale rzadko bywa efektywny. Panika pobudza do działania, ale rodzi błędy i chaos w postępowaniu. Walka o doraźne utrzymanie się na powierzchni utrudnia spokojne inwestowanie zarówno w swoje osobiste zdolności, jak i w rozbudowę potencjału gospodarczego. Nawet na sytuację uczciwie skonstruowanego „sztucznego ryzyka”, stawiającego przed ludźmi wykonalne zadania i oferującego atrakcyjne nagrody, liczni ludzie – nieodporni psychicznie – będą reagować jak na nieuchronne zagrożenie, paraliżujące i budzące popłoch. Jeśli zaś chodzi o szczególny przypadek

¹⁴⁷ Zob. np. W. Szubert, *Od walki z bezrobociem do polityki pełnego zatrudnienia*. W: W. Szubert, *Studia z polityki społecznej*, Warszawa 1973, s. 155.

zachowań przestępczych, to często przemoc rodzi przemoc, kara będąca przede wszystkim wyrazem odwetu budzi u ukaranych „wtórną” żądzę odwetu i eskalację agresji¹⁴⁸.

Kiedy bezpieczeństwo aktywizuje

Formułuje się więc konkurencyjną koncepcję, wedle której *właśnie – i dopiero – pewien stopień bezpieczeństwa* (subiektywnego i obiektywnego) *odblokowuje inicjatywność*. Innymi słowy, najskuteczniej mobilizuje do działania użytecznego społecznie ten typ ryzyka, który opisałam na początku tego rozdziału jako najmniej kolidujący z bezpieczeństwem (szansa jest realna, zagrożeniem jest jedynie utrata szansy na sukces). Nawet bojaźliwym i niepewnym swych możliwości łatwiej przyjdzie zdecydować się na działanie ryzykowne, jeśli nie będą musieli stawiać wszystkiego na jedną kartę, jeśli elementarne bezpieczeństwo zostanie im zapewnione przez system zabezpieczenia społecznego, praworządność życia publicznego, otaczającą ich atmosferę współpracy (a nie „dżungli społecznej”) czy też dostępność usług psychoterapeutycznych. Im więcej zagrożeń „danych” (np. ekologicznych), tym silniejsze muszą być źródła „sztucznego” bezpieczeństwa, by nie przekroczyć właściwego ludzkiej psychice progu paniki. Z kolei, jak to wynika z większości prac badawczych poświęconych etiologii przestępczości¹⁴⁹, skuteczność resocjalizacji opiera się m.in. na odzyskaniu przez dewianta poczucia bezpieczeństwa i wiary w lepsze jutro.

Wtórne efekty systemów asekuracyjnych. Kapitalizm – socjalizm

Dotychczas była mowa o wpływie poziomu bezpieczeństwa (i poziomu zagrożeń) na ludzkie zachowania i na zdolność centrum politycznego do sterowania tymi zachowaniami. Można jednak także mówić o „*wtórnym efekcie*” *systemów chroniących ludzi przed zagrożeniami*. Okazuje się, że w pewnych sytuacjach same te systemy zaczynają być ważnym narzędziem usprawniania gospodarki, zupełnie niezależnie od tego, jak radzą sobie z realizacją swych „bezpośrednich” celów, związanych z potrzebami i zachowaniami jednostek.

Zaznaczają się tu zasadnicze różnice systemowe. We *współczesnym kapitalizmie*, po „przełomie Keynesowskim”, dominuje przekonanie, że wydatki budżetowe na cele socjalne (a więc na system zabezpieczenia społecznego) stały się stabilizatorem równowagi gospodarczej, chronią gospodarkę przed „względną nadprodukcją” i przed „względnym niedopopytem”. M.in. Gal-

¹⁴⁸ Zob. np. *Spółczeństwo wobec przemocy*, raport Komitetu Badań nad Przemocą, Zbrodnią i Występkami, Warszawa 1982.

¹⁴⁹ Zob. np. A. Kosewska, M. Kosewski, *Osobowościowe czynniki zachowań dewiacyjnych. „Dojrzewanie” przestępcze i jego terapię*. W: *Zagadnienia patologii społecznej*, pod red. A. Podgóreckiego, Warszawa 1976, s. 243.

braith polemizujący z amerykańskimi konserwatystami podkreśla, że nawet znaczny wzrost popularności „pradawnej sztuki migania się od pracy” (jeśli by rzeczywiście miał wynikać ze wzrostu bezpieczeństwa) będzie opłacalny, gdy pozwoli uniknąć gigantycznych strat powodowanych przez cykliczne kryzysy. Należy oczywiście pamiętać, że Galbraith pisał o tym w latach pięćdziesiątych, kiedy fatalne skutki ekstensywności rozwoju gospodarek realnego socjalizmu nie ujawniły się jeszcze w pełni. „W sumie środki te, mające na celu zmniejszenie niepewności, stanowią w znacznej mierze to, co ekonomiści nazywają wbudowanymi stabilizatorami gospodarki. I tak środki zaradcze, zdaniem wyrazicieli mądrości obiegowej wrogie produkcji, udzielają jej wsparcia w momencie najkrytyczniejszym”¹⁵⁰. Niestety, nie udało się użyć analogicznej argumentacji w odniesieniu do *gospodarki socjalistycznej*. Nawet niewielkie wydatki zabezpieczeniowe działają „in minus” w gospodarce względnego niedoboru towarów (i wszystkich czynników produkcji), charakteryzującej się jednocześnie względnym nadmiarem nominalnych dochodów (czy będą to dochody indywidualnych konsumentów czy też dochody tzw. jednostek budżetowych). Powiększają one „nadpopyt” i pogłębiają deficyt „niedoprodukcji”, choć nie zdarza się, żeby były one głównymi przyczynami tych zjawisk.

Natomiast zupełnie inaczej wygląda ocena „wtórnych efektów” *bezpieczeństwa zatrudnienia* w obu systemach gospodarczych. W *gospodarce socjalistycznej* pełne zatrudnienie – będące źródłem owego bezpieczeństwa – nawet gdyby nie wynikało z przyjętej ideologii, musiałoby urzeczywistnić się jako pochodna systemu gospodarczego „wsysającego” każdą ilość ekstensywnych czynników produkcji (w tym – także siły roboczej). Sprowadzając tę diagnozę ad absurdum można by rzec, że nieziszczalnym ideałem tej gospodarki jest zatrudnienie maksymalnej ilości pracowników opłacanych po minimalnych stawkach¹⁵¹. W każdym razie taki wniosek narzuca się jako jedna z możliwych interpretacji „post-Kornaiowskiej” ekonomii socjalizmu. W *gospodarce kapitalistycznej* ocena funkcjonalności pełnego zatrudnienia podlegała ewolucji. Początkowo uważano, że pożytki z zagrożeń towarzyszących bezrobociu przewyższają straty związane z ograniczeniem popytu bezrobotnych konsumentów. „Po Keynesie” ideałem stało się takie zwiększenie zatrudnienia, które dawało godziwe płace, ale nie powiększało podaży rynkowej – stąd „wtórna funkcjonalność” różnorakich robót publicznych, w tym także takich, które służyły

¹⁵⁰ J.K. Galbraith, *Spółeczeństwo dobrobytu...*, jw., s. 94.

¹⁵¹ J. Kornai pisze, że „...presja inwestycyjna jest jedną z głównych przyczyn ogólnego niedoboru. [...] Siła robocza, materiały i obce waluty dzielą się między inwestycje, konsumpcję gospodarstw domowych i spożycie rządowe, eksport itd. Im silniejsza jest presja inwestycyjna, tym bardziej daje się odczuć, że popyt inwestycyjny usiłuje odciągać zasoby od innych dziedzin wykorzystania, wzmacniając w ten sposób ogólny niedobór”. J. Kornai, *Niedobór w gospodarce*, Warszawa 1985, s. 275.

asekuracji (np. budowa tam przeciwpowodziowych, bezpiecznych autostrad, obiektów infrastruktury społecznej)¹⁵².

Można także rozważać „wtórne efekty” *innych instytucji asekuracyjnych*. Mogą one – choć nie muszą – pod pretekstem i przy okazji kontrolowania stanu bezpieczeństwa i ścigania sprawców zagrożeń rozciągać coraz pełniejszą kontrolę nad wszelkimi przejawami życia społecznego i prywatnego. Wyposaża to centrum decyzyjne w bogatszy zestaw środków realizacji swych celów, zarówno tych chwalebnych, jak i tych nagannych. Pewne instytucje asekuracyjne powodują rozrost liczebny aparatu administracyjnego, aparatu kontroli, nadzoru i przymusu. Autonomizacja tego aparatu może z kolei zakłócać funkcjonowanie systemu i rzeczywiście godzić w wolność jednostki.

Resumé

Tak więc posługiwanie się „sztucznymi” zagrożeniami jako zamierzonymi instrumentami kształtującymi ludzkie zachowania wymaga dobrej znajomości zarówno poziomu zagrożeń „danych”, jak i psychologicznych osobliwości rządzących tymi zachowaniami, ich kulturowych i sytuacyjnych uwarunkowań. Podobnej wiedzy wymaga tworzenie „sztucznych” systemów asekuracyjnych, by nie przekształciły się one – wbrew intencjom swych twórców – we własne przeciwieństwo i nic przeszkadzały w realizacji innych ważnych wartości.

¹⁵² J.M. Keynes, *Ogólna teoria zatrudnienia, procentu i pieniądza*, Warszawa 1965.

5

Wartości biologiczne

Spór o znaczenie biologicznego wymiaru życia

Na początku jest ciało

W rozdziale tym wykraczam poza krąg haseł typowych dla głównych ideologii reformatorskich odnotowywanych przez historię myśli społecznej, haseł takich jak kolektywizm, indywidualizm, równość, efektywność, bezpieczeństwo czy przedsiębiorczość. Wartości biologiczne rzadko bywają *expressis verbis* wymieniane przez ideologów, gdyż wymagałoby to – rzadkiego wśród reformatörów wywodzących się z kręgu nauk społecznych przywiązywania znacznej, czy nawet pierwszorzędnej, wagi do biologicznego aspektu ludzkiego bytowania. Krytykujący socjologiczną koncepcję człowieka Denis H. Wrong pisał: „Myślę, że trzeba zacząć od uznania, iż *na początku jest ciało*. Skoro tylko napomyka się o ciele, podnosi głowę widmo determinizmu biologicznego i socjologowie cofają się ze strachem. Na pewno ich pogląd na człowieka jest w wystarczającym stopniu pozbawiony ciała i materii, by zadowolić biskupa Berkeleya, a zarazem wystarczająco zdeseksualizowany, by dogodzić pani Grundy”¹⁵³.

Biologiczny pierwiastek był jednak obecny w dostatecznie wielu nośnych społecznie doktrynach i ideologiach, by wymienić tak odmienne od siebie: teorię Malthusa (dla którego rozwój ludnościowy był raczej antywartością, a na pewno barierą realizacji innych wartości), freudyzm, ideologię narodowego socjalizmu czy społeczne nauczanie Kościoła. Ponadto specyficznym – ale najbardziej rozpowszechnionym – wariantem biologizmu jest nacjonalizm, który – omalże z reguły – stawia sobie cele pomnażania potęgi liczebnej narodu przez rozród.

¹⁵³ D.H. Wrong, *Przesocjalizowana koncepcja człowieka w socjologii współczesnej*. W: *Kryzys i schizma. Antyscjentystyczne tendencje w socjologii współczesnej*, pod red. E. Mokrzyckiego, t. I, Warszawa 1984, s. 66.

Pełną rehabilitację wymiaru biologicznego ludzkiej egzystencji przynosi współczesna *socjobiologia*. Przeradza się ona w przekonanie o silnym determinizmie genetycznym, przesądzającym w dużej mierze o organizacji społeczeństwa i zachowaniach społecznych ludzi. Jak każdy determinizm, osłabia ona więc motywację do reformowania zastanego świata. Osłabia też wiarę w wolną wolę człowieka i jego zdolność wyboru systemu wartości, skoro jego „etogram” i „socjogram” są genetycznie zaprogramowane. Pozostaje więc polubić to, co i tak jest nieuchronne. Zdaniem socjobiologów także afekty i postawy ludzi „ukształtowane zostały w toku ewolucji przez ślepy mechanizm sortowania genotypów, sortowania odbywającego się wedle jednej tylko zasady: maksymalizacji *fitness*, tzn. wedle zasady wyposażenia nosicieli tych genotypów w możliwie najskuteczniejsze sposoby zabiegania o własne powodzenie reprodukcyjne”¹⁵⁴.

W szczególny sposób przejawia zainteresowanie biologicznym wymiarem życia *etyka*, zwłaszcza etyka medyczna i deontologia lekarska. Rozważa ona zakres stosowalności, sposoby uzasadnienia i konkretyzacje odwiecznej zasady: nie zabijaj. Poddaje więc ocenie zamachy na życie, zwłaszcza na życie ludzkie. Ostatnio wzrasta zainteresowanie etyków zjawiskiem manipulowania wartością życia, instrumentalnym traktowaniem życia człowieka w imię postępu nauki czy też innych, jeszcze bardziej podejrzanych wartości¹⁵⁵.

W cieniu bardziej eksponowanych nauk teoretycznych – za to w bezpośrednim powiązaniu z polityką społeczną już od początków uprawiania jej jako dyscypliny naukowej – rozwijała się *demografia*, zajmująca się opisem i wyjaśnianiem ilościowych i strukturalnych zmian populacji mających swe bezpośrednie przyczyny właśnie w biologicznym aspekcie życia ludzkiego, badająca przede wszystkim zmiany w czasie i przestrzeni tzw. ruchu naturalnego i wędrownego ludności. A. Józefowicz stwierdza, że trzeba było pewnego czasu „...zanim wiedza o zjawiskach ludnościowych zdołała – nie bez poważnych oporów ustalić i przyjąć następnie jako dyrektywę badawczą pozornie banalną prawdę, że procesy ruchliwości naturalnej i mechanicznej zachodzą przemienne w ślad za zmianami stosunków i uwarstwień społecznych, jako ich skutek i współprzyczyna”; zanim nastąpiło „...przejście od rozważania zjawisk ludnościowych w kategoriach fenomenów przyrodniczych, danych zewnętrznie, do pojmowania ich jako zmiennych osadzonych wewnątrz systemu środowiska społecznego”¹⁵⁶. Nadal jednak klasyczne ilościowe podejście ciąży nad demografią, zarzuca się jej zbyt powolne przyswajanie dorobku innych nauk społecznych. Podobny zarzut zresztą można skierować i w drugą stronę – nauki

¹⁵⁴ T. Bieliński, *Światopogląd naukowy i naczelne wartości ludzkiego życia*. W: *Wizje człowieka i społeczeństwa*. Warszawa 1986, s. 208.

¹⁵⁵ Zob. *W kręgu życia i śmierci*, pod. red. Z. Szawarskiego, Warszawa 1987.

¹⁵⁶ *Demografia społeczna*, pod. red. A. Józefowicza, Warszawa 1974, s. 11–12.

społeczne na ogół z opóźnieniem i zbyt schematycznie dostrzegają rozliczne, np. kulturowe, konsekwencje przeobrażeń demograficznych.

Ludzkie sprawy w polityce społecznej

Te pobieżne uwagi na temat miejsca czynnika biologicznego w obrazie świata i człowieka konstruowanym przez nauki społeczne miały na celu zasygnalizowanie trudności towarzyszących próbom wyważania jego roli, zarówno w teorii, empirii, jak i aksjologii. Trudności te musi rozstrzygać – na swój użytek *polityka społeczna*, nie pierwszy raz zmuszona do niekompetentnego rozstrzygania subtelnych sporów teoretycznych i domorosłego syntetyzowania dorobku różnych nauk. Musi, skoro aspiruje do dawania „naukowo usystematyzowanych wskazówek praktyce”.

Zainteresowanie tymi „ludzkimi sprawami” od początku było właściwe polityce społecznej i stanowiło jej *differentia specifica* w porównaniu z np. ekonomią czy socjologią. Niektórzy sądzą nawet, że ta problematyka jest w polityce społecznej nadmiernie akcentowana, że niesłusznie wobec tego postrzega się ludzkie potrzeby i projektuje sposoby ich zaspokajania li tylko w układzie demograficznym, że wizja społeczeństwa będącego zbiorem dzieci, dorosłych i starców, kobiet i mężczyzn, rodzin różnej wielkości i znajdujących się w różnych fazach rozwoju przysłania podziały klasowo-warstwowe, uniemożliwia zrozumienie gry interesów i dyfuzji wzorów, jest asocjologiczna. A zatem sprawa, że polityk społeczny pozbawia się możliwości zrozumienia jakże częstego zjawiska „odrzucania” przez żywe układy społeczne jego racjonalnie – zdawałoby się – zaprojektowanych rozwiązań.

Społeczeństwo – układ demograficzny czy klasowy

Warto więc tu rozważyć następujący dylemat poznawczy – *czy postrzegać społeczeństwo przede wszystkim jako zbiór kategorii demograficznych czy też raczej jako zbiór klas i warstw społecznych?* Które z tych ujęć pozwala uchwycić istotniejsze cechy opisywanego społeczeństwa – istotniejsze aksjologicznie i istotniejsze socjotechnicznie?

Odpowiadając na to pytanie warto każdorazowo empirycznie sprawdzić, *który z tych układów* wywiera silniejsze piętno na szansach zaspokojenia jakiejś konkretnej potrzeby. W społeczeństwie umiarkowanych – w perspektywie historycznej – nierówności społecznych odpowiedzi będą różne, zależnie od rozpatrywanej kwestii. Można tu sformułować przykładowo hipotezę (przy której zresztą nie mam zamiaru się upierać), że niedołężna starość staje się u nas obecnie w 99% przypadków niedolą trudną do zaradzenia w każdych prawie warunkach materialnych i społecznych. Brak chętnych do świadczenia niezbędnych tu usług opiekuńczych – nawet za duże pieniądze – ma głębsze kulturowe uwarunkowania i sprawia, że bogaci zrównują się z biednymi, wpły-

wowi z bezsilnymi. (W związku z tym wtórnie wzrasta zabezpieczająca funkcja rodziny, zdawałoby się, że nieuchronnie słabnąca wobec rozrostu państwowego systemu zabezpieczenia społecznego. A więc w obrębie grupy wyróżnionej wedle biologicznego kryterium – *starczego niedołęstwa* – najistotniejsze wewnętrzne zróżnicowania wiążą się także z ingerencją czynnika demograficzno-biologicznego. Małeje tu jednak znaczenie liczby potomków, decyduje ich „jakość” – gotowość do pomocy swym zstępnym). Natomiast – być może – dla warunków utrzymania i wychowania dzieci zamożność, wpływy, dostęp do elitarnych kanałów dystrybucji (np. pewexowskiego), lepsze poinformowanie o możliwościach okazują się decydujące i sprawiają, że w *zbiorowości dziecięcej* podziały klasowo-warstwowe ujawniają się z wielką siłą. (Zresztą są one częściowo zakamuflowane jako nierówności między rodzinami mało- i wielodzietnymi; w większości przypadków jest to tylko kamuflaż, gdyż umiejętność ograniczania liczby potomstwa wynika z owego „lepszego poinformowania”, będącego jednym z ważniejszych czynników wyższego statusu. Przypuszczam, że nierówności te będą znaczące nawet wówczas, gdy usuniemy z pola analizy „dolne” i „górne” 5% populacji).

Zakres zainteresowań polityki społecznej

Swoisty „biologizm” polityki społecznej nie sprowadza się jednak do doceniania (czy też przeceniania) demograficznych uwarunkowań i demograficznych kategorii. Nie jest on też – jak w socjologii czy psychologii – źródłem metafor służących opisywaniu społeczeństwa czy też tendencji do interpretowania ludzkich zachowań jako gry zwierzęcych instynktów. Ten biologizm można określić jako zaabsorbowanie takimi fundamentalnymi dla każdego człowieka faktami, że *rodzi się on, rozmnaża, rozwija i wyczerpuje swoje zasoby energii życiowej, wreszcie umiera*. Zjawiska te występują w *czasie fizycznym i w przestrzeni fizycznej* (a nie tylko w czasie kulturowym i w przestrzeni społecznej, co najbardziej fascynuje większość socjologów). Suma tych jednostkowych wydarzeń przesądza o losach gatunku ludzkiego i poszczególnych „stad” nań się składających. Każę to przypisać szczególną rolę tym grupom społecznym, które mają jednocześnie charakter biologiczny. D. Markowska ukazuje doniosłe konsekwencje faktu, że rodzina jest jedyną grupą społeczną zdolną do powiększania swego składu i przekształcania swej struktury nie tylko drogą rekrutacji (jak inne grupy społeczne), ale także – i przede wszystkim – wskutek samodzielnego powoływania do życia swych członków¹⁵⁷. Można do tego tylko dodać, że tę niepowtarzalną cechę rodziny próbuje się często przypisać także takim zbiorowościom, jak naród, grupa etniczna czy wspólnota religijna, przedstawiającym się – ustami swych ideolo-

¹⁵⁷ Zob. D. Markowska, *Przesłanki i hipotezy perspektywicznej polityki społecznej wobec rodziny*. W: *Perspektywiczna polityka społeczna*, pod. red. J. Daneckiego, Warszawa 1981, s. 434.

gów – jako wielka rodzina i starającym się narzucać swym członkom poczucie powinności płodzenia dzieci „dla” owej wielkiej rodziny.

Zakres zjawisk, zakorzenionych w biologii i uwikłanych w rozmaite „otoczki” kulturowe, silnie wzajemnie powiązanych z funkcjonowaniem gospodarki i społeczeństwa, jest bardzo rozległy. Polityka społeczna powinna więc śledzić systematycznie następujące stany i działania, rozstrzygać problemy; jedne z nich – jako masowe, inne – jako szczególnie kontrowersyjne, rodzące zagrożenia lub konflikty, choć marginesowe co do rozmiarów:

- Procesy doboru małżeńskiego, funkcjonowanie wewnątrzrodowiskowych i międzyrodowiskowych „rynków matrymonialnych”; psychologiczne i społeczne trudności w doborze; przedmałżeńskie życie seksualne, wzory obyczajowości seksualnej; liczba, częstotliwość i wiek zawierania małżeństw; wymuszony i dobrowolny celibat, konkubinaty, związki homoseksualne; kolejność i czas trwania poszczególnych faz życia małżeńskiego i rodzinnego, modele życia w parze (tradycyjne czy partnerskie), podział praw i obowiązków między kobiety i mężczyzn w rodzinie i w społeczeństwie, aktywizacja (w tym zawodowa) i emancypacja kobiet.
- Modele dzietności (uniformizacja modelu, czy specjalizacja pewnych rodzin w szczególnie intensywnej prokreacji), warunki rodzenia i wychowania dzieci w różnych rodzinach i w skali makro, liczba i rozkład urodzeń w czasie, w przestrzeni geograficznej i społecznej; umieralność niemowląt, choroby dziedziczne i obciążenia środowiskowe (czy wpływają one na prawo do rodzicielstwa); inżynieria genetyczna i inne metody „poprawiania gatunku”; sterylizacja, antykoncepcja, przerywanie ciąży.
- Stosunek ludzi do własnego i cudzego zdrowia, do sprawności fizycznej, zachowania ludzi wymierzone przeciwko tym wartościom (przestępczość, nadmierna eksploatacja własnego organizmu, brak troski o zdrowie), zróżnicowanie sprawności w społeczeństwie (inwalidzi, sport masowy, sport wyczynowy).
- Czas trwania życia, struktura zgonów; sprawność w ostatnich fazach życia, granice racjonalności („opłacalności”) przedłużania i ratowania życia; warunki umierania – ból, świadomość umierania; więzi z bliskimi, opieka terminalna, przyczyny nagłych zgonów (wojny, zabójstwa, wypadki, kara śmierci i jej wpływ na poszanowanie życia ludzkiego), prawo do śmierci (samobójstwa, eutanazja).
- Zróżnicowanie statusu, praw i obowiązków, potrzeb i możliwości osób w różnych grupach wieku, stosunki między rodziną nuklearną a rodziną wielopokoleniową; zmiany struktury wieku społeczeństwa, warunki koegzystencji pokoleń i przemiany kultury w „odmładzającym się” lub „starzejącym się” społeczeństwie, zmiany zapotrzebowania na dobra, usługi i obiekty towarzyszące tym przemianom.

Odrębny charakter mają zjawiska towarzyszące ruchowi wędrownemu ludności – migracjom wahadłowym (do szkoły, do innych urządzeń infrastruktury, do pracy), stałym zmianom miejsca zamieszkania, również poza granicami własnego kraju. Nie są one „biologiczne” w tym sensie, że nie są przejawem cyklu życiowego; są jednak „fizyczne”, jeśli tak można rzec, gdyż kształtują stosunki przestrzenne, a także są ekologiczne, gdyż poprawiają lub pogarszają warunki adaptacji człowieka (i zbiorowisk ludzkich) do środowiska. Mają one wielki wpływ na kształtowanie się ludzkich potrzeb i możliwości ich zaspokajania, wyciskają piętno na zachowaniach społecznych (np. efekt „bagna behawioralnego”, wpływ przegęszczenia na zachowania zwierząt i ludzi i inne reakcje opisane przez twórcę proksemiki, Edwarda T. Halla¹⁵⁸).

Nie są one obojętne z punktu widzenia systemu wartości (jednym z podstawowych praw „wolnościowych” jest prawo jednostki do wyboru miejsca w przestrzeni), lecz w powszechnym odczuciu zdają się mieć mniej „fundamentalny”, ostateczny, charakter niż zjawiska towarzyszące rodzeniu się i umieraniu. Będę je pomijać w dalszych rozważaniach.

Wartość życia – podstawowe interpretacje

Trzy wartości

Jeśli postawimy znak równości między wartościami biologicznymi a wartością życia, to możemy ją rozczłonkować na trzy subwartości: *trwanie życia* (antywartością jest tu zabijanie, unicestwianie, odbieranie życia), *życie w zdrowiu*, „dobrostan” psychofizyczny (antywartością jest tu choroba, cierpienie, niesprawność, niepełne wykorzystanie potencjału genetycznego), *przekazywanie życia*, rodzicielstwo, następstwo pokoleń (antywartością jest tu wygasanie rodu, depopulacja). Są to trzy różne oblicza wartości życia, między którymi – podobnie jak w innych „rodzinach” wartości – trudno wykluczyć możliwość przelotnych lub trwalszych kolizji w mikro- i makroskali.

Ochrona i pomnażanie życia

Oczywistą dyrektywą dla każdej polityki społecznej jest, – po pierwsze – *ochrona wartości życia* (a więc uniemożliwianie zamachów na życie, minimalizacja antywartości, jaką jest zabijanie, uniemożliwianie przekształcania życia z wartości w instrument) i – po drugie – *pomnażanie wartości życia*. Zastanówmy się, na czym mogą polegać te dwa zadania.

Aby odpowiedzieć na pierwsze pytanie – na czym polega ochrona życia – trzeba wyjaśnić, jaką postać mogą przybierać zamachy na życie i rozstrzygnąć, czy wszystkie one są złem absolutnym, wszędzie i zawsze potępianym i zwal-

¹⁵⁸ Zob. E.T. Hall, *Ukryty wymiar*, Warszawa 1976.

czanym, czy też niektóre z nich można w pewnych okolicznościach uznać za „mniejsze zło”, tolerować lub nawet aprobować.

Rodzaje zamachów na wartość życia

Zamachy na zasadę nienaruszalności trwania czyjegoś życia są złamaniem przykazania: nie zabijaj. Zarazem godzą w bezpieczeństwo, o czym pisałam w poprzednim rozdziale. Jeśli jednak uwzględnimy wymienione przed chwilą trzy oblicza wartości życia, to okaże się, że dokonać zamachu na życie to nie tylko *zabić* (zabić jednostkę – człowieka czy zwierzę; zabić wiele jednostek, na wojnie czy w rzeźni; unicestwić cały naród czy cały gatunek, formę życia zwierzęcego czy roślinnego), ale także: *nie pomóc* (nie przedłużyć życia mimo posiadania odpowiednich środków medycznych, technicznych czy ekonomicznych, nie leczyć, nie rehabilitować, nie ratować z opresji), *nie doskonalić* (nie wydobywać wszystkich możliwości zapisanych w genach mimo istnienia odpowiednich środków), *nie pobudzać rozrodu* (co oznacza postawienie znaku równości między zamachem na życie i niepomnażaniem życia; pogląd – rzecz jasna – kontrowersyjny). Im bardziej pojemna jest definicja „zamachu na życie”, tym więcej pojawia się argumentów na rzecz tezy, że wobec pewnych istnień i w pewnych sytuacjach są one dopuszczalne.

Ochroną przed zamachami na życie obejmuje się przede wszystkim *człowieka*; zwierzętom odmawiając zupełnie prawa do ochrony lub bardziej je zawężając; chroniąc je bardziej przed cierpieniem niż przed pozbawieniem życia; lub też chroniąc raczej gatunki i odmiany niż poszczególne osobniki. Muszę wyjaśnić, dlaczego w ogóle stawiam tu problem tak szeroko, kiedy przy analizie zagadnień np. równości czy bezpieczeństwa za oczywistość przyjmowałam, że polityka społeczna interesuje się tylko ludźmi. Rzecz w tym, że przechodząc do omawiania wymiaru ludzkiego życia nie znajdujemy dostatecznie oczywistych argumentów, by przyznać wartość ludzkiemu życiu, zaś w zupełności odmówić tego atrybutu innym formom życia, a nawet powstają kłopoty z wyznaczeniem linii demarkacyjnej między ludzkimi i nie-ludzkimi formami życia. (Interesująco rozwija ten problem Z. Szawarski)¹⁵⁹. Ponadto, wiele istnień ludzkich jest pozbawionych pewnych definicyjnych atrybutów „bycia człowiekiem” i rodzi się pytanie, czy i im należy się absolutna ochrona, skoro jeszcze lub już nie myślą i nie cierpią (a w każdym razie nic o tym nie wiemy), skoro choroba pozbawiła ich zdolności do czegokolwiek poza roślinną wegetacją. Istnieje więc szerokie – zdaniem niektórych bardzo szerokie – pogranicze, na którym absolutystyczna zasada *nie zabijaj* obrasta w rozmaite zastrzeżenia, wyjątki, warunki, których nie będzie w stanie spełnić wiele istot.

¹⁵⁹ Zob. *W kręgu życia i śmierci...*, jw.

Co usprawiedliwia zamachy na ludzkie życie

Następna kwestia. *W jakich sytuacjach prawo ludzi do życia może ulec zawieszeniu?* Rodzaje racji, mających – ewentualnie, zdaniem wielu, choć nie wszystkich usprawiedliwić zamachy na czyjeś życie i uznać je za „mniejsze zło”, są następujące:

- samoobrona lub obrona innych przed kimś, kto może lub chce nas zniszczyć lub pozbawić nas wolności stanowienia o sobie;
- kara wymierzona przestępcy;
- litość wobec tych, którzy tak cierpią, że rozmiar ich cierpień daleko przekroczył rozmiar satysfakcji czerpanych z życia;
- koszt utrzymywania przy życiu i pielęgnacji tych, którzy bez tej pomocy nie są w stanie żyć samodzielnie;
- zagrożenie niezaspokojeniem potrzeb elementarnych;
- chęć lepszego zaspokojenia potrzeb wyższego rzędu („otoczkowych”, „pozornych” czy nawet patologicznych).

Samoobrona i kara

Rozważmy te pytania na wybranych przykładach. *Przerwanie życia napastnikom* („wojny sprawiedliwe”) czy *mordercom* („oko za oko”, „zab za zab”) jest akceptowane jako sprawiedliwe i użyteczne (funkcja odstraszenia innych) przez bardzo wielu ludzi, choć nie przez wszystkich. W całym świecie rozwija się ruch pacyfistyczny, odrzucający wszelkiego rodzaju przemoc. W wielu krajach zniesiono karę śmierci nawet dla sprawców najbardziej odrażających przestępstw lub przynajmniej rozwija się ruch abolicjonistyczny, domagający się zniesienia tej kary. Wskazuje się na to, że kara ta często bywa de facto aktem eutanazji wobec chorych psychicznie, bo oni to popełniają najcięższe przestępstwa, wyklucza możliwość naprawiania pomyłek sądowych, stwarza pokusę nadużywania w walce z opozycją polityczną. A zarazem nie udowodniono jej siły odstraszenia innych, udowodniono natomiast jej niezdrowy wpływ na wyobraźnię społeczeństwa, rozbudzanie ukrytych instynktów destruktywnych przez widok zabójstwa w majestacie prawa. Kara ta jest więc – zdaniem abolicjonistów – nie tylko niesłuszna, ale i bezużyteczna, a nawet szkodliwa.

Osobny i jeszcze trudniejszy problem stanowi *samoobrona przed tymi, którzy grożą ciemuś życiu*, ale czynią to bezintencjonalnie, *przez sam fakt swojego pojawienia się*. Chodzi tu o konflikt między zagrożonym życiem matki a życiem płodu. Inspirowane przez światopogląd religijny stanowisko głosi, że i w takiej sytuacji ekstremalnej nie wolno czynić zamachu na życie płodu, bowiem każda istota niewinna ma bezwarunkowe prawo do życia; nawet jeśli śmierć matki i ją z czasem skarże na śmierć, to człowiek nie ma prawa przykładać do tego ręki. Nie wydaje się, aby współcześnie ten pogląd miał szansę uzyskania istotnego wpływu na opinię publiczną i prawodawstwo.

Litość

Przerwanie życia ludzi niedorozwiniętych umysłowo, kalekich, bardzo cierpiących z powodu choroby czy starości bywa uważane za dobre jako *akt laski wobec nadmiernie cierpiących* i wobec ich rodzin (na świecie działa wiele stowarzyszeń zabiegających o legalizację eutanazji, pomocy w popełnieniu samobójstwa, pozbawienia życia dzieci urodzonych z poważnymi wadami). Z moralnego punktu widzenia rozwiera się przepaść między odbieraniem życia takim ludziom bez pytania ich o zdanie (jest to przejaw kolektywizmu drugiego typu: „wiem lepiej, co jest dla niego dobre”) a pomocą w odbieraniu sobie życia ludziom, którzy są na to zdecydowani. Ale tu z kolei znaczny jest obszar niejasności i wahań – kiedy, na podstawie jakich sygnałów możemy zyskać pewność, że cierpiący człowiek chce śmierci, że pozwala mu na to jasność umysłu i zdolność do objawiania wolnej woli. Często spotykane jest kompromisowe stanowisko, zgodnie z którym nie wolno dokonywać czynnej eutanazji, ale dopuszczalne jest zaprzestanie pomocy i podtrzymywania życia w przypadku nadmiernych cierpień i braku szansy na życie godne człowieka. Dzięki temu kompromisowi lekarze mogą zachować „czyste ręce”, jednakże umieranie cierpiącego może być dłuższe i bardziej bolesne. Z drugiej strony większość potencjalnych pacjentów – a więc większość ludzi – wzdraga się przed myślą, że lekarz, *ex definitione* obrońca życia, mógłby zyskać uprawnienie do zabijania. Podważyłoby to – powiada się – zaufanie pacjentów do lekarzy i pozbawiłoby ich poczucia bezpieczeństwa w kontaktach z instytucjami służby zdrowia. Tak więc spór o eutanazję, czynną i bierną wciąż się toczy i jest zapewne nierozstrzygalny jako dylemat polityki społecznej. Nadal w indywidualnych przypadkach decydują ludzie, na rachunek własnego sumienia¹⁶⁰.

Koszty ekonomiczne

Często podejrzewa się, że eutanazja – pod płaszczykiem humanitaryzmu – ma raczej służyć odciążeniu społeczeństwa utrzymaniem ludzi zbędnych i niepełnowartościowych; podejrzewaniom tym sprzyja choćby niedawna praktyka Niemiec hitlerowskich. *Ważenie na jednej szali kosztów ekonomicznych, na drugiej – wartości ludzkiego życia* wydaje się głęboko niehumanitarne. Co robić jednak, skoro w miarę doskonalenia nauk medycznych lawinowo rosną koszty ratowania życia i leczenia przy użyciu skomplikowanych aparatów, których upowszechnienie wydaje się niewyobrażalne. Słyszysz się opinie, że nakłady na służbę zdrowia będą wobec tego zawsze niewystarczające, nawet w najbogatszych krajach najhojniej tę służbę finansujących. Coraz więc trudniej uniknąć niewygodnego moralnie dylematu – komu udostępnić drogocenne

¹⁶⁰ Zob. tamże oraz T. Kielanowski, *Rozważania o przemijaniu*, Warszawa 1973.

urządzenia, komu ich odmówić, jakimi kryteriami przy tym się posługiwać¹⁶¹. Upowszechniająca się praktyka przeszczepów organów wyjętych z ludzkich organizmów stwarza nowe trudne wybory – komu odmówić podłączenia do urządzeń przedłużających życie, by z jego ciała zaczerpnąć organ potrzebny do ratowania innego (ważniejszego?) człowieka. Rzecz nie tylko w tym, że śmierć jednego człowieka staje się korzystna dla innego, wobec czego pojawia się pokusa, by tę śmierć przyspieszyć czy wręcz spowodować. Wstrząsający moralnie wydaje się też fakt, że ciała człowieka używa się jako użytecznej rzeczy, że życie przestaje więc być czasem wartością stając się instrumentem.

Potrzeby elementarne

Zabijanie po to, *by inni* – pozostawieni przy życiu – *nie żyli w głodzie i nędzy* rzadko bywa głoszone jako remedium na te niedole, natomiast dużo częściej w imię tych racji odmawia się prawa do dalszego rozrodu, upowszechniając ponadto prawo rodziców i lekarzy do przerywania życia ludzkich embrionów, a nawet twierdząc, że niepohamowany rozród w sytuacji głodu i przeludnienia jest pośrednim, ale karygodnym zamachem na życie tych, którzy już się urodzili. Mnożenie życia może więc być postrzegane w pewnych okolicznościach jako zamach na życie, podczas gdy dla innych uchylanie się od mnożenia życia jest tożsame z zamachem na życie.

Potrzeby wyższego rzędu

Przerywanie życia innych, pozbawianie ich pomocy w potrzebie, godzenie się na to, że wegetują bez perspektyw rozwojowych w *imię zaspokojenia własnych potrzeb luksusowych* jest niewątpliwym przejawem egoizmu, jest jednak codzienną praktyką stosunków między pierwszym, drugim, trzecim i czwartym światem, na które podzieliła się nasza planeta. Jest to więc praktyka tyleż potępiana co powszechna. Bardzo spolaryzowane są poglądy na to, czy jednostka – a w szczególności kobieta – ma prawo przerywać życie poczętego dziecka w imię własnego dobrobytu, własnej wolności czy nawet w imię jak najlepszych warunków rozwoju dzieci już narodzonych. Z obecnie lub dawniej obowiązujących w wielu krajach aktów prawnych można wyczytać przeświadczenie, że tylko wyjątkowe cierpienie psychiczne lub wyjątkowy niedostatek usprawiedliwiają aborcję; od kobiety wymaga się dowodów, że takie właśnie komplikacje grożą jej i całej rodzinie. Natomiast w innych ustawodawstwach przyjmuje się indywidualistyczną zasadę, że sama kobieta powinna ważyć racje zgodnie ze swym własnym systemem wartości. Do różnic poglądów dotyczących wartości życia dzieci nienarodzonych i prawa do aborcji powrócę jeszcze w dalszej części tego rozdziału.

¹⁶¹ Zob. L. Frąckiewicz, *Polityka ochrony zdrowia*, Warszawa 1981.

Reakcje polityki społecznej

Co z tego wynika dla polityki społecznej? Można pewne postawy i czyny *potępiać, ale nie czynić niczego*, co by miało na celu ich ograniczenie. Można starać się *wyperswadować* sprawcom tych zamachów, by ich zaprzestali i podsunąć im *alternatywne zachowania* (np. antykoncepcja zamiast aborcji). Można wreszcie *bezwzględnie zakazać* pewnych zamachów na mocy prawa i grozić sankcjami aż do odebrania życia sprawcom włącznie (co – jak wielu podkreśla – sprawia, że w społeczeństwie powstaje spirala przemocy). Indywidualne decyzje o przerywaniu cudzego życia można przekazać – w ramach obowiązującego prawa – odpowiednim funkcjonariuszom czy profesjonalistom. Najczęściej są to sędziowie i lekarze w czasie pokoju, dowódcy wojskowi w czasie wojny. Ale to już należy do dylematów instrumentalnych.

Resumé

W kwestii ochrony wartości życia mozaika postaw, a także sposobów oceny tych postaw i reagowania na nie, jest zatem bardzo urozmaicona. Od wszechogarniającej troski o wszelkie formy życia, o ich trwanie, jakoś i kontynuację, na straży której winny stać absolutne zakazy moralne i prawne – po daleko posuniętą selektywność i relatywizm. Fundamentalizm odmawiający wszelkim innym wartościom prawa do konkurowania z szeroko – najszerzej – rozumianą wartością życia wydaje się w pierwszej chwili najbardziej humanitarny i łatwy do operacjonalizacji. Jednakże w praktyce ujawnia się, że w pewnych przypadkach prowadzi do niepotrzebnych cierpień, a nawet w pewnych przypadkach może pomniejszyć realizację wartości życia w jej ilościowym i jakościowym wymiarze, jeśli uwzględnić pośrednie i perspektywiczne konsekwencje tego stanowiska. Dlatego ostrożny relatywizm obudowany kontrolą i samokontrolą rozmaitych „komisji etycznych” wydaje się rokować więcej nadziei na powodzenie mierzone – zgodnie z doktryną etycznego utilitaryzmu – maksymalizacją szczęścia i minimalizacją cierpień.

Pomnażanie wartości życia – jakoś czy ilość

Przejdźmy teraz do drugiego zadania polityki społecznej *pomnażania wartości życia*. Może ono być rozumiane dwojako: *jakościowo* (lepsze życie tych ludzi, którzy istnieją, lepsze – pod różnymi względami, a więc np. pod względem bezpieczeństwa, wolności czy równości warunki rodzenia się, rozmnażania i umierania); *ilościowo* (im więcej istot żywych naszego gatunku lub należących do naszego „stada”, tym lepiej). Te dwa podejścia mogą się uzupełniać, mogą być sobie przeciwstawne. O ile pierwsze traktuje życie jako całość złożoną z wielu równorzędnych elementów, o tyle drugie traktuje w sposób uprzywilejowany jeden z elementów życia – a mianowicie rozród.

W tym drugim podejściu należy od razu rozróżnić *wariant kolektywistyczny* i *indywidualistyczny*. W wariantcie kolektywistycznym niedwuznacznie jako wartość traktowany jest rozwój ludnościowy, wobec którego rozród jednostek jest li tylko narzędziem. W wariantcie indywidualistycznym wartością staje się raczej prawo jednostki do prokreacji. W obu tych wariantach można wreszcie akcentować podtrzymywanie bytu (czy to gatunku czy to pojedynczej „linii genealogicznej”), a więc wolność od zagrożenia unicestwieniem, albo raczej *ekspansję bytu* – do takiej interpretacji skłania niewątpliwie termin „rozwój ludnościowy” i dopiero ona w pełni odpowiada „ilościowemu” traktowaniu tej wartości, jaką stanowi życie.

Należy więc rozważyć, jaka powinna być hierarchia następujących wartości i czy na pewno wszystkie wymienione pojęcia zasługują na miano wartości:

- 1) rozrastanie się zbiorowości z pokolenia na pokolenie;
- 2) trwanie zbiorowości z pokolenie na pokolenie;
- 3) pozostawianie po sobie przez jednostkę jak najliczniejszego potomstwa;
- 4) pozostawianie po sobie przez jednostkę potomka, następcy, dziedzica;
- 5) dobre warunki rodzenia się, rozmnażania i umierania ludzi.

Wymienionym kwestiom, rozstrzygającym się na pograniczu polityki społecznej i polityki ludnościowej i szczególnie żywo dyskutowanym, poświęć resztę tego rozdziału. Jak zwykle, oprócz rozważenia „*słuszności*” dążeń do realizacji tych stanów, warto postawić pytania, czy niektóre z nich nie są *nieuchronne* (co sprawia, że przestają być kwestią polityczną) i czy nie są one *użyteczne* dla osiągnięcia innych wartości i celów (choćby same były „*obojętne aksjologicznie*”).

Wokół rozwoju ludnościowego – spór pronatalistów z antynatalistami

Cele i założenia pronatalistów

Poglądy głoszące, że *rozrost liczebny populacji jest zjawiskiem pozytywnym* i dobrze służy interesom rozwijającej się zbiorowości, są nadal najbardziej rozpowszechnione, na pewno w „mądrości obiegowej”, a chyba w wygłaszanych na użytek praktyki politycznej wypowiedziach polityków i ekspertów (czego zresztą nie należy utożsamiać ze stanowiskiem teorii). Występują one w wersji ostrzejszej jako akceptacja ekspansji ludnościowej lub w wersji łagodniejszej jako dezaprobata dla spadku liczby ludności. Dzieje się tak w naszym kraju i – szerzej patrząc – w europejskim kręgu kulturowym, w Pierwszym i Drugim Świecie. Pod naporem oczywistych faktów poglądy te schodzą na margines w borykających się z głodem krajach Trzeciego Świata, ale i tam ujawnia się sprzeciw wobec traktowania jako klęski zjawisk, które tradycyjnie w tych kra-

jach i współcześnie w krajach uprzemysłowionego Zachodu uchodzą i uchodzą za chwalebne (zwłaszcza, że doradcy oferujący im projekty depopulacyjne sami pochodzą z krajów usiłujących zwiększyć swą dynamikę urodzeń; zakrawa to na hipokryzję)¹⁶².

Poglądom tym towarzyszy na ogół przekonanie o konieczności podejmowania przez rządy i inne wpływowe podmioty polityczne *aktywnej polityki ludnościowej o charakterze pronatalistycznym*. Przekonanie to wydaje się logiczną konsekwencją następujących *założeń* (które istotnie bywają przyjmowane przez zwolenników działań pronatalistycznych):

- depopulacja jest nieuchronna jeśli zabraknie ingerencji politycznej (tłumaczy się to rozmaicie, egoizmem i hedonizmem współczesnego człowieka, dehumanizacyjnymi wpływami współczesnej cywilizacji, albo po prostu ekstrapoluje się pewne krótkookresowe tendencje demograficzne nie wnikając w ich przyczyny);
- oddziaływanie na decyzje prokreacyjne jednostek jest łatwe i skuteczne (a czasem – sądząc z poczynąń pewnych krajów głoszących, że prowadzą politykę pronatalistyczną – żywi się też złudzenie, że oddziaływania te mogą być tanie);
- oddziaływanie na decyzje prokreacyjne jednostek jest dopuszczalne z moralnego i – szerzej – aksjologicznego punktu widzenia (nie dostrzega się więc istotniejszych „aksjologicznych ograniczników”, które by mogły sparaliżować politykę nienaganną z prakseologicznego punktu widzenia; nie odczuwa się moralnych skrupułów).

Jeszcze jedno założenie ukryte jest w samej nazwie polityki pronatalistycznej. Mianowicie – dążąc do zwiększenia populacji akcentuje się popieranie urodzeń, a nie zwalczanie zgonów. Czy to dlatego, że te działania wydają się łatwiejsze, czy to dlatego, że ceni się życie ludzkie tylko w pierwszych jego fazach (co zrozumiałe, jeśli stawia się znak równości między ludnością a mięsem armatnim lub siłą roboczą).

Nie pozbawiony znaczenia jest też *sposób formułowania celów ludnościowych*. Czasami ogranicza się do postulatu zwiększenia tempa przyrostu naturalnego, czasami podaje się liczbę ludności uznaną za niezbędne minimum, czasami zaś określa się model idealnej rodziny służebny wobec celów globalnych (model zredukowany do jednej cechy – liczby dzieci, np. słynne 2 + 3 lub 2 + 5 z polskich dyskusji prasowych lat siedemdziesiątych). Ta ostatnia formuła, pozornie indywidualistyczna, jest w istocie zaprzeczeniem indywidualizmu, uniformizuje – w intencjach swych propagatorów – wzorce prokreacji, skłania do piętnowania wszelkich odchyłeń in minus od lansowanego standardu (na-

¹⁶² Zob. D. Markowska, *Opinia publiczna wobec polityki ludnościowej na przykładzie dokumentów międzynarodowych i programów wybranych krajów*, maszynopis w archiwum IGS, Warszawa 1978, s. 18.

wet jeśli odchylenia innych rodzin in plus zapewniają „prawidłową” dietę globalną).

Typy argumentów używanych w sporze

Czas przejść do zasadniczego pytania, *dlaczego, w imię czego warto popierać rozwój ludnościowy?* Czy jest on dobry „jako taki” czy też raczej służy jako narzędzie realizacji jakiejś naczelnej wartości, nie mającej „biologicznego” czy „demograficznego” charakteru? A może – jak chcą niektórzy – nie jest on ani wartością, ani instrumentem, lecz wskaźnikiem jakichś pozytywnych procesów (choćby – sumarycznym efektem optymizmu życiowego i dobrej kondycji jednostek formujących daną zbiorowość)? Pobieźny przegląd najbardziej charakterystycznych typów argumentacji za rozwojem ludnościowym nie może pominąć kontrargumentów ukazujących rozwój ludnościowy jako antywartość, jako przeszkodę w realizacji prawdziwie istotnych wartości, wreszcie jako wskaźnik zjawisk negatywnych (choćby ciemnoty). Omówię więc kolejno stanowiska traktujące rozwój ludnościowy jako: 1) wartość autoteliczną, 2) wartość religijną, 3) środek realizacji celów polityczno-militarnych, 4) czynnik rozwoju ekonomicznego, 5) stymulator przemian kultury, 6) zagrożenie wartości ekologicznych.

Dwa pierwsze stanowiska mają charakter opcji ideowej, traktują kwestię ludnościową jako przedmiot dylematu aksjologicznego. Pozostałe stanowiska – jeśli rozumieć je literalnie – rozważają ją jako problem instrumentalny. *Podział na „ideologów” i „pragmatyków” nie jest jednak ostry.* Pogląd o autotelicznym lub religijnie sankcjonowanym charakterze rozwoju ludnościowego i prokreacji bywa często „wzmacniany” przez jego wyznawców niepewnych co do nośności swej wiary i podatności społeczeństwa na konwersję. Wzmacnianie owo przybiera zewnętrzną formę racjonalizacji, dowodzenia, że rozwój ludnościowy jest użyteczny. Uporczywość obstawania przy tym, co było do dowiedzenia, mimo ciągłego podważania przez adwersarzy przesłanek tego dowodu, ujawnia aksjologiczne zaplecze tych racjonalizacji. Nie znaczy to, że wszyscy, którzy dostrzegają pozytywny wpływ rozwoju ludnościowego na sytuację polityczną i militarną, stan gospodarki i kultury, są pozbawieni jakichkolwiek racjonalnych argumentów a ich upór, wynikający z ideologicznego zaprogramowania, nie da się przezwyciężyć. Warto jednak zdawać sobie sprawę z tego, że i takie motywacje bywają obecne.

Wartość autoteliczna?

Zgodnie z pierwszym z omawianych tu stanowisk rozwój ludnościowy jest wartością autoteliczną. Uznaje się go za dobry i nie wymagający odwoływania się do jakichkolwiek innych – uwiarygodniających go – wartości, wskazujących nań jako na *naturalną cechę każdego gatunku* zwyczajnie wychodzącego z walki o byt.

W warunkach bardzo ostrej i dającej małe szanse poszczególnym przedstawicielom gatunku – także *homo sapiens* – walki o byt *ekspansja bytu wydawała się jedynym skutecznym środkiem do osiągnięcia celu, jakim było przetrwanie bytu*. Tak wielokroć interpretowano niezwykłą rozrzutność przyrody w rozsiewaniu załóżków nowego życia. Dopiero na pewnym etapie rozwoju cywilizacyjnego ludzkości okazało się, że maksymalizacja rozrodu nie jest niezbędna dla przetrwania, bowiem cywilizacja zaczęła skutecznie chronić jednostki przed tradycyjnymi zagrożeniami i zapewniać im coraz większe szanse przeżycia. Świadomość ta torowała sobie jednak opornie drogę, a atawistyczne przywiązanie do ekspansji ilościowej i sukcesji biologicznej jest wciąż bardzo żywotne, nadal traktuje się je jako wartości odwieczne, „naturalne”, nie wymagające uzasadniania i agitacji, „przedideologiczne”.

Perspektywa kurczenia się populacji napawa zwykle lękiem, być może dlatego, że wyobrażenia podsuwa natychmiast ekstrapolację tego spadku aż do osiągnięcia stanu zerowego. Celowe wywołanie depopulacji i użycie jej jako instrumentu służącego nawet najbardziej wzniosłym celom może być odbierane jako pogwałcenie sacrum. Gdyby rzeczywiście takie było powszechne odczucie społeczne, trzeba by je uszanować, jak każdy akt wiary. Jednak można przypuszczać, że ten stereotyp ulega erozji – choćby pod wpływem obserwacji środowisk i narodów, które cieszą się znacznym prestiżem, mimo iż cechuje je reprodukcja zwężona – i świadomość społeczna oswaja się z perspektywą ograniczonego, okresowego spadku liczby ludności.

Również w *mikro ujęciu teza o naturalnym dążeniu wszystkich ludzi do posiadania dzieci* wydaje się nie wymagać dowodów, prokreacja jest więc także dla jednostki wartością autoteliczną. Według T. Kocowskiego, prokreacja jest jednym z pięciu celów nadrzędnych właściwych człowiekowi. Często jednak przyznaje jej się pierwsze miejsce pośród ludzkich dążeń, widząc w niej np. – jak to zwykł mówić A. Rajkiewicz – źródło poczucia „ciągłości istnienia”, antidotum na śmierć, sposób neutralizacji lęku przed nią. Jeżeli wiara w siłę instynktów rodzicielskich u człowieka jest niezachwiana, sensowne jest popieranie tylko takiej polityki pronatalistycznej, która polega na usuwaniu przeszkód zewnętrznych uniemożliwiających realizację tych instynktów (ale czy to jest nadal polityka pronatalistyczna, czy tylko – albo aż – polityka społeczna szanująca wszystkie te potrzeby jednostek, które nie kolidują z potrzebami innych jednostek?).

Jeżeli jednak sądzi się, że te naturalne dążenia zaczynają wygasać (co jest treścią jednego z przytoczonych wcześniej, typowych dla „ideologii pronatalistycznej”, założeń), widzi się w tym objaw choroby społecznej, przejaw niekompetencji jednostki, która sama zgubiła swoje poczucie biologicznej tożsamości uganiając się za chimeraami będącymi wytworem chorej cywilizacji. Pragnie się więc jednostce pomóc, nawet wbrew jej fałszywej świadomości. Rozumowanie to jest właściwe *kolektywizmowi drugiego typu*.

Istotną modyfikację pojmowania indywidualizmu wnosi socjobiologia. Odrzucając właściwy genetyce populacyjnej i darwinizmowi społecznemu „gatunkocentryzm”, reprezentuje ona „...konsekwentnie «osobniczą» filozofię biologii – jedynie osobnik obdarzony jest cechami realnej jednostki biologicznej. Pojęcie dobra gatunku zostaje zdetronizowane i zastąpione jedynie poprawnym pojęciem dobra osobnika”¹⁶³. Ale tym, którego dobru w istocie służy dobór naturalny, jest *genotyp*, a nie konkretny człowiek, „tymczasowy nosiciel” genotypu. „Rola osobnika sprowadza się do tego, że jest on rodzajem maszyny służącej do przeżywania (tj. przekazywania się i dzięki temu zachowania genów z pokolenia na pokolenie)”¹⁶⁴. Są to, rzecz jasna, tezy ontologiczne a nie aksjologiczne. Jednakże, orzekając, że człowiek jest narzędziem „samolubnego genu”, jesteśmy lepiej przygotowani psychicznie do akceptacji użycia człowieka jako narzędzia przez system społeczny (zwłaszcza, gdy deklaruje on „wspieranie procesów korzystnych z genetycznego punktu widzenia”).

Wartość religijna

Drugie z rekonstruowanych stanowisk czyni z prokreacji wartość religijną.

W naszym kraju poszukiwanie w religii uzasadnień dla akceptacji rozwoju ludnościowego i polityki pronatalistycznej jest z reguły inspirowane przez doktrynę Kościoła Katolickiego, obrastając w rozmaite rozszerzające interpretacje będące dziełem katolików świeckich wypowiadających się na te tematy publicznie. Wydaje się, że obiegowa wersja katolickiego poglądu na sprawy ludnościowe w Polsce zawiera następujące *elementy* (mające różną rangę doktrynalną i w różnym stopniu przyswojone przez katolicką opinię publiczną):

- traktowanie prokreacji jako powinności religijnej;
- uznawanie zasady poszanowania każdego poczętego życia (ludzkiego) za nadrzędną i bezwzględnie obowiązującą;
- dopatrywanie się w omalże wszystkich znanych środkach regulacji urodzeń zamachu godzącego albo w jedną, albo w obie wymienione powyżej prawdy;
- stereotyp „Polaka-katolika” stanowiący zbitkę wartości religijnych, narodowych i obyczajowych, zawierający m.in. stereotypy wzorów rodzinnych i poglądów demograficznych.

Jak się wydaje, większość systemów religijnych wpaja swym wyznawcom poczucie *powinności nieograniczonego rodzicielstwa*. Do wyjątków należy buddyzm, który wyżej stawia cnotę odpowiedzialności.

Powinność prokreacji ściśle wiąże się z katolicką koncepcją małżeństwa. Miłość małżeńska powinna być „płodna”, o poczęciu dziecka – tego „daru

¹⁶³ A. Urbanek, *Między egoizmem, altruizmem i agresją: spór o socjobiologię*. W: *Wizje człowieka...*, jw. s. 160.

¹⁶⁴ Tamże.

Boga” – powinna decydować w mniejszym stopniu wolna wola rodziców, w większym stopniu – „*kreatywna intencja Stwórcy*”. „Kościół wzywając ludzi do przestrzegania nakazów prawa naturalnego, które objaśnia swoją niezmienną doktryną, naucza, że konieczną jest rzeczą, aby każdy akt małżeński zachował swoje wewnętrzne przeznaczenie do przekazywania życia ludzkiego”¹⁶⁵. „Pozbawienie aktu małżeńskiego w sposób rozmyślny jego charakteru prokreacyjnego jest czymś wewnątrznie moralnie niegodziwym, jest grzechem [...] Władza rodzenia (płodzenia) nie może być przywłaszczona przez człowieka (jako prywatną osobę), lecz może być spełniana jedynie w taki sposób, który w samej istocie działania wyraża uległość, posłuszeństwo wobec woli Boga i poddanie się Jego autorytetowi”¹⁶⁶. A oto komentarz działacza ruchu antyaborcyjnego, jeszcze silniej kwestionujący wolną wolę jednostki – potencjalnego rodzica, a więc wartość tak wysoko cenioną przez ideologów indywidualizmu: „Mit «niechcianej ciąży» i «niechcianego dziecka» opiera się na braku rozróżnienia między chceniem psychicznym lub społecznym a chceniem moralnym i prawnym, na braku świadomości, że każdy z nas jest trochę chciany a trochę niechciany przez innych, na braku wiedzy o psychologii kobiety, która zwykle zmienia swój stosunek do niechcianego dziecka po urodzeniu...”¹⁶⁷.

Konsekwencje „ilościowe” takiego stanowiska są oczywiste, choć Kościół nie opowiada się oficjalnie za prowadzeniem jakiejkolwiek polityki ludnościowej. W wypowiedziach ludzi związanych z katolicyzmem częste są jednak nawiązania do biblijnego „bądźcie płodni i mnożcie się; abyście zaludnili Ziemię”. Powołując do życia wciąż nowe – coraz liczniejsze – istoty ludzkie afirmujemy doskonałość dzieła Stworzenia i zadośćuczyniamy wszechogarniającej boskiej miłości.

Ochrona życia nie narodzonych dzieci to hasło batalii, której nasilenie dałoby przewyższać całą resztę publicznej działalności współczesnego Kościoła. „Zabijanie nie narodzonych dzieci jest obecnie *najdonioślejszym problemem moralnym współczesnego świata*. Jest znakiem szerzącej się – jak określił to Papież Jan Paweł II – cywilizacji śmierci, przejawem szczególnego znieczulenia lekceważeniem świętości życia ludzkiego i ludzkiej godności”¹⁶⁸. Batalia ta opiera się na następujących aksjomatach: embrión jest człowiekiem; nie ma żadnego innego, niż moment poczęcia, punktu początku życia człowieka; nie można niczym usprawiedliwiać zabójstwa człowieka, nawet ochroną życia i zdrowia (ani tym bardziej enigmatycznym „dobrem”) innego człowieka; eutanazja jest takim samym zabójstwem jak każde inne; nie można więc usprawiedliwiać zabójstwa nienarodzonego tym, że i tak nie byłby on zdolny

¹⁶⁵ Encyklika „*Humanae Vitae*”, Warszawa 1982, s. 13.

¹⁶⁶ J. Bajda, *Akt małżeński w nauczaniu Kościoła*, „Chrześcijanin w Świecie”, 1987, nr 3 (162), s. 39 i 40.

¹⁶⁷ S. Małkowski, *Apel w sprawie nie narodzonych*, maszynopis, Warszawa 1981, s. 5.

¹⁶⁸ M. Piłka, *Nie zabijaj*, „Przegląd katolicki” 1986, nr 50, s. 1.

do życia, ani tym, że nie miałby on szans na „dobre życie”; wszyscy ludzie mają prawo do życia; ze szczególną gorliwością należy jednak chronić prawa tych, którzy są najsłabsi¹⁶⁹. Tak więc wszyscy ludzie są równi, ale embriony są „równiejsze” niż noszące je kobiety.

Godność człowieka okazuje się tu wartością konkurencyjną wobec szczęścia człowieka (utożsamianego z przyjemnością), jednoznaczność prostych zasad moralnych przeciwstawia się chwiejności relatywistycznych dyrektyw, trudnych do operacjonalizacji, łatwych do manipulacji.

Powoływanie się na zagrożenie depopulacją nie wydaje się potrzebne w świetle przytoczonych argumentów. Jednak znamieny jest fakt, że w omalże wszystkich memoriałach domagających się wprowadzenia w Polsce zakazu przerywania ciąży podkreśla się, że zabiegi te obejmują rosnącą wciąż część poczęć (szacunki te są zresztą totalnie kwestionowane przez adversarzy) i że perspektywa spadku liczby ludności jest realna. Być może czyni się tak po to, aby skuteczniej oddziaływać na adresata, odwołując się do jego – domniemanego – systemu wartości. Być może sami autorzy postrzegają przerywanie ciąży przede wszystkim jako jeden – najbardziej wyzywający, wręcz zbrodniczy – ze sposobów uchylania się od powinności płodzenia i „napełniania świata”.

Im większy nacisk na ratowanie nie narodzonych kładzie się w akcji duszpasterskiej Kościoła, tym bardziej namiętny opór budzi to stanowisko. *Linia rozumowania jego przeciwników* jest następująca. Najprostsze diagnozy nie muszą być najtrafniejsze, najprostsze dyrektywy nie muszą być najśluszej. Trzeba oswoić się z faktem, że powstawanie istoty ludzkiej jest procesem i że wszelkie próby ustalania punktu, w którym „zaczyna się człowiek” muszą być arbitralne. Punkt ten może być rozmaicie lokalizowany, zależnie od praktycznych potrzeb, ale jest to zawsze i tylko konwencja. Wprawdzie poczęcie jest niewątpliwie punktem, w którym rozpoczyna się, w pewnym sensie, nowe życie (choć pozbawione – definicyjnego wszak – atrybutu zdolności do samodzielnej egzystencji), ale czy jest to już życie człowieka? Katolicyzm w odróżnieniu od takich systemów religijnych, jak np. buddyzm – poświęca bardzo niewiele uwagi ochronie życia innych niż ludzki gatunków, nawet najwyżej zorganizowanych, wykazując jednocześnie niezwykle wrażliwość na losy dwukomórkowca, jakim jest parodniowy embrion ludzki (nb. podobno znaczna część poczęć kończy się wczesnym, niezauważalnym dla kobiety, samoistnym poronieniem i nikt z tego powodu nie zamawia mszy żałobnych). To prawda, że przerywanie ciąży jest złe, nie tylko dla zdrowia kobiety, ale i jako zniweczenie projektu jakiejś niepowtarzalnej osobowości, która mogłaby się ukształtować.

¹⁶⁹ Kongregacja Nauki Wiary stwierdza w „*Deklaracji o przerywaniu ciąży*”, iż najnowszą genetyka wykazała, że „...istota żyjąca ma już od pierwszej chwili stałą strukturę, czyli kod genetyczny: jest człowiekiem i to człowiekiem niepodzielnym, jako jednostka, wyposażona we wszystkie właściwe sobie cechy”, „Chrześcijanin w Świecie” 1982, nr 110.

Ale, jeśli dokonane jest w odpowiednio wczesnej fazie życia płodowego (możemy ubolewać nad nieostrością tego pojęcia, ale nic na to nie poradzimy), może być uznane za mniejsze zło od śmierci, choroby i rozpaczki ludzi już ukształtowanych, od poniewierki dzieci niechcianych¹⁷⁰, perturbacji wywołanych nieograniczoną rozrodczością. O tym, kiedy to zło jest rzeczywiście mniejsze, rozstrzygać powinien każdy w swoim sumieniu. Moralność zrelatywizowana, sytuacyjna, jest narażona na wiele nadużyć, ale tylko ona respektuje podmiotowość i godność człowieka. Dążenie do doczesnego szczęścia nie musi być utożsamiane z egoistycznym hedonizmem. Dylemat moralny: godność czy szczęście jest więc dylematem pozornym.

Krytyczny stosunek do antykoncepcji rzadziej bywa przedmiotem publicznych debat, choć ten właśnie punkt stanowiska Kościoła wydaje się najsłabszy i – co więcej – odbiera siłę perswazyjną całej akcji propagującej ochronę życia nie narodzonych.

Kościół odrzuca jako *niedopuszczalne etycznie* jakiekolwiek manipulacje aktem płciowym. „Główną postacią manipulacji, którą usiłowano przemycić pod postacią miłości, było maksymalne wyeksploatowanie strony doznaniowo-emocjonalnej kontaktu seksualnego z pominięciem płodności. Jest to manipulacja antykoncepcyjna; płodność wydawała się być żywiołem, przed którym należało się jakby bronić. Ale w wyniku wielorakich manipulacji zdolnością prokreacyjną pojawiła się groźba nowej plagi – plagi bezpłodności. W tej sytuacji pojawili się prorocy nowej manipulacji; obiecują naukowe sterowanie siłami płodności z pominięciem nie tylko więzi małżeńskiej, ale nawet osobowego zjednoczenia mężczyzny i kobiety”¹⁷¹. Odrzuca się więc ingerencje człowieka zarówno in minus, jaki in plus, zarówno „mechaniczną” antykoncepcję, jaki zapowiadane przez eksperymenty biomedyczne „mechaniczne fabrykowanie potomstwa”¹⁷².

Konsekwentni rzecznicy tezy o powinności płodzenia – płodzenia „naturalnego” – powinni z tej tezy wprost wyprowadzać wniosek o niedopuszczalności wszelkiej antykoncepcji. Jednakże Kościół chce być uniwersalny i nie może ignorować nieszczęść towarzyszących eksplozji ludnościowej w Trzecim Świecie. Nie potępiając więc generalnie antykoncepcji jako takiej, dopatruje się w omalże wszystkich metodach antykoncepcji albo zakamuflowanego za-

¹⁷⁰ T. Boy-Zeleński pisał w latach trzydziestych: „A choćby nawet ciemnota lub apatia skłoniły, dajmy na to, biedną służącą lub wyrobnicę do urodzenia nieślubnego dziecka, co się z tym dzieckiem stanie? Statystyka dzieciobójstwa w tych warstwach daje na to straszną odpowiedź. Tym dzieciobójstwom też winien jest tępy paragraf. A dziecko, które ujdzie tego losu? Pójdzie do «fabrykantki aniołków», pójdzie «na garnuszek», gdzie przeważnie zginie”. T. Zeleński (Boy), *Reflektorem w mrok. Wybór publicystyki*, Warszawa 1985, s. 263.

¹⁷¹ J. Bajda, *Akt małżeński...*, jw., s. 42.

¹⁷² Zob. W. Gasidło, *Moralna ocena biomedycznych eksperymentów*, „Chrześcijanin w Świecie” 1987, nr 3(162), s. 92–93.

bójstwa płodu, albo okaleczenia organizmu matki. W efekcie, wyraża akceptację dla paru zaledwie – uznawanych przez adwersarzy za zawodne lub trudne do stosowania – metod „naturalnego” regulowania poczęć¹⁷³.

Kościół nie domaga się – jak to było w przypadku przerywania ciąży – wprowadzenia prawnych zakazów antykoncepcji (czując, być może, szczególną słabość swej argumentacji w tej kwestii). Zapewne dlatego właśnie przeciwnicy tego stanowiska – także ci, bardzo liczni, którzy należą do wspólnoty ludzi wierzących – mniej polemizują, bardziej ignorują i bojkotują te zalecenia. Jednocześnie w świadomości wielu wiernych grzech antykoncepcji zostaje zrównany z grzechem zabicia płodu i ten ostatni zostaje „oswojony”; skoro obie drogi są równie niedozwolone, wybiera się łatwiejszą, „zabieg”. W ten sposób – wskazują oponenci – walka z antykoncepcją przesądza o nikłych skutkach batalii o ochronę życia nie narodzonych. Choć są i tacy, którzy dowodzą, że – wręcz przeciwnie – antykoncepcja „rozzuchwala” i zachęca do przedmiotowego traktowania życia nie narodzonych, „...że nigdzie na świecie propagowanie antykoncepcji nie przyczyniło się do spadku ilości sztucznych poronień, ale kształtowało postawę (tzw. syndrom antykoncepcyjny), z której wynikała łatwość uciekania się do tego ostatecznego środka, gdy inne zawodzą”¹⁷⁴.

Trzecią możliwą reakcją na tę akcję anty-antykoncepcyjną – obok bojkotu i traktowania aborcji jako substytutu antykoncepcji – jest pogodzenie się z konsekwencjami „naturalnej” płodności (jeśli zawiodą „naturalne” metody regulacji): „Bóg dał dzieci, da i na dzieci”. Tego przede wszystkim obawiała się grupa 2600 uczonych amerykańskich, która opublikowała ostry protest przeciwko Encyklice „Humanae Vitae” w części dotyczącej kontroli urodzeń: „Każde działanie przeszkadzające wysiłkom, które zmierzają do zahamowania ilościowego wzrostu populacji świata, sankcjonuje biedę, jaka jest dziś udziałem milionów ludzi, a tym samym nieuchronną czyni przyszłą śmierć tych już dziś głodujących [...] Świat powinien tak szybko jak to tylko możliwe uprzytomnić sobie, że swoją niewłaściwie inspirowaną i niemoralną encykliką Paweł VI usankcjonował śmierć niezliczonej liczby istnień ludzkich”¹⁷⁵.

Najmniej określonym, ale – być może – najsilniej oddziaływującym elementem „katolickiego stanowiska ludnościowego” w naszym kraju jest wspomniany już *stereotyp „Polaka-katolika”*. Jego treści zmieniały się wraz z kontekstem historycznym, jednak jego istota – utożsamienie wartości religijnych i narodowych, „stadna”, a nie uniwersalistyczna interpretacja katolicyzmu, poczucie zagrożenia grupowego połączone z marzeniem o ekspansji – pozosta-

¹⁷³ Zob. J. Turnau, *Kościół Katolicki a regulacja urodzeń*, „Chrześcijanin w Świecie” 1987, nr 2.

¹⁷⁴ S. Małkowski, list do „Sztandaru Młodych” datowany 13 V 1981, maszynopis.

¹⁷⁵ D. Markowska, *Opinia publiczna...*, jw., s. 93. Cytowana praca zawiera m.in. obszernie omówienie dyskusji poprzedzających ogłoszenie Encykliki „Humanae Vitae” i komentarzy wypowiadanych po jej ogłoszeniu.

wała ta sama. Poczucie zagrożenia narodowego i religijnego zarazem skłaniały do sięgania po jedynie dostępny oręż – wzmożonej płodności. Ten stereotyp skłania do rozważenia ogólniejszej kwestii: czy rzeczywiście rozrost liczebny jest współcześnie nadal źródłem siły politycznej i potęgi militarnej.

Cele polityczno-militarne

Zgodnie z trzecim wyróżnionym tu stanowiskiem rozwój ludnościowy sprzyja sukcesom polityczno-militarnym. Znaczna i wciąż rosnąca liczba ludności jest tradycyjnie traktowana jako *użyteczny instrument* i *dogodny pretekst* dla polityki prowadzonej przez grupy przywódcze w imieniu mniejszych lub większych zbiorowości. Liczebność ma albo zwiększać potencjał stwarzający szanse pokonania przeciwników (w działaniach zaczepnych lub tylko obronnych), albo usprawiedliwiać roszczenia wobec jakiegoś zbiorowego adresata wyższego szczebla, który dysponuje jakimiś dobrami do podziału.

Najczęściej deklaruje się podporządkowanie polityki ludnościowej celom rozwojowym *narodu* i państwa narodowego. Ostatnio wzmogły się usiłowania poszerzenia skali tej polityki i prowadzenia jej w interesie *wielkich regionów* świata i bloków politycznych (I, II i III Świat). Mniej propagowana, ale skuteczniej egzekwowana bywa polityka ludnościowa prowadzona w interesie *klas* i *warstw* dominujących w danym społeczeństwie. „Specjaliści problemu ludnościowego – uczeni i politycy – stanowią niewątpliwie swoiste elity społeczne. Elity te w sposób nieuświadomiony stosują podejście «my – oni» i to nie tylko w stosunku do ludności tzw. krajów Trzeciego Świata, ale i do warstw niższych własnych społeczeństw”¹⁷⁶. Nawet uznając, że w ujęciu globalnym ludność świata (czy kraju) powinna się zmniejszyć, dla „siebie” czy „swoich” czyni się często wyjątek. Nawet uznając, że kraj zagrożony jest depopulacją, niechętnie spogląda się na wzmożoną rozrodczość pewnych środowisk, obawiając się „zalanía” elity przez parweniuszy.

Poglądy o użyteczności wielkich liczb ukształtowały się w tych czasach, kiedy potęga polityczna była wprost uzależniona od liczby mężczyzn zdolnych do noszenia broni. O dezaktualizacji tych poglądów pisano już dawno, określając je jako jeden z najbardziej zadawnionych zabobonów. Przy tym —jak pisał Boy — „...gdyby nawet nadmiar ludności konieczny był dla celów wojny, to znowuż nadmiar tej ludności, potrzeba nowych terenów ekspansji, zwiększona prężność populacyjna stwarzają ciasnotę, pchającą do sięgania po nowe rynki, wymagającą upustu krwi. Stąd można powiedzieć, że nadmiar materiału ludzkiego potrzebny jest dla wojny, którą ... sam stwarza. Czy może być bardziej barbarzyńskie głupstwo? Regulowanie zatem przyrostu ludności, o którym wszędzie jest coraz głośniejsze, byłoby potężnym czynnikiem pacyfistycznym”¹⁷⁷.

¹⁷⁶ Tamże, s. 98.

¹⁷⁷ T. Żeleński (Boy), *Reflektorem w mrok...*, jw., s. 275.

Szybki przyrost ludności sprzyjałby więc raczej nastrojom militarnym niż sukcesom militarnym. Pogląd ten kłóci się zasadniczo z wyrażanym współcześnie przez niektórych autorów przekonaniem, że „zero-wzrost” ludnościowy sprzyjałby takim niekorzystnym zjawiskom, jak konserwatyzm i autorytaryzm; kłóci się, gdyż to nastroje militarne blisko są spokrewnione z postawami autorytarnymi¹⁷⁸.

Więcej zasadności można dostrzec w poglądach głoszących, że skargi upośledzonych są lepiej słyszalne i robią większe wrażenie, gdy wypowiedane są przez miliony a nie setki. Dotyczy to zarówno „głodującej połowy” naszego świata, jak i warstw pokrzywdzonych w każdym ze społeczeństw. Ta moralna presja wywierana na krajowy czy międzynarodowy system dystrybucyjny przez – bierne nawet – masy złączone wspólną niedolą jest oczywiście wzmacniana przez podświadome obawy przed enigmatycznym „wybuchem”. Dla władzy „...rzeczywistym problemem jest nie to, że wzrost ludności wywiera presję na środki utrzymania ... lecz raczej to, że wzrost ludności zagrażać może instytucjonalnemu systemowi strzegącemu nierównej dystrybucji dóbr ekonomicznych i władzy politycznej”¹⁷⁹. Skoro wzrost ludności zagraża konserwatywnemu establishmentowi, tym samym sprzyja rewolucyjnej przebudowie i w tym sensie jest użyteczny – tak można by interpretować tę wypowiedź. Jest to jednak teza dość karkołomna, swoista wersja zasady „im gorzej, tym lepiej” – im więcej skrzywdzonych, tym bliższy koniec krzywdy. Jest to przykład instrumentalnego – choć służącego przeciwnym celom – traktowania ludzi (a raczej „ludności”) jako mierzwy historii.

Traktowanie przez centra przywódcze *rozrodu podległych sobie mas ludzkich jako narzędzia budującego kolektywną potęgę polityczną, a w szczególności militarną*, bywa więc najczęściej anachroniczną pomyłką albo przynajmniej ryzykownym szarżowaniem.

Cele ekonomiczne

Czwarte stanowisko podkreśla pozytywny wpływ dynamiki demograficznej na szanse sukcesu ekonomicznego w makro- i mikroskali.

W makroskali pojawia się przy tym dylemat dotyczący definicji naczelnego celu gospodarowania. Czy rozwój ludnościowy ma być funkcjonalny w stosunku do wzrostu *zbiorowego potencjału wytwórczego* czy też raczej w stosunku do *dobrobytu społecznego*, rozumianego jako suma dobrobytów jednostkowych? Dylemat ten bardzo często – i to właśnie przez „pronatalistów” – bywa rozstrzygany na korzyść trzeciej definicji naczelnego celu gospodarowania, nie-

¹⁷⁸ Poglądy O’Neilla i Heilbronera referowane przez D. Markowską, *Opinia publiczna...*, jw., s. 53.

¹⁷⁹ Tak pisano w jednym z dokumentów Światowej Konferencji Ludnościowej cytowanym przez D. Markowską, tamże, s. 69.

werbalizowanej, ale nader atrakcyjnej dla menedżerów gospodarki planowej: należy tak rozbudowywać potencjał wytwórczy społeczeństwa, aby nie musieć nic zmieniać w systemie zarządzania, układzie sił w gospodarce, aby dotychczasowe doświadczenia i nawyki kadry kierowniczej były immunizowane na upływ czasu i chronione przed zużyciem moralnym. Innymi słowy, chce się „maksymalizować” *łatwość zarządzania i planowania gospodarczego*. Maksymalizacja tempa wzrostu potencjału wytwórczego, maksymalizacja tempa postępu technicznego są mile widziane, ale pod warunkiem, że nie wstrząsną establishmentem gospodarczym.

Scharakteryzowałam tak obszernie to stanowisko, gdyż jego implikacją jest właśnie uznanie szybkiego – choć może nie maksymalnego – przyrostu siły roboczej za użyteczny i wart stymulowania. Styl zarządzania, który ukształtował się w okresie przyspieszonego wchłaniania przez przemysł nadwyżek siły roboczej z rolnictwa, wznoszenia wielkich budów socjalizmu, a następnie gorączkowego tworzenia stanowisk pracy dla dorastających roczników wyżu powojennego, zyskuje szansę przetrwania, gdy nadal ekstensywne mnożenie miejsc pracy jest permanentnie najpilniejszym zadaniem gospodarki. Jeśli więc inercję ukrytą pod pozorami prężności uznamy za godny realizacji cel gospodarczy, możemy dojrzeć w szybkim rozwoju ludnościowym stymulator gospodarki. I chyba tylko wtedy.

Zresztą i w tym przypadku nieuchronna jest ambiwalencja postaw, zakłócających stabilność deklarowanej przez państwo polityki pronatalistycznej. Wydłuża się bowiem wciąż rozróżnienie czasowe między urodzeniem dziecka, a jego „gotowością pracowniczą”, *wydłuża się więc czas zwrotu nakładów* ponoszonych na ogół przez jedną ekipę rządzącą, a przynoszących efekt w momencie, kiedy rządzą i zarządzają przedstawiciele następnego pokolenia polityków i menedżerów. Wiele hartu ducha potrzeba, aby obciążyć aktualny fundusz konsumpcji – i swoje konto polityczne – po to, aby następcom ułatwić kontynuację własnego stylu rządzenia. Najmilej widziane byłoby zaspokajanie potrzeb materialnych dzieci w ramach konsumpcji naturalnej rodzin, obywatelki się bez wsparcia gospodarki narodowej; zaś stymulować do rozrodczości chciałoby się głównie przy pomocy tanich środków pozaekonomicznych, np. prawnych czy propagandowych.

Natomiast jeśli niezmiennosc systemu funkcjonowania gospodarczego uznamy za antywartość i jako priorytetowy cel polityki gospodarczej wysuniemy *głęboką reformę tego systemu*, nasz entuzjazm dla polityki pronatalistycznej musi osłabnąć. Argument „musimy to odłożyć na później, nie możemy ryzykować bezrobocia” padał bardzo często w odpowiedzi na różne projekty modernizacji struktur zarządzania i technologii. Nawet jeśli były to tylko preteksty, trzeba uznać obojętny – co najmniej – wpływ sytuacji ludnościowej na szanse rzeczywistego doskonalenia *wydolności gospodarczej* danego społeczeństwa. Wydaje się przy tym, że okresy zmniejszonego napływu nowych

osób na rynek pracy są najkorzystniejsze dla wprowadzania reform intensyfikujących i modernizujących gospodarkę, „samoczynnie” likwidując wiele napięć towarzyszących na ogół wdrażaniu takich reform. Można też zaostrzyć to stanowisko i stwierdzić, że *dopiero kurczenie się zasobów pracy żywej wymusi na decydentach gospodarczych niewygodny dla nich – ale, długofalowo patrząc, niezbędny dla przetrwania samodzielnej ekonomicznie zbiorowości – zwrot, ku nowoczesności.*

Jeśli odrzucimy łatwość i konserwatyzm jako cele gospodarowania, trudno będzie nam utrzymać tezę o użyteczności szybkiego rozwoju ludnościowego. Trudno było ją utrzymać już kilkadziesiąt lat temu, kiedy to np. S. Rychliński dostrzegał – w odmiennych warunkach ustrojowych – *głównie negatywne skutki ekonomiczne znacznej liczby urodzeń*. W przemyśle nadmiar urodzeń skłaniał do zatrudniania nisko opłacanych dzieci zamiast ich bezrobotnych rodziców, co sprzyjało dalszemu przyspieszeniu przyrostu liczby dzieci („błędne koło ludnościowe” – efekt dokonującego się wówczas przejściowo skrócenia czasu upływającego od urodzenia do osiągnięcia „gotowości roboczej”). Wskutek dużej śmiertelności licznie przychodzących na świat dzieci „wyżywienie pokłosa śmierci – to ogromna strata w bilansie kraju. Spożycie «przemysłowe» ogranicza się przy takiej gospodarce bodaj do pieluszek i trumienek”¹⁸⁰. Tego typu argumenty współcześnie straciły rację bytu, pojawiły się jednak nowe.

Skoro rosnąca liczba ludności nie przyczynia się do maksymalizacji celu gospodarowania definiowanego jako maksymalizacja potencjału wytwórczego, tym bardziej trudno uznać, że miałyby ona służyć maksymalizacji *dobrobytu* obecnych i przyszłych pokoleń (a więc celowi eliminującemu ewentualny „jałowy bieg” gospodarki, autonomizującej się w stosunku do potrzeb ludzkich). Czasami jednak sądzi się, że istotna dla ogólnego poziomu dobrobytu jest relacja określana nieelegancko jako „obciążenie aktywnych zawodowo osobami w wieku nieprodukcyjnym”. Im wyższy ten wskaźnik, tym bardziej zobowiązania alimentacyjne mają pomniejszać spożywane przez pracowników owoce ich pracy. Skoro wciąż przybywa ludzi w wieku poprodukcyjnym, jeszcze szybciej powinno przybywać ludzi zdolnych do pracy. W pierwszej fazie zwiększony to wprawdzie obciążenie osobami w wieku przedprodukcyjnym, ale na dłuższą metę poprawi zbiorczy wskaźnik „obciążenia nieprodukcyjnymi”. Rozumowanie powyższe, rachunkowo poprawne, abstrahuje od zmian rzeczywistych zdolności do pracy różnych kategorii wiekowych i ich rzeczywistego wykorzystania.

Wedle innych jeszcze poglądów to nie wzrost rozrodczości sprzyja sukcesom gospodarczym, to *sukcesy gospodarcze* budzą optymizm życiowy i *zachęcają do powoływania do życia nowych szczęśliwych pokoleń*. Do tego sprowa-

¹⁸⁰ S. Rychliński, *Gospodarcze oblicze przeludnienia*. W: S. Rychliński, *Wybór pism*, Warszawa 1976, s. 198.

działo się głoszone w latach pięćdziesiątych socjalistyczne prawo ludnościowe – obecny i oczekiwany dobrobyt, a w szczególności pewność pracy, miały sprzyjać zwiększaniu liczebności rodziny, procesowi, który traktowano jako wizytówkę i *wskaźnik sukcesu ustrojowego*. Jednakże i ten pogląd nie ostał się w konfrontacji z faktami.

Jeśli zaakceptujemy argumenty „antynatalistów”, do empirycznego rozstrzygnięcia pozostaje jeszcze kwestia, *czy celom makroekonomicznym służy maksymalizacja depopulacji, czy też spadek liczby ludności* – jeśli ma być pożyteczny – *nie powinien jednak przekroczyć pewnej granicy*. Pisał o tym A. Sauvy, przypominając używany przez Sismondi’ego tzw. argument króla Anglii. „Wyobraźmy sobie, że dzięki niebywałemu rozwojowi techniki król Anglii może żyć sam na swojej wyspie i to żyć w ogromnym dobrobycie. Czy właśnie takie rozwiązanie można uznać za optimum, gdy celem jest dobrobyt jednostki? Pomijając nawet pozaekonomiczne czynniki ludzkich satysfakcji (niechby ten nieszczęsny król miał przynajmniej towarzystwo królowej i kilku przyjaciół) można a priori uznać za dość odrażające niszczenie życia jednych ludzi dla poprawienia warunków bytu innych; nawet jeśli przyjmie się zasadę selekcji restrykcyjnej, zawsze pozostanie jeszcze kwestia wymiaru”¹⁸¹. W tak dramatycznej postaci pytanie to można by stawiać dziś w krajach Trzeciego Świata usiłujących – nawet przy użyciu przemocy – walczyć z tradycyjnym modelem rodziny (ilu ludzi jest „zbędnych”, jeśli chce się zapewnić wszystkim minimum fizjologiczne, a ilu – jeśli chce się w krótkim czasie zapewnić wszystkim europejski poziom konsumpcji? Jak ich usunąć?). W Pierwszym i Drugim Świecie praktycznym wnioskiem wyciąganym z antynatalistycznego stanowiska jest najczęściej rezygnacja z jakiegokolwiek „ilościowej” polityki ludnościowej i aprobatą dla dokonujących się spontanicznie przemian modelu rodziny. Gorzej, jeżeli jednocześnie zrezygnuje się z polityki pomocy dla modernizujących się rodzin, obawiając się ewentualnych „pronatalistycznych” efektów ubocznych (co dowodziłoby niezrozumienia istoty dokonujących się procesów modernizacyjnych).

W *mikroskali*, w skali pojedynczej rodziny, *dzieci coraz rzadziej służą jako czynnik produkcji*, siła robocza w rodzinnym biznesie czy prywatna forma ubezpieczenia rodziców na wypadek starości. Są więc elementem *konsumpcji*, a nie akumulacji, nawet w najdalszym horyzoncie czasu. Tak jak konieczny jest wybór między różnymi artykułami konsumpcyjnymi trwałego użytku – przy ograniczonych dochodach – tak i wydatki na utrzymanie dzieci są konkurencyjne wobec wydatków na inne dobra zaspokajające potrzeby rodziców. Jest to pierwszy z czynników zmniejszających popyt rodziców na większą liczbę dzieci. Drugim czynnikiem jest zjawisko obserwowane u wszystkich awansujących materialnie nabywców dóbr trwałych. Bogacąc się, w pewnym mo-

¹⁸¹ A. Sauvy, *Ogólna teoria ludności*, maszynopis w archiwum IGS, Warszawa, s. 48–49.

mencie zaczynają oni dążyć do nabywania dóbr o najwyższym standardzie jakościowym, nawet – jeśli to konieczne – kosztem ilości. Podobnie rodzice zaczynają w pewnym momencie dążyć do posiadania „droższych dzieci”, lepiej rozwiniętych, zadbanych i wyposażonych, co najczęściej oznacza rezygnację z tradycyjnej liczby potomstwa¹⁸². Natomiast elastyczność dochodowa popytu na „tanie dzieci” spada – zgodnie z prawem Engla poniżej jedności, tak jak wraz ze wzrostem zamożności konsumentów smalec przegrywa z szynką. W następnej fazie bogacenia się, rodziny będzie – być może – stać na więcej dzieci najwyższej jakości, co zdają się potwierdzać wzory emitowane przez wiele rodzin milionerów. Dzieci mają tę przewagę nad samochodami, że każde z nich jest prototypem i pasji kolekcjonerskiej nie zagraża nuda – byle tylko warunki materialne pozwalały zachować odpowiedni standard.

To „nowe zekonomizowanie” roli dziecka i prokreacji – wylansowane w swoim czasie przez G. Beckera – jest dla wielu szokujące i budzi sprzeciw, kojarzy się z urzeczowieniem osoby dziecka. Ale zarzut ten był znacznie bardziej zasadny w stosunku do „tradycyjnej ekonomizacji dziecka” sprowadzającej je do roli dobra inwestycyjnego. Obecnie dziecko jest już tylko *efektem*, a nie nakładem, zaś środki niezbędne do osiągnięcia tego efektu – czas i pieniądze są identyczne jak środki osiągania dóbr konsumpcyjnych, stąd użyteczność analogii. Reasumując – ze względów ekonomicznych w skali mikro zmienia się nastawienie wobec ilościowych celów prokreacyjnych, na razie na niekorzyść ilości.

Cele kulturowe

Piąte stanowisko wiąże z rozwojem ludnościowym nadzieje na *pozytywne przemiany w sferze kultury*. Procesy ludnościowe dużo rzadziej bywają rozpatrywane w kontekście kulturowym niż w kontekście ekonomicznym. Dzieje się tak zresztą ze szkodą dla zrozumienia ich sił napędowych i dla umiejętności prognozowania w tej dziedzinie. W jakim sensie rozwój ludnościowy miałby służyć kulturze? Po pierwsze, przez dziedziczenie, zachowanie *ciągłości kulturowej* z pokolenia na pokolenie; po drugie, przez modyfikowanie, wprowadzanie korzystnych zmian kultury stymulowanych demograficznie.

Sukcesję biologiczną, mnożenie liczby naturalnych następców, można traktować jako gwarancję przetrwania tradycyjnej kultury zbiorowości, przede wszystkim narodowej. Lecz dla tych jednostek i społeczeństw, które wyżej zaczęły cenić przetrwanie i ekspansję swej kultury niż przetrwanie i ekspansję swego „stada podstawowego” transportującego w przyszłość swój zbiór genotypów, sukcesja biologiczna mogła się z czasem wydać jednym tylko z wielu sposobów osiągania tego celu. Warte zabiegów okazało się rozprzestrzenianie

¹⁸² Zob. koncepcja G. Beckera przedstawiona w pracy: M. Okólski, J. Pajestka, *Ludność i gospodarka świata*, Warszawa 1978, s. 243.

lokalnej kultury na inne populacje ludzkie. Powinno przybywać dziedziców tej kultury, nawet gdyby jej nowi nosiciele byli osobnikami „obcej krwi”; można to zresztą uznać za powód do szczególnej chluby, dowód szczególnej siły przyciągania.

Chyba współcześnie – nie po raz pierwszy zresztą w dziejach cywilizacji – zaczyna w tej kwestii dokonywać się taka *reorientacja z optyki biologicznej na kulturową*. Częściowo pod wpływem impulsu solidarności z „głodującą połową” świata (Szwedzi sterylizujący się i adoptujący dzieci afrykańskie chcą im przekazać w spadku swój dobrobyt i swoją kulturę). Częściowo pod wrażeniem niewątpliwej wyższości, jaką wykazała ewolucja kulturowa człowieka nad jego ewolucją biologiczną. Konsekwencją postawy lekceważenia dziedzictwa biologicznego i powinności szerzenia swego dorobku cywilizacyjnego – pojawiającej się w społeczeństwach, które czują się zwycięzcami wyścigu cywilizacyjnego – musi być jednak nie proste dziedziczenie, lecz *mieszanie się kultur „dawców” i „biorców”* (jeśli wykluczyć godne potępienia idee „imperializmu kulturalnego”). Można to uznać za nieusuwalny mankament tego sposobu przekazywania dziedzictwa, można też ujrzeć w tym dodatkowy walor i poszukiwać formuły nowego uniwersalizmu łączącego różnorodność równoprawnych kultur regionalnych.

Zmiany kultury stymulowane czynnikami demograficznymi wiąże się najczęściej ze zmianami gęstości zaludnienia (związanymi ze zmianą w czasie globalnej liczby ludności lub z migracjami w przestrzeni) i ze zmianami struktur demograficznej, przede wszystkim pod względem wieku i płci.

Istnieją pewne uniwersalne zależności między *gęstością zaludnienia*, nasileniem agresji, sposobem komunikowania i – wtórnie – częstotliwością zgonów i narodzin. Jednocześnie długotrwałe pozostawanie w sytuacji bardzo małego albo bardzo dużego zagęszczenia wytwarza odrębności kulturowe, zaś „filtry kulturowe” selektywnie przesiewają dane zmysłowe i członkowie różnych kultur postrzegają różne rzeczywistości zmysłowe. „Człowiek rozwijając kulturę oswoił siebie samego i w trakcie tego procesu wytworzył całą nową serię światów, z których jeden różni się od drugiego. Każdy z owych światów ma swe własne «wejście» sensoryczne, stąd to, co dla ludzi w jednej kulturze oznacza tłok, nie musi go oznaczać dla ludzi w innej”¹⁸³. To samo dokonuje się w czasie – dla jednych przechodzenie od „*kultury izolacji i luzu*” do „*kultury tłoku i gwaru*” jest postępem, dla innych jest regresem. To ostatnie stanowisko dorzuca kulturowy argument do ekologicznie motywowanego antynatalizmu, który za chwilę przedstawię.

Podobnie rozbieżne bywają opinie na temat *wpływu struktury wiekowej społeczeństwa na stan jego kultury*. Społeczeństwo jest „młode” wówczas, gdy efekt rosnącej stopy urodzeń jest silniejszy od efektu wydłużania czasu

¹⁸³ E.T. Hall, *Ukryty wymiar...*, jw., s. 32.

trwania życia (co może być zasługą prężności rozrodczej albo winą nasilonej umieralności). Wielu pisało o tym, że „młode” społeczeństwo cechuje dynamizm, innowacyjność (także – ale nie tylko – w sferze gospodarowania), spontaniczność i bezpośredniość, radość życia i „cielesność”; zaś społeczeństwu „staremu” przypisywano takie cechy, jak stagnacyjność, rutyniarstwo, rytualizm i hierarchiczną sztywność. Inni – mniej liczni – dostrzegali w starzejącym się społeczeństwie takie zalety, jak rozsądek i umiar, intelektualizm, ale i uduchowienie, powrót do religijności, szacunek i troskę, okazywanie słabości; zaś społeczeństwo zdominowane przez młodych miało być podatne na rozmaite ekstremizmy, amoralne, okrutne wobec słabych, wielbiące siłę fizyczną.

Trzymano się przy tym zbyt kurczowo metrykalnych kryteriów wieku, lekceważąc fakt, że wiek społeczny i wiek biologiczny *może odchyłać się* w górę lub w dół od wieku metrykalnego. Społeczeństwo, w którym obniża się wiek obligatoryjnego przechodzenia w emerytalny stan spoczynku, a gilotyna emerytalna coraz bezwzględniej odcina człowieka od wszelkich istotnych ról społecznych, szybciej staje się „stare” niżby to wynikało ze wzrostu udziału 60-latków. Społeczeństwo, w którym 60-latkowie uprawiają jogging, a 50-latki zachowują aparycję i kondycję Jane Fondy jest „młodsze” z estetycznego punktu widzenia i bardziej ludyczne niż społeczeństwo, w którym 40-latkowie są starcami a bezzębne 30-latki krzątają się wokół tuzina rachitycznych dzieci. Ponadto – dodają krytycy kulturowego pronatalizmu – tak się składa, że współcześnie najbardziej dynamiczne i konserwujące radość życia w przeróżnych formach są te społeczeństwa, do których przylgnęła etykieta „starych demograficznie”.

Można więc lekceważyć i pomawiać o formalizm podejście eksponujące strukturę demograficzną. *Można też dostrzegać we wszelkich jej zmianach* – bez względu na kierunek – *impuls rozwojowy*, podważający stereotypy ról pokoleniowych i związanych z płcią. Grupa demograficzna, której udział w społeczeństwie gwałtownie – choćby przejściowo – rośnie, skupia na sobie uwagę opinii publicznej, nie tylko jej dążenia i deprywacje ulegają „nagłośnieniu” ale i jej subkultura promieniuje na inne subkultury i na kulturę ogólnokrajową. Wyż młodzięzowy prowadzi więc do *emancypacji młodości*, wyż „trzeciego wieku” do *rewaloryzacji starości* (a nawet – dysproporcja między liczbą mężczyzn i kobiet wywołana np. skutkami wojny wprowadza do kultury społecznej – zapewne trwale – akceptację urodzeń pozamałżeńskich)¹⁸⁴. Zmiany strukturalne wymuszają rewizję międzypokoleniowego systemu ról społecznych, nacechowanego – wskutek dotychczasowej długotrwałej stagnacji strukturalnej – „szczelnością międzypokoleniowych funkcji” (pierwszy okres – wydłużającego się wciąż dojrzewania do podejmowania ról samodzielnych, drugi okres – kur-

¹⁸⁴ Zob. D. Markowska, wywiad stanowiący załącznik do raportu: J. Supińska, *Cele i środki polityki ludnościowej w świetle opinii ekspertów*, maszynopis w archiwum IGS, Warszawa 1978, s. 12.

czący się, w którym człowiek musi zdążyć zrealizować wszystkie swoje zamierzenia życiowe, intensywnie eksploatując organizm, trzeci okres – wydłużający się, pozornie pełniący rolę okresu zbierania plonów życia aktywnego, w rzeczywistości nacechowany izolacją i nasileniem frustracji; w tych przedziałach „...rozseparowano i zmonotonizowano następczo trzy role osobowościowe człowieka”¹⁸⁵). Zmiany struktury demograficznej zakłócają dopływ dotychczasowej liczby wykonawców do tych trzech podstawowych ról i wymuszają ich przemieszanie (lub przynajmniej sprzyjają mu, obok innych czynników).

Cele ekologiczne

Znalezienie argumentów ekologicznych przemawiających za rozwojem ludnościowym byłoby zadaniem trudnym. Współcześnie oczywiste staje się, że realizacji celów ekologicznych służy nie rozwój ludnościowy, lecz *stabilizacja i nawet spadek liczby ludności*. Wprawdzie często wskazuje się na to, że nie tyle liczba ludzi, co typ rozwoju gospodarczego działa destrukcyjnie na otoczenie człowieka. Patrząc jednak realistycznie na możliwości szybkiego i zdecydowanego odstąpienia od obecnej filozofii rozwoju, pamiętając ponadto o opóźnionych i długotrwałych skutkach wczorajszego i dzisiejszego rozwoju, zagrożenie środowiska przez „bombę ludnościową” trudno zakwestionować.

Cele ekologiczne można definiować na trzy możliwe sposoby. *Pierwsze ujęcie jest wąsko pragmatyczne*. Naturę, środowisko fizyczne, w którym żyje człowiek, postrzega się jako źródło ewentualnych zagrożeń dla życia i zdrowia człowieka (zresztą przez tegoż człowieka zawinionych), ocenia się je z punktu widzenia funkcjonalności lub dysfunkcjonalności wobec wartości ludzkiego bezpieczeństwa. Jest to więc podejście defensywne, uwaga koncentruje się na chemicznych i fizycznych zanieczyszczeniach gleby, powietrza i wody, na destrukcyjnym oddziaływaniu hałasu. „Dziś nie idzie już o ochronę człowieka przed naturą. Dziś wzywać trzeba do ocalenia natury przed człowiekiem, przed przerostem jego sił i mocy vitalnych, który niszcząc biologiczne środowisko doprowadziłby do zagłady rodzaju ludzkiego”¹⁸⁶. Dostrzega się też konieczność racjonalnego gospodarowania zasobami przyrody, których skończoność – wobec rozrastania się ludzkości – ujawniła się z całą siłą. Wracając do haseł wyłansowanych przez autorów Klubu Rzymskiego – człowiek musi przestać być kowbojem podbijającym świat – bezkresną prerię, musi stać się kosmonautą kontrolującym zamknięty obieg materii na statku kosmicznym Ziemia.

Drugie ujęcie jest szersze, obok walki z zagrożeniami wprowadza pierwszy krok, można rzec, hedonistyczny. Środowisko ma być nie tylko bezpieczne, ale ma też dostarczać ludziom pozytywnych wrażeń estetycznych i emocjonalnych.

¹⁸⁵ A. Józefowicz, *Demograficzne uwarunkowania wyborów rozwoju społecznego*, „Polska 2000” nr 1, Komitet Badań i Prognoz PAN, Warszawa 1981, s. 253.

¹⁸⁶ P. Saint Marc, *Przyroda dla człowieka*, Warszawa 1979, s. 47.

Bowiem „... dla «dobrego życia» konieczna jest taka organizacja społeczeństwa, by człowiek nie był – jak to się dziś często dzieje – oddalony od bezpośredniego widoku, głosów i rytmu przyrody”¹⁸⁷. Piękno natury i kontakt z istotami żywymi są tu jednak traktowane *instrumentalnie wobec antropocentrycznego systemu wartości*. Dobra te mają być chronione – a także odtwarzane – tylko o tyle, o ile mogą być przedmiotem konsumpcji. Środowisko należy tak kształtować, aby zapewniało ono ludziom fizyczny i psychiczny komfort życia. „Jedyną odpowiedzią na najpoważniejsze z wyzwań rzuconych współczesnemu człowiekowi, jedynym kluczem do nowej konstrukcji jest hasło: przyroda dla człowieka”¹⁸⁸.

Trzecie ujęcie czyni naturę wartością nadrzędną, nawet wobec dobra gatunku ludzkiego. Nawołuje do pokory, do uznania, że człowiek jest tylko częścią przyrody (przekonanie dawniej powszechne, dziś porzucone), do szacunku i – omalże – *równouprawnienia* innych form życia (po paktach praw człowieka pojawiają się karty praw osób szczególnie upośledzonych – dzieci, inwalidów – aż wreszcie formułuje się Kartę Praw Zwierzęcia).

Już pierwszy z wymienionych sposobów definiowania celów ekologicznych, choć tylko defensywny, sprzyja formułowaniu programów wręcz rewolucyjnych. Ale pozostawia on jeszcze sporo miejsca dla nadziei (czy też złudzenia), że nowe technologie, inżynieria środowiska, racjonalna organizacja przestrzeni pozwolą zmniejszać zagrożenia płynące z zatruc środowiskowych, mimo ciągłego zwiększania liczby ludzi. Porównuje się np. „przyjazną ludziom” i świetnie wykorzystaną przestrzeń gęsto zaludnionej Holandii ze zdewastowaną i zatrutą przestrzenią polskich miast i wsi, nawet w regionach mniej zurbanizowanych (gdzie za pomocą minimalnych kubatur uzyskano maksymalny nieład przestrzenny), dostrzegając w zaobserwowanych różnicach możliwe do wykorzystania *rezerywy*. „Sięgając w daleką przeszłość rodzaju *homo sapiens*, można jego ewolucję przedstawić jako proces stopniowy adaptacji do życia w warunkach rosnącej gęstości”¹⁸⁹. W toku dziejów pokonywano kolejne bariery, poczynając od sanitarnej, wprowadzano zabudowę wielokondygnacyjną i coraz szybsze środki transportu, dziesięciokrotnie zwiększając gęstość zaludnienia miast przy jednoczesnym zwiększeniu komfortu zamieszkiwania. Współcześnie, snując futurologiczne rozważania o „megajednostkach mieszkaniowych” i możliwościach pozyskiwania białka z glonów morskich, podwyższa się wciąż pułap gęstości zaludnienia dającej się wtłoczyć do – zwiększającego w ten sposób swoją pojemność – środowiska.

Nawet gdyby takie rozwiązania okazały się realne i opłacalne, nie wszystkich jest w stanie usatysfakcjonować wizja przyszłego życia człowieka „sam

¹⁸⁷ E. J. Mishan, *Spór o wzrost gospodarczy*, Warszawa 1986, s. 147.

¹⁸⁸ P. Saint Marc, *Przyroda...*, jw., s. 49.

¹⁸⁹ J. Goryński, *O potrzebie humanistycznego (mieszkaniowo-usługowego) wariantu prognozy sieci osadniczej*. W: *Spółeczny rozwój Polski w pracach prognostycznych*, pod red. J. Daneckiego, Warszawa 1974, s. 358.

na sam z glonami”. „*Hedoniści*” dopominają się więc o zachowanie obszarów rezerwatowych, które przypominałyby ludziom, jak ongiś wyglądała natura nieskażona ich ingerencją, o troskliwe projektowanie rozmaitych zielonych obszarów rekreacyjnych, domeny „krajobrazu kultywowanego” („Nie dostarcza taki krajobraz wzruszeń jak dziewiczy obszar naturalny, ale za to rozwiązuje w warunkach gęsto zaludnionego kraju problem powszechnego obcowania ludności z naturalnymi składnikami środowiska przyrodniczego”¹⁹⁰), a na co dzień proponują hodowanie w mieszkaniach zwierząt domowych (często jeszcze mniej „naturalnych” niż współczesny *homo sapiens*). Natomiast „*ideologom ekologicznym*” nie wystarcza wizja kompletnej domestyfikacji i utylizacji zachowanych resztek „niehumanitarnej” przyrody. Nawołują, aby „zrobić miejsce dla innych”, dla „braci mniejszych”, przeszczepiając zasady pacyfizmu do sfery stosunków z innymi żywymi, a także – czy może nawet przede wszystkim – *samoograniczając się ilościowo*. Rezygnacja z dalszej ekspansji ludzkiego gatunku staje się tu imperatywem kategorycznym i nie mogą nią zachwiać najwspanialsze nawet tricki techniczne.

Stanowisko „ailościowe”

„Szczęściodajność” biologicznego wymiaru życia

Zupełnie odmienne od wszystkich dotychczas referowanych jest stanowisko konsekwentnie „ailościowe” w tym sensie, że odrzuca stawianie jakichkolwiek celów ilościowych (a więc tak wzrostu, jak i spadku liczby ludności), akceptuje zaś jedynie cel zwiększania ludzkich satysfakcji wynikających ze swobody kształtowania modelu własnej rodziny, z dobrego stanu zdrowia, z dobrych warunków rodzenia się, rozmnażania, życia i – wreszcie – umierania. A więc o tym, co jest dobre, decyduje jednostka i niezbędne staje się udostępnienie jednostce i parze małżeńskiej wszelkich środków pozwalających prowadzić własną politykę w skali mikro – w skali jednej rodziny, pozwalających realizować ideał świadomego i odpowiedzialnego rodzicielstwa. *Biologiczny wymiar ludzkiego życia ma być „szczęściodajny”*¹⁹¹. Stało się to współcześnie możliwe dzięki postępom medycyny. Dawniej, gdy panowała olbrzymia umieralność, zarówno dzieci, jak i dorosłych, oczekiwanie szczęścia rodzicielskiego mogło „rozhartować” psychicznie wobec kumulacji kolejnych niepowodzeń; patrzenie na rodzicielstwo jako na obowiązek – przede wszystkim obowiązek – było swego rodzaju unikiem, nadawało sens pełnionej roli łagodząc rozczarowania. Zwiększenie globalnego poczucia bezpieczeństwa sprzyja więc otwartemu aspirowaniu ludzi do szczęścia i szerzeniu idei indywidualnej „szczęściodajności” procesów ludnościowych, dyskretnie wspomaganej przez politykę

¹⁹⁰ Tamże, s. 373.

¹⁹¹ Określenie M. Czerwińskiego, zob. *Przemiany obyczaju*. Warszawa 1969, s. 47.

społeczną. W sferze prokreacji oznacza to *równorzędne* poszanowanie prawa człowieka do prokreacji i do rezygnacji z płodzenia potomstwa. Skoro są to prawa, korzystanie (lub niekorzystanie) z nich przez poszczególnych ludzi nie powinno być poddawane ocenom moralnym.

Pożądana jest też *tolerancja* dla bardzo różnych modeli rodziny i prokreacji. Ani rodziny jednodzietne, ani rodziny z dziesięciorgiem dzieci nie powinny być etykietkowane; różnorodność wzorów wzbogaca i ubarwia życie społeczne, o ile tylko wynika ona ze swobodnych i dojrzałych wyborów nie zaś z przypisania do jakiegoś stanu czy kasty.

Stanowisko eksponujące „szczęściodajność” i minimalizację cierpień występuje czasem w *wariacie inspirowanym przez światopogląd religijny*, choć dającym się odeń oddzielić. Zgodnie z tym wariantem postulat minimalizacji cierpień (jeśli odrzucimy rozważania na temat domniemanego przyszłego szczęścia płodu jako scholastyczne) rozciągamy na nienarodzonych. Nawet jeśli nie mają oni duszy ani nie są ludźmi w sensie psychologicznym, są zapewne istotami zdolnymi do cierpienia, zaś aborcja przysparza im strachu i bólu (nie mówiąc o strachu, bólu i powikłaniach zdrowotnych u kobiet poddających się temu zabiegowi)¹⁹². Uwrażliwienie na ten aspekt sprawy skłania do znacznie silniejszego odrzucania aborcji, jako środka kształtowania „szczęściodajnego” modelu rodziny. Dąży się więc do zredukowania do zera tych zabiegów, z jednej strony popierając antykoncepcję (tak „sztuczną”, jak i „naturalną”, by różnaitość form dostosowana była do rozmaitych predyspozycji i sytuacji jednostkowych), z drugiej – popierając powszechną edukację na temat rozwoju płodu i istoty życia płodowego, a także indywidualną psycho- i socjoterapię kobiet, które przypadkowo zaszły w ciążę (bowiem można założyć, że decyzje o przerwaniu ciąży bywają bezrefleksyjne i niedojrzałe równie często jak decyzje o urodzeniu dziecka; pomoc osób trzecich w zrozumieniu swoich własnych potrzeb emocjonalnych, jeśli nie zamienia się w presję, może sprzyjać podjęciu prawdziwie wolnej decyzji).

„Szczęściodajność” a wskaźniki ilościowe

Jedyny cel ilościowy, jaki należy stawiać, to *maksymalizacja zbioru „dzieci chcianych i urodzonych”* i minimalizacja dwóch innych zbiorów: „dzieci chcianych, ale nie urodzonych” i „dzieci urodzonych, choć niechcianych”. Cel ten jest jednak sformułowany zupełnie inaczej, niż klasyczne cele ilościowej polityki ludnościowej. Wola i emocje ludzi żyjących zostają rehabilitowane, termin „służebność wobec przyszłych pokoleń” zastępuje się terminem „odpowiedzialność za losy tych, którzy nadejdą”.

Stanowisko to nie wyklucza, rzecz jasna, *zainteresowania ilościowymi skutkami „mikropolityk rodzinnych”*. Wprawdzie zmiany ilościowe są obojętne

¹⁹² O rozwoju zmysłu bólu w okresie prenatalnym pisze np. D. Kornas-Biela, *Rozwój psychofizyczny przed urodzeniem*, „Chrześcijanin w Świecie” 1987, nr 3(162), s. 60.

aksjologicznie, ale niewiedza o przyszłych zmianach mogłaby okazać się zgubna. Diagnoza i prognoza demograficzna pozwalają z wyprzedzeniem tworzyć obiekty i kadry dostosowane do przyszłego zapotrzebowania, służące ludziom w różnych fazach życia, przyczyniające się do owych „dobrych warunków rodzenia się, rozmnażania, życia i umierania”.

Takie są generalne idee. Mogą one – np. w Trzecim Świecie – ulegać *modyfikacji*, jeśli globalna liczba owych chcianych i urodzonych dzieci wywoła jakieś doniosłe perturbacje, pogarszając drastycznie ich warunki życia. Przewiduje się więc tylko *możliwość dokonywania korekty in minus*, bowiem dużo łatwiej udowodnić – przy użyciu dużo bardziej oczywistych kryteriów – że w jakimś kraju jest za gęsto, niż że jest w nim za rzadkie zaludnienie; że jakaś rodzina nie daje sobie rady z nadmierną ilością potomstwa, niż że jest zbyt małodzietna. Ale nawet wówczas podtrzymuje się pogląd, że jedyną dopuszczalną metodą oddziaływania jest apelowanie do rodzicielskiej odpowiedzialności za przyszły los planowanych dzieci. Zaś na dłuższą metę – tak się dobrze składa – dostatek okazuje się najlepszym środkiem antykoncepcyjnym.

W krajach, w których część opinii publicznej zwykła opowiadać się za działaniami pronatalistycznymi, ideologowie „szczęściadajności” wskazują na takie działania zwiększające liczbę ludzi, które są bardziej humanitarne niż presja na potencjalnych rodziców. *Korekty in plus mogą mieć wyłącznie charakter przedłużania życia tych, którzy już się urodzili*, walki z umieralnością niemowląt i dzieci, z – nasilającą się u nas ostatnio – nadumieralnością mężczyzn w średnim wieku, a w stosunku do ludzi starych – wysiłków na rzecz dwóch uzupełniających się zadań: „dodawania lat do życia” i „dodawania życia do lat”. Efekt ilościowy tych działań – zwiększanie populacji – jest traktowany jako zgoła nieważny efekt uboczny; naprawdę liczy się jedynie efekt „*lepszego życia*”. W stanowisku tym honoruje się więc przede wszystkim potrzeby odczuwane przez ludzi obecnie żyjących, modyfikując – ewentualnie – opartą na nich politykę, gdy taka konieczność wyniknie z domyślania się przyszłych potrzeb dzieci i następnych pokoleń.

Nieuchronność trendów demograficznych

Obojętność na ilościowe cele demograficzne i niepodatność na lęk przed depopulacją – charakterystyczna dla obu wariantów tego stanowiska – bywa wzmacniana przekonaniem o *nieuchronności swoistej harmonii demograficznej*, dającej się zaobserwować w dłuższych okresach i wyjaśnionej przez tzw. teorię transformacji demograficznej¹⁹³. Zgodnie z ustaleniami tej teorii nonsensowne jest ekstrapolowanie ad limitum pewnych średniookresowych tendencji naruszających jedynie przejściowo tę równowagę (a więc np.: szybkiego

¹⁹³ Autorem wielu publikacji popularyzujących tę teorię w Polsce jest Z. Smoliński. Zob. np. *Transformacja demograficzna w Polsce*, „Polityka Społeczna” 1986 nr 11–12.

przyrostu naturalnego wynikającego z rozwierania się różnicy między wysokim – jeszcze – poziomem urodzeń a malejącym – już – poziomem zgonów; szybkiego zmniejszania się liczby córek rodzonych w ciągu życia przez jedną kobietę, współwystępującego ze stabilizacją zminimalizowanego poziomu zgonów). Zjawiska te są bowiem właściwe pewnym – nieuchronnie po sobie następującym – etapom kilkusetletniego procesu *przechodzenia* ludzkości od marnotrawnego typu reprodukcji (dużo urodzeń, dużo zgonów, krótkie życie, szybka rotacja pokoleń) *do typu reprodukcji wysoce oszczędnego i racjonalnego*. Zakończenie tego procesu (lub jego poważne zaawansowanie) uznaje się za wskaźnik przynależności do grupy krajów wysokorozwiniętych. Punktem dojścia nie jest więc zagłada, a nowy typ rozwoju, nie tylko nieuchronny, ale i dobry, wynikający z opanowania przyrody i szacunku do ludzkiego życia. Źródłem przekonania o samoczynnym przywracaniu równowagi demograficznej jest zresztą nie tylko ta teoria, ale i znane od dawna zjawiska spontanicznej *kompensacji demograficznej* znacznych ubytków ludności, wywołanych np. wojną.

Resumé – wnioski dla polityki społecznej

Stanowisko „ilościowe” opiera się na założeniach stanowiących dokładną *odwrotność* założeń przyjmowanych przez „pronatalistów” choć w tym „negatywie” akcenty są odmiennie rozłożone; oddziaływanie na decyzje prokreacyjne jednostek jest niedopuszczalne z moralnego punktu widzenia; oddziaływanie to jest najczęściej nieskuteczne (bo mechanizm decyzji prokreacyjnych jest wciąż nierozpoznany) i niepotrzebne (bo większość argumentów mających dowiedzieć użyteczności rozwoju ludnościowego dla realizacji celów społecznych nie ostaje się w ogniu krytyki); spadek liczby ludności jest faktem obojętnym, zaś prawdziwa depopulacja (rozumiana jako zmierzanie ku demograficznej zagładzie) jest niemożliwa i nic jej nie zapowiada.

W środowisku polityków społecznych nie osiągnięto w tych kwestiach wspólnoty poglądów. Zabierają głos rzecznicy postawy „umywania rąk”, pełnego *desinteressment* polityków społecznych wobec wykraczających poza ich cele i kompetencje prób modyfikowania procesów demograficznych (co jest jednak trudne, gdyż politycy społeczni i politycy ludnościowi starają się opierać podobnym zestawem środków, „pracują w tej samej materii” wpływając np. na warunki bytu rodzin i – być może – wzajemnie sobie przeszkadzają). Inni – powołując się właśnie na ową tożsamość warsztatu – są skłonni *przyjmować „zadania zlecone” od polityków ludnościowych*, nie angażując się zbyt w ich cele, ale widząc w tym okazję do zwiększenia swych aktywów. Inni wreszcie *przyjmują cele ilościowe za swoje*, gdyż przekonują ich argumenty o użyteczności rozwoju ludnościowego, np. dla pomyślności ogólnej, a bliski im jest kolektywistyczny model polityki społecznej. Indywidualiści zaś skłonni

są toczyć boje z propagatorami prężności demograficznej, której rzekomo winna złożyć daninę każda jednostka.

Sądzę, że zgodne z *ideami przewodnimi polityki społecznej, z jej paradygmatem, jest stanowisko „ailościowe”*. Spór o ilość niepotrzebnie zdominował debatę nad operacjonalizacją wartości życia w programach polityki społecznej, odwrócił uwagę od ważniejszych kwestii (choćby przez konieczność polemizowania z bojowymi pronatalistami), fascynacja liczbą urodzeń osłabiła zainteresowanie zamachami na trwałość życia i na jakość życia, polityka ludnościowa zdeformowała politykę pomocy rodzinie. Debata ta wielokrotnie schodziła więc na manowce, wyjątkowo często dochodziły do głosu rozmaite atawizmy, fobie i przestarzałe stereotypy.

6

Aktywność życiowa a aktywność społeczna

Pojęcie i problemy aktywności życiowej

Od ujęć najszerzych do najwęższych

Aktywność życiowa może być, po pierwsze, utożsamiana ze *zdrowiem*, definiowanym współcześnie jako zdolność do rozwoju psychofizycznego i społecznego, jako efektywność i sprawność w podstawowych funkcjach życiowych oraz pełna realizacja potencjału, w jaki wyposażył jednostkę genotyp¹⁹⁴. Wedle tej koncepcji, aktywność życiowa to jedna z wartości biologicznych, a zarazem opisany przez ekonomistów „*dynamizm innowacyjny*”¹⁹⁵ uogólniony tu na wszystkie dziedziny życia.

Można jednak kłaść nacisk nie tyle na intensywność i ilość wszystkich czynności wykonywanych przez człowieka, co na dominację tych czynności, które człowiek samodzielnie postanowił wykonać. Aktywność życiową utożsamia się wówczas ze *swobodnie wybraną* jej formą, uznając podejmowanie decyzji dotyczących kształtu własnego życia za kluczowy i niezbywalny element owej aktywności. Swobodne wybory wartości, jakim chciałoby się podporządkować swe dążenia życiowe, swoboda realizacji wybranych dążeń – określają zatem *styl życia*. Mianem stylu życia obejmuje się – według B. Gałęskiego – te elementy sposobu życia, te znaczące zachowania, które zostały wybrane spośród dostępnych możliwości; czynności podejmowane z własnej woli, będące przedmiotem inwencji i aspiracji, zaprzatające uwagę i czas¹⁹⁶. Wśród wielu

¹⁹⁴ Zob. M. Trawińska, *Model polityki społecznej*, Rada d.s. Rodziny, Warszawa 1982, (maszynopis).

¹⁹⁵ Zob. J. Pajestka, *Determinanty postępu*, Warszawa 1975, s. 172.

¹⁹⁶ B. Gałęski, *Styl życia i jakość życia – próba systematyzacji pojęć*, „Studia Socjologiczne” 1977, nr 1; zob. też *Styl życia. Koncepcje i propozycje*, pod red. A. Sicińskiego, Warszawa 1976.

podejmowanych przez człowieka wyborów szczególnie doniosły jest wybór tej wartości, z którą człowiek wiąże swój sposób realizacji potrzeby *sensu życia*. „Bez jej zaspokojenia człowiek nie może funkcjonować normalnie, nie może zmobilizować wszystkich swoich zdolności w maksymalnym stopniu...”, jej zaspokojenie zaś wytycza „...jasny, praktyczny i możliwy do zaaprobowania przez siebie kierunek działania”¹⁹⁷.

Możliwe jest jeszcze inne ujęcie. Zgodnie z nim aktywność życiowa oznacza *nastawienie życiowe typu „być” a nie „mieć”*. Przy czym „być” to „...szukać samopotwierdzenia w świadomym przeżywaniu własnej egzystencji, a więc w tym co się czuje, myśli i robi”, zaś „mieć” to „...doznawać siebie za pośrednictwem ról i przedmiotów, które nadają kształt istnieniu i określają własną pozycję w zestawieniu z sytuacją innych ludzi”¹⁹⁸. Aktywny jest więc tylko ten, kto wybiera ściśle określone wartości, kto sam siebie postrzega jako osobę, a nie jako zbiór rzeczy i ról.

I wreszcie ujęcie najwęższe. Aktywny życiowo byłby w tym ujęciu ten, kto realizuje cenioną przez siebie *wartość „stymulującego i aktywnego życia”* (a więc jedną z „wartości naczelných” z listy opracowanej przez M. Rokeacha)¹⁹⁹. Oznaczałoby to ekscytację ruchem, tempem i barwnością doznań życiowych, czynne poszukiwanie tych doznań.

Reasumując, *być aktywnym życiowo oznacza* (łącznie lub rozłącznie);

- energicznie, intensywnie i efektywnie wykonywać liczne czynności życiowe,
- swobodnie wybierać i realizować styl życia, zaspokajając potrzebę sensu życia,
- swobodnie wybierać i realizować wartości typu „być”,
- żyć „bujnie”, „ciekawie”.

Ten przegląd możliwych interpretacji aktywistycznych „dobra człowieka” ma służyć tylko zasygnalizowaniu, jak bogata i ważna jest ta problematyka. Wprawdzie można aktywnie podtrzymywać istniejący ład, można go bezproduktywnie anarchizować, ale w społeczeństwie ludzi biernych, niezdolnych do wyboru stylu życia mało też będzie innowatorów, nosicieli pozytywnych zmian społecznych, kulturalnych czy technicznych. Można więc – upraszczając – uznać, że *im więcej ludzi aktywnych, tym bardziej innowacyjny i elastyczny system społeczny*. To, co dobre dla jednostek, korzystne jest jednocześnie dla „dobra wspólnego”.

¹⁹⁷ K. Obuchowski, *Psychologia dążeń ludzkich*, Warszawa 1983, s. 203.

¹⁹⁸ A. Jawłowska, A. Pawełczyńska, *Mechanizmy makrospołeczne a zróżnicowania stylu życia*. W: *Styl życia. Przemiany we współczesnej Polsce*, pod red. A. Sicińskiego, Warszawa 1978, s. 219.

¹⁹⁹ Zob. M. Rokeach, *The Nature of Human Values*, New York 1973.

Rodzaje aktywności życiowej – konkurencja czy wzajemne pobudzanie

Interesować będą mnie tutaj *różne rodzaje aktywności życiowej*, charakteryzujące się odmiennością zadań i dziedzin działania, a mianowicie:

- codzienna zapobiegliwość w organizowaniu życia własnego i rodziny, zapewnienie sobie godziwych warunków bytu (inaczej mówiąc, zabiegi wokół przetrwania),
- aktywność rodzicielska, prokreacja i wychowanie,
- aktywność poznawcza, nastawiona na orientację w świecie i zrozumienie świata,
- aktywność kontaktowa, nawiązywanie i kultywowanie więzi osobistych z innymi ludźmi,
- aktywność ludyczna, zabawowa,
- aktywność gospodarcza, dążenia do pomnażania bogactwa, czy to własnego czy społecznego,
- aktywność twórcza, dążenia do tworzenia nowych wartości, czy to w sferze pracy, sztuki, nauki czy w sferze prywatnej,
- aktywność społeczna, dążenia do przekształcenia swego otoczenia traktowane (w intencjach działającego i – lub – w opinii powszechnej) jako „prospołeczne”,
- aktywność patologiczna, odbierana jako „antyspołeczna”, agresywna i szkodliwa.

Wymienione rodzaje aktywności zostały – z grubsza biorąc – uszeregowane w kolejności od najbardziej rozpowszechnionych, najczęściej wykonywanych i czasochłonnych do bardziej ekskluzywnych. Kolejność według kryterium nadawania życiu sensu wyglądałaby już zgoła odmiennie. Każdy z tych rodzajów aktywności może – choć w nierównym stopniu – stać się okazją do realizacji własnego potencjału życiowego, wolności wyboru, nastawienia życiowego typu „być” czy też okazją do ciekawego życia. Przy tym ostatni rodzaj aktywności – aktywności dewiacyjnej – jest *ex definitione* odrzucany we wszelkich jego przejawach (choć i tu szeroki jest margines zachowań definiowanych przez jednych jako antyspołeczne, a przez innych jako prospołeczne, zachowań niekonwencjonalnych i innowacyjnych).

Od wielu okoliczności życiowych zależy, z którym rodzajem aktywności zwiąże człowiek trwale swój styl życia, jak będzie interpretował swoje zadania życiowe. Rodzi się przy tym pytanie – czy regułą musi być traktowanie różnych rodzajów dostępnej aktywności jako *alternatywnych, konkurencyjnych*. Ograniczone zasoby energii, czasu, a także ograniczone możliwości percepcji wydają się skłaniać ludzi do selekcji domen aktywności. Jednakże zdarza się dostatecznie często, że różne rodzaje działań *wzajemnie się pobudzają* w ramach tej samej biografii, raz ukształtowana psychiczna gotowość do działania

przenosi się z jednej dziedziny do drugiej, „ładuje się akumulator”. Takie sprzężenie zwrotne można zaobserwować w życiorysach wybitnych jednostek oraz – w skali społecznej – w pewnych momentach historycznych sprzyjających euforii i entuzjazmowi. Nie zawsze więc doktor Judym musi porzucić myśl o założeniu rodziny, nie zawsze twórca musi być klakierem.

Tryb życia – domena bierności

Głównym – jak się wydaje – wrogiem wszelkich rodzajów aktywności życiowej jest bierność w pełnieniu wszystkich ról życiowych. Wśród różnorodnych czynności składających się na ludzką biografię można wyodrębnić *tryb życia* – czynności narzucone przez okoliczności zewnętrzne, nie będące przedmiotem wyboru, aspiracji, inwencji, a nawet uwagi; czynności wykonywane rutynowo, machinalnie, bezrefleksyjnie; czynności pochłaniające wiele energii, ale nie wytrącające człowieka ze stanu psychicznej bierności. Jest oczywiste, że tryb życia jest *głównym pochłaniaczem energii życiowej ludzi*. I w tym sensie jest formą aktywności życiowej. W pozostałych ujęciach jest to domena bierności. Tryb życia tym bardziej obezwładnia i ogranicza szanse aktywizacji, im więcej czasu trwają składające się nań czynności, im większa jest ich intensywność psychiczna i fizyczna, im większa jest ich dolegliwość (wynikająca z rozbieżności zachowań i aspiracji). „Wolność niezbędna dla wyboru i realizacji określonych wartości jest zasadniczo ograniczona przez poziom warunków bytowych. W takich przypadkach wyróżnione jako opozycyjne zespoły wartości «być» i «mieć» stają się bliskie tożsamości. Chodzi o sytuacje, w jakich dążenie do «mieć» (w sensie minimum warunków bytu) staje się równoznaczne z «być» (w sensie fizycznym czy fizjologicznym). Pewne zróżnicowania stylów życia dają się zaobserwować dopiero na poziomie minimum i dotyczą przede wszystkim samorealizacji człowieka w jego funkcjach opiekuńczych wobec najbliższych, całkowicie od niego zależnych członków rodziny”²⁰⁰.

Zbytнім uproszczeniem byłoby założenie, że tryb życia jest tożsamy z badanym w budżetach czasu „czasem obowiązku” (a więc z pracą zawodową, dojazdami, zakupami, prowadzeniem gospodarstwa domowego i opieką nad dziećmi), a styl życia – świadomie wybrana forma aktywności życiowej – uwiadacznia się w „czasie wolnym”. Bardziej wnikliwi analiza każe skorygować – zarówno in plus, jak i in minus – „czas pochłaniany przez tryb życia” w stosunku do „czasu obowiązku”. Tak więc np. praca zawodowa bywa (choć zbyt rzadko) przedmiotem aktywności twórczej, nie przestając być narzuconym przez okoliczności sposobem zdobywania niezbędnych środków utrzymania. Właściwe gospodarce trwale niezrównoważonej sposoby wyposażania gospodarstwa domowego w niezbędne dobra i usługi („szarpanina”, „podchody” w zdobywaniu dóbr deficytowych w oficjalnym systemie dystrybucji, uczestnictwo w „gospo-

²⁰⁰ A. Jawłowska, A. Pawełczyńska, *Mechanizmy makrospołeczne...*, jw., s. 226.

darce alternatywnej”) wynikają z przymusu sytuacyjnego, ale często wymagają inwencji. Dla części ludzi stają się z czasem źródłem satysfakcji, pozwalając „sprawdzić się” w roli człowieka zaradnego, sprytnego, chętnie podejmującego rywalizację w tej sferze. To były *korekty in minus*.

Z kolei pewne typowe czynności „wolnoczasowe” posiadają wszelkie cechy kwalifikujące je do trybu życia. Bywa, że winowajcą jest tu inercyjna osobowość, wzmacniana przez instytucje socjalizacyjne (szkoła) lub przez trening w środowisku pracy²⁰¹. W efekcie np. oglądanie telewizji staje się bezrefleksyjnym nawykiem, którego ograniczenie na rzecz innych, rzeczywiście aktywnych, zachowań okazuje się niewyobrażalne (a rezerwa 2–4 godzin dziennie – niedyspozycyjna). Podobnie traktowane bywa inne „wolnoczasowe” (choć słabo widoczne w badaniach budżetów czasu) zajęcie – „towarzyskie” picie alkoholu, rutynowy element dnia powszedniego w wielu środowiskach, konformistyczny wobec ich podkultury. Podobnie bywa też z czynnościami kwalifikowanymi zwyczajowo jako aktywność społeczna czy polityczna. Nawet w czasie wolnym na oceanie trybu życia ledwo mającą wysepki stylu życia.

Pojęcie i problemy aktywności społecznej

Wartość, wskaźnik czy instrument

Rozpowszechniony jest pogląd, że aktywność społeczna – choć z trudem zauważalna w przeciętnym budżecie czasu – zajmuje wyjątkową pozycję w społeczeństwie socjalistycznym w ogóle, a w polityce społecznej w szczególności (zresztą także w polityce społecznej prowadzonej w każdym innym systemie społeczno-gospodarczym). Traktuje się tę aktywność albo jako samodzielną wartość, albo jako wskaźnik różnych pożądaných stanów, albo jako cenny instrument działania. Można ponadto spojrzeć na aktywność społeczną jako na jedno z pożądaných zachowań, które polityka społeczna chce wywołać; spróbować określić, czy – i jak – ludzie chcą, umieją i mogą być aktywni społecznie i jaki – wobec tego – styl realizacji tego zadania okaże się najefektywniejszy.

W ideologii socjalistycznej aktywność społeczna stała się *wartością* eksponowaną chyba w tym samym stopniu, co zbiorowe formy organizacyjne. „Praca społeczna i związana z nią aktywność społeczna jest szczególną właściwością społeczeństwa socjalistycznego”²⁰². Wydaje się ona zaczątkiem realizacji zasady „od każdego według jego zdolności...”, zdolności użyczanych społeczeństwu przez jednostkę nie oglądającą się na to, jak aktualnie brzmi

²⁰¹ Zob. J. Danecki, *Jedność podzielonego czasu. Czas wolny i czas pracy w społeczeństwach uprzemysłowionych*, Warszawa 1970.

²⁰² Cyt. za: Z.A. Zechowski, *Aktywność społeczna jako problem socjologiczny i polityczny*. W: Z.A. Zechowski, J. Wódz, K. Wódz, *Z zagadnień aktywizacji społecznej. Trzy szkice socjologiczne*, Prace Naukowe Uniwersytetu Śląskiego nr 466, Katowice 1982.

drugi człon tej formuły (każdemu według zasług czy potrzeb, każdemu wynagrodzenie czy tylko dobre słowo). Wydaje się też najszlachetniejszą – bo bezinteresowną i altruistyczną – formą realizacji nastawienia życiowego typu „być”, realizacji „aspiracji do przekształcania rzeczywistości w imię jakiejś wartości lub idei”²⁰³, realizacji wartości instrumentalnej „bycia pomocnym, działania na rzecz dobra innych”²⁰⁴.

Aktywność społeczna wydaje się zarazem *wskaźnikiem* sukcesu socjotechniki drugiego stopnia, dowodem na to, że pewne wartości zostały bardzo głęboko zinternalizowane, skoro w ich imię ludzie rezygnują z odpoczynku czy pieniędzy. Dla zwolenników ideologii „kolektywizmu grupowego” (np. solidarności klasy robotniczej) społecznikowskie działanie w imieniu grupy jest wskaźnikiem integracji z grupą, poczucia wspólnoty interesów, wytworzenia się konsolidacji wewnętrznej i świadomości grupowej²⁰⁵. Dla indywidualistów aktywność społeczna może być cennym przejawem upodmiotowienia jednostki zmierzającej do przekształcania świata.

Użyteczność aktywności społecznej jako instrumentu polityki może być ceniona ze względu na jej różne walory. Dla tych polityków, którzy najbardziej sobie cenią oszczędności budżetowe na sferze socjalnej, oczywistym walorem jest jej taniość – praca będzie wykonana wprawdzie niefachowo, ale za darmo, powiadają. Dla innych, zainteresowanych rzeczywistym efektem tej pracy, walorem pracy społeczników jest zrozumienie istoty swej służby, „ducha” przepisów, brak skłonności do formalizacji i załatwiania „przy okazji” własnych interesów, a więc wad typowych dla personelu etatowego. Społecznicy są więc dla nich najpewniejszymi, najsolidniejszymi, samodzielными wykonawcami. Wreszcie, w oczach reprezentantów innej szkoły myślenia, głównym walorem instrumentalnym ludzi podejmujących działalność społeczną jest – paradoksalnie – ich podmiotowość, to, że oni nie tylko wykonują, ale i obmyślają politykę społeczną na jakimś, choćby bardzo skromnym, odcinku, że kierują się przy tym doskonałym rozeznaniem środowiska, jego potrzeb i własnych możliwości. Możliwe jest i czwarte stanowisko – stwarza się osobom aspirującym do aktywności społecznej pozory uczestnictwa, by dać ujście nadmiarowi energii i stworzyć atmosferę zainteresowania dla realizacji polityki wśród – np. – mieszkańców lub pracowników²⁰⁶. Nie trzeba dodawać, że każdy z tych czterech „porządków oceny” owocuje innym traktowaniem społeczników, innymi wobec nich oczekiwaniami, innym ukształtowaniem ram organizacyjnych dla ich działalności.

²⁰³ A. Jawłowska, A. Pawełczyńska, *Mechanizmy makrospołeczne...*, jw., s. 223.

²⁰⁴ M. Rokeach, *The Nature...*, jw.

²⁰⁵ Zob. J. Drażkiewicz, *Uwagi o aktywności społecznej i różnicowaniu społecznym*, „Studia Socjologiczne” 1974, nr 4, s. 173.

²⁰⁶ Zob. T. Kowalak, *Demokracja przemysłowa*, UW, Warszawa 1985.

Definicje aktywności społecznej

Aby ocenić, czy te wszystkie oczekiwania pod adresem aktywności społecznej są uzasadnione, trzeba przyrzeć się bliżej podstawowym jej cechom definicyjnym. Przyda się to również, jeśli zechcemy oceniać rzeczywistą gotowość ludzi do podejmowania tej aktywności i możliwości wzmagania tej gotowości poprzez działania polityki społecznej.

Działalność ludzka bywa określana mianem aktywności społecznej najczęściej wówczas, gdy właściwe jej są następujące *cechy*: 1) dobrowolność, 2) nieodpłatność, 3) „prospołeczność”, 4) konstruktywność, 5) zbiorowa forma działania, 6) nieużywanie sankcji władzy państwowej. Jednak każdą z tych cech można zakwestionować, zaś ich określenia nie są jednoznaczne. Ścisłe wytyczenie granic między aktywnością społeczną a innymi rodzajami aktywności wydaje się więc mało realne.

Dobrowolność a presje

Dobrowolność może być rozumiana *formalnie*, jako uczestnictwo człowieka w działaniach wykraczających poza jego obowiązki związane z pełnieniem roli zawodowej, co nie wyklucza działania „na wezwanie”, pod presją mniej lub bardziej kategorycznej perswazji środowiska czy władzy. Trafniejsze – lecz trudniejsze do empirycznego sprawdzenia – wydaje się pojmowanie dobrowolności jako autonomicznego aktu woli, *aktu wyboru* spośród różnych dostępnych możliwości. Mówiąc o dobrowolności można akcentować dobrowolność samej decyzji podjęcia działania, można też podkreślać znaczenie dobrowolnego – w sensie wolnego – wyboru celów i sposobów owego działania. Wobec tego warto zwrócić uwagę na trzy *najważniejsze rodzaje presji*, której obecność stawia pod znakiem zapytania autentyczność aktywności społecznej, albo przynajmniej sprawia, że traci ona pewne wartości.

Po pierwsze, *jest to presja wywierana przez zwierzchników i – szerzej – instytucje*, od których jednostka jest uzależniona. Zdarza się, że presja ta nabiera cech „przymusu urzędowego”. W pewnych zawodach (np. nauczyciela) rola „działacza społecznego” bywa praktycznie obowiązkowa, zaś sposób jej pełnienia ma wszelkie cechy „*działalności pozornej*”²⁰⁷ – wskutek przeciążenia innymi obowiązkami, a także wskutek takich właśnie oczekiwań władz powołujących do tej roli. Jest to wówczas element trybu życia tej grupy zawodowej. Alienacja odgrywanej roli dominuje nad jej autentycznym przeżyciem, choć proporcje między przeżyciem alienacji i samorealizacji w świadomości działacza mogą być zmienne, niestabilizowane. Presję tę wywierają władze lokalne i oświatowe – jeśli trzymać się nadal przykładu nauczyciela, zwłaszcza

²⁰⁷ Zob. W. Jarzębowski, *Fikcje organizacyjne i działania pozorne*. W: *Bariery sprawności organizacji*, pod red. W. Kieżuna, Warszawa 1978.

nauczyciela prowincjonalnego – nie tyle dlatego, że aktywność ta jest komuś naprawdę potrzebna, a po to, by wykazać się imponującymi wskaźnikami przed swą władzą zwierzchnią. Łatwo je windować, gdy np. nauczyciel zapisuje do istniejących tylko na papierze organizacji społecznych całe, uzależnione od niego, klasy szkolne. Takie bywają skutki planowania spontaniczności i rozliczania urzędników z wykonania tych planów.

Nie zawsze ocena *splotu obowiązków zawodowych i społecznych* musi być aż tak negatywna, „co więcej, niektóre role zawodowe wymagają w sposób oczywisty aktywności społecznej z uwagi na podobny rodzaj czynności i celów realizowanych «zawodowo» i «społecznie»». Charakterystyczny tu jest przykład inżyniera, który winien uczestniczyć w działalności koła Naczelnej Organizacji Technicznej, czy kierownika, którego udział w instancjach i komisjach samorządu robotniczego jest tyle obowiązkiem zawodowym, co przejawem aktywności społecznej²⁰⁸. Sądzę jednak, że są to przejawy rzetelnego wykonywania obowiązków zawodowych (a w ostatnim przypadku – jednoznaczny wymóg służbowy), a nie dobrowolnej aktywności społecznej.

Również aktywność obywatelska przejawiająca się w korzystaniu z czynnego prawa wyborczego do ciał przedstawicielskich różnego szczebla bywała w Polsce nader często elementem trybu życia; wtedy mianowicie, gdy akt wyborczy był rozumiany (przez władzę i przez wyborców) jako akt lojalności, periodycznie ponawiany odruch konformizmu – a nie jako „dążność do oddziaływania na otoczenie społeczne”. W wyborach do władz państwowych i terenowych można więc było manifestować lojalność wobec państwa, w wyborach do samorządu pracowniczego czy władz związkowych – lojalność wobec dyrekcji lub zakładowej organizacji partyjnej. Najmniej obciążone tym serwitutem były wybory do samorządu mieszkańców (nie ma się kogo bać), toteż cechowała je najmniejsza frekwencja, co obrazowało rzeczywistość – nikłą – chęć wywierania wpływu na środowisko.

Po drugie, presja towarzysząca podjęciu działalności społecznej może przybierać postać „*przymusu sytuacyjnego*”, kiedy nie zaspokojone potrzeby jakiejś zbiorowości stają się palące, zaś nie widać żadnej instytucji działającej na zasadach profesjonalnych, która te potrzeby mogłaby i chciała zaspokoić. Mamy wówczas do czynienia ze zbiorową formą przymusowej „konsumpcji naturalnej”. Szczególnie często taki charakter mają czyny społeczne podejmowane w środowisku chłopskim – „nikt inny nam drogi nie wybuduje”. Przymus sytuacyjny nie działa jednak jak automat. Na depryzację ludzie mogą równie dobrze zareagować rezygnacją, apatią, agresją, ślepym buntem czy nawet czynnościami rytualnymi i magicznymi; ucieczka (rozumiana jako zmiana środowiska) może w naszych warunkach udać się tylko jednostkom, a nie całym

²⁰⁸ J. Drązkiewicz, *Uwagi o aktywności społecznej...*, jw., s. 176.

zbiorowościom²⁰⁹. Wśród tych alternatyw *aktywność społeczna* – choćby była w pewnym sensie przymusowa – wydaje się jednak *reakcją najwartościowszą*, najdogodniejszą i najkorzystniejszą dla środowiska.

Trzeci rodzaj zewnętrznej presji na aktywność społeczną oddziałuje na formę przejawiania się tej aktywności. Dobrowolność ogranicza się w tej sytuacji do *pierwotnej decyzji*: „*będę działać*”. (Zresztą tyleż dobrowolności można się dopatrzeć w podjęciu decyzji o „zatrudnieniu się na etacie”). Cała reszta stanowi realizację programu pracy zaproponowanego przez mecenasa. Dzieje się tak np. w myśl następującej koncepcji: „państwo pełni funkcję patronacką wobec wszystkich stowarzyszeń i pobudza ich działania [...] Socjalistyczne państwo rozbudowuje odgórnie instytucje samorządu ludności i sprawuje mecenat nad stowarzyszeniami, gdyż stawia przed nimi wiele społecznych zadań”²¹⁰. *Drobiazgowe kierowanie poczynaniami działaczy społecznych* może wynikać bądź to z traktowania ich aktywności jako instrumentu użytecznego dla realizacji planów centralnych, bądź to z traktowania nie kontrolowanej aktywności społecznej jako zagrożenia dla status quo. Może tu więc chodzić o maksymalizację pożytków lub o minimalizację zagrożeń.

Nieodpłatność i amatorstwo contra korzyści i profesjonalizm

Nieodpłatność można również rozumieć *formalnie*, jako brak uposażenia przysługującego za pełnioną funkcję (choć dopuszcza się możliwość okresowego opłacania osób pełniących najbardziej pracochłonne funkcje wybieralne, w ramach kadencji). Można też bardziej rygorystycznie wykluczać uzyskiwanie jakiegokolwiek wartości materialnych czy politycznych w zamian za świadczoną aktywność, co doprowadziłoby – zapewne – do dyskwalifikacji większości zachowań zaliczanych formalnie do sfery aktywności społecznej.

Czasami próbuje się kłaść nacisk na „niezawodowość” aktywności społecznej, której składnikami byłyby nieodpłatność i „amatorskość” – czyli brak przygotowania zawodowego. A nawet podkreśla się, że owa amatorskość jest cechą ważniejszą niż nieodpłatność. „W literaturze można spotkać stanowisko, że działalność płatnych działaczy organizacji ma amatorski charakter, gdyż działacze z reguły są oderwani od spełniania zawodowych obowiązków zgodnych z ich kwalifikacjami, i dlatego płaca otrzymywana w organizacji jest nie tyle ekwiwalentem za ich pracę w organizacji, co ekwiwalentem tej płacy, jaką otrzymywaliby za spełnianie swoich zawodowych obowiązków. Wskazuje się przy tym, że praca etatowych działaczy z reguły trwa dłużej niż ustawowy. ośmiogodzinny dzień pracy i dlatego przynajmniej częściowo ma

²⁰⁹ Zob. E. Nowicka, *Bunt i ucieczka. Zderzenie kultur i ruchy społeczne*, Warszawa 1972.

²¹⁰ Z. A. Żechowski, *Aktywność społeczna jako problem socjologiczny...*, jw., s. 38.

charakter amatorski”²¹¹. Można by skomentować, że jest to nie tyle płaca za pracę, co raczej płaca bez pracy. Nie oznacza to jednak, że byłabym skłonna lekceważyć problem niezbędnej *profesjonalizacji pewnych funkcji*, bez której szerzej zakrojona aktywność społeczna stałaby się niewydolna. O tym, czy jest to – mimo wszystko – nadal aktywność społeczna, zadecyduje charakterystyka kontekstu, stopień wtopienia tych funkcji i ich funkcjonariuszy w nurt działań nieodpłatnych i mających pozostałe atrybuty społecznikostwa.

Inne cechy

Prospołeczność jest również pojęciem wieloznacznym. Może być definiowana jako dążność do oddziaływania na otoczenie społeczne²¹², jako działanie skierowane na uzyskanie cennych wartości społecznych²¹³ – wartości wykraczających więc poza prywatny, egoistyczny horyzont jednostki. Ten „*kolektywizm celów*” może być bardzo rozmaicie rozumiany. Na przykład jako dobro lub zaspokojenie określonych potrzeb innych ludzi oraz walka o postęp społeczny²¹⁴. Cel takich prospołecznych działań bywa konkretyzowany jako artykułowanie potrzeb, ich uzgadnianie, agregowanie, wnoszenie uzgodnionych interesów w systemy decyzyjne, stwarzanie warunków do samoregulacji i samopomocy jednostek i grup społecznych²¹⁵. Ponadto prospołeczność może być ujmowana jako zjawisko obiektywne lub jako typ motywacji, jako intencja działającej jednostki (w tym drugim rozumieniu znikome byłyby różnice między bezinteresownością i prospołecznością).

Konstruktywność może być pojmowana dosłownie, warto jednak – zapewne – definiować ją mniej rygorystycznie. Bowiem również akty krytyki, protestu, odmowy mogą prowadzić – w dalszej perspektywie – do doskonalenia życia społecznego. Często niezbędnym wstępem do zbudowania programu reform jest dramatyczne starcie i spór instytucji z jej krytykami. Mamy wówczas do czynienia z *działalnością prospołeczną, choć w pewnym sensie destruktywną*, w oczach establishmentu dewiacyjną, choć – z uwagi na „wspólne dobro” – nie patologiczną.

Zbiorowe formy działania, kolektywizm nie tylko celów, ale i metod, to cecha większości przejawów aktywności społecznej²¹⁶. Nie sądzę jednak, że należy pomijać przejawy „indywidualnej donkiszoterii”, które często przecierają

²¹¹ J. Drązkiewicz, *Uwagi o aktywności społecznej...*, jw., s. 176.

²¹² Zob. *Aktywność i aktywizacja społeczna*, pod red. A. Guryckiej, Warszawa 1976, s. 5.

²¹³ J. Drązkiewicz, *Uwagi o aktywności społecznej...*, jw., s. 175.

²¹⁴ H. Tobiasz, *Aktywność społeczna w instytucjach społecznych działających w sferze zabezpieczenia społecznego*, IPS, Warszawa 1984 (maszynopis).

²¹⁵ Zob. J. Hryniewicz, *Instytucje samorządu społecznego*, UW, Warszawa 1987.

²¹⁶ Zwolennikiem tego poglądu jest J. Drązkiewicz, *Uwagi o aktywności społecznej...*, jw.

szlaki działaniom zbiorowym. Ponadto, im bardziej społeczeństwo jest przywiązane do wartości indywidualistycznych, tym więcej stwarza form instytucjonalnych w pełni *uprawomocniających aktywność* chadzających własnymi drogami *jednostek*, od prawa wyborczego poczynając, na prawie do skarg, zażaleń, reklamacji i interpelacji kończąc.

Nieużywanie sankcji władzy państwowej rzadko bywa traktowane jako cecha definicyjna aktywności społecznej przez autorów piszących o tej problematyce. Jedynie J. Kulpińska wymienia tę cechę jako jedno z potocznych rozumień terminu „działalność społeczna”²¹⁷. Sądzę jednak, że warto to zawężające kryterium zastosować wówczas, gdy interesuje nas aktywność społeczna jako wartość polityki społecznej i jako jej szczególny sposób działania. W naszej rzeczywistości synonimami stały się pojęcia „*działacz społeczny*” i „*funkcjonariusz partyjno-państwowy*” (zwraca na to uwagę ta sama autorka), kariera zawodowego polityka przybrała pewne zewnętrzne cechy społecznikowskie. Te ścieżki aktywności, które prowadzą – począwszy od pewnego szczebla – do partycypacji w atrybutach władzy, wydają się zjawiskiem jakościowo odmiennym od aktywności społecznej i należałoby je rozpatrywać odrębnie. Empiryczne rozgraniczenie tych nurtów jest jednak żmudnym zajęciem; po pierwsze dlatego, że silne choć niejawnie bywają wzajemne zależności między organizacjami społecznymi a hegemonicznym systemem partyjnym; po drugie dlatego, że istnieją sytuacje graniczne między sprawowaniem władzy politycznej a wywieraniem nacisku na tę władzę.

Rodzaje aktywności społecznej

Obecnie pragnę dokonać przeglądu ważnych cech charakterystycznych i rozmaitych sposobów przejawiania się aktywności społecznej, by móc przy tej okazji zastanowić się nad kwestiami: kiedy aktywność społeczna jest istotnie wartością, kiedy jest pożyteczna, jakie jej rodzaje mogą z większym stopniem prawdopodobieństwa występować w naszym społeczeństwie. Głównym zadaniem tego przeglądu jest jednak ukazanie *bogactwa możliwości* tkwiących w tej sferze, możliwości w znikomym stopniu rozbudzonych i zaktualizowanych. Sądzę bowiem, że obowiązkiem polityki społecznej jest wyzwolenie tych możliwości, i to w całym ich zróżnicowaniu.

Od aktywności do nadaktywności w pełnieniu ról życiowych

Po pierwsze – należy wyjaśnić, *na czym polega i w jaki sposób dokonuje się przechodzenie* od „niespołecznej” (prywatnej, zawodowej) aktywności życiowej do działań definiowanych powyżej – choć z wieloma zastrzeżeniami i wąt-

²¹⁷ J. Kulpińska, *Spoleczna aktywność pracowników przedsiębiorstwa przemysłowego*, Wrocław–Warszawa 1969, s. 17.

pliwościami – jako „aktywność społeczna”. Każdemu człowiekowi żyjącemu w społeczeństwie *oferuje się szereg ról społecznych*. Jedne z nich są – jak już pisałam – przedmiotem wyboru, inne zostaną narzucone, inne jeszcze – zlekceważone i niepodjęte. W tej ofercie znajdują się role obywatela, mieszkańca, uczestnika procesów gospodarczych (czasem jako pracodawcy, najczęściej jako pracownika, a także jako podmiotu gospodarującego na własny rachunek), konsumenta, rodzica, mężczyzny i kobiety, dziecka, człowieka młodego, dojrzałego i starego, liczne role związane z uczestnictwem w kulturze, nigdy nie wybierana dobrowolnie ale „zdarzająca się” rola „nosiciela ryzyka socjalnego”, rola „bliźniego” czy też „prozelity”. Role te – jeśli już wypadło je pełnić – można wykonywać na poziomie minimalnym, bez przekraczania ram własnej sfery prywatności bądź obszaru własnych interesów. Natomiast aktywność społeczną można uznać za swego rodzaju „nadaktywność” w pełnieniu przez człowieka którejś z ról życiowych. Jest to więc *szczególnie intensywne wykorzystywanie uprawnień* do tej roli przypisanych oraz ingerowanie w szersze układy wpływające na warunki pełnienia tej roli.

Wybór roli – wybór dziedziny

Od tego, z którą spośród ról życiowych człowiek najsilniej się identyfikuje (trwale lub w konkretnej sytuacji, z wyboru lub z konieczności), zależy *wybór dziedziny aktywności społecznej*.

Jeśli jednostka „nadaktywnie” pełni *role obywatela*, może – oprócz korzystania z należnych każdemu praw wyborczych – podejmować działalność w organizacjach politycznych tworzących całościowe programy społeczno-polityczne lub w organizacjach (stowarzyszeniach, towarzystwach, klubach) zmierzających do korekty jakiegoś wycinka tych całościowych programów, mających więc ambicje współuczestniczenia w procesach regulacyjnych; a także w organizacjach bezpośrednio przekształcających jakiś odcinek życia publicznego, bez prób oddziaływania na politykę innych podmiotów aktywnych na tym odcinku. Spośród różnych form takiej aktywności, mniej lub bardziej zinstytucjonalizowanej, których wielkie bogactwo daje się na świecie zaobserwować, wymienimy przykładowo inicjatywy zbiorowe zmierzające do uchwalenia lub zmiany konkretnych ustaw, kluby myśli politycznej, komitety poparcia kandydatów w wyborach, towarzystwa przyjaźni z innymi narodami, organizacje wypowiadające się w kwestiach polityki zagranicznej.

Dążąc do „nadaktywnego” pełnienia *rol mieszkańca* można uczestniczyć w instytucjach samorządu terytorialnego, samorządu mieszkańców, samorządu spółdzielni mieszkaniowych, ale można także działać w towarzystwach miłośników regionu lub doraźnie inicjować czyny społeczne, mające charakter swoistej – wspomnianej już – „zbiorowej konsumpcji naturalnej”. Można też

podejmować inicjatywy o znaczeniu kulturalnym czy nawet rekreacyjnym (np. komitet obchodów jubileuszu miasta).

Różnymi rolami pełnionymi w procesie gospodarowania odpowiadają rozmaite rodzaje aktywności społecznej. *Aktywność pracodawców* nie ujawniała się u nas w formie zinstytucjonalizowanej, trudno zresztą rozstrzygnąć spór, czy i kto jest w gospodarce społecznej pracodawcą. *Aktywność pracowników* ma największy zasięg i występuje w bardzo różnorodnych formach, zmierza zarówno do dezalienacji pracy, przywrócenia jej kreatywnego charakteru, jak i do „obrony świata pracy”²¹⁸. Polegać może na codziennej inicjatywie opiniotwórczej w kontaktach ze zwierzchnikami, na uczestniczeniu w samorządzie pracowniczym, a więc na korzystaniu z tych uprawnień, które *automatycznie* wynikają z podjęcia roli pracownika. Polegać też może na *dobrowolnym* przyjęciu dodatkowych obowiązków (i praw), które mogą – choć nie muszą – towarzyszyć tej roli. A więc np. na podjęciu działalności w związku zawodowym, stowarzyszeniu społeczno-zawodowym, ruchu wynalazczym lub naukowym. Uwidacznia się tu silnie – branżowe i zawodowe – zróżnicowanie zainteresowań, interesów i form organizacyjnych. Szczególne znaczenie trzeba przypisać aktywności pracowników sfery produkcyjnej (ze względu na ich usytuowanie u źródeł materialnego bogactwa narodowego i związaną z tym usytuowaniem siłę przetargową), aktywności grup zawodowych mających znamiona „służby społecznej” (lekarze, nauczyciele, pracownicy socjalni) oraz aktywności reprezentantów zawodów twórczych (np. w stowarzyszeniach artystycznych i naukowych).

Należy wreszcie wspomnieć o aktywności społecznej *podmiotów gospodarujących na własny rachunek*, indywidualnych rolników, rzemieślników i – w odrębny sposób – spółdzielców pracy. Ostatnio pojawiły się u nas inicjatywy społeczne wśród prywatnych producentów, łączących poczucie misji uzdrowienia gospodarki z poczuciem permanentnego zagrożenia.

Rola konsumenta – także uczestniczącego w procesach gospodarowania, ale po stronie popytu – może być pełniona „nadaktywnie” w sposób skrajnie egoistyczny, a nawet patologiczny, o czym już była mowa. Gdy ta nadaktywność przestaje polegać na zdobywaniu przez jednostkę lepszej pozycji na rynku, a zmierza do poprawy pozycji całej zbiorowości konsumentów (lub jej części) wobec producentów, usługodawców i aparatu dystrybucji – nabiera cech aktywności społecznej. Może ona być podejmowana indywidualnie (np. skargi kierowane do producentów, prasy, władz politycznych, procesy sądowe), zbiorowo ale w mikroskali (np. udział w sklepowych komitetach członkowskich w spółdzielczości spożywców) i w ruchu społecznym konsumeryzmu. Obok organizacji konsumenckich walczących o naprawę rynku pojawić się mogą ini-

²¹⁸ Przegląd tych rozwiązań stosowanych w różnych krajach zawiera praca: T. Kowalak, *Demokracja przemysłowa...*, jw.

cjatywy wśród odbiorców pozarynkowych usług społecznych – np. pacjentów korzystających ze służby zdrowia²¹⁹.

Rola rodzicielska realizowana jest – z natury rzeczy – w sferze prywatnej a nie publicznej, wymaga jednak czasami wykroczenia poza prywatność; gdy np. trzeba wymóc stworzenie urządzeń publicznych, wspomagających rodzinę w pełnieniu funkcji opiekuńczo-wychowawczych (komitet budowy szkoły wiejskiej, inicjatywa adaptacji pomieszczeń na całe przedszkolne w nowym osiedlu); gdy podział tych funkcji na linii instytucja – dom wymaga koordynacji (szkolne komitety rodzicielskie) lub gdy tzw. rodziny szczególnej troski są tej instytucjonalnej troski w praktyce pozbawione (koła rodziców dzieci niepełnosprawnych). Oprócz tak rozumianego „prospołecznego poszerzenia” swej prywatnej roli rodzicielskiej może ujawniać się w działalności społecznej postawa „rodzica wszystkich dzieci” (postawa Janusza Korczaka), przejawiająca się np. w działalności Towarzystwa Przyjaciół Dzieci czy też instruktorów ZHP.

W większości społeczeństw, choć w bardzo różny sposób, *do określonych miejsc w strukturze demograficznej* są przypisywane określone role społeczne i odmienny status. Inny jest więc status mężczyzny niż kobiety, człowieka młodego niż starego. Uważa się często, że nadmierna identyfikacja z tymi rolami i podejmowanie w ich imię działalności społecznej jest oznaką schorzeń społeczeństwa.

Ruch feministyczny jest z reguły ruchem protestu przeciwko społecznemu i obyczajowemu upośledzeniu kobiet, podczas gdy *maskulinizm* nie znajduje jak dotąd bazy społecznej. *Ruch młodzieżowy* ma bardziej różnorodne oblicza, bywa przejawem oporu przeciwko podjęciu ról „dorosłych”, uporczywego trwania w kręgu subkultury młodzieżowej w opozycji wobec oficjalnej kultury i establishmentu; bywa zbiorowym atakiem na pozycje społeczne okupowane zbyt długo przez starsze generacje; bywa terenem aktywności „zastępczej” wobec zablokowania dostępu do rzeczywiście ważnych ról w życiu publicznym; bywa wreszcie „kuźnią kadr” organizowaną i kontrolowaną z zewnątrz. Jeśli więc młodzi ludzie występują w roli „młodzieżowców” zamiast zasilać swą energią i inwencją aktywność obywatelską, pracowniczą, czy konsumencką, w dużej części wynika to z zaburzeń startu społecznego, awansu, kariery. Z kolei niski – we wszystkich wysoko rozwiniętych społeczeństwach – prestiż starości sprawia, że *ruch ludzi starych* jako pewnej formacji kulturowej właściwie nie istnieje (chyba, że tak potraktować aktywność społeczną kombatanatów), seniorzy zaś najczęściej organizują się jako nosiciele pewnego ryzyka (np. emeryci). Marginalnym zapewne, ale wymownym zjawiskiem jest ucieczka niektórych najbardziej aktywnych ludzi starszych od organizacjiznaczonych

²¹⁹ Zob. J. Supińska, *Ruch konsumencki w Polsce – zarys problematyki*. W: *Zaradność społeczna*, red. J. Kwaśniewski, R. Sobiech, Wrocław 1990.

etykietką „złotego wieku” do organizacji „ogólnodostępnych”; niektóre z nich są przez nich praktycznie opanowane.

Zespół bardzo różnorodnych ról związanych z uczestnictwem w kulturze, twórczością amatorską, „uczestnictwem w naturze” (ekologizm), sportem, turystyką i wszelką rekreacją łączy najczęściej „wolnoczasowy” i autoteliczny charakter. „Homo ludens” organizując sobie i innym warunki do pełnienia tych ról, podejmując obronę kultury, natury i tężyzny psychofizycznej, przeistacza się w działacza społecznego. W ruchu amatorskim mogą znaleźć namiastkę własnych dokonań i ci, którzy – sami pozbawieni talentów – wspomagają talenty innych. Mieszczą się tu także rozmaite fankluby, stowarzyszenia naturystów, psychotroników czy komitety budowy pomników.

Rola „nosiciela ryzyka socjalnego” zmusza często do aktywności społecznej o charakterze samopomocowym. Na tej zasadzie inicjuje się akcje zbiorowe i organizacje np. inwalidów, emerytów, bezrobotnych, bezdomnych, pozbawionych dostępu do oświaty, kultury, informacji, zagrożonych nędzą, byłych więźniów.

Rola „bliźniego”, kierującego się imperatywem miłości bliźniego, interpretowanym religijnie lub bardzo świecko, przez niewielu jest podejmowana i pełniona „nadaktywnie”, ale trudno jest przecenić znaczenie tych działań dla poprzedniej grupy „nosicieli ryzyk”. Z pełnieniem tej roli wiąże się wszelka działalność określana staroświecko jako filantropijna, charytatywna, ratownicza.

Rola „prozelity”, propagatora wartości religijnych lub ideologicznych – najrzadziej chyba podejmowana spośród wymienionych ról – ma z natury charakter publiczny, może być pełniona np. w stowarzyszeniach religijnych o zadaniach misjonarskich, w organizacjach krzewiących świeckie systemy etyczne lub bardziej kameralnie w mikrośrodkowisku.

Satysfakcja czy deprywacja

Jakie sytuacje życiowe, jakie konteksty pełnienia owych ról, sprzyjają aktywności społecznej? Owa „nadaktywność” może się pojawić wówczas, gdy człowiek wywiązał się perfekcyjnie ze swych prywatnych zadań życiowych związanych z daną rolą i poszukuje dalszych możliwości sprawdzenia się, tym razem już np. w formie pomocy dla innych, którym rola ta nastręcza wiele trudności. Czasami zaś, gdy człowiek nie napotkał w swym życiu osobistym możliwości pełnienia roli, do której czuje się dobrze przygotowany lub którą po prostu bardzo wysoko ocenia, aktywność społeczna stwarza mu szansę „zastępczego” angażowania się w pełnienie tej roli przez innych.

Wreszcie „nadaktywność” może polegać na poszukiwaniu innych osób, które równie silnie utożsamiają się z daną rolą, by we wspólnocie z nimi przeżywać więź emocjonalną i intelektualną, zabiegać o jeszcze korzystniejsze warunki i pozyskiwać nowych adeptów.

Z gruntu odmienne są sytuacje, w których ludzie stają się „nadaktywni”, bo trudno im pogodzić się z koniecznością odgrywania jakiejś – narzuconej im przez okoliczności – roli, lub przeżywają szczególne trudności przy próbach rzetelnego wywiązywania się z tej roli. Tak więc „nadaktywność” może pojawić się zarówno na podłożu satysfakcji, jak i na podłożu deprywacji, jej nasilenie w pewnych dziedzinach nie daje się więc jednoznacznie interpretować. Tyle ogólnych uwag o warunkach „przerastania” ról prywatnych w role społecznikowskie.

Konflikty

I jeszcze jedna uwaga. Skoro rola „działacza społecznego” wyrasta na ogół z nadaktywności w wykonywaniu rozmaitych ról życiowych w społeczeństwie pełnym sprzeczności i konfliktów, również w ruchu społecznikowskim muszą znaleźć odbicie *konflikty ról* (np. między rolą pracownika i rolą konsumenta) i *konflikty w obrębie ról* (np. między różnymi podmiotami gospodarującymi).

Interes własny a interes zbiorowości

Po drugie – warto zastanowić się nad relacjami zachodzącymi „obiektywnie” między interesem osoby aktywnej społecznie a celem tej aktywności, celem tożsamym z interesem szerszej zbiorowości. Aktywność społeczna ma zawsze prospołeczny charakter, wykracza więc poza realizację interesów jednostkowych. Jednak sposób powiązania interesu zbiorowości z interesem jednostki może być różny, od wzajemnego wspomagania aż do przeciwstawności.

Aktywność społeczna bywa podejmowana *w interesie „organicznej zbiorowości”*, której członkiem jest działacz. Zbiorowość ta jest organiczna w tym sensie, że istnieje niezależnie od tej aktywności, jest genetycznie pierwotna w stosunku do niej. Chodzi tu więc o kolektyw pracowniczy, zbiorowość mieszkańców, społeczeństwo obywatelskie. Zabiegając o realizację interesów tych zbiorowości działacz realizuje nie tyle potrzeby innych, ile potrzeby *wspólne*, swoje i innych, przekracza swój egoizm, nie rezygnując jednak z niego.

Bardzo zbliżony charakter ma podejmowanie działalności *w interesie zbiorowości jednostek samoorganizujących się według kryterium jednakiej niedoli jednostkowej lub jednakich dążeń*. Różnica polega na tym, że wyłonienie się tej zbiorowości jako świadomej wspólnoty interesów grupy jest pochodną aktywności społecznej. Izolowane jednostki o podobnych potrzebach, zagubione w różnych zbiorowościach „organicznych” lub nawet w jednej i tej samej zbiorowości – ale w różnych jej segmentach – skupiają się we wspólnocie interesu, nacisku, obrony, ekspansji. Tutaj także działacz stara się realizować potrzeby *wspólne*, swoje i innych. Działając zgodnie z tą zasadą „interesownego altruizmu” aktywniej przekształca swe otoczenie, staje się czynnikiem „strukturotwórczym”.

W ścisłym znaczeniu tego słowa altruistyczna aktywność społeczna polega na realizacji potrzeb innych ludzi, *na wspomaganiu innych jednostek lub zbiorowości, do których się nie należy* („samarytanizm”, „służba społeczna”), kosztem własnej egoistycznej aktywności życiowej. Altruizm jest tu rozumiany nie jako psychologiczna cecha jednostki motywująca ją do działania, lecz jako cecha samego działania, jako dająca się obiektywnie określić relacja między interesem jednostki a interesem zbiorowości.

Tak więc np. działacz samorządu osiedlowego działa w interesie swoim i swoich sąsiadów (których sobie nie wybierał), działacz koła rodziców dzieci niepełnosprawnych działa w interesie swoim i podobnych sobie, którzy odnaleźli się w tłumie rodziców dzieci „normalnych”, działacz ruchu „Muminków” z własnej woli wkracza w świat ludzi przytłoczonych nieszczęściem posiadania dziecka z defektem i niesie im pomoc.

Cele – co zmieniać, jak bardzo zmieniać

Trzecie pytanie brzmi: *jakie mogą być najogólniejsze cele aktywności społecznej?* Konkretnie cele aktywności społecznej zależą od tego, wokół jakiej roli życiowej wyrasta i jakie potrzeby stara się ona zaspokoić. Najogólniej jednak można powiedzieć – nawiązując do typologii ruchów społecznych D. Aberlego²²⁰ – że celem aktywności społecznej może być: albo *zmiana jednostek ludzkich*, albo *zmiana jakiegoś systemu ponadindywidualnego* (w obu przypadkach będzie to „oddziaływanie na otoczenie społeczne”; w pierwszym przypadku jednak otoczenie będzie postrzegane jako zbiór osób, w drugim zaś – jako układ społeczno-instytucjonalny); albo *zmiana częściowa*, albo *zmiana całkowita* (reforma lub rewolucja, alteracja lub transformacja).

Skrzyżowanie tych kryteriów pozwala wyodrębnić *cztery możliwości formułowania celów* w tej samej sytuacji wyjściowej. Przykładowo, jeśli problemem, z którym zmierzyć się ma aktywność społeczna, jest plaga pijaństwa, wybrać trzeba jedną z następujących strategii: a) oddziaływać na osoby nadmiernie pijące i skłaniać je do podjęcia leczenia, lansować styl „kulturalnego picia”; b) oddziaływać na osoby pijące, by rozpoczęły nowe życie w specjalnie w tym celu stworzonym środowisku, izolowanym od „normalnego” pijącego społeczeństwa (idea ruchu anonimowych alkoholików); c) tworzyć instytucje lecznicze i opiekuńcze, gromadzić fundusze na walkę z pijaństwem; d) generalnie „otrzeźwić gospodarkę”, rezygnując np. z ratowania równowagi za pomocą „pijanego budżetu”; e) „otrzeźwić społeczeństwo”, np. wprowadzając prohibicję lub przygotowując „rewolucję moralną” zorientowaną ku nowym pozytywnym wartościom.

Wiele czynników składa się na wybór jednej z tych podstawowych strategii. Tu zwrócę tylko uwagę na czynniki indywidualne – osobowość, doświadczenia

²²⁰ Poglądy D. Aberlego referuje E. Nowicka, *Bunt i ucieczka...*, jw., s. 246.

życiowe, wyznawana ideologia i kompetencje poszczególnych działaczy. Tak więc w każdej konkretnej sytuacji mogą pojawić się obok siebie zwolennicy wszystkich czterech strategii. Przyzwolenie na podjęcie tylko jednej z nich wyeliminuje zapewne część chętnych do działania na tej niwie.

Motywy – dlaczego, po co

Czwarta kwestia – skoro tylko mniejszość ludzi decyduje się na podejmowanie aktywności społecznej, skoro zwykło się uważać zwiększenie tej mniejszości za zjawisko postępowe, dobre i pożyteczne, *warto wnikać w motywy skłaniające do wkraczania na tę drogę życiową*. Nie obejdzie się tu bez wciągnięcia psychologów do współpracy z politykami społecznymi, niezbędne są też badania empiryczne nad rekrutacją uczestników rozmaitych ruchów i inicjatyw społecznych. Sądzę, że na podstawie autodeklaracji i zachowań uda się wyróżnić cztery grupy działaczy, u których dominować będzie jeden z poniższych typów motywacji.

Podział motywów aktywności społecznej na cztery kategorie wynika ze skrzyżowania dwóch podziałów dychotomicznych: motywy altruistyczne i egoistyczne (a więc: troska o potrzeby innych, troska o potrzeby własne), motywy pragmatyczne i pozapragmatyczne (a więc: nacisk na instrumentalne funkcje aktywności, nacisk na autoteliczne funkcje aktywności).

Aktywność podejmowana *po to, aby „złatwić sprawę społeczną”*, zrealizować konkretny interes zbiorowy. Aktywność społeczną wybiera się jako sposób osiągnięcia celu wtedy, gdy okazuje się ona jedynym dostępnym sposobem (sygnalizowana już zbiorowa forma przymusowej „konsumpcji naturalnej”), lub wtedy, gdy okazuje się sposobem najlepszym. Z aktywności społecznej rezygnuje się więc bez żalu, gdy są do dyspozycji kompetentne i sprawne służby profesjonalne.

Aktywność podejmowana *dlatego, że jest ona wartością moralną i społeczną*, wykracza poza swój wymiar prakseologiczny, staje się „dawaniem świadectwa” wartościom, misją propagowania ideału.

Aktywność podejmowana *po to, aby utrzymać lub poprawić swoją osobistą pozycję* w społeczeństwie. Wyróżnić tu można dodatkowo: aktywność społeczną traktowaną jako serwitut niezbędny do utrzymania piastowanego już stanowiska, wykonywanego już zawodu (tę pozorną aktywność uznaliśmy uprzednio za element trybu życia); aktywność społeczną będącą odskocznią do przyszłego awansu zawodowego lub politycznego (np. aktywność społeczna w organizacjach młodzieżowych traktowana przez władze jako „szkółka”, obowiązkowy wstępny staż dla przyszłych funkcjonariuszy); aktywność społeczną podejmowaną dla ukrytych gratyfikacji materialnych, faktycznie związanych z pełnieniem funkcji społecznych, gratyfikacji gwarantowanych tym, których aktywność jest aprobowana, „wygodna”.

Aktywność podejmowana *dlatego, że dostarcza ona działającej jednostce wiele osobistych satysfakcji*, ze względu na takie czynniki jak: możliwość ekspresji uczuć i poglądów, objawiania frustracji lub witalności; możliwość realizacji ambicji przywódczych, „bycia kimś”, ekspozycji własnej osoby (narcystycznej lub ekshibicjonistycznej); upodobanie do wtopienia się w aktywny tłum, „popęd stadny” przeistaczający jednostkę – za jej przyzwoleniem – w bezwolny element porwany przez dynamikę reakcji zbiorowych (upodobaniu temu sprzyja „osobowość autorytarna”, przystosowana do funkcjonowania w strukturach hierarchicznych); upodobanie do uczestnictwa w zbiorowości stopniowo strukturalizującej się, wyłaniającej reprezentantów, ujawniającej wewnętrzne konflikty i rozstrzygającej je w procesie uzgadniania wspólnych programów (temu upodobaniu sprzyja z kolei osobowość demokratyczna). Te dwa typy emocji kolektywistycznych były już sygnalizowane w rozdziale II.

Motywacje „bezinteresowne” wydają się – i chyba słusznie – lepszą busolą dla aktywności użytecznej dla ogółu, służącej postępowi społecznemu, gdyż cel społeczny jest w pełni internalizowany przez jednostkę. *Motywacje osobiste* (czy wręcz egoistyczne) grożą wypaczeniami aktywności, zwłaszcza wtedy, gdy gestorem gratyfikacji jest np. państwo czy pracodawca, a nie zbiorowość, o której interes działacz ma zabiegać. Jednakże i te motywacje mogą dawać pożądaný społecznie efekt, gdy sprawnie funkcjonują mechanizmy kontroli zbiorowości nad działaczami i mechanizmy sprawiedliwego wynagradzania tych, którzy działają dla nagrody.

Odruchy czy postawy

Piąta kwestia wiąże się z długotrwałością działania owych społecznikowskich motywacji. Aktywność społeczna może być jednorazowym zachowaniem, odruchem, może być utrwaloną postawą. Można więc wyróżnić następujące rodzaje osób, które „otarły się” o działalność społeczną:

„*Okazjonałisci*” bywają aktywni społecznie, gdy skłoni ich do tego szczególnie silna rozpacz lub euforia. Te ekstremalne stany uczuciowe, ryzyko wielkiej krzywdy lub szansa wielkiej wygranej, są w stanie wytrącić ich z kolein trybu życia, przejściowo osłabić inercję. Są to więc ci, którzy w zasadzie nie mogą, ale czasami muszą być aktywni społecznie. Maksymalny czas trwania tych dynamicznych przerwaniów monotonna trybu życia określony jest przez dopuszczalne rozmiary dezorganizacji zajęć codziennych i niezbędnych – dopuszczalne tylko wtedy, gdy są krótkotrwałe.

U „*średniodystansowców*” akcja społeczna może trwać dłużej, ale wyraźnie zmierza do osiągnięcia konkretnego celu i zaprzestania działalności. Zarówno wśród „okazjonalistów”, jak i wśród „średniodystansowców” mogą pojawić się „*recydywiści*”, w których biografii pojawiają się nawroty krótkotrwałych zrywów lub dłużej prowadzonych akcji, przeplatane dłuższymi okresami spoczynku.

Działacze permanentni wiążą z aktywnością społeczną swoje poczucie sensu życia i tożsamości, aktywność staje się ich nałogiem, nawet manią, a w każdym razie – postawą.

Z perspektywy biografii działacza społecznego można też wyróżnić subkategorię działaczy *konsekwentnych* (inaczej mówiąc, mało elastycznych), trwale ukierunkowanych ku określonym sposobom i formom aktywności społecznej (np. zinstytucjonalizowane przywództwo w organizacjach opiekuńczych, lojalnych wobec ładu społecznego), oraz subkategorię działaczy *elastycznych* (a mało konsekwentnych), których aktywność wciąż ewoluuje (np. od zinstytucjonalizowanej aktywności opiekuńczej do akcji protestu mającej charakter obywatelskiego nieposłuszeństwa).

Rola dziejowa „okazjonalistów”

Każda próba wartościowania wymienionych rodzajów aktywności może stać się przedmiotem sporu. Niewykluczone, że krótkotrwałe, ale masowe i skoncentrowane w ważnym momencie historycznym, odruchy aktywności społecznej „okazjonalistów” mają donioślejsze znaczenie dla „dobra innych ludzi i walki o postęp społeczny” niż wytrwała działalność wyodrębnionej i wyizolowanej grupy permanentnych działaczy. Sztywność sposobu uprawiania aktywności społecznej, mimo ciągłego doświadczania nieskuteczności tego sposobu, na pewno nie jest zaletą. „Należałoby chyba oceniać wyżej ludzi myślących niż tylko konsekwentnych”²²¹.

Funkcje i role „szczegółowe”

Szósty problem – aktywnym społecznie można być na wiele rozmaitych sposobów. Syntetyczna rola „działacza społecznego” w praktyce zostaje rozpisana na szereg funkcji i ról szczegółowych, wymagających odrębnych „środków wyrazu”, przejawiających się w odrębnych formach działania i strukturach czynności. Są to więc:

Działacze wykonujący „*pracę u podstaw*”, bezpośrednio kontaktujący się z podopiecznymi i wspomagający ich (gdy jest to aktywność opiekuńczo-wychowawcza), wchodzący w bezpośrednie relacje z „przetwarzaną materią” (gdy jest to aktywność w stowarzyszeniach artystycznych lub turystyczno-krajoznawczych). Mogą oni działać w pojedynkę („samotnicy”, „świeccy święci”), mogą też stanowić wyspecjalizowaną i autonomiczną służbę w organizacjach tworzących organizacyjną „czapkę” dla ich działań (zaplecze ekonomiczne, doradcze, propagandowe, obronne); ta pełniona indywidualnie służba jest źródłem legitymizacji owej „nadbudowy”.

²²¹ K. Obuchowski, *Psychologia dążeń ludzkich*, jw., s. 223.

Animatorzy wnoszący ferment w środowisko, definiujący problemy, własnym przykładem pobudzający chęć działania i inwencję w poszukiwaniu sposobów działania zbiorowego²²².

Autorytety społeczne, do których budząca się zbiorowość zwraca się jako do mediatorów, gdy wyniknie spór (aktywność okazjonalna, ale te okazje bywają nader doniosłe).

Przywódcy pozainstytucjonalni („naturalni”) wszczynający akcję zbiorową lub wyłaniający się w jej trakcie.

Przywódcy instytucjonalni, zarówno tacy, którzy tworzą organizację rekrutując jej członków spośród swoich zwolenników, jak i tacy najczęściej spotykani – którzy pełnią rolę reprezentantów rzesz członkowskich²²³. W naszej praktyce społecznej, wobec niedowładu mechanizmów demokratycznych, często reprezentanci de iure stawali się de facto wolontariuszami, gdyż więź z wyborcami bywała bardzo słaba, a desygnowanie kandydatów przesądzało do niedawna o wynikach wyborów. Mimo to aktywność takich przywódców (i działaczy niższej rangi) może być znaczna. Jest ona jednak bardziej narażona na wygaśnięcie, bo „słabo zasilana” przez środowisko, a jej kierunki mogą różnić się z oczekiwaniami zbiorowości.

„*Sztabowcy*”, „*elita decyzyjna*”, uczestnicy akcji zbiorowej mający ambicję wpływu na program tej akcji, występujący jako indywidua lub łączący się we frakcje, porozumienia.

„*Łącznicy*” pośredniczący w relacjach między ścisłym aktywem a ogółem uczestników akcji, transmitujący program działania i zbierający oddolne propozycje jego modyfikacji; na ogół nie mający ambicji wpływania na program, lecz żywo zainteresowani jego budową i realizacją.

Wzorowi uczestnicy akcji (szeregowi członkowie organizacji), chętnie i karnie wykonujący decyzje podjęte przez ich reprezentantów, wytwarzający w swym bezpośrednim otoczeniu atmosferę sprzyjającą upowszechnianiu takiej właśnie postawy.

Mało aktywni uczestnicy, mobilizujący się tylko w kluczowych momentach działalności, a także tacy, u których jedynym przejawem aktywności było świadome – będące manifestacją poparcia „opowiedzenia się za” – przystąpienie do akcji lub organizacji.

Zupełnie bierni uczestnicy, niezainteresowani, nieświadomi wagi akcji (organizacji), ale „zapisani” ze względów konformistycznych, dołączający się w owczym pędzie”. Te „masy członkowskie”, formalnie aktywne, podporządkowują się w istocie swemu trybowi życia. Ich liczebność bywa jednak wspie-

²²² Zob. np. koncepcja „przodowników kultury” nawiązująca do H. Radlińskiej „przodowników społecznych”. A. Kłosowska, *Społeczne ramy kultury*, Warszawa 1972, s. 252 i dalsze.

²²³ Trzy typy liderów przedstawia: Z.T. Wierzbicki, *Badania amerykańskie nad aktywizacją społeczności lokalnej*, „Studia socjologiczne” 1969, nr 2, s. 192.

rającym argumentem dla dążeń części prawdziwie aktywnej i przydaje im siły przetargowej.

Wybór jednej z owych „szczegółowych ról” zależeć będzie między innymi od indywidualnych predyspozycji, od tego, czy działacz czuje się najlepiej nawiązując intymne kontakty z ludźmi, wśród papierów, na mównicy, w ostrej walce słownej z przeciwnikami czy w negocjacjach z przedstawicielami władzy, czy lubi roboczą atmosferę czy celebrację. Nie od niego, a od kontekstu politycznego zależy struktura jego czynności, tj. proporcje między właściwą aktywnością społeczną a zabieganiem o zezwolenie na podjęcie tej aktywności ze strony takich czy innych władz. Zaś proporcje między uczestnikami pełniącymi powyższe „częstkowe” role są jednym z ważniejszych czynników przesądzających o dynamice ruchu społecznego, o jego efektywności i zgodności z dążeniami ludzkimi.

Stopień i sposób instytucjonalizacji

Sprawa siódma i ostatnia – jaki może być stopień i sposób instytucjonalizacji aktywności społecznej? Na wstępie należy wyjaśnić, co oznacza termin instytucjonalizacja. W *najwęższym* rozumieniu zachowania zinstytucjonalizowane cechuje: trwałość, zgodność z wzorami kultury, zgodność z prawem, legalność, formalizacja, czyli uregulowanie przez przepisy. W *najszerszym* socjologicznym ujęciu do zachowań zinstytucjonalizowanych zalicza się często również zachowania usankcjonowane przez obyczaj i niesformalizowane, a czasem także wszelkie zachowania trwałe, choćby były one bezprawne.

Przedstawione zostaną tu w pierwszej kolejności zachowania posiadające wszystkie wyżej wymienione cechy instytucjonalizacji, następnie zaś rodzaje aktywności społecznej pozbawione niektórych lub wszelkich znamion instytucjonalizacji.

Aktywność społeczna w zinstytucjonalizowanych – trwałych, legalnych i sformalizowanych – *grupach celowych* jest najbardziej rozpowszechnionym i przyciągającym najwięcej uwagi rodzajem aktywności społecznej. Jako zinstytucjonalizowane grupy celowe można potraktować *samorządy* różnych typów i szczebli (terytorialny, pracowniczy, spółdzielczy) przypisane do zbiorowości „organicznych”, m.in. takich, które realizują cele ekonomiczne, zarobkowe. Zaliczymy tu również *organizacje społeczne*, a więc organizacje niepaństwowe (odrębne od aparatu państwa) i niezarobkowe (których głównym celem nie jest cel ekonomiczny), których członkowie uczestniczą w tworzeniu bazy materialnej i w zarządzaniu sprawami organizacji. Cechy te właściwe są zarówno partiom politycznym, organizacjom ideowo-wychowawczym młodzieży, jak i związkom zawodowym oraz stowarzyszeniom, w których rozwijać się mogą szczególnie bogate i różnorodne formy aktywności społecznej.

Pole aktywności społecznej w zinstytucjonalizowanych grupach celowych wytyczone jest przez *stopień i sposób ingerencji państwa*, powiązania z pań-

stwem. Aby je określić, trzeba odpowiedzieć na następujące pytania: Czy państwo reglamentuje powstawanie tych grup (i czy kryteria selekcji są ostre)? Czy państwo określa normy regulujące życie wewnętrzne grupy (np. nadając statut)? Czy państwo ingeruje modyfikując decyzje grup celowych dotyczące ich statutowej działalności (i czy ingerencje mają miejsce tylko w przypadkach naruszenia prawa, czy też wiążą się z odmienną interpretacją interesu ogólnospołecznego albo stanowią sankcję za podjęcie działań nieuzgodnionych)? Czy państwo wpływa na dobór przywódców wyłanianych przez grupę (np. przy użyciu narzędzia nomenklatury)? Czy państwo dotuje działalność grupy (i czy jej byt ekonomiczny jest możliwy bez owych dotacji)? Czy państwo powierza samorządowi lub organizacji społecznej zadania zlecone (i czy stanowią one margines czy też istotę działalności)? Czy państwo inspiruje nowe kierunki działalności grupy, czy zasila ją informacyjnie, np. wspierając ekspertyzami i dostępem do danych urzędowych?²²⁴

Rzeczywiste możliwości rozwijania aktywności społecznej w zinstytucjonalizowanych grupach celowych zależą więc od tego, jakich środków użyje państwo w swej polityce i jaki będzie styl tej polityki. Podobne problemy pojawiają się też np. w relacjach między hierarchią kościelną a organizacjami społecznymi stanowiącymi „społeczną otoczkę” duszpasterskiej działalności Kościoła.

Aktywność społeczna jednostek korzystających ze zinstytucjonalizowanych kanałów, takich np. jak instytucja skarg i zażaleń (gdy korzysta się z nich po to, by załatwić sprawę ogólniejszą niż jednostkowa) lub jak konsultacje społeczne „nowego typu”, w toku których wzywa się, aby projekty decyzji rządowych opiniowali – za pośrednictwem środków masowego przekazu – pojedynczy obywatele, a nie reprezentanci zorganizowanych grup społecznych.

W skali lokalnej olbrzymie znaczenie praktyczne ma aktywność społeczna bardzo szczególnego typu, którą można nazwać *aktywnością społeczną drugiego obiegu*. Tak jak drugi obieg gospodarczy polega m.in. na wykorzystywaniu państwowych narzędzi, surowców i kontaktów z klientami do celów prywatnej przedsiębiorczości, tak aktywność społeczna drugiego obiegu polega na spożytkowaniu potencjału produkcyjnego przedsiębiorstw państwowych dla „nieprodukcyjnych” celów rozbudowy infrastruktury społecznej.

Osoby piastujące kierownicze stanowiska w instytucjach gospodarczych i w organach władzy terenowej używają zasobów instytucji w sposób niezgodny ze zleconymi im zadaniami gospodarczymi, kierując się patriotyzmem lokalnym lub interesem wąsko-grupowym. Ich inicjatywy nie są ani zalegalizowane, ani sformalizowane, choć „czynniki zwierzchnie” dają ciche przyzwolenie, „przymykają oko” i rodzi się nowy, coraz trwalszy, obyczaj. Te nieformalne porozumienia byłyby bezsilne, gdyby ich strony nie dysponowały zinstytucjo-

²²⁴ Zob. E. Leś, *Aktywność społeczna w stowarzyszeniach*, IPS UW, Warszawa 1985, (maszynopis).

nalizowanym potencjałem gospodarczym. Jednocześnie, by móc zalegalizować efekty tej działalności, autorstwo przypisuje się często „czynom społecznym” istniejącym tylko na papierze, a dyrektorzy przedsiębiorstw znajdują się na liście członków zarządu jakiejś lokalnej organizacji społecznej. Jest to jednak tylko kamuflaż, istota aktywności mieści się w „drugim obiegu”²²⁵.

W ten sposób wybudowano wiele obiektów wczasowych, sportowych, opiekuńczo-wychowawczych a ekspansja polityki gospodarczej została nieco skorygowana na korzyść polityki społecznej. Są jednak i koszty uprawiania tak szczególnego rodzaju aktywności społecznej – może ją cechować pośpieszna doraźność i niefachowość, kontrola zaś nad dysponowaniem tak powstałymi obiektami może być prywatyzowana (przez lokalne elity) lub co najmniej partykularyzowana (przez załogi przedsiębiorstw – twórców obiektu).

Potencjalny zbiór zachowań, które moglibyśmy określić mianem *niezinstytucjonalizowanej aktywności społecznej*, jest bardzo bogaty, ale nasza praktyka społeczna była do niedawna dużo uboższa. Mieszczą się tu – po pierwsze – doraźne akcje zbiorowe, niesformalizowane, ale zgodne z porządkiem prawnym i nie aspirujące do zmiany tego porządku, polegające na „pracy u podstaw” lub na zgłaszaniu korekt do zinstytucjonalizowanych programów. Po drugie – takie akcje, które wprowadzają się zgodnie z porządkiem prawnym i stawiają sobie dość ograniczone cele, ale odbiegają od rutyny dotychczasowego życia publicznego i zyskują etykietkę niekonwencjonalnych a nawet nie mieszczących się w kulturze politycznej (np. podjęcie działalności w dziedzinie „zarezerwowanej” dla reglamentowanej organizacji społecznej, wysyłanie petycji do władz). I wreszcie działania mające charakter „obywatelskiego nieposłuszeństwa” podejmowane wbrew obowiązującemu porządkowi prawnemu i wbrew uznawanym konwencjom życia publicznego, gdy gorset instytucjonalny okazał się zbyt ciasny dla rozwiązania zadawnionych kwestii społecznych lub dla uzewnętrznienia nowych aspiracji²²⁶. Wszystkie te trzy rodzaje zachowań niezinstytucjonalizowanych nasilają się u nas w okresach kryzysów społeczno-politycznych, słabo zaś są widoczne w okresach stabilizacji.

Resumé

Koniecznym warunkiem upowszechniania aktywności społecznej jest istnienie wielu różnych kanałów i form aktywności społecznej, na tyle różnorodnych, by ludzie o rozmaitych motywacjach, psychicznie predysponowani do pełnienia rozmaitych „szczegółowych ról” działacza społecznego, identyfikujący się z różnymi rolami społecznymi, otrzymali stosowną ofertę.

Natomiast niekorzystna jest sytuacja, gdy zinstytucjonalizowaną (rozumiana tu jako zgodna z prawem i ze wzorami kultury „oficjalnej”) jest praktycznie

²²⁵ T. Żukowski, *Rola przedsiębiorstw w tworzeniu lokalnej infrastruktury społecznej*, „Polityka Społeczna” 1985, nr 4.

²²⁶ Zob. W. Modzelewski, *Walka bez użycia przemocy*, UW, Warszawa 1986.

tylko taka aktywność społeczna, która znajduje dla siebie miejsce w formach instytucjonalizowanych (rozumianych tym razem jak sformalizowane) – a więc głównie w reglamentowanych organizacjach społecznych.

Miejsce dla aktywności życiowej i społecznej

Warunki i blokady aktywności życiowej

Zastanawiając się nad dalszymi perspektywami różnych form aktywności ludzkiej w naszym kraju warto powrócić do głównych uwarunkowań zdolnych sprawić, że wielu ludzi *może, chce i umie* działać (przy czym nie można zapomnieć o podstawowym warunku – o tym, czy im się *pozwala* działać).

Koniecznym warunkiem upowszechniania aktywności życiowej, w tym społecznej, jest zapewnienie ludziom co najmniej *minimum wolności od innych* – narzuconych przez okoliczności życiowe, inercję lub socjalizację – *zadań i czynności pochłaniających energię życiową*.

Do najbardziej obciążających budżety czasu czynników „konkurencyjnych” wobec aktywności można zaliczyć (uwzględniając wszystkie wcześniej zgłoszone zastrzeżenia):

1. *Czas związany z pracą zawodową* – czas, niezbędny do pokonania odległości (nader często znacznej lub sztucznie powiększonej przez niewydolność środków transportu) dzielącej miejsce pracy od miejsca zamieszkania; czas sprzedany pracodawcy, obowiązkowy i nadliczbowy, który bywa często też omalże obowiązkowy (w tym: część tzw. pracy społecznej); czas rzeczywistej pracy, nierzadko wyczerpującej, szkodliwej i niesatysfakcjonującej; czas marnotrawiony przez pracodawcę (np. przestoje), pozwalający wprawdzie zaoszczędzić energię, ale skłaniający do lekceważenia czasu, także tego, którym człowiek dysponuje po pracy, i do bierności w pełnieniu innych ról życiowych. W ten sposób wszelkie negatywne zjawiska występujące w sferze pracy blokujące aktywność profesjonalną – zgodnie z tezą o „jedności podzielonego czasu” – stają się także barierą rozwoju aktywności społecznej po pracy.
2. „*Czas obowiązku*” *po pracy zawodowej*, obowiązku „dorabiania” (będącego pochodną niskich płac); obowiązku prowadzenia „gospodarki naturalnej” (będącego pochodną ubogiej oferty rynkowej, a szerzej – tolerowania sytuacji gospodarczej, w której normą stają się białe plamy w zaspokojeniu podstawowych potrzeb życiowych); obowiązku uciążliwego zdobywania dóbr i usług w sieci dystrybucji rynkowej i pozarynkowej; obowiązku prowadzenia gospodarstwa domowego, szczególnie czasochłonnego, gdy w mieszkaniach, osiedlach, całych miejscowościach brak niezbędnego standardu cywilizacyjnego; obowiązków opiekuńczo-wychowawczych zwiększonych w pewnych typach rodzin przez niedo-

statek instytucji opieki nad ludźmi niepełnosprawnymi i nad dziećmi, a także przez nieumiejętne lub błędne planowanie rodziny (liczby dzieci i czasu ich przychodzenia na świat), prowadzące do kumulacji obowiązków ponad siły w pewnych fazach życia.

3. *Czas rutyny* w realizacji zachowań tzw. wolnoczasowych, czas bezrefleksyjnego powielania wzorów zachowań zaczerpniętych z najbliższego otoczenia.

Wymienione rodzaje zachowań (a przynajmniej – dwa pierwsze) wiążą się z pełnieniem podstawowych ról życiowych. Naturalne i niezbędne jest zatem, aby pochłaniały one większość czasu, energii i uwagi ludzi. Wskazujemy na te ich *cechy*, które niepotrzebnie i destruktywnie zwiększają ich dominację, stając się – m.in. – barierami rozwoju różnych form aktywności życiowej.

Warunki i blokady aktywności społecznej

Ponadto *sama* już aktywność społeczna „dorobiła się” specyficznych blokad skutecznie ograniczających jej występowanie. *Koniecznym warunkiem* upowszechniania aktywności społecznej jest taki stan świadomości społecznej, który cechuje – co najmniej – *minimum zaufania do aktywności społecznej* jako „sposobu na życie”. Żadna, nawet najtrafniejsza, pedagogika społeczna nie będzie w stanie uczynić z postaw społecznikowskich powszechnie obowiązującej normy. Jednakże czym innym jest stwierdzenie – u siebie – braku predyspozycji do aktywności społecznej, czym innym zaś, na pewno niekoniecznym i niepokojącym, jest generalizacja niechętnego stosunku do tej – czyjejkolwiek – aktywności. A o powszechności takiego właśnie stosunku świadczą wyniki wszystkich właściwie badań socjologicznych. Na przykład w 1982 roku 50% młodzieży badanej przez IBPM (Instytut Badań Problemów Młodzieży) sądziło, że angażowanie się społeczne jest bezcelowe, „bo i tak nie można nic zmienić w otoczeniu lub w kraju”²²⁷.

Niezbędne minimum zaufania do aktywności społecznej zależeć musi więc od tego, jak są powszechnie postrzegane: *stopień autentyzmu oferowanych i dostępnych kanałów aktywności społecznej, status i satysfakcja działaczy społecznych, społeczna efektywność ich działań*. Kryzys owego zaufania w naszym kraju wynikł z olbrzymiego rozżewu między deklaracjami o roli aktywności społecznej a rzeczywistością. Instytucje, z którymi działacze współpracują, same stawiają ich często w fałszywej sytuacji i traktują ich tak, jakby byli oni nieautentyczni. Ani wyręczanie instytucji powołanych do świadczenia profesjonalnych usług, ani użyczanie swej osoby jako ornamentu nie wydają się zgodne z ideą autentycznej pracy społecznej.

Działaczem bywało się u nas najczęściej na wezwanie instytucji – liczba i rodzaje ról dla działaczy były z góry przewidziane; czynniki zwierzchnie ne-

²²⁷ Zob. H. Tobiasz, *Aktywność społeczna w instytucjach społecznych...*, jw.

gatywnie oceniały zbyt małą liczbę chętnych do podejmowania tych ról, wymuszały czasem ich podjęcie, ale zbyt duża liczba chętnych też nie była mile widziana. Ciągnąc dalej tę teatralną analogię można powiedzieć, że ważniejsze było, aby działacz grał rolę z właściwej sztuki niż żeby w ogóle grał. Tak więc obok siebie funkcjonowali ci, którzy musieli wejść w rolę działacza, i ci, mniej liczni, którzy nie mogli „dobić się” do pełnienia tej roli, choć – powodowani autentyczną potrzebą – prowadzili „metadziałalność społeczną”, tzn. walczyli o to, by urząd pozwolił im zrobić coś pożytecznego według własnej recepty. Z punktu widzenia władz podaż działaczy była więc zarazem i za mała i za duża.

Jeśli zaś spotkały się ze sobą i podaż, i popyt, tzn. jeśli ktoś chciał i umiał zrobić coś sensownego akceptując ramy oficjalnej organizacji, to wkrótce pojawiały się przeszkody wewnątrz tej organizacji. I to właśnie było specyficzne w sytuacji współczesnego działacza. Opór stawiała mu nie tylko atakowana przezeń materia, ale i instytucja, która go przecież wezwwała do działania. Bardzo często ta wewnętrzna blokada uruchamiała się w tym momencie, gdy ktoś próbował rzeczywiście realizować cele wypisane na fasadzie organizacji *de nomine* społecznej.

Zdarzały się wprawdzie udane eksperymenty, szeroko opisywane i chwalone inicjatywy; zwłaszcza na prowincji, w amatorskim ruchu artystycznym, w niektórych regionalnych towarzystwach społeczno-kulturalnych (a więc w tych dziedzinach, które mają charakter zdobiący i nie naruszają interesów aparatu) lub w ruchu wspólnotowym gromadzącym „nosicieli ryzyka socjalnego”, np. rodziny dzieci specjalnej troski (który nikomu nie przeszkadza, dopóki o nic nie prosi). Ale zbyt rzadko udawało się stwierdzić ich istotną ciągłość i wytworzenie się zwartej aktywnej społeczności. Dopiero wstrząsy lat osiemdziesiątych stały się zapowiedzią i podstawą istotnych zmian przedstawionej wyżej sytuacji. Jednakże parę dziesiątków lat złych doświadczeń sprawiło, że niechęć nie została do końca przełamana. Do zadawnionej niechęci dołącza się nadal wiele obiektywnych blokad, które nie do końca zostały usunięte. Aura społeczna jest coraz bardziej przychylna aktywności podejmowanej dla zysku, z której dopiero niedawno zdjęto oficjalną anatemę. A przede wszystkim jeszcze silniej niż w poprzednich dekadach – dolega przeciążenie szarpaniną dnia powszedniego.

Aktywność w „centrali” i w „terenie”

Ponadto można rozważyć, już znacznie mniej kategorycznie, wiele czynników i okoliczności zdających się zwiększać lub zmniejszać prawdopodobieństwo pojawienia się i ciągłego zasilania aktywności społecznej. Jednym z tych czynników jest *typ środowiska lokalnego będącego sceną aktywności społecznej*, a konkretnie jego „centralność” lub „peryferyjność”, „prowincjonalność”.

W tej kwestii funkcjonują różne – i sprzeczne ze sobą – stereotypy „centrali” i „terenu”, zestawy hipotez, których popularność waha się zależnie od aktualnych okoliczności.

Dla *pierwszego zestawu hipotez* kluczowe jest przypuszczenie, że – z natury – *społeczność związana z centrum polityczno-ekonomiczno-kulturalnym jest przychylniejsza aktywności, a więc i innowacjom*, zdolniejsza do elastycznego przystosowania się do zmian, bardziej liberalna wobec zmian inicjowanych w jej otoczeniu. Członkowie „stołecznych” (i – po części – „wielkomiejskich” i „wielkoprzemysłowych”) mikrospołeczności częściej więc lubią innowacje, umieją sami je przeprowadzać, umieją dostosowywać się do tych innowacji, które ich bezpośrednio dotyczą i umieją tolerować te innowacje, które ich nie dotyczą. Członkowie „stołecznej mikrospołeczności” – częściej niż „na prowincji” – mają wyższe wykształcenie, dostęp do większego i bardziej heterogenicznego zbioru informacji o świecie, częstszy kontakt z nowoczesną techniką i organizacją, cechuje ich większe oswojenie z różnymi stylami życia i systemami wartości, większe oswojenie ze stylem działania rozmaitych instytucji i „otraskanie” niezbędne przy partnerskich kontaktach z tymi instytucjami, tkwią w gęstszej sieci więzi społecznych. W środowisku tym większy jest udział grup zawodowych dysponujących nie normowanym czasem pracy, większą ilością czasu wolnego i lepszą umiejętnością gospodarowania tym czasem, większy udział zmodernizowanych rodzin, partnerskich i małodzielnych itd. To wszystko ma stanowić o bardziej nowatorskim charakterze i o większej skłonności do aktywności środowisk żyjących w bezpośredniej bliskości „centrali”. Naturalnym przejawem ich aktywności staje się presja na podejmowanie reform instytucji centralnych i na innowacje rozprzestrzeniane z centrum na obszar reszty kraju. Może więc wówczas wzrosnąć rola makroskali w reformowaniu polityki społecznej. Wydaje się bowiem, że w centrali klimat społeczny sprzyja reformom, a kontrola społeczna nad konsekwentnym przeprowadzaniem reform jest bardziej skuteczna. „Terenowi” pozostaje absorpcja innowacji „tłoczonych” z centrali kanałami instytucjonalnymi i – równolegle – imitowanych przez „aktywistów” prowincjonalnych zorientowanych na wzory zachowań lansowane przez aktywistów „stołecznych”. Terenowa aktywność społeczna jest w tej koncepcji ważna, ale jest jakby skazana na to, że będzie spóźniona i odtwórcza.

Drugi zestaw hipotez apoteozuje prowincję. Opiera się na założeniu, że środowisko żyjące w ścisłej symbiozie z panującym układem instytucjonalnym musi być nadprzeciętnie zachowawcze, bez względu na rozkład pozostałych cech społeczno-ekonomicznych. Jeśli układ instytucjonalny – jak do niedawna w Polsce – jest silnie scentralizowany, to najbardziej zachowawcza, najmniej podatna na pokusy innowacyjnej aktywności społecznej jest „społeczność stołeczna”. Ponadto członkowie tej społeczności – podobnie jak członkowie każdej prawdziwie wielkomiejskiej społeczności – dysponują różnymi gratyfi-

kacjami, „błyskotkami”, „atrapami aktywności” zachęcającymi do kierowania na inne – np. bardziej hedonistyczne – tory rozpędu życiowego, który w innych warunkach mógłby realizować się w życiu publicznym, w aktywności na rzecz zmiany społecznej. Odmiennie nakreślony jest w tej koncepcji stereotyp „prowincji”, „terenu”. Tutaj ludzie często nie mają alternatyw, głęboko przeżywają depryzację, która wielu z nich – gdy sprzyjać będą temu predyspozycje osobowościowe – zmobilizuje do aktywności społecznej. Ludzie prowincji bywają też mniej kontrolowani i paraliżowani przez instytucje (choć bardziej – przez opinię publiczną). Jeśli nawet instytucje te – formalnie biorąc – dominują nad nimi, to łatwiej jest je „oswoić”, nadwładzić siłą rygorów opłotem więzi bezpośrednich tak typowych dla środowisk prowincjonalnych. Tak więc, jeśli w ogóle gdzieś aktywność społeczna ma szansę na rozwój, trwanie i osiąganie – choćby skromnych – sukcesów, to tylko na prowincji. Choć daleko do stanu, w którym aktywność społeczna stawałaby się dominantą życia prowincjonalnego. Aby aktywiści prowincjonalni mieli „na miejscu” partnera o uprawnieniach władczych, trzeba znacznie zwiększyć znaczenie „mikroskali” w polityce społecznej.

Trzeci zestaw hipotez narodził się w toku polemik z powyższą koncepcją. Tu również akcentuje się wagę nieformalnych więzi bezpośrednich w życiu mikrospołeczności prowincjonalnych, ale inaczej się je ocenia. Lokalne więzi międzyludzkie nie muszą wcale prowadzić do erozji sztywnych struktur instytucjonalnych, a mogą – wręcz przeciwnie – wzmacniać je, podtrzymując nawet te układy instytucjonalne, które tymczasem w centrali – gdzie zabrakło takiej „społecznej protezy” – ulegają rozkładowi. O ile więc w pierwszym zestawie hipotez prowincja była „echem centrali”, a w drugim zestawie hipotez traktowano ją jako „promotora postępu”, to tutaj *prowincja jest postrzegana jako „ostoja konserwatyzmu* zdolna do aktywności społecznej przybierającej formę zakulisowego przeciwstawiania się centralnym projektom reformatorskim. Wniosek praktyczny – konieczny jest jeszcze silniejszy niż w pierwszym zestawie hipotez nacisk na zwiększenie roli makroskali w reformowaniu i prowadzeniu polityki społecznej.

Wiele, nie uporządkowanego jeszcze do końca, materiału pozwalającego weryfikować wszystkie te stereotypy wniosły wydarzenia lat 1980–1981, a potem 1988–1990. Wydaje się, że nie potwierdził się w całej rozciągłości żaden z przedstawionych schematów, choć zapewne dla każdego z nich można by znaleźć konkretną regionalną egzemplifikację. Wydaje się, że przynależność do ponadlokalnych makroregionów o odmiennych tradycjach kulturowych okazała się istotniejszym czynnikiem określającym poziom ówczesnie objawionej aktywności społecznej – istotniejszym, niż ulokowanie mikrospołeczności na skali „od stołeczności do peryferyjności” (nie mówiąc o zasadniczym znaczeniu takiego czynnika, jak obecność wielkich zakładów przemysłowych w środowisku). Okazało się też, że często skuteczniejszy był nacisk na centralne ośrodki

dyspozycyjne, gdy wychodził on ze środowisk lokalnych, „peryferyjnych” pod względem odległości od centrów administracyjno-politycznych, choć zarazem będących centrami przemysłowymi, zaś naciski społeczne wychodzące z centrów administracyjnych były słabe, a w każdym razie lekceważone. Był to jednak czas nietypowej – „pararewolucyjnej” – aktywności, rządzącej się zapewne specyficznymi prawami. Pozostaje otwarte pytanie, czy podobne będą związki między typem środowiska lokalnego a stopniem innowacyjnej aktywności społecznej w warunkach stabilizacji. I – co warto jeszcze raz na zakończenie, podkreślić – *ściśle są związki wzajemne między rozwojem aktywności społecznej w środowiskach lokalnych różnego typu a modelem organizacyjnym polityki społecznej*. Modelem rozstrzygającym, jaka jest rola „makroskali” i „mikroskali” w polityce społecznej, w jakich proporcjach podzieliły między siebie uprawnienia władcze „centrala” i „teren”.

Resumé

Wróćmy do problemu postawionego na początku tego rozdziału. Zrozumiałe jest dążenie polityki społecznej do tego, by ludzie byli kimś więcej niż zjadaczami chleba, wołami roboczymi i mięsem armatnim, reproduktorami i telewidzami. Obok ideału „wszechstronnego rozwoju” przez wiele lat w naszym kraju lansowano ideał „działacza społecznego” sugerując, że samorealizacja poprzez działania interesowne, zyskowe, profesjonalne ma mniejszą wartość. Jednakże dla wielu – zapewne dla większości – ludzi mających swobodę wyboru rozwijanie prywatnych pasji, kultywowanie życia rodzinnego, bogacenie się i pogoń za sukcesem wywyższającym ich nad innych będzie zawsze przedmiotem najwyższych aspiracji. Nastroje te przybierają na sile i trzeba w pedagogice społecznej rehabilitować te typy karier życiowych, nie dezawuuując jednak tradycyjnych społecznikowskich wzorców. Jeśli polityka społeczna ma służyć „dobru człowieka”, to powinna być bardziej zespołem zabiegów poszerzających pole własnej aktywności jednostek niż aktywnością instytucji redukujących człowieka do biernej roli „przedmiotu obróbki” czy narzędzia.

Dylematy instrumentalne

Wstęp

O czym będzie mowa

Nie wystarczy, aby polityka społeczna była *śluszną*. Musi być ponadto *skuteczna*. W przeszło stuletnich dziejach państwowej polityki społecznej na świecie ukształtowało się bogate instrumentarium dostosowane do jej specyficznych celów. Pragnę obecnie dokonać przeglądu tego instrumentarium, zastanowić się nad kryteriami i konsekwencjami wyboru jednych a odrzucenia innych narzędzi. Po omówieniu dylematów towarzyszących wyborowi środków ekonomicznych, informacyjnych, prawnych i kadrowych zatrzymam się dłużej nad szczególnie ważną grupą dylematów – instrumentalnych, ale silnie uwikłanych w aksjologię – dotyczących „stylu realizacji polityki społecznej”. To, co nazywam stylem realizacji, determinuje pozycję jednostki wobec instytucji polityki społecznej pozycję bądź to przedmiotu, bądź to podmiotu. Skoro „diabeł siedzi w szczegółach”, dobór konkretnych środków i stylów realizacji polityki przesądza o tym, czy idee wolności, równości, bezpieczeństwa itp. głoszone jako idee przewodnie polityki społecznej staną się rzeczywistą treścią tej polityki.

Ograniczenia i samoograniczenia sterowności

Najpotężniejsze podmioty polityki społecznej – a więc przede wszystkim podmioty państwowe – dysponują wszystkimi czterema rodzajami środków, tj. środkami ekonomicznymi, informacyjnymi, prawnymi oraz kadrowymi. Rzadko jednak się zdarza, aby jakiś podmiot – nawet państwowy i nawet w państwie niedemokratycznym – miał w społeczeństwie *monopol* na dysponowanie tymi środkami. Musi więc, stosując środki z którejkolwiek z wymienionych grup, uwzględnić fakt, że na tym samym obszarze odbiorca zetknie się zapewne z „konkurencyjnymi” – choć analogicznymi w swej substancji – *oddziaływaniami*: innych agend tego samego podmiotu, odpowiedzialnych np. za politykę

gospodarczą czy „polityczną”, innych podmiotów sformalizowanych (np. partii czy organizacji społecznych), ruchów i inicjatyw społecznych lub instytucji w sensie socjologicznym (np. rodziny), ogniów własnego aparatu wykonawczego, które potrafią autonomizować się i prowadzić własną (może nie usankcjonowaną, ale często bardzo skuteczną) politykę. Ponadto naturalna bariera broni wstępu najbardziej nawet agresywnemu monopolistom do „strefy prywatności”, strefy najintymniejszych zachowań i przekonań, których nie sposób kontrolować – jeśli nie ze względów etycznych, to ze względów technicznych. Trzeba więc pogodzić się z faktem, że jednostka ludzka i rodzina nie są doskonale plastycznym surowcem, poddającym się każdej obróbce. *Zbiorowość „adresatów” polityki społecznej może poważnie odształcać jej ostateczne skutki.* Będzie bowiem reagować bez uprzedniego porozumienia, ale pod dyktando identycznych instynktów, przeświadczeń czy narzuconych przez wspólną kulturę obyczajów. Adresaci polityki mogą też zawiązywać „ciche zмовы” i tak samo autonomizować się i przechwytywać środki centralne, jak ogniwa aparatu wykonawczego polityki społecznej.

Podmiot polityki społecznej musi uwzględniać te wszystkie oddziaływania, niewygodne dla siebie, ale realne, choćby z tego względu, że pojemność percepcyjna adresatów jest ograniczona. Nawet gdyby te policentryczne oddziaływania miały służyć tym samym celom – co zresztą rzadko się zdarza – to brak koordynacji mógłby doprowadzić do „przesterowania”, *znieczulenia i zubożenia odbiorców na nadmiar płynących bodźców.* Zjawisko to nasiliłoby się wówczas, gdyby – co jest omalże regułą – oddziaływania te kolidowały ze sobą, skłaniając do zachowań diametralnie sprzecznych lub przynajmniej odciągających uwagę. Zmniejszona lub wypaczona skuteczność oddziaływań podmiotu „głównego” wynikałaby więc ze zjawiska nazwanego „wichrowatością socjotechniczną”²²⁸. Na te wszystkie zjawiska, ograniczające omnipotencję każdej polityki, będę kładła nacisk analizując środki ekonomiczne, informacyjne, prawne i kadrowe, jakimi może posłużyć się polityka społeczna.

Do tych nieuchronnych, „danych”, ograniczeń dochodzą niejednokrotnie samoograniczenia, jakie nakładają na siebie poszczególne podmioty polityki społecznej lub nawet cały system. Takie dobrowolne *samoograniczenia* są atrybutem pewnych środków i pewnych stylów działania – będą one przedmiotem szczegółowych rozważań w dalszych częściach tego rozdziału. Każda polityka społeczna jest *kombinacją odgórnego sterowania ludzkimi zachowaniami i działań poszerzających pole dla indywidualnej aktywności życiowej* (o której pisałam w poprzednim rozdziale). Im więcej samoograniczenia, tym więcej – rzecz jasna – miejsca dla tego drugiego nurtu działań.

²²⁸ Zob. A. Podgórecki, *Zasady socjotechniki*, Warszawa 1966, s. 44–75.

Cztery rodzaje środków czy cztery wymiary decyzji

Przeprowadzone rozróżnienie *środków polityki społecznej* jest nieostre. W gruncie rzeczy każda decyzja, każde działanie ma wymiar ekonomiczny, informacyjny, prawny i kadrowy, choć zwykle jeden z tych wymiarów wysuwa się na plan pierwszy. Waler głównie symboliczny, a więc informacyjny, mają niektóre świadczenia materialne (np. nieznaczne zwiększanie zasiłków na kolejne dzieci w rodzinie informuje o preferowanym modelu dietności) oraz niektóre zapisy prawne (nie przewidujące możliwości egzekutywy sformułowanych w nich zaleceń); ich główną funkcją jest zatem lansowanie wartości. Problemem na pograniczu instrumentarium informacyjnego i ekonomicznego jest komercjalizacja obiegu informacji (odpłatność poradnictwa, ceny środków społecznego przekazu). Pracownicy socjalni, którzy na podstawie fachowo przeprowadzonego rozpoznania przypadku udzielają podopiecznym uznaniowych świadczeń materialnych, łączą równorzędne oddziaływanie fachowej kadry z dystrybucją środków ekonomicznych. Ale z punktu widzenia odbiorcy rozróżnienie środków informacyjnych, ekonomicznych i prawnych jest klarowne – nie interesuje go, ile kosztowało emitowanie ważnych dlań informacji na falach eteru, jaka była podstawa prawna i obsługa urzędnicza przyznanego mu świadczenia materialnego.

Zależnie więc od tego, jaki rodzaj środków jest wyraźnie preferowany, można mówić o polityce „ekonomocentrycznej”, „informacyjocentrycznej”, „prawocentrycznej” czy „kadrocentrycznej”. Można też próbować wyodrębnić w kompleksie polityki społecznej segmenty wyróżniające się dominacją jednego z tych rodzajów działań. *Wybór między czterema możliwymi dominantami instrumentalnymi byłby więc pierwszym dylematem instrumentalnym wymagającym rozstrzygnięcia.* Wyboru dokonuje się wówczas, gdy rezygnuje się z wykorzystania całego potencjału środków jednego rodzaju, by lepiej wyeksponować i „oczyścić teren” dla innych środków lub innych celów. Jeśli takiej świadomej rezygnacji zabrakło, proporcje między środkami są raczej wypadkową konieczności i okoliczności.

Każdy z wymienionych czterech rodzajów środków ma swoje własne specyficzne cechy i nastrocza wiele specyficznych dylematów. Rozpocznę ich charakterystykę od środków ekonomicznych, im też poświęcę najwięcej uwagi.

Środki ekonomiczne

Rodzaje środków ekonomicznych

Podmioty polityki społecznej dysponujące zasobami ekonomicznymi starają się najczęściej za ich pomocą wpływać świadomie na ludzkie zachowania (tym samym wpływając na poziom i sposób zaspokojenia ludzkich potrzeb) lub czynią to bezwiednie. W polityce społecznej najwięcej zainteresowania wywoływała

zawsze dystrybucja *środków konsumpcji*. Trochę w cieniu pozostawała polityka dystrybucji *środków produkcji*, mimo jej wielkiego wpływu na status i warunki życia takich grup, jak np. rolnicy czy rzemieślnicy. W ostatnim okresie rośnie w naszym kraju zainteresowanie możliwością upowszechniania prywatnej własności środków inwestycyjnych, tak konsumpcyjnych (mieszkania), jak i produkcyjnych. Niejednokrotnie będę o nich wspominać, koncentrując jednak uwagę – tradycyjnie – na problemach konsumpcji. Środki ekonomiczne przybierają postać rzeczy lub usług, wytwarzanych a następnie dystrybuowanych w formie *strumienia*, zużywanych lub odkładających się w *zasoby*. Zasoby te mogą pozostawać własnością ich wytwórcy lub innego podmiotu używającego jednostkom tylko czasowo praw do korzystania z tych zasobów. Na przykład kredyty bankowe są formą korzystania z należących do kogo innego zasobów kapitałowych, zaś usługi placówek infrastruktury są formą czasowego dopuszczania do ich „usługotwórczego” potencjału. Zasoby te mogą także przechodzić na własność ich bezpośredniego użytkownika (producenta lub konsumenta). „Wypuszczenie z ręki” części zasobów państwowych i uhonorowanie prawa innych podmiotów do własności tych zasobów może być – w danym momencie – bardzo silnym impulsem, dającym się wykorzystać jako skuteczny środek oddziaływania, a zarazem na dłuższą metę oznacza zubożenie aktywów mogących posłużyć jako środki ekonomiczne. Podmiot polityki społecznej decydujący się na rezygnację z monopolu własności *ma mniej środków służących uzależnieniu innych od siebie*, może natomiast liczyć na to, że *przybędzie mu podmiotów wspomagających i wyręczających w realizacji rozmaitych zadań*.

Czas pozostający do dyspozycji jednostki bywa traktowany jako *dobro komplementarne* wobec dóbr ekonomicznych (gdyż jest on niezbędny do korzystania z dóbr ekonomicznych, czasochłonna jest zarówno konsumpcja, jak i produkcja) lub jako ich *substytut* (gdyż ludzie podejmują decyzje sprzedaży swego czasu w zamian za płacę, rezygnacji z zarobku na rzecz czasu wolnego, zakupu czasu wolnego w postaci usług czasoszczędnych)²²⁹. Toteż podejmuje się próby szacowania ekonomicznej wartości czasu – przede wszystkim czasu wolnego – i tym samym traktuje się go jako specyficzne dobro ekonomiczne²³⁰. Dystrybucja tego dobra wśród ludzi może być kontrolowana i może być używana jako ekonomiczny instrument polityki społecznej.

Po co ludziom są potrzebne dobra ekonomiczne

Definiującą cechą dóbr ekonomicznych jest ich względna rzadkość, permanentny niedobór – w odróżnieniu od tzw. dóbr wolnych. Czy można zatem mó-

²²⁹ Zob. A. Tymowski, *Budżet pieniężny a budżet czasu*, cz. I i II, Roczniki IHW 1972, z. 2 i 3.

²³⁰ Zob. M. Rakowski, *Efektywność wzrostu wolnego czasu a programowanie wzrostu społeczno-gospodarczego*, Materiały Instytutu Planowania nr 5, Warszawa 1976.

wieć o ewentualności *nadmiaru* dóbr ekonomicznych? Jednostka może natknąć się na nieprzekraczalne granice, poza którymi przyswojenie sobie wszystkich wartości użytkowych nagromadzonych dóbr staje się niewykonalne. Granice te są ciśniejsze, gdy ludziom brak czasu na konsumpcję lub produkcję. Jednak dobra ekonomiczne mają dla ludzi znaczenie z bardzo wielu względów. Pożądanie dóbr ekonomicznych jest silne nie tylko wśród ludzi ubogich i można je wykorzystywać, by uruchomić ludzkie motywacje.

Środki ekonomiczne mogą z punktu widzenia jednostek pełnić rozmaite *funkcje*: funkcję *bezpośredniego wykorzystywania ich wartości użytkowych* (czy to jako dóbr konsumpcyjnych, czy to jako surowców i narzędzi pracy wykorzystywanych na własny użytek w gospodarstwie domowym); funkcję pomnażania zawłaszczanych indywidualnie wartości ekonomicznych (a więc funkcję *kapitału*; mogą ją pełnić środki produkcji, które – używane z myślą o własnym zysku pomnażają ogólnospołeczną pulę wartości; mogą ją też pełnić dowolne dobra, także stricte konsumpcyjne, jeśli zostaną użyte jako przedmiot spekulacji, co zdarza się często w warunkach „gospodarki niedoboru”); funkcję *tezauryzacji* (im większe niedobory ekonomiczne i im większa niepewność przyszłości trapią społeczeństwo, tym więcej dóbr zaczyna pełnić tę funkcję, wypadając z bezpośredniego użytkowania i odkładając się w „chomikowane” zasoby); funkcję *prestiżową* (kultura typuje dobra, których posiadanie podnosi prestiż jednostki, a także zachowania konsumpcyjne dające ten sam efekt – np. tak często przytaczana przez J. Szczepańskiego jako przykład marnotrawstwa „konsumpcja potłaczowa” polegająca na publicznym niszczeniu dóbr²³¹). Traktowanie dóbr ekonomicznych jako znaków prestiżu może odwracać uwagę od ich wartości użytkowych i sprawiać, że nie zostaną w pełni wykorzystane; mogą się jednak zdarzać i sytuacje odwrotne, snobizm może inicjować nowe, szlachetniejsze kierunki konsumpcji czy działalności gospodarczej.

Obszar niezależności ekonomicznej jednostek

Wobec wielości funkcji pełnionych przez dobra ekonomiczne nie sposób do końca skontrolować i przewidzieć formę ich wykorzystania przez ludzi, jeśli już raz znalazły się w ich gestii. Niewiele tu zmieni nawet bardzo drobiazgowa kontrola rzeczowej struktury dóbr i usług, wytwarzanych i dystrybuowanych przez podmiot o ambicjach monopolistycznych. Jest to więc pierwsze źródło ograniczeń wszechwładzy ekonomicznej (do której w naszych warunkach może aspirować jedynie państwo).

Obszarem względnej niezależności jednostki od ekonomicznej polityki państwa jest, po pierwsze, konsumpcja naturalna, po drugie, nieewidencjonowana działalność zarobkowa. Owocem obu tych rodzajów działań są dobra i usługi,

²³¹ Zob. J. Szczepański, *Konsumpcja a rozwój człowieka. Wstęp do antropologicznej teorii konsumpcji*, Warszawa 1981, s. 180.

których nie uwzględnia się przy obliczaniu dochodu narodowego (jeśli abstrahować od konsumpcji naturalnej w rolnictwie), które pozostają w cieniu, „w podziemiu” i których dystrybucja może bardzo poważnie odkształcić planowane przez centrum proporcje dochodowe i majątkowe. Polityka prowadzona przez państwo na ogół nie umie tych zjawisk radykalnie ograniczyć, natomiast rozrost tej „gospodarki drugiego obiegu” jest z reguły pochodną rozmaitych błędów i niedoskonałości gospodarki „oficjalnej”²³².

Konsumpcja naturalna i obrót naturalny w rodzinie

Konsumpcja naturalna – poprzedzona wytwarzaniem wyrobów i świadczeniem usług dla zaspokojenia potrzeb własnego gospodarstwa domowego – kilkadziesiąt lat temu stanowiła podstawową formę konsumpcji. Długofalowy trend denaturalizacji konsumpcji (i włączenia jej tym samym do sfery życia podległej zinstytucjonalizowanej kontroli) bywa okresowo zakłócany. Czasem przez czynniki dające się pozytywnie ocenić (np. postęp techniczny w gospodarstwie domowym i wzrost ilości czasu wolnego, co sprzyja traktowaniu pewnych rodzajów „pracy dla siebie” jako dającej satysfakcję twórczości), czasem przez czynniki jednoznacznie negatywne (np. chroniczne niedobory na rynku dóbr i usług konsumpcyjnych).

Za zjawisko zbliżone można uznać „obrot naturalny” w ramach wielkiej rodziny, dokonujący się pomiędzy spokrewnionymi gospodarstwami domowymi. W tym przypadku wymyka się spod ewidencji i kontroli państwa ostateczny rezultat tego krążenia dóbr, zwłaszcza pomiędzy starszą i młodszą generacją, między utrzymującymi się z pracy i ze świadczeń społecznych. W pewnych przypadkach jest to przepływ środków od gospodarstw bardziej do mniej zaможnych, w innych – być może częstszych – jest to wzajemna samopomoc w gronie ubogich lub w ekskluzywnym gronie bogatych²³³. Te krewniacze więzi ekonomiczne można by oceniać jako materialny wyraz siły więzi emocjonalnych, a więc zjawisko pozytywne, gdyby nie było ono często wymuszone i sztucznie podsycane przez gospodarkę niedoboru.

Drugi obieg gospodarczy

Natomiast trudniej dopatrzeć się budujących moralnie treści w „drugim obiegu gospodarczym”, w spekulacji, wytwarzaniu dóbr i usług poza jakimikolwiek legalnymi strukturami gospodarczymi lub w przedsiębiorstwach państwowych, ale na własny rachunek, przy użyciu własnej siły roboczej oraz narzędzi

²³² Zob. M. Bednarski, *Podstawowe problemy funkcjonowania „gospodarki drugiego obiegu” w Polsce*. W: *Człowiek w systemie gospodarowania*, t. I, PTE, Warszawa 1986.

²³³ Zob. J. Supińska, *Budżety rodzin a budżety gospodarstw domowych*, maszynopis w archiwum Biura Studiów Komitetu Badan i Prognoz „Polska 2000” PAN, Warszawa 1978.

i materiałów będących własnością tego przedsiębiorstwa. „Praca na lewo” jest traktowana jako zjawisko patologiczne i przejaw degradacji moralnej²³⁴. Ale nie brak też głosów, że – jeśli mowa o naszym kraju – działalność ta ratuje nas przed jeszcze większym zaognieniem „kwestii konsumpcji”, zgotowanej nam przez system gospodarczy, a zarazem ratuje ona przed upadkiem sam ten system, łatając najbardziej dokuczliwe luki i oliwając tryby zardzewiałych mechanizmów²³⁵. W najbardziej skrajnych ujęciach wita się większość przejawów tej aktywności z satysfakcją, jako dowód na to, że jeszcze przedsiębiorczość nie zginęła – mimo długotrwałego i intensywnego rugowania postaw przedsiębiorczych – i że istnieją „osobowe” przesłanki reformy gospodarczej bazującej na tych postawach. Jedno jest pewne, zjawiska te – dobre czy złe – zawężają pole manewru każdego podmiotu politycznego chcącego stosować środki ekonomiczne; trudno oddziaływać na nie, trzeba więc przynajmniej orientacyjnie je rozpoznać, by znać własne ograniczenia.

Rola polityka – wytyczanie „dróg do konsumpcji”

Państwowy podmiot polityki społecznej dysponuje – w naszych warunkach – *kilkoma wariantami* „dróg do konsumpcji”, które może w mniejszym lub większym zakresie rozbudowywać i skłaniać ludzi do korzystania z nich²³⁶. Warianty te różnią się między innymi: stopniem swobody pozostawionej „użytkownikom” tych dróg (a więc i stopniem presji, jaką polityk może wywierać na konsumenta-użytkownika, by wpływać na jego rozmaite zachowania), stopniem swobody, jaką sobie pozostawił polityk, zdolnością do szybkich i częstych zmian strategii realizowanych za pomocą tych narzędzi, zdolnością państwa do eliminowania z tej drogi „konkurentów”.

Konsumpcja społeczna

Drogą do konsumpcji dającą gestorowi dóbr największe możliwości ingerowania w zachowania jednostki jest tzw. *konsumpcja społeczna*, a więc nadawanie „uprawnień do konsumpcji” w następującym trybie: *decyzja prawna* określająca szczegółowo, jakim osobom lub kategoriom osób i w jakim rozmiarze przysługują nieodpłatnie konkretne dobra; „darmowy koszyk” wypełniony tymi dobrami; *instytucja konsumpcji zbiorowej*, na terenie której zlokalizowane będą wszystkie zachowania konsumpcyjne jednostki, zmuszonej

²³⁴ Zob. np. W. Nieciuński, *Polityka społeczna a deformacje i zjawiska patologiczne. W: Polityka społeczna w okresie przemian*, pod red. A. Piekary i J. Supińskiej, Warszawa 1985.

²³⁵ Zob. np. A. Iwanowska, M. Federowicz, T. Żukowski, *Ład administracyjny w zarządzaniu gospodarką. W: Człowiek w systemie gospodarowania*, jw.

²³⁶ Zob. A. Kantecki, J. Supińska, *Spoleczne problemy konsumpcji. W: Polityka społeczna*, pod red. A. Rajkiewicza, wyd. III, Warszawa 1979.

opuścić w tym celu swe gospodarstwo domowe (instytucje zbiorowe charakteryzowałam w rozdziale o kolektywizmie). Ponadto konsumpcja ta przybiera czasem formę *przymusową* (jak np. pewne świadczenia ochrony zdrowia czy oświaty).

Kto na tę drogę nie wejdzie

Jeśli zabraknie przymusu prawnego obwarowanego sankcjami, samo uprawnienie do darmowego wstępu w progi placówki zbiorowej może okazać się niewystarczające. *Po pierwsze*, nie skorzystają z tej możliwości ci, którzy nie mają na to najmniejszej ochoty; skuteczność tego instrumentu wymaga więc przekroczenia pewnego *minimalnego progu rozbudzenia potrzeby* w świadomości jednostki. *Po drugie*, odpadną ci, których nie stać na poniesienie *dodatkowych kosztów finansowych*, gdy usługa jest tylko częściowo nieodpłatna lub skorzystanie z niej wymaga dodatkowego ekwipunku, dojazdu itd., a także ci – często ci sami – którzy nie mogą wygospodarować odpowiedniej porcji *czasu* ze swego nie dopinającego się budżetu czasu. Im mniejsze dochody i niższa sprawność życiowa, tym bardziej te niedobory „łata się” dodatkowymi nakładami czasu pracy, domowej lub pozadomowej. Zaś darmowe usługi są najczęściej czasochłonne (w tym sensie, że służą zapełnieniu już posiadanego czasu wolnego, lub – jak np. w zdrowiu czy oświacie – skorzystanie z nich wymaga czasu uwolnionego od innych konieczności, uznawanych za pilniejsze). Natomiast usługi czasoszczędne są najczęściej uznawane za luksusowe i są skomercjalizowane (chyba żeby uznać za nie usługi żłobkowo-przedszkolne, skoro niewątpliwie wpływają one na aktywizację zawodową matek, wyzwalaając niezbędny na to czas). Ów brak pieniędzy czy czasu może mieć charakter absolutny lub względny; względny jest wówczas, gdy w oczach jednostki niekorzystnie kształtuje się relacja między efektem (zaspokojeniem potrzeby nie uznawanej za zbyt ważną) a nakładem (np. wymagającym ograniczenia wydatków na żywność lub skrócenia czasu snu). Hamująco może działać też bariera przestrzenna. I ona bywa absolutna, gdy nie sposób ją pokonać, lub względna, gdy wymaga to zbyt wielu pieniędzy i czasu. *Po trzecie*, splot różnych czynników kształtujących „image” różnych placówek zbiorowej konsumpcji może sprawić, że korzystanie z „darmochy” przynosi ujmę w oczach otoczenia, zaś wysokie ceny innych dóbr i usług sprawiają, że to one właśnie stają się podwójnie pożądane, jako nie tylko pożyteczne, ale i prestiżowe. Tak więc *na tej właśnie drodze do konsumpcji najłatwiej jest politykowi uwierzyć w swoją onnipotencję* i tym dotkliwsze może być jego rozczarowanie.

W imię czego tworzy się sektor konsumpcji społecznej? Administracyjne i arbitralne kreowanie tytułów do konsumpcji zwykło się wiązać z polityką egalitaryzującą i zabezpieczającą. Jednak nie ma żadnych technicznych prze-

szkód, aby tą metodą utwierdzać przywileje dla „silniejszych” czy osłabiać poczucie bezpieczeństwa²³⁷.

Wersja „uprywatniona”

Modyfikacją przedstawionej wyżej drogi do konsumpcji – określaną także mianem konsumpcji społecznej – jest skierowanie rzeczowego strumienia dóbr nie do placówki zbiorowej, a do *indywidualnego gospodarstwa domowego*. W tej „uprywatnionej” wersji jednostka zyskuje pewne możliwości wyborów w ostatniej fazie zachowań konsumpcyjnych (w porównaniu z kontrolowanymi do końca, aż do unicestwienia konsumowanego dobra, zachowaniami konsumpcyjnymi w placówkach zbiorowych), spod kontroli wymyka się ostateczny podział dóbr pomiędzy członkami gospodarstwa domowego (stąd natrętnie powracający we wszystkich dyskusjach przykład alkoholika przepijającego paczki żywnościowe ofiarowane jego dzieciom). Bowiem – jak już pisałam – nawet narzucona z zewnątrz rzeczowa struktura oferty pozostawia ludziom jakąś swobodę wyboru; można to uznać bądź za wadę, bądź za zaletę tego rozwiązania.

Droga „dwupasmowa” – reglamentacja na quasi-ryнку

Znaczne możliwości sterowania i kontroli nad zachowaniami ludzkimi zawiera w sobie również następująca – „dwupasmowa” – *droga do konsumpcji: decyzja prawna* nadająca konkretnej jednostce lub całej kategorii osób prawo do zakupu dóbr, które wcale lub prawie wcale nie są dostępne na rynku; *dochód pieniężny* (z pracy lub innych źródeł, który trzeba zdobyć równoległe z owym prawem): *zakup* na quasi-ryнку; *gospodarstwo domowe*.

Tę drogę zwykło się z kolei kojarzyć z *przywilejami dla tych, którzy są „ważniejsi”*. Ale brak technicznych przeszkód, by na tę drogę kierować bardzo różne kategorie konsumentów (mogą to być i inwalidzi zyskujący asygnaty na zakup samochodów lub narzędzi pracy czy choćby zyskujący pierwszeństwo w sklepowej kolejce, mogą to być dopuszczeni do luksusowych towarów funkcjonariusze wielkich zakładów pracy lub aparatu politycznego). O ile konsumpcja darmowa ma zawsze duży urok, również w warunkach obfitości dóbr na rynku, i przyciąga wielu chętnych nawet bez uciekania się do przymusu, to przedstawiana obecnie droga do konsumpcji staje się atrakcyjna na „pustkowiu rynkowym”. Jest więc jedną z ważniejszych innowacji, jakie za-

²³⁷ Wiele badań wykazuje, że konsumpcja społeczna w większości przypadków trafia do zamożniejszych i wykształconych. Zob. np. T. Dmoch, *Wpływ społecznych funduszy spożycia na rozkłady dochodów ludności*. W: *Tendencje rozwoju społecznego*, GUS, Warszawa 1979, s. 254; J. Szumlicz, *Niepieniężne świadczenia społeczne*, „Polityka Społeczna”, 1986, nr 4.

wdzięczamy „gospodarce niedoboru”²³⁸. Można jeszcze wspomnieć o wariantach pośrednich, kiedy to asygnacie towarzyszy nadzwyczajna obniżka ceny, nawet w stosunku do oficjalnego cennika. Często trudno oszacować, co jest większym magnesem, co skuteczniej zwabia chętnych, skłonnych w zamian zachowywać się w sposób zalecany przez gestora dóbr – czy jest to dopłata do ceny, czy też raczej dopuszczenie do puli dóbr rzadkich. W naszych warunkach istniały, jak się zdaje, takie świadczenia, które są atrakcyjne głównie dlatego, że stanowią o owym „dopuszczeniu do puli”, zaś ich darmowość czy też ulgowość jest zbędna z socjotechnicznego punktu widzenia (tak można było oceniać, w pewnych okresach i w pewnych środowiskach, np. rozdział miejsc w przedszkolach, atrakcyjnych wczasów czy biletów na imprezy kulturalne).

Natomiast konsekwencją dezorganizacji ważnych segmentów rynku bywa – jak w Polsce lat osiemdziesiątych – *prawna reglamentacja konsumpcji mająca charakter powszechny i raczej równościowy*. I ona stanowi „dwupasmową” drogę do konsumpcji, gdyż zarówno pieniądze bez kartek, jak i kartki bez pieniędzy nie wystarczają, by z niej skorzystać. Nie tworzy ona jednak uprzywilejowanych enklaw konsumpcyjnych (wszelkie odmienności w przydzielonej puli są uzasadniane „nierównością żołądków”), jej głównym zadaniem jest zapewnienie wszystkim niezbędnego minimum spożycia i ograniczenie czasochłonności „pogoni za towarem”. Stwarza zarazem pokusę, by wydzielić „enklawy nie dopuszczonych do stołu”, w których znajdują się osoby uznane za społeczne czy też za takie, wobec których państwo nie poczuwa się do obowiązku alimentacyjnego. Taka reglamentacja bywa na ogół wprowadzana jako rozwiązanie nadzwyczajne i chwilowe, jednak wskutek działania „błędnego koła reglamentacyjnego” jest niezwykle trudna do wykarczowania²³⁹.

Konsumpcja rynkowa

Następną drogą do konsumpcji, pozostawiającą jednostkom znacznie więcej swobody w zaspokajaniu własnych potrzeb wedle własnych upodobań i w wielu innych zachowaniach, jest następujący łańcuch przyczynowo-skutkowy: *dochód pieniężny* z pracy lub z funduszy społecznych; *zakup* na rynku; konsumpcja w *gospodarstwie domowym* (z tym, że węższa lub szersza ścieżka boczna wiedzie ku skomercjalizowanym *placówkom konsumpcji zbiorowej*, gdzie – jak już wspomniano – możliwość sprawowania kontroli jest większa). Jeśli źródłem dochodu pieniężnego jest praca, to korzystny punkt startu na tej drodze do konsumpcji powinien – rzecz prosta – zależeć od korzystnych i pożytecznych (w opinii gestora dóbr) zachowań pracowniczych. Nie tylko rozmiar konsumpcji, ale i sama swoboda w realizowaniu roli konsumenta może być traktowana jako nagroda za zdyscyplinowane realizowanie roli pracownika.

²³⁸ Zob. J. Kornai, *Niedobór w gospodarce*, Warszawa 1985, s. 555.

²³⁹ Zob. np. *Umowa o kartki*, pod red. J. Kurczewskiego, IPSiR, Warszawa 1985.

Tyle najogólniejszej charakterystyki tej drogi. Ma ona wiele wariantów. *Na jednym krańcu* znajdzie się wariant, w którym dochody z pracy (a może i sam fakt wykonywania takiej a nie innej pracy) zależą bardziej od decyzji administracyjnych niż od zachowań pracowniczych (omalże w tym samym stopniu, co świadczenia społeczne), zaś rynek jest tak skrupowany „gorsetem reglamentacyjnym”, że niewiele się różni od rozdzielnictwa właściwego konsumpcji społecznej. Zresztą nie tylko konsument, ale i centralny planista miewa na takim rynku niewiele do powiedzenia, gdyż o jego stanie zaczyna przesądzać „dyktat producentów”, a więc zaautonomizowanych ogniw wykonawczych scentralizowanej gospodarki²⁴⁰. *Na drugim końcu* usytuuje się wariant, w którym dochody z pracy rzeczywiście zależą od dokonań pracowniczych, zaś rynek jest rzeczywiście rynkiem. W tym wariacie gestor dóbr dopuszcza możliwość różnych, nie kontrolowanych szczegółowo i nie planowanych, ludzkich zachowań, zarówno w sferze pracy, jak i na rynku.

Bez względu na przyjęty wariant, opisywana obecnie droga do konsumpcji jest w świecie współczesnym najpowszechniej uczęszczana. O jej zaletach i wadach szerzej pisałam w rozdziale II, referując spór na temat modelu konsumpcji. „Drogi” poprzednio opisane, cechujące się bardziej drobiazgową kontrolą „ruchu drogowego”, są zaś – jak dotąd – powszechnie traktowane jako uzupełniające, „specjalne” czy „nadzwyczajne”. Mimo to – jak to bywa z przyprawami – nawet niewielkie wahania w proporcjach pozwalają już mówić o zmianie stylu polityki społecznej.

Droga dla wybrańców?

Na zakończenie omówię *drogę do konsumpcji* najbardziej emancypującą tych, którzy są w stanie z niej korzystać, choć nigdy i nigdzie nie stoi ona otworem dla wszystkich. Oto ogniwa tego łańcucha: *kapitał* (mogą być różne „drogi do kapitału”); *aktywność gospodarcza* na własny rachunek przy wykorzystaniu tego kapitału; *zysk* okrojony przez politykę podatkową państwa; *podział uzyskanych środków* na inwestycyjne i konsumpcyjne; *zakup* na rynku; *gospodarstwo domowe* lub skomercjalizowana *placówka konsumpcji zbiorowej*.

Niektórzy chcą u nas ten wariant wykluczyć lub traktować jako uciążliwą pozostałość, tolerowaną dopóty, dopóki realizuje się na gospodarczych rubieżach, w swoistych „skansenach”. Inni mają doń stosunek ambiwalentny, uważają go za korzystny dla racjonalnego gospodarowania (zwłaszcza lub wyłącznie w mikroskali), ale niekorzystny np. z punktu widzenia zasad równości miar, szans i sytuacji. Opowiadają się więc za traktowaniem tej drogi jako okresowej, a także jako ślepej (gdyż nie chce się dopuścić do akumulacji kapitału ponad pewien – jeszcze strawny ideowo – normatyw ani do dziedziczenia uzyskanych na tej drodze pozycji). Powraca więc wciąż w naszych dyskusjach przykład

²⁴⁰ Zob. J. Kornai, *Niedobór w gospodarce*, jw., s. 178 i dalsze.

NEP-u (polityka gospodarcza komunistycznej Rosji w latach 20. XX wieku). Dla innych wreszcie jest to trakt, który należy wytyczyć jak najszerzej, bowiem pozwoli on połączyć sanację gospodarczą z nowym podejściem do idei demokracji gospodarczej, mającej stworzyć nowe szanse bardziej ludzkiego i pełniejszego życia dla szerokich – choć nie najszerzych – mas ludzi z inwencją i rozpędem życiowym²⁴¹. Spór o miejsce dla tej drogi jest przede wszystkim sporem o wyższość jednego z dwóch ustrojów gospodarczych, ale toczy się również w obrębie każdego z tych ustrojów. Ta droga do konsumpcji, będąca jednocześnie „drogą do pomnażania kapitału”, nie jest dziełem podmiotu politycznego gestora dóbr, ale wymaga jego przyzwolenia. I tym samym otwarcie jej staje się elementem prowadzonej przezeń polityki.

Resumé

Wszystkie opisane tu drogi do konsumpcji mają w naszym kraju starsze lub nowsze tradycje, są nawykowo przypisywane do określonych dziedzin i celów. Sądzę, że warto okresowo odświeżyć stosowane instrumentarium ekonomiczne, odrywać się od stereotypów i na nowo analizować użyteczność poszczególnych technik (bo „drogi do konsumpcji” są przecież technikami) w ich rozmaitych zastosowaniach; innymi słowy, poświęcać więcej uwagi tej grupie dylematów instrumentalnych.

Środki informacyjne

Rodzaje i znaczenie informacji

Informacje docierające do człowieka mogą dotyczyć faktów i ich interpretacji, wartości, mogą kształtować różne umiejętności, w tym umiejętności rozumienia i myślenia. Ich wpływ na zaspokojenie ludzkich potrzeb jest doniosły. „Sensowność i skuteczność zachowania się człowieka zależy od jego orientacji w świecie”²⁴². Źródłem informacji mogą być bezpośrednie doświadczenia oraz przekaz. Szczególnie doniosłą rolę pełnią tu środki masowego – czy też społecznego – przekazu, które wprawdzie powinny służyć dwustronnej komunikacji między podmiotami polityki i różnymi segmentami opinii publicznej, ale częściej kształtują one niż odzwierciedlają opinię publiczną. Informacje o świecie zdobywane w bezpośrednim doświadczeniu są selekcjonowane i interpretowane zgodnie z potrzebami jednostki. Informacje docierające do niej w drodze przekazu są już przez kogoś wyselekcjonowane i zorganizowane (intencjonalnie lub mimowolnie), ale pozwalają jednostce poszerzyć zakres wiedzy o świecie poza krąg własnych doświadczeń, pozwalają też przyswoić sobie

²⁴¹ Zob. *Karta prywatnej przedsiębiorczości gospodarczej*, „Ład” 1987, nr 13, s. 7.

²⁴² T. Tomaszewski, *Struktura i funkcja regulacyjna informacji*. W: *Opinia publiczna i środki masowego przekazu a ujemne zjawiska społeczne*, Warszawa 1981, s. 7.

sposób widzenia świata właściwy danemu kręgowi kulturowemu. „Ten wspólny obraz rzeczywistości odgrywa ogromną rolę w organizowaniu współżycia ludzi, ich współdziałania i ich komunikacji, umożliwia on bowiem przetwarzanie przez nich napływających informacji szczegółowych według jednolitego wspólnego kontekstu”²⁴³.

Granice skuteczności środków informacyjnych

Pojemność percepcyjna ludzkiego umysłu na swoje granice. Granice te są tym ciaśniejsze, im mniej czasu mają ludzie, im mniej są wykształceni, im uboższe – bo nierozbudzone – są ich potrzeby. Ludźmi nieciekawymi świata trudno jest sterować, gdyż informacje nie są dla nich atrakcyjną nagrodą za zachowania, jakich się od nich żąda; nie zrobią też oni właściwego użytku z oferowanej im wiedzy praktycznej. Najwdzięczniejszym odbiorcą informacyjnych oddziaływań są ludzie o już roznieconych ambicjach poznawczych, ale dopiero wkraczający na drogę oświecenia. Na tym też etapie rozwoju społeczeństwa środki informacyjne stają się szczególnie skuteczne. O *nadmiarze informacji* można mówić wtedy, gdy są one wtłaczane w ludzkie umysły mimo objawów „intelektualnej niestrawności”. Jest to zmarnowany wysiłek budzący ponadto niechęć odbiorców (zwłaszcza wtedy, gdy politykę informacyjną cechuje jednostronność i dydaktyzm). Natomiast zawsze mile witany – i nigdy nie traktowany jako uciążliwy nadmiar – jest swobodny dostęp do potencjału takich czy innych „banków informacji”. Z dostępu tego ludzie mogą czynić bardzo rzadko użytek, ale świadomość tej możliwości oddala od nich poczucie zagrożenia dezinformacją i ignorancją. Czym innym zatem jest rozmiar strumienia informacji emitowanych do odbiorcy, informacji przyswojonych przez odbiorcę i rozmiar zasobów informacyjnych potencjalnie dostępnych. Ten ostatni może być śmiało maksymalizowany bez obawy o to, że doprowadzi do „embarras de richesse”.

Opór jednostki przeciwko przyswajaniu nowych informacji wyznaczający górną granicę stosowania środków informacyjnych – wynika nie tylko z nadmiaru wtłaczanych informacji. Inne istotne czynniki to cechy indywidualne („otwartość” lub „zamkniętość” umysłu), przejściowa „fiksacja” poznawcza będąca reakcją na pewne trudne sytuacje życiowe lub będące trwałym uogólnieniem doświadczenia „indywidualne teorie rzeczywistości”, tradycje kultury narodowej, elementy kultury środowiskowej (np. deformacje profesjonalne). Głównym źródłem oporu jest więc „ustabilizowany” obraz rzeczywistości, wytwór zgromadzonych uprzednio i utrwalonych informacji. „Zasób” powstrzymuje więc i modyfikuje napływający „strumień”, procesy asymilacji (dopasowania napływających informacji do posiadanego obrazu) konkurują z procesami akomodacji (dopasowywania posiadanego obrazu do nowych informa-

²⁴³ Tamże, s. 12.

cji). Ponadto, co szczególnie ważne dla polityka, psychologowie dawno już udowodnili, że na fakt przyjęcia lub odrzucenia informacji wpływa nie tylko jej treść, zgodność z dotychczasowym obrazem świata, ale i jej źródło. *Ważne jest, kto i w jakiej sytuacji informację przekazuje*, jaki jest emocjonalny stosunek odbiorcy do nadawcy i jakie jest jego zaufanie do rzetelności nadawcy²⁴⁴. Wynika z tego, że pewne podmioty polityki informacyjnej mogą stać na z góry przegranych pozycjach i perfekcjonizm stosowanych technik propagandowych niewiele tu może zmienić.

Kryteria oceny technik propagandowych

Opracowano i opisano wiele technik propagandowych, które zmniejszają opór odbiorców przed przyjęciem tych informacji, które polityk emituje w celu dokonania zmian w postawach i zachowaniach jednostek. Zadanie to jest łatwiejsze wówczas, gdy zmierza się jedynie do wzmocnienia już ukształtowanych – choćby w zarodku – przekonań. Zmierzając do zmian bardziej radykalnych trzeba najpierw zdeintegrować dotychczasowe postawy, a potem dopiero formować postawy nowe²⁴⁵. Działania te mają – jak już wspomniano – swój wymiar ekonomiczny. Szczególnie skuteczne, ale też szczególnie kosztowne są oddziaływania przy użyciu najnowocześniejszych środków społecznego przekazu. Trzeba więc zawsze pytać o *opłacalność* wielkich kampanii propagandowych, odniesioną do stopnia prawdopodobieństwa osiągnięcia pożądanych skutków i do rangi ważności owych skutków.

Już teraz trzeba podkreślić, że *nie wolno oceniać tych technik wyłącznie z punktu widzenia ich użyteczności, konieczne jest ponadto wprowadzenie „ograniczników aksjologicznych”* eliminujących techniki wątpliwe etycznie, wypaczające osobowość czy zniewalające ludzi. Przykładowo, zawsze mniej wątpliwości będą budzić oddziaływania zwalczające uprzedzenia i fobie niż rozbudzające nowe irracjonalne przesady i stereotypy. Zupełnie inny – i dużo mniej kontrowersyjny – charakter mają te oddziaływania, których celem jest dostarczenie ludziom tych informacji i umiejętności, które pozwolą potencjalnym postawom przekształcić się w realne zachowania, których istotą jest więc dostarczenie jednostkom środków informacyjnych *niezbędnych do realizacji ich „indywidualnej polityki życiowej”*.

Monopol informacji a deformacje opinii publicznej

Obieg informacji w Polsce powojennej był zawsze przedmiotem usilnych *zabiegów monopolizacyjnych państwa*. Spontaniczny pluralizm tego obiegu

²⁴⁴ Tamże, s. 19 i 11.

²⁴⁵ Zob. T. Mądrzycki, *Psychologiczne prawidłowości kształtowania się postaw*, Warszawa 1970, s. 163–189.

okazywał się jednak szczególnie oporny na te zabiegi, a opór ten zdawał się nawet z biegiem czasu narastać. Monopol podmiotów państwowych na emitowanie informacji – o tyle, o ile udaje się go wprowadzić – wydaje się zjawiskiem szkodliwym i to niezależnie od oceny słuszności (np. wzmożenie poczucia bezpieczeństwa, o czym była mowa w jednym z poprzednich rozdziałów). Jednostronna selekcja nadawanych informacji (będąca konsekwencją i celem monopolu informacyjnego) i podejrzliwa kontrola wszystkich innych wypowiedzi publicznych – a bywa, że i prywatnych – nie dopuszczają do tworzenia się *opinii publicznej*, tej instytucji umożliwiającej autentyczną wymianę informacji.

Myślenie ludzi o sprawach publicznych nie zawsze przeistacza się wtedy w poglądy zwerbalizowane, wewnętrznie uzgodnione i skonfrontowane z poglądami innych. Bywa ono wówczas domeną emocjonalnych odruchów, prymitywnych stereotypów – lub zamiera. W skrajnych przypadkach schematy języka propagandy utrudniają czy wręcz uniemożliwiają zrozumienie i uogólnienie doświadczeń nabytych w życiu codziennym. Poczucie dysfunkcjonalności języka, w którym można mówić o sprawach publicznych, prowadzi do poczucia ubezwłasnowolnienia w tej sferze działań.

Brak informacyjnych „więzi poziomych” między różnymi środowiskami społecznymi prowadzi do zaniku łączności między nimi, do atomizacji społeczeństwa w skali mezo i makro, opóźniając zrozumienie zarówno wspólnoty, jak i – w innych przypadkach – sprzeczności interesów, różnic stanowisk. A bez tego trudno wyobrazić sobie odpowiedzialny społeczny dyskurs na temat podstawowych dylematów politycznych, w tym – dylematów polityki społecznej.

Inny negatywny skutek to brak kanałów przepływu informacji o lokalnych i środowiskowych innowacjach czy inicjatywach społecznych (jeśli informacje te „nie zmieściły się” w centralnym „kanonie informacyjnym”), co wywołuje u inicjatorów poczucie osamotnienia i utrudnia uczenie się na cudzych błędach. A bez tego trudno wyobrazić sobie upowszechnianie postaw kreatywnych i aktywnych.

Obieg informacji w społeczeństwie jest ze swej natury wielokierunkowy. Jednakże państwo, usiłując skupić w swym ręku monopol na informowanie i pouczenie swych obywateli, podchodzi zarazem bardzo selektywnie do informacji płynących „z dołu do góry”. Domaga się od podwładnych odpowiedzi na zadawane im pytania i zamyka się na te informacje, które obywatele chcą przekazać z własnej inicjatywy (roszczenia, postulaty, projekty reformatorskie dotyczące spraw publicznych itp.), zaś chciwie gromadzi te informacje, które obywatele radziby przed władzą zataić (i rozbudowuje w tym celu sieć poufnych informatorów). Owe spontanicznie przekazywane przez obywateli informacje bywają zresztą przedmiotem znamiennych nieporozumień. Jeśli „nadawcy z dołu” widzą w nich merytoryczny wkład w prowadzoną przez państwo

politykę, to organy władzy, tj. „odbiorcy u góry”, widzą w nich jedynie sygnał o nieołoalności nadawców.

Monopol informacji – niesłuszny, nieskuteczny, nie do utrzymania

Monopol informacji jest więc z *punktu widzenia wielu wartości po prostu niesłuszny*; ten sposób posłużenia się środkami informacyjnymi winien być odrzucony, gdy zastosujemy odpowiednie ograniczniki aksjologiczne. Ocena monopolu informacyjnego będzie również wtedy negatywna, gdy zastosujemy kryterium *użyteczności*. Po pierwsze dlatego, że utrudnia on obywatelom wspomaganie prowadzonej polityki, o czym była przed chwilą mowa. Po drugie dlatego, że jest on bronią obosieczną, odcinając również podmiot władzy politycznej od dopływu prawdziwych i wszechstronnych informacji, bez których trudno mu podejmować korzystne dla siebie decyzje. Na przykład w Polsce lat siedemdziesiątych przeważająca część społeczeństwa uodporniła się na „propagandę sukcesu”, ale uległa jej władza, brnąc w ślełą uliczkę wielowymiarowego kryzysu. Centrum nie tylko uległo własnym sugestiom, ale i uzależniło się od swych informatorów usytuowanych na dolnych szczeblach hierarchii urzędniczej, bezkarnie i we własnym interesie wprowadzających swe władze w błąd. W literaturze wyczerpująco jest opisane zjawisko niewydolności „układu trawienia” informacji, właściwe nadmiernie scentralizowanym systemom²⁴⁶. Również zastosowanie kryterium *nieuchronności* prowadzi do wniosków negatywnych dla monopolu informacyjnego. Nie daje się on po prostu utrzymać, prędzej czy później pluralizm informacyjny musi się w jakiejś postaci odrodzić. W społeczeństwie bezpośrednie przekazy nabiorą wówczas takiego bez małą znaczenia, jakie miały przed erą Gutenberga, wykraczając daleko poza swą naturalną domenę – sferę prywatności. Wzrost roli „pierwszego układu kultury” (w terminologii A. Kłoskowskiej) utrudni oddziaływania wychowawcze państwa, choć będzie on w tych warunkach obarczony tymi wszystkimi deformacjami, o jakich była wyżej mowa. Ponadto, korzystając z szeregu mniej lub bardziej nowoczesnych środków przekazu trafiających do rąk prywatnych, a nader trudnych do skutecznej kontroli – począwszy od radia i maszyny do pisania, poprzez magnetofony, magnetowidy i kserografy, aż do anten telewizji satelitarnej – ludzie zaczną samowolnie tworzyć i wykorzystywać „pozalegalne” enklawy informacyjne, promieniujące na bliższe lub dalsze otoczenie. Nie mówiąc o tym, że łatwo stracić kontrolę nad rozbudowaną siecią własnych agend informacyjnych.

²⁴⁶ Zob. np. S. Kowalewski, *Typowe przejawy patologii w administracji państwowej*. W: *Bariery sprawności organizacji*, pod red. W. Kieżuna, Warszawa 1978.

Dylematy pluralizmu informacyjnego

W Polsce zawsze pozostawiano pewien margines dla polityki informacyjnej prowadzonej przez podmioty niepaństwowe, praktycznie najdonioślejsza była tu działalność Kościoła. Zrozumienie (jeśli nie akceptacja) nieuchronności tego *pluralizmu informacyjnego* znalazło swe odbicie m.in. w koncepcji „społeczeństwa wychowującego”²⁴⁷ i w konstatacji działania wielu mecenasów w polityce kulturalnej (mecenat państwowy, kościelny, wydawnictw „drugiego obiegu” i mecenat zagraniczny)²⁴⁸. *W każdej dziedzinie ludzkich zachowań zderzają się ze sobą wzory i informacje zachęcające do zgoła odmiennych poczynąń*. Przykładowo wskażmy na dylematy szkolnictwa, czy wyposażać młodzież w informacje rozbudzające postawy innowacyjne i krytyczne, a więc świadomie pogłębiać dysonans między oddziaływaniem informacyjnym szkoły i instytucji „dorosłego” życia. Czy też raczej skoncentrować się na wyuczeniu postaw konformistycznych lub „łagodnie adaptacyjnych”, by młodemu łatwiej było później sprostać wymogom owego dorosłego życia i bez oporu – a więc bez ryzyka kary – poddać się sugestiom polityki informacyjnej „dorosłych” instytucji²⁴⁹. Przed tym dylematem staje w gruncie rzeczy każdy podmiot polityki społecznej posługujący się środkami informacyjnymi. *Co maksymalizować, przystosowanie do otoczenia czy zdolność do naprawiania świata?* Jak te kierunki przekształcania postaw ludzkich mają się do dobra jednostki i do dobra wspólnego?

Środki prawne

Działanie środków prawnych – ile sztywności, ile „luzów”

Środki prawne są to informacje o zachowaniach uznanych przez państwo za niepożądane, pożądane lub dopuszczalne. W odróżnieniu od innych informacji wartościujących zachowania (np. od norm obyczajowych); *normy prawne są z reguły opatrzone sankcjami*, na straży których stoi rozbudowany aparat uprawniony do użycia przymusu państwowego. Środki prawne oddziałują na ludzi nie tylko *bezpośrednio* (gdy jednostka staje się obiektem nakazów lub zakazów, lub nawet doznaje sankcji – bywa to udziałem mniejszości), ale i *pośrednio*, już jako „czysta” informacja o tym, jak różne zachowania są w świetle prawa wartościowane, jakie są konkretne przepisy i decyzje. Owo pośrednie oddziaływanie, docierające do ogółu, bywa często uznawane za donioślejsze. Można do niego odnieść te wszystkie uwagi, jakie wypowiedziane tu zostały

²⁴⁷ *Raport o stanie oświaty w PRL*, Warszawa 1973, s. 295 i dalsze.

²⁴⁸ Diagnoza po raz pierwszy sformułowana przez A. Sandauera, potem powtórzona m.in. w wywiadzie z ministrem A. Krawczukiem w „Przeglądzie Tygodniowym”, 1987, nr 31.

²⁴⁹ Zob. A. Siciński, *Społeczeństwo istniejące a społeczeństwo pożądane*. W: *Społeczeństwo wychowujące. Rzeczywistość i perspektywy*, pod red. B. Suchodolskiego, 1983.

pod adresem środków informacyjnych. Więcej specyficznych problemów nastrocza bezpośrednio oddziaływanie prawa.

Prawo – ściśle rzecz biorąc – jest zbiorem norm ogólnych, a więc ustanowionych przez państwo reguł postępowania, które nie wyczerpują się w toku jednorazowego zastosowania, czyli mają cechę trwałości. Nie są też adresowane do konkretnych indywiduów, lecz do każdego, kto znajdzie się w sytuacji określonej normą, lub przynajmniej do każdego, kto ma określone cechy. Środki prawne będące do dyspozycji państwa nie sprowadzają się jednak do *prawodawstwa*, tj. stanowienia norm ogólnych. W pojęciu tym mieści się również „prawo w działaniu”, a więc *stosowanie prawa* przez kompetentne organy decyzyjne w ramach pozostawionych im przez prawodawcę „luzów decyzyjnych”; m.in. stanowienie norm indywidualnych, podejmowanie przez państwowe organy administracyjne lub sądowe decyzji adresowanych do poszczególnych osób i dotyczących poszczególnych sytuacji. W pojęciu tym mieści także *korzystanie z prawa*, a więc korzystanie z uprawnień przysługujących „odbiorcom” prawa i korzystanie z kompetencji przyznanych „wykonawcom” prawa (instytucjom penitencjarnym) w ramach „luzów wykonawczych”, pozostawionych przez organy prawodawcze i decyzyjne.

Im więcej wspomnianych luzów, tym większa rola niższych szczebli aparatu strzegącego prawa i tym większa rola funkcjonariuszy tego aparatu. Polityka może być wówczas bardziej elastyczna, ale często u „odbiorców” prawa pojawia się poczucie braku stabilizacji i poczucie uzależnienia od funkcjonariuszy, rodzące u obu stron pokusę tworzenia układów korupcyjnych. Im „ciasniejsze” prawo, tym większa jasność reguł gry i większe poczucie stabilizacji, co nie znaczy, że owe stabilne reguły zawsze są miłe.

Odmienne efekty dają „luzy” pozostawione jednostkom przez obszerny dział prawa zwany *prawem cywilnym*. Tutaj panuje swego rodzaju „samoobsługa decyzyjna” w zakresie norm indywidualnych. Funkcjonariusze nie podejmują tu decyzji, lecz obsługują „dogadywanie się” stron zawierających umowę i następnie – ewentualnie – obsługują rozstrzyganie wynikłych między nimi sporów. „Luzy” przysługują więc nie wykonawcom, a odbiorcom prawa.

Skuteczność a nakładochłonność

Skuteczność środków prawnych może być mierzona mniej lub bardziej powierzchownie. Skuteczność behawioralna sprowadza się do rezygnowania z zachowań zakazanych, wykonywania nakazów i korzystania z możliwości przez odpowiednie kategorie osób. *Skuteczność głębiej pojęta* polega na trwałym osiągnięciu pożądanego stanu społeczeństwa, a także na trwałym ukształtowaniu ludzkich postaw sprzyjających temu stanowi²⁵⁰. Rozróżnienie

²⁵⁰ Zob. J. Wróblewski, *Opinia publiczna a polityka prawa, wybrane zagadnienia teoretyczne*. W: *Opinia publiczna i środki masowego przekazu...*, jw., s. 23–24.

to odpowiada więc rozróżnieniu efektów socjotechniki pierwszego stopnia – zmierzającej jedynie do zmiany zachowań, i socjotechniki drugiego stopnia – zmierzającej do interioryzacji nowych wzorów zachowań przez ludzi będących obiektem socjotechnicznych oddziaływań²⁵¹. Każda z tych socjotechnik dysponuje odrębnym instrumentarium, ideałem zaś jest ich komplementarność. Zarazem – jak to widać na przykładzie norm prawnych – ten sam środek może jednocześnie emitować oddziaływania obu typów, choć pewne efekty będą widoczne szybko, a inne – po dłuższym czasie.

Najłatwiej jest mierzyć skuteczność w pierwszym rozumieniu, choć i tu pojawia się wiele problemów (np. czy lepszą miarą skuteczności zakazów jest spadek częstotliwości zachowań zakazanych, spadek udziału recydywistów wśród ogółu skazanych itd.).

Nie bez znaczenia jednak jest pytanie o koszt uzyskania tak czy inaczej definiowanego skutku. A. Podgórecki proponował porównywać „produktywność aktu normatywnego” z kosztami aparatu administracyjnego potrzebnego do jego obsługi, by dokonać rachunku „...opłacalności skutków aktu normatywnego przy danym nakładzie środków wyłożonych na rozbudowę i podtrzymanie działania tejże administracji. Często może bowiem być tak, że słaby stopień produktywności aktu normatywnego (nawet przy sprawnym wykonywaniu tego aktu) nie usprawiedliwia istnienia aparatu administracyjnego, zajmującego się jego realizacją”²⁵². Rachunek ten powinien objąć nakłady wszelkiego typu (nie tylko ekonomiczne, ale i „kadrowe” oraz „informacyjne”) i mógłby posłużyć do *klasyfikacji norm prawnych na „nakładochłonne” i „nakladooszczędne”*. Przy ocenie środków prawnych można mówić także o „kosztach moralnych” – które, nawet jeśli uznamy je za dopuszczalne, są dolegliwe – oraz o „ogranicznikach aksjologicznych” sprawiających, że pewne typy rozwiązań prawnych i pewne typy sankcji (np. łoże tortur) są niedopuszczalne, nawet gdyby były bardzo skuteczne.

Kluczowym z punktu widzenia skuteczności składnikiem normy prawnej jest sankcja. Prawo posługuje się w różnym wymiarze i z różną częstotliwością następującymi *rodzajami sankcji*: sankcjami represyjnymi, wśród których wyróżnia się kary kryminalne, kary dyscyplinarne, zwolnienia z pracy, degradacje itp.; sankcjami restytucyjnymi, usuwającymi wyrządzoną szkodę lub, gdy nie jest to możliwe, przybierającymi postać odszkodowania czy też kary umownej; sankcjami nieważności, pozbawiającymi nielegalne działanie skutków prawnych; sankcjami o charakterze prewencyjnym, mającymi najkrótszą historię ale coraz częściej stosowanymi (np. będzie to pozbawienie praw rodzicielskich lub umieszczenie w ośrodku przystosowania społecznego)²⁵³.

²⁵¹A. Podgórecki, *Zasady socjotechniki*, jw. s. 24–25, 151–154.

²⁵² A. Podgórecki, *Socjologia prawa*, Warszawa 1962, s. 168.

²⁵³ Zob. *Prawne podstawy resocjalizacji i zapobiegania przestępczości*, pod red. A. Krukowskiego, Warszawa 1979, s. 17.

Najbardziej nakładochłonne wydają się – z jednej strony – kary kryminalne i – z drugiej – sankcje prewencyjne, a więc dwa rodzaje sankcji charakteryzujące się przeciwstawną filozofią. Kary kryminalne są przede wszystkim „inwestycyjne” i „kadrochłonne”, zaś sankcje prewencyjne są „kadro-” i „informacyjochłonne”. Sankcje muszą być dobrze dobrane do kategorii osób i kategorii czynów, jakich dotyczą.

Czy i w tej dziedzinie można mówić o możliwości „przedobrzenia”, osłabienia skuteczności *nadmiarem* ingerencji prawnej? Na pewno tak, zaś o nadmiarze można mówić w kilku znaczeniach. Prawo może usiłować objąć swą regulacją zbyt rozległy repertuar zachowań, może operować sankcjami zbyt licznymi i zbyt intensywnymi, wreszcie może nadmiernie rozbudować swój aparat, tracąc stopniowo panowanie nad nim. Ponadto prestiż prawa podkopują nierównomierności polegające na tym, że wielu norm nie opatrzone sankcjami, zaś wielu sankcjom nie zapewniono egzekutywy.

Obok tych „technicznych” błędów wymienić można niepowodzenia polityki prawa wynikłe z *rozbieżności aksjologicznych* między prawodawcami, wykonawcami i odbiorcami prawa. Wielokrotnie już udowodniono, że prawo jest najskuteczniejsze wówczas, gdy normy prawne zyskują dodatkową sankcję potocznej moralności i obyczaju²⁵⁴.

Jaki monopol prawny państwa

Formalnie rzecz biorąc, *monopol państwa na operowanie środkami prawnymi* wydaje się oczywisty. Nie znaczy to jednak, że normy prawne są bezkonkurencyjne; często odmienne reguły zachowań podsuwane są przez kulturę i obyczaj, poza tym wiele osób dobrowolnie poddaje się rządowi norm wewnątrzorganizacyjnych, wymogom związków wyznaniowych itd. Ponadto na państwową politykę prawa oddziałuje opinia publiczna. W tej kwestii możliwych jest kilka wariantów, wiele mówiących o społecznym charakterze i ustroju państwa.

1. *Prawodawca liczy się z opinią publiczną, gdyż uważa to za swój obowiązek*, za podstawę legitymizacji władzy. Wpływ opinii publicznej na politykę prawa zyskuje więc sankcję ideologiczną, natomiast techniczne rozwiązania mogą być różne – albo odpowiednie instytucje reprezentujące opinię publiczną biorą udział w sformalizowanych procedurach demokratycznych, albo prawodawca bierze pod uwagę wyniki badań opinii publicznej lub inne, bardziej spontaniczne, przejawy tej opinii (w tym ostatnim przypadku brak gwarancji instytucjonalnych realności tego wpływu).
2. *Prawodawca liczy się z opinią publiczną ze względów prakseologicznych*, wie bowiem, że polityka aprobowana jest skuteczniejsza, zaś lu-

²⁵⁴ Zob. M. Borucka-Arctowa, *O społecznym działaniu prawa*, Warszawa 1967, s. 31 i dalsze.

dzie łudzący się, że ich wysłuchano, stają się lepszymi wykonawcami i odbiorcami tej polityki; i tu techniki mogą być różne – symulacja demokracji, rozmaite konsultacje i dyskusje, których wyniki w niejasny sposób wpływają na ostatecznie podejmowane decyzje.

3. *Prawodawca nie chce się liczyć z opinią*, chce nawet działać przeciwko niej, *ale chce ją poznać*, a także – vice versa – chce ją zawczasu zapoznać z przygotowanymi projektami prawnymi, by ją stopniowo z nimi oswajać i łagodzić przejawy niezadowolenia „rozcieńczając je” w dłuższym okresie²⁵⁵.
4. *Prawodawca nie chce się liczyć z opinią*, ale lubi przedstawiać swoje decyzje jako reakcję na rzekomy (sfabrykowany i nagłośniony przez ośrodki masowego przekazu) „głos ludu”.
5. *Prawodawca nie liczy się z opinią publiczną, nie usiłuje jej poznać, nie podejmuje przygotowawczych akcji informacyjnych*; ufa bowiem sile przymusu państwowego, słusznie lub niesłusznie. Tutaj państwowy monopol na kreowanie środków prawnych zostaje zmaksymalizowany. Jeśli prawodawca przeliczy się z siłami swego aparatu, ryzykuje, że normy prawne drastycznie sprzeczne z powszechnie aprobowanymi wzorami zachowań będą solidarnie omijane i bojkotowane, zarówno przez odbiorców prawa, jak i przez najniższy szczebel wykonawczy własnego aparatu (czy to będzie ustawa antyalkoholowa czy ustawa o socjalistycznej dyscyplinie pracy). A więc i w tej dziedzinie monopol – rozumiany jako narzucanie bez porozumienia – okazuje się niejednokrotnie nie tylko niesłuszny, ale i nieskuteczny, lub przynajmniej mało produktywny.

Środki kadrowe

Czynnik ludzki

„Czynnik ludzki” w polityce społecznej jest pojęciem wieloznacznym. W polityce społecznej uczestniczą – według jednego z możliwych schematów – „ludzie-demiurzy”, „ludzie-narzędzia” i „ludzie-surowiec”. Niektórzy uczestnicy kręgów decyzyjnych chcieliby widzieć siebie w roli wszechwładnych demiurgów, używając innych jako narzędzi, całą resztę społeczeństwa traktując jako przedmiot obróbki. W najbardziej nawet totalitarnym społeczeństwie nie udaje się utrzymać szczelności tego podziału. Inny schemat będzie ponadto akcentował wagę „zaplecza ludzkiego” polityki społecznej jako takiej lub jej konkretnej strategii, a więc znaczenie tych zbiorowości, które chcą i mogą wspierać – od wewnątrz lub od zewnątrz – tę politykę. W tym fragmencie pragnę jednak zająć się wyizolowanym umownie zagadnieniem „*ludzi-narzędzi*”. Społeczny podział pracy wymaga bowiem powołania „realizatorów polityki

²⁵⁵ Zob. J. Wróblewski, *Opinia publiczna...*, jw., s. 27, 29.

społecznej”, stanowiących jej „środki kadrowe”. Realizatorzy ci mogą pełnić mniej lub bardziej samodzielłą rolę, mogą być mniej lub bardziej postrzegani jako odrębny element tej polityki.

Urzędnicy, nadzorcy, zawodowi przyjaciele, animatorzy

W pewnych przypadkach wśród profesjonalnej kadry realizującej politykę społeczną *dominują funkcjonariusze oddzielonego od odbiorców aparatu*, bezosobowi, regulujący zgodnie z ogólnie ustalonymi schematami i standardami przepływ środków ekonomicznych, informacyjnych i prawnych. Będą to np. pracownicy zakładów ubezpieczeniowych, pracownicy handlu (spomiędzy których tylko część nawiązuje bezpośredni kontakt z klientem, a i oni w warunkach „rynku producenta” bardziej urzędują niż handlują), wreszcie ci wszyscy pracownicy administracji, którzy wpływają na przebieg i czasochłonność „załatwiania spraw w urzędach”, narzuconego jednostkom przez prawo. Podobna jest pozycja masy szeregowych pracowników środków społecznego przekazu, stanowiących niewidoczną podstawę góry lodowej, na której wierzchołku plaśną się – i budzą żywe emocje – rozmaite „osobowości telewizyjne” i inne.

W innych przypadkach – w innych wariantach polityki społecznej – rośnie rola *kadr nawiązujących z odbiorcami bezpośredni kontakt interpersonalny*, wyposażonych w dość znaczne kompetencje w ramach stworzonych przez prawo „luzów” decyzyjnych i wykonawczych (o których już była mowa), zdolnych więc do odcisnięcia indywidualnego piętna na polityce społecznej, często w świadomości odbiorców z nimi utożsamianej. Rodzaje tych kontaktów interpersonalnych są dość różnorodne. Może to być bezpośredni kontakt o charakterze *nadzorczo-represyjnym*, kiedy to rośnie rola funkcjonariuszy policji, prokuratury, służby bezpieczeństwa i służby penitencjarnej, a także np. poborców podatkowych. Wielka jest różnorodność kadr nawiązujących z odbiorcami bezpośredni kontakt o charakterze *opiekuńczo-wychowawczym* i *doradczo-terapeutycznym* – są to pracownicy służby zdrowia, różni „zawodowi przyjaciele” jak pracownicy socjalni, poradnicy, psychoterapeuci, kuratorzy, a także instruktorzy, trenerzy, „kaowcy”, animatorzy i agitatorzy, wreszcie nauczyciele. *Pośredni* typ reprezentuje kadra sędziowska, ławnicy i członkowie różnych ciał rozjemczych, pojednawczych i arbitrażowych; ich zindywidualizowane decyzje dla jednych są opiekuńcze, dla innych – dolegliwe.

I wreszcie specyficzna jest rola takich kadr, jak inspektorzy pracy, inspektorzy ochrony środowiska czy inspektorzy Sanepidu, którzy wprawdzie nie kontaktują się bezpośrednio z „odbiorcami” polityki społecznej – i to ich upodabnia do funkcjonariuszy pierwszego typu, ale za to mają oni prawo działać samodzielnie i z inwencją, chroniąc owych odbiorców polityki społecznej przed szkodliwą działalnością instytucji – co upodabnia ich do „zawodowych przyjaciół”.

Sylwetki zawodowe poszczególnych grup profesjonalnych podlegają zmianom i ich przyporządkowanie też może być zmienne. Na przykład wzrost roli policjanta w realizowaniu polityki społecznej może oznaczać, że służbie tej powierza się dodatkowe zadania resocjalizacyjne w stosunku do łamiących prawo i zadania oświatowo-wychowawcze w stosunku do ogółu społeczeństwa; ale może to też oznaczać, że służba ta zajmie się ściganiem większej liczby – świeżo „skryminalizowanych” – zachowań i inwigilowaniem większej liczby osób. Wzrost roli nauczyciela może oznaczać, że stanie się on ogniwem systemu dyscyplinującego i musztrującego społeczeństwo, lub też, że nastąpił wzrost rangi wiedzy w życiu społecznym; może oznaczać powierzenie mu w rozległym wymiarze roli opiekuna uczniów, partnera pracowników socjalnych i animatora środowiska, w którym tkwi szkoła. Wzrost roli urzędnika może oznaczać, że organizację państwową zżera rak wszechwładnej w swym woluntaryzmie biurokracji, albo że rośnie rola ogólnych norm prawnych wymagających fachowej i neutralnej obsługi; może też oznaczać, że elementem etosu urzędniczego ma stać się osobisty, „ludzki” stosunek do petenta i współpraca ze służbami społecznymi²⁵⁶.

Status i prestiż „realizatorów polityki społecznej”

Każda z wymienionych grup zawodowych ma swoje własne problemy. Jedne z nich mają długą historię i przebyły drogę od podrzędnej pozycji „gorszego rzemieślnika” czy „służby domowej” do pozycji wiążącej się z wymogiem najwyższego profesjonalnego wykształcenia, obdarzanej prestiżem, a nawet czasami dochodowej. Inne są „młode”, czasami startują od razu od cenzusu akademickiego, niekiedy dość długo muszą tkwić w czyścicu lekceważenia. Zwykle bywa tak, że im większy udział funkcji „technicznych”, tym wyższy status zajęcia; im więcej funkcji opiekuńczo-pielęgnacyjnych, tym niższy status (np. pozycja lekarzy zatrudnionych w przychodniach, pielęgniarek i salowych). Nie tylko w naszym kraju kadry polityki społecznej – jeśli ujmować je en bloc – gorzej zarabiają i plasują się na niższych szczeblach rozmaitych „drabin społecznych” niż porównywalne z nimi grupy zawodowe związane z innymi dziedzinami pracy²⁵⁷. Jednym z najbardziej spektakularnych wskaźników tej niższości jest daleko posunięta feminizacja większości tych zawodów, a ponadto permanentny brak pełnej obsady kadrowej, szybka rotacja zatrudnionych, niepodejmowanie wyuczonego zawodu przez absolwentów i późniejsze ucieczki z zawodu. Wszystkie te zjawiska są do uniknięcia, gdy zmieni się pozycja samej polityki społecznej wśród innych segmentów działalności publicznej.

²⁵⁶ Zob. np. W. Toczyski, *Echa eksperymentu koszalińskiego*, „Polityka Społeczna” 1985, nr 11–12.

²⁵⁷ Zob. W. Wesołowski, *Teoria. Badania. Praktyka. Z problematyki struktury klasowej*, Warszawa 1978, s. 107 i dalsze.

Niesprawiedliwa wydaje się teza o negatywnej dziś z reguły selekcji do pracy w „sferze społecznej”. Wydaje się raczej, że najbardziej brak tu „średniaków”, często więc ma miejsce polaryzacja. W zawodzie pozostają najlepší, *przepojeni duchem „służby społecznej”*, kierujący się powołaniem, oraz ci, którzy dostrzegli w sektorze pozostającym na uboczu zainteresowań decydentów *azyl dla bezkarnej bylejakości*. Ci pierwsi często czują się skrzepowani rozmaitymi ograniczeniami, niedorozwojem kompetencji formalnych w stosunku do kompetencji merytorycznych. Toteż nic dziwnego, że spośród nich często rekrutują się aktywiści organizacji społecznych, które próbują dopingować, a nawet dublować instytucje zatrudniające tych samych ludzi „na etacie”²⁵⁸.

Skąd się biorą kadry

Polityka kształcenia, zatrudnienia i awansowania określa długofalowe i do-razne zmiany ilościowe i jakościowe „środków kadrowych”. Doniosłe są decyzje przesądzające o tym, jak w obrębie każdej grupy zawodowej mają się kształtować proporcje między personelem pomocniczym i merytorycznym, między pracownikami przyuczonymi, wykształconymi na poziomie średnim i wyższym, jaka ma być rola i formy kształcenia „permanentnego”.

Nie spotykane w innych dziedzinach zatrudnienia są decyzje o wykorzystaniu darmowej, choć na ogół niewykwalifikowanej, siły roboczej, rozmaitych *wolontariuszy*, skupionych w organizacjach społecznych lub indywidualnie werbowanych. Jest to rozwiązanie mające wiele zalet, tak ze względu na jego taniość, jak i ze względu na bardziej osobisty stosunek wykonawców do powierzonych zadań. Staje się ono jednak niebezpieczne wówczas, gdy hamuje proces profesjonalizacji i ekspansji ważnej sfery działań polityki społecznej (casus opiekunów społecznych i pracowników socjalnych). Problemem aktywności społecznej zajęłam się szerzej w poprzednim rozdziale.

Style realizacji polityki społecznej

Koncepcja człowieka w różnych stylach realizacji polityki społecznej. Założenie czy efekt

Ogół środków, jakimi dysponuje polityka społeczna, można porządkować i analizować na wiele sposobów. Za bodajże najważniejsze kryterium porządkowania – na tyle ważne, że „stylotwórcze” – uważam *koncepcję człowieka* zawartą implícite w każdym ze stosowanych przez politykę społeczną środków. Skoro polityka społeczna omalże bez przerwy zmierza do wpływania na ludzkie zachowania (bo zaspokajanie potrzeb łączy się z reguły z jakimiś zachowa-

²⁵⁸ Dowodzą tego np. wstępne wyniki badań nad ruchem ekologicznym i konsumenci-ckim, a także nad inicjatywami pomocy więźniom. Zob. *Zaradność społeczna*, red. J. Kwaśniewski, R. Sobiech, Wrocław 1990.

niami), to zwykle zakłada – choćby podświadomie – jaki jest podstawowy mechanizm uruchamiający te zachowania. Toteż najchętniej i najczęściej wybiera te środki działania, które odpowiadają temu założeniu i ich zestaw dominuje w całym instrumentarium, stanowiąc o stylu całej polityki. Stosując to kryterium możemy wyróżnić cztery główne style realizacji polityki społecznej:

1. *Styl rygorystyczny* opierający się na założeniu, że człowiek umie i może, ale często nie chce zachowywać się w sposób pożądaný przez politykę, a głównym motywem kierującym jego działaniami jest *strach przed karą*, minimalizacja przykrości.
2. *Styl bodźcowy* opierający się na założeniu, że człowiek umie i może, ale często nie chce zachowywać się w sposób pożądaný przez politykę, a głównym motywem kierującym jego działaniami jest *dążenie do korzyści*, maksymalizacja użyteczności i satysfakcji.
3. *Styl opiekuńczy* opierający się na założeniu, że ludzie często nie umieją, nie mogą, a nawet i nie chcą żyć godziwie, są więc w pewnym sensie niepełnosprawni i trzeba ich proteżować; motorem ich rozwoju mogą stać się „inwestycje w człowieka”.
4. *Styl liberalny* opierający się na założeniu, że ludzie umieją i chcą żyć godziwie i wykorzystywać swój potencjał, jeśli usunie się zewnętrzne bariery blokujące ich spontaniczną aktywność.

Wszystkie te założenia dotyczące „natury ludzkiej” są wręcz prostackie z psychologicznego punktu widzenia. Nie mogą jednak być inne, skoro mają służyć konstruowaniu narzędzi dość schematycznych, bo stosowanych w skali masowej. Może nie są to zresztą tezy ontologiczne, *lecz opcje na rzecz odwoływania się do tej a nie innej strony złożonej osobowości człowieka*, grania na tej właśnie a nie innej strunie natury ludzkiej. A wówczas zasadne stają się następujące pytania: czy trafnie zidentyfikowano ów „czuły punkt” natury ludzkiej, by móc skutecznie modyfikować ludzkie zachowania? Czy stały trening narzucony osobowości przez dany styl realizacji polityki społecznej nie sprawia, że przyjęte założenia stają się coraz prawdziwsze (skoro organ ćwiczony rozwija się, organ nie używany ulega atrofii)? *Być może sam styl realizacji polityki społecznej* (pozornie stanowiący neutralne oprządkowanie, podlegające ocenom wyłącznie prakseologicznym) *przekształca zasadniczo ludzkie postawy* niezależnie od tego, jakim wartościom i celom miał on posłużyć za narzędzie; ludzie stają się wiernym odbiciem tej polityki.

Jak łączyć style

Wyróżnione style realizacji polityki społecznej stanowią swoiste „*typy idealne*”, użyteczne w analizie konkretnej polityki jako punkty odniesienia. W praktyce często łączy się rygorystyczne oddziaływanie na pewne zbiorowości z opiekuńczością wobec innych grup, a kombinacja taka może być racjonalna

i sprawiedliwa. Uzasadnione też bywa bodźcowanie ludzi do zmiany sposobu pełnienia jednej roli społecznej przy jednoczesnym liberalnym podejściu do tych samych ludzi, ale w innych rolach życiowych. Prawdziwą sztuką jest umiejętne – i w odpowiednich proporcjach – *łączenie elementów wszystkich tych czterech stylów* dla realizacji konkretnego zadania. Taka polityka jest nie tylko najbardziej skuteczna, ale i nie pociąga za sobą jako skutku ubocznego wtłaczania złożonych osobowości ludzkich w ciasne schematy. Najczęściej stosowanym narzędziem oddziaływania na ludzkie zachowania, mającym taki „łączony” charakter, jest kreowanie sytuacji ryzyka, którego równoprawnymi elementami są strach przed zagrożeniem i pożądanie nagrody. O różnych odmianach sytuacji ryzyka, a także o wadach i zaletach tego narzędzia pisałam w rozdziale o bezpieczeństwie. Problem ten pojawi się jeszcze przy charakteryzowaniu stylu liberalnego.

Obserwacja życia społecznego podsuwa nam częściej przykłady zachwiania proporcji między czterema stylami działania. Dlatego też warto przyjrzeć się bliżej cechom doprowadzonych do skrajnej konsekwencji „czystych” stylów realizacji polityki społecznej.

Styl rygorystyczny

Styl rygorystyczny gra na nucie strachu i lęku. *Rygoryzm środków ekonomicznych* akcentuje ewentualność restrykcji ekonomicznych wobec osób zachowujących się w określony sposób; tych restrykcji, które towarzyszą orzekanym przez sąd sankcjom prawnym (grzywna, przepadek mienia), i tych, które przybierają postać podatków nakładanych na osoby „nie dość pozytywne” (np. na starych kawalerów). Paradoksalne – im bardziej państwo jest opiekuńcze i im więcej dóbr rozdziela, tym więcej ma okazji i pokus do stosowania restrykcji ekonomicznych (np. groźba pozbawienia – „opiekuńczo” uzasadnionych – kartek żywnościowych wisiała u nas niedawno nad „pasożytami”, którzy przedtem nie mieli do stracenia nic oprócz wolności; a oto przykład z innego podwórka – gdyby w Chinach nie wprowadzono bezpłatnego szkolnictwa, nie można by stosować wobec rodzin wielodzietnych sankcji polegającej na obowiązku płacenia za naukę drugiego i dalszych dzieci w rodzinie).

Rygoryzm środków informacyjnych to nasilony dydaktyzm, w którym każda informacja obarczona jest interpretacją lub jest przez interpretację zastąpiona. Najczęstszym celem akcji propagandowych – odwołujących się, jak w każdej propagandzie, do ludzkich emocji i uprzedzeń – jest piętnowanie niepożądanych wzorów zachowań, „etykietkowanie” określonych kategorii ludzi. Oprócz piętnowania wzorów i postaw podejmuje się też kampanie przeciwko konkretnym „grzesznikom”, zarówno w środkach społecznego przekazu, jak i w środowisku pracy i zamieszkania (inspirowana krytyka na zebraniach, gazetki ściennie itp.). Sądzi się przy tym, że im większy strach i im ostrzejsze piętnowanie, tym lepiej. Ignoruje się więc wyniki badań psychologicznych wykazujące, że najskuteczniej

na zmiany postaw wpływają informacje budzące lęk słaby lub średni, natomiast silny lęk może prowadzić do usztywnienia postaw, fiksacji²⁵⁹. Posłuszeństwo, służbiwość, bezgraniczna ufność wobec urzędowych autorytetów, nietolerancja wobec dewiantów, delatorstwo są lansowane jako cnoty społeczne. Uważa się więc za użyteczne socjotechnicznie nie tylko wzbudzanie lęku, ale i wywoływanie innych negatywnych emocji – pogardy, lekceważenia, gniewu. Pozytywne ich sankcjonowanie pozwala ludziom z dumą demonstrować te uczucia, które w większości systemów etycznych bywały nacechowane ujemnie.

Rygoryzmowi prawnemu poświęca się najwięcej uwagi w literaturze socjologicznej. Już E. Durkheim twierdził, że prawo karne jest niezbędnym spoiwem społeczeństw tradycyjnych, opartych na „solidarności mechanicznej”, strzegących niezmienności powszechnie aprobowanych norm kultury. W społeczeństwach nowoczesnych sankcje represyjne, właściwe prawu karnemu, stosuje się tylko w celu obrony osób i stanu ich posiadania, rezygnując z ochrony tą drogą wartości politycznych, moralnych i religijnych – jako coraz mniej jednoznacznych; zaś pierwszoplanowego znaczenia nabiera prawo cywilne, operujące sankcjami restytucyjnymi²⁶⁰.

Do tej tradycji myślenia przyznaje się znaczna część polskich socjologów i prawników wskazujących na niebezpieczeństwa związane z poszerzeniem katalogu zachowań uznawanych za kryminalne, z nadmierną surowością kar, niedocenianiem kar nowoczesnych, dających większe możliwości resocjalizacji dewiantów niż tradycyjna kara bezwzględnego pozbawienia wolności²⁶¹. Podkreśla się, że eksponowanie funkcji odwetu i odstraszania – pełnionych przez kary śmierci i długoletniego więzienia – pobudza agresję w społeczeństwie. Natomiast skuteczność prewencyjna kar jest raczej pochodną ich nieuchronności niż surowości i długotrwałości. O sporach toczących się wokół wpływu zagrożeń na ludzkie zachowania pisałam szerzej w rozdziale o bezpieczeństwie. Wymowa rygorystyki prawnej jest szczególnie groźna, gdy ma on charakter schematyczny i sprzyja arbitralności w definiowaniu dewiantów, a także wówczas, gdy uznaniowość ferowanych przez sądy wyroków nie jest równoważona bezstronnością śledztwa, prawem do obrony i procedurą odwoławczą.

Rygoryzm kadrowy przyznaje znaczne uprawnienia takim – szczególnie tu eksponowanym – funkcjonariuszom, jak rozmaici kontrolerzy, rewizorzy i policjanci, nie mówiąc o służbach specjalnych. Rozbudowuje aparat rozmaitych inspekcji, ścigania i przymusu – a są to instytucje łatwo alienujące się, nastawiające się na realizację własnych celów; często przy tym lekceważy potrzebę tworzenia kadry resocjalizacyjnej. Wydawałoby się, że w tym stylu nie ufa się

²⁵⁹ Zob. T. Mądrzycki, *Psychologiczne prawidłowości...*, jw.

²⁶⁰ Zob. J. Szacki, *Historia myśli socjologicznej*, cz. I, Warszawa 1981, s. 426.

²⁶¹ Zob. *Elementy problemu patologii społecznej w Polsce*, PAN, Warszawa 1975, s. 87 oraz wszystkie następne wersje ekspertyz PAN dotyczących patologii społecznej.

żadnym społecznikiem, „obcym ciałom” w hierarchii. Jednak zdarzają się tu rozmaite społeczne inspekcje i „ochotnicze rezerwy” sił porządkowych kanalizujące agresywne nastroje i populistyczne tęsknoty za „ładem i porządkiem”.

Rygoryzm a zachowawczość

Sklonność do rygoryzmu jest wskaźnikiem zachowawczości systemu, wynika z podtrzymywania społecznego status quo poprzez ciągłe zabiegi wokół jednostek (jak to ujmował F. Znaniecki w swoim opisie „zachowawczej reorganizacji społecznej”)²⁶². Skrajny rygoryzm ignoruje prawdę, że „w żadnym przypadku nie należy dążyć do eliminacji systemów przekonań przez użycie bezpośredniej siły; nie ma bowiem lepszej drogi, aby nadać im trwałość i życie”²⁶³. Ludzie, starając się unikać ostrych rygorów oraz rozmaitych „polowań na czarownice”, uczą się lekceważenia prawa jako takiego i ideologii jako takiej. Krytyka rygoryzmu nie może jednak posuwać się do absurdu negowania wszelkich sankcji w imię utopijnego „pięknoduchostwa”. Rzecz w tym, aby chronić ludzi przed agresją za pomocą konsekwentnie egzekwowanych i skutecznych sankcji, nie posuwając się do dyskryminacji wszystkich zachowań nonkonformistycznych.

Styl bodźcowy

W stylu bodźcowym zakłada się – jak już pisałam – że *zachowania* (a więc i zachowania pożądane, jak np. dobra praca, dobre wychowanie dzieci, troska o własne zdrowie) *zależą od woli ludzi a nie od okoliczności zewnętrznych* (np. organizacji pracy, zasobów wolnego czasu, dopływu informacji). Jeśli udaje się te założenia spełnić, jeśli ponadto ludzie okazują się dostatecznie elastyczni w swych przekonaniach, postawach i nawykach i dostatecznie silnie pożądają nagród, styl ten może odnosić liczne spektakularne sukcesy, stwarzając ludziom szanse zaspokajania potrzeby osiągnięć.

Bodźce materialne realizują z reguły założenia „socjotechniki I stopnia”, ich celem jest *modyfikowanie zachowań*, a nie przekonań. W skrajnej wersji tego stylu stosowanie tych bodźców może łatwo przekroczyć sensowny zasięg. Wówczas cały obieg środków ekonomicznych – szczególnie w tym stylu eksploatowanych – przekształca się w system bodźców materialnych, na które ludzie – na wzór psa Pawłowa – mają reagować zachowaniami pozornie samodzielnymi, w istocie – precyzyjnie zaplanowanymi przez centrum decyzyjne. Ludzie uczestniczą więc w strategii przekształceń społecznych niejako podmioty, lecz jako pociągane za sznurek marionetki. Niektórzy sądzą, że – paradoksalnie, nagrody materialne skuteczniej działają wówczas, gdy panuje ogólny niedobór dóbr (oferowane mieszkanie zakładowe lub asygnata na samochód skłaniają

²⁶² Zob. F. Znaniecki, *Nauki o kulturze*, Warszawa 1971, s. 615.

²⁶³ To zdanie A. Leighton cytuję za: A. Podgórecki, *Socjologia prawa*, jw., s. 86.

do zasadniczej zmiany sytuacji życiowej, do poważnego wysiłku, gdy jest to praktycznie jedyna realna droga do zdobycia tych rzadkich dóbr)²⁶⁴. Często też przyjmuje się, że bodziec płacowy skuteczniej skłania do działania, gdy brak jest dochodów „socjalnych” z funduszy świadczeń społecznych.

Dobrze skonstruowany bodziec ekonomiczny powinien mówić sam za siebie, nieść jednoznaczny ładunek informacyjny, wskazujący na pożądany kierunek zachowań. *Bodźce ułomne*, źle pomyślane, próbuje się często protezować propagandą „łopatologicznie” wykładającą intencje twórców systemu bodźców, usiłuje się też czasem wspomóc je nakazami prawnymi. Jednak przeciętny homo economicus szybko zazwyczaj orientuje się w rzeczywistej ekonomicznej zawartości parametru, lekceważąc jego – sprzeczną z tą zawartością – „otoczkę” informacyjną.

Bodźcowanie za pomocą środków informacyjnych polega na lansowaniu pożądanych wzorów zachowań. Stosując te same techniki propagandowe, co w przypadku stylu rygorystycznego, upowszechnia się i emocjonalnie „nagłaśnia” zalecane do dokładnego naśladownictwa ideały „bohatera pozytywnego”. W sferze informacyjnej operuje się też dobrami symbolicznymi jako nagrodami dla konkretnych osób zachowujących się w sposób aprobowany, jako „bodźcami moralnymi”. Propagowanie „bohatera pozytywnego”, jeśli odbywa się zgodnie z regułami sztuki propagandy, może dać efekt *interioryzacji pożądanych zachowań*, przyjęcia ich przez ludzi za własne i poddania ich kontroli własnego sumienia (co odpowiada założeniom ambitnej „socio-techniki II stopnia”).

Propaganda może też wykorzystywać dążenie jednostki do uzyskania akceptacji (którego siła, jak oceniają psychologowie, da się porównać z siłą potrzeb konsumpcyjnych). „Można na przykład zaproponować socjotechnikę opartą na założeniu, iż stosunkowo łatwiej dokonywać jest zmian w opinii publicznej niż zmian w strukturze motywacji w skali masowej. A skoro tak, to z chwilą uzyskania efektywnych i masowych zmian w opinii lub w postawach – dalsze oddziaływanie można pozostawić mechanizmowi akceptacji”²⁶⁵. *Jeśli uda się wmówić opinii publicznej, że coś „wypada” robić, nie trzeba troszczyć się o szczerość intencji jednostki*. Jeśli nie zrobi czegoś dla siebie, zrobi to dla sąsiada. Z badań wynika, że pod wpływem opinii wypowiedzianych przez innych większość ludzi skłonna jest nawet wygłaszać sądy ewidentnie sprzeczne z danymi percepcyjnymi. Co więcej, *rzeczywistą presję opinii publicznej można zastąpić jej imitacją*. Dzieje się tak, gdy środki masowego przekazu sugestywnie narzucają korzystny politycznie ale nieprawdziwy obraz opinii publicznej,

²⁶⁴ Omawiając tę kwestię J. Zieliński w następujący sposób sparafrazował powiedzenie Churchilla: „... nigdy jeszcze tak niewielu nie rządziło tak wieloma przy pomocy tak niewielkiej puli dóbr”. Cyt. za: *Umowa o kartki*, jw., s. 30.

²⁶⁵ T. Kocowski, *Taktyka i strategia sterowania motywacją ludzką w skali masowej*. W: Socjotechnika. *Style działania*, pod red. A. Podgóreckiego, Warszawa 1972, s. 433.

czemu mogą też sprzyjać nadwątlone więzi społeczne. Ta skłonność do kreowania tego, co miało być tylko transmitowane, jest wspólna obu dotychczas omawianym stylom – rygorystycznemu i bodźcowemu – choć same lansowane treści są odmienne.

Cechą i zarazem mankamentem bodźców informacyjnych jest drobiazgowość, wynikająca z braku zaufania do samodzielności odbiorcy. Skłaniają one do kalkowania szczegółowych wzorów, które mogą dezaktualizować się, nie pasują do wszystkich konkretnych sytuacji życiowych i mogą także podlegać częstemu „wycofywaniu z obiegu” przez centrum modyfikujące okresowo swoją strategię. Podobnie jak w opisanym przez S. Ossowskiego „typie trzecim ładu społecznego” – „ideałem jest tu być nieugiętym konformistą wobec obowiązujących aktualnie wzorów i opinii, tak jak gdyby miały obowiązywać na zawsze, a równocześnie być zdolnym do porzucenia ich w każdej chwili, gdy przyjdą takie dyrektywy”²⁶⁶.

Srodki prawne w stylu bodźcowym służą często przyznawaniu *przywilejów* i *priorytetów* osobom lub kategoriom społecznym uznanym za bardziej użyteczne czy zasłużone; treścią odnośnych norm prawnych nie jest więc zakazywanie czy nakazywanie a selektywne nadawanie uprawnień, ewentualnie – selektywne zwalnianie od powszechnie obowiązujących nakazów i zakazów. Można usiłować w ten sposób zachęcić ludzi do lepszej pracy, do lepszego wywiązywania się z obowiązków rodzicielskich, do lepszego dbania o własne zdrowie.

Wśród *kadr realizujących styl bodźcowy* najbardziej widoczni są, co zrozumiałe, agitatorzy. Aparat konstruujący całe systemy bodźców ekonomicznych i prawnych pozostaje w ukryciu, ludzie są „zdalnie sterowani”, jest to więc polityka w znacznym stopniu odpersonifikowana.

Pułapki stylu bodźcowego

Jedną z głównych cech stylu bodźcowego jest *doraźność zadań*, do których chce się mobilizować ludzi. Toteż najdogodniej jest używać jako bodźców tych środków, które nie przechodzą do stałej dyspozycji osoby stymulowanej, które z czasem wygasają, „wracając” – w pewnym sensie – do dyspozycji centrum. Są to strumienie dóbr ekonomicznych (bieżących dochodów) – a nie nadawanie prawa własności kapitału; strumienie doraźnie użytecznych ale szybko dezaktualizujących się informacji – a nie solidny zrąb wiedzy pozwalającej samodzielnie poznawać i przekształcać świat; krótkotrwałe przywileje prawne – a nie trwałe gwarancje praw obywatelskich. Wprawdzie bodźcowanie do pożądanых – chwilowo – zachowań przy użyciu takich trwałych dóbr jak mieszkanie, dostęp do solidnego wykształcenia (czy – nawet – dostęp do sztuki

²⁶⁶ S. Ossowski, *O osobliwościach nauk społecznych. Dzieła*, t. IV, Warszawa 1967, s. 178.

antykonceptji) daje w pierwszej chwili wyraźne sukcesy socjotechniczne, ale na przyszłość zawęża projektantom systemu bodźców pole manewru. Dlatego właśnie najdogodniej jest bodźcować ludzi wypłatami szybko deprecjonującego się pieniądza. Ale i tu z czasem pole manewru zawęża się – wystarczy zauważyć, że nasze systemy płacowe i emerytalne, a także pakiet różnych branżowych „kart praw”, są cmentarzyskiem dawno już nieaktualnych preferencji, nawarstwiających się w przeciągu całego 45-lecia. Styl bodźcowy szybko więc wikła się we własnych sprzecznościach i coraz trudniej jest mu oddziaływać skutecznie.

Trzeba też jeszcze raz przypomnieć, że styl bodźcowy okazuje się skuteczny, jeśli cała reszta okoliczności – wewnętrznych, „świadomościowych” i zewnętrznych, „życiowych” – nie pcha w przeciwnym kierunku. Zresztą, gdy nawet człowiek zwabiony bardzo nęcącym przywilejem – materialnym lub prawnym – sprzeniewierzy się swym zasadom (mniejsza z tym, czy są one „obiektywnie” słuszne) i zachowa się zgodnie z oczekiwaniami polityka, zostanie niejako „złamany”, dokonują się w nim spustoszenia moralne, których przyszłe skutki mogą być i przez polityka niemiłe widziane.

Mamy tu do czynienia z *podwójną instrumentalizacją człowieka* – centrum chce go użyć jako nieświadomego realizatora koncepcji przyjętych „na górze”, zaś sam człowiek używa swych zachowań jako środka do zdobycia nagrody, bez zrozumienia i przeżycia istoty tych działań. Tak sądzą pesymiści. Zdaniem optymistycznych zwolenników „socjotechniki I stopnia” – czy to ekonomicznej czy prawnej – wielokrotne powtarzanie zachowań wytworzy nawyk, zaś nawyk zostanie rychło podbudowany zmianą przekonań i owo „rozdwojenie” nie przybierze niebezpiecznych rozmiarów.

Odmiana stylu bodźcowego – styl manipulacyjny

Szczególną odmianą stylu bodźcowego jest styl manipulacyjny. O ile bodźce – z definicji – są jednoznaczne (jeśli zostały dobrze skonstruowane), to manipulacja oznacza *wprowadzenie z premedytacją rozbieżności między głošonym a rzeczywistym kierunkiem oddziaływania*. Obejmuje ona „... jedynie takie procesy, w których manipulowany nie łączy faktycznego celu manipulatora ze stosowanymi technikami oddziaływania lub nawet go nie zna, a technik nie dostrzega”²⁶⁷. Manipulacją jest więc wypłacanie dodatków określanych jako rekompensaty za uciążliwe warunki pracy, które w istocie mają być antybodźcem odstręczającym pracowników od walki o poprawę warunków pracy. Innym przykładem manipulacji są posunięcia zmierzające do ograniczenia absencji pod hasłem „dyscyplinowania obiboków”, co w efekcie prowadzi do pozostawiania w pracy ludzi chorych. Na takie rozwiązania

²⁶⁷ H. Świda-Zięba, *O technikach rozbijania grup*, referat na sesję o manipulacji zorganizowaną w UW w 1981 r., maszynopis.

można sobie pozwolić tylko w ekstensywnej – czy wręcz rabunkowej – gospodarce czynnikiem ludzkim. Manipulacją jest też uzasadnienie wymogami egalitaryzmu ograniczeń nakładanych sektorowi prywatnemu, podczas gdy w istocie rzeczy chodzi o maksymalizację kontroli politycznej nad życiem gospodarczym. Takie są różnice między zwykłymi bodźcami a manipulacją. Natomiast wspólne dla tych dwóch form jest to, że traktują człowieka przedmiotowo, jako środek do innego celu.

Styl opiekuńczy

Wśród właściwych stylowi opiekuńczemu *środków ekonomicznych* dominują różnorodne formy *pomocy materialnej*, niezależnie od wkładu pracy i innych zasług (nawet takich, jak systematyczność w opłacaniu składek ubezpieczeniowych), przysługujące z tytułów takich, jak np. odczuwanie potrzeby, zagrożenie ryzykiem, upośledzenie społeczne czy psychofizyczne. Podstawową troską polityki podziału jest zapewnienie każdemu standardu materialnego godnego człowieka, ochrona każdego obywatela przed degradacją ekonomiczną stawiającą poza nawiasem społeczeństwa.

Najchętniej operuje się *reglamentacją na rynku* i *formą rzeczową w świadczeniach społecznych*, ograniczając rolę pieniądza. Bowiem istotą tej polityki jest myślenie kategoriami konkretnych potrzeb ludzkich; ponadto droga od pieniądza do zaspokojenia potrzeby jest jeszcze długa i człowiek bywa narażony na niej na rozmaite pokusy i zagrożenia. Najwyżej ceni się *usługi*, które – zaspokajając potrzeby materialne – jednocześnie oszczędzają wysiłku ich odbiorcom, są formą przyjaznego kontaktu z drugim człowiekiem, a zarazem formą dyskretnej kontroli racjonalności ludzkich zachowań.

Możliwe są daleko posunięte odmienności w realizacji stylu opiekuńczego. Do dawno minionej historii należy ratowanie przed śmiercią głodową przysługujące pod warunkiem odebrania praw obywatelskich i piętnowania „leniwych wałkonii” w stylu brytyjskiego Prawa Ubogich. Ale w pewnych współczesnych wersjach opiekuńczości obecne są jeszcze elementy etykietowania (już nie w sensie prawnym, ale nadal w sensie socjologicznym) tych, którzy musieli skorzystać z pomocy materialnej. Stosowana w zabezpieczeniu społecznym tzw. *technika opiekuńcza*, oparta na uznaniowości przydziału świadczeń, niekorzystnie wyróżnia tych, którzy – aby zapewnić swe elementarne potrzeby – muszą ujawniać odpowiednim funkcjonariuszom swe prywatne trudności, wyliczać się z wykorzystania przyznanych środków, korzystać z wydzielonych placówek, o których każdy wie, że obsługują „gorszą publiczność”. Mimo to technika opiekuńcza zachowuje swą atrakcyjność nawet w najbardziej nowoczesnych odmianach „welfare state” i jest w pewnym zakresie – stosowana, gdyż jej bezkonkurencyjnym walorem jest elastyczność, zdolność reagowania na nietypowe potrzeby indywidualne i na nowe zagrożenia społeczne

– właśnie dzięki owej uznaniowości pozostającej w gestii wykwalifikowanego pracownika socjalnego.

Technice opiekuńczej można przeciwstawić *technikę zaopatrzeniową*, która wyzwala człowieka będącego w potrzebie z krępującej roli petenta, przyznając wszystkim socjalne prawa obywatelskie. Prawa te są obligatoryjne i powszechne, obejmują wszystkich ludzi potencjalnie zagrożonych niewydolnością, niesprawnością, ryzykiem – jednostki rzeczywiście upośledzone nie są więc „wystawione na widok publiczny”. Technika zaopatrzeniowa świadczenia pomocy materialnej jest więc wyróżnikiem takiej odmiany stylu opiekuńczego, która emancypuje jednostkę za cenę pewnego schematyzmu i odpersonifikowania świadczonej pomocy.

Opiekuńczość polityki społecznej sprawia, że *sfera obiegu informacji* jest zdominowana przez poradnictwo, adresowane zarówno do ogółu (w szkole, w środowiskach społecznego przekazu), jak i do konkretnych jednostek (za pośrednictwem sieci poradni wychowawczych, rodzinnych, zawodowych, zdrowia psychicznego, ośrodków gospodarstwa domowego itp.). Aby wytworzyć społeczną atmosferę przychylną opiekuńczości państwa, propaguje się takie cnoty, jak solidarność, miłosierdzie, miłość bliźniego, szacunek dla słabości i niepełnosprawności.

Gwarantowanie obywatelskich praw socjalnych i podtrzymywanie osiągniętego poziomu życia przez obligatoryjne dla państwa systemy waloryzacji dochodów to najważniejsze *oddziaływania prawne* charakterystyczne dla stylu opiekuńczego. Znaczną rolę odgrywają też rozmaite preferencje i priorytety (szczególna ochrona kobiet i młodocianych, prawa do przyspieszenia przydziałów, do zakupów poza kolejką) – nie dla „zasłużonych” (jak w stylu bodźcowym), lecz dla *słabszych*.

Kadry polityki społecznej mogą być w tym stylu zdominowane przez armię pracowników socjalnych i wszelkiego typu „zawodowych przyjaciół” i „lekarzy duszy i ciała” nierzadko aktywnie wyszukujących ludzi mających kłopoty z uporządkowaniem swego życia, energicznie oferujących im swą pomoc. „Dzieje się tak wówczas, gdy przeważa uznaniowa indywidualizacja pomocy. Ich pozycja społeczna i prestiż mogą być bardzo wysokie, bo też wyposaża się ich w znaczne kompetencje merytoryczne i formalne, mogą oni samodzielnie decydować o podziale hojną ręką przyznanej im puli środków ekonomicznych, gwarantuje im się słyszalność emitowanych przez nich informacji²⁶⁸. W stylu tym szczególnie wiele mają do powiedzenia społecznicy „przyjaciele z powołania”: Jednak państwowa opiekuńczość preferująca technikę zaopatrzeniową może też odsuwać w cień pracę socjalną, eksponując bardziej urzędników zawiadujących skomplikowaną machiną prawno-ekonomiczną, schematycznie i masowo dystrybuującą ujednolicone świadczenia, pouczenia i uprawnienia.

²⁶⁸ Zob. *Pomoc społeczna w Polsce*, cz. I, Centrum Medyczne Kształcenia Podyplomowego, Warszawa 1984. W pracy tej wymieniono m.in. 10 zasad funkcjonowania pomocy społecznej (s. 28).

Oskarżenia opiekuńczości

Zwolennicy stylu opiekuńczego słusznie podkreślają, że minimum komfortu psychicznego oraz przyzwoity standard wyposażenia w te informacje i dobra, które pełnią funkcję „*inwestycji w człowieka*” nie demobilizują ludzi, lecz – wręcz przeciwnie – *stanowią warunek aktywności życiowej*, samorealizacji, działań efektywnych i użytecznych społecznie. Jednak i w oskarżeniach jakże często pod adresem takiej polityki wysuwanych – jest zawarty łut prawdy. Istotnie – podobnie jak pewne style wychowania dziecka w rodzinie *pewne sposoby świadczenia opieki utrwalają niedojrzałość społeczną* i niweczą ludzką wiarę w siebie, pępowina łącząca człowieka z instytucjami wspierającymi nie zostaje nigdy zerwana, pojawia się lęk przed ryzykiem, słabną ambicje. (Najwięcej szkody przynoszą tu świadczenia przyznawane pod warunkiem zachowania bierności zawodowej czy życiowej). Niedorozwój ambicji bywa zawiniony przez politykę opiekuńczą wtedy, gdy nieproporcjonalnie silnie rozwija ona świadczenia ekonomiczne, zaniedbując oddziaływania w sferze informacyjnej; bowiem ciemnota ogranicza aspiracje.

Inne oskarżenia wynikają z przeświadczenia funkcjonariuszy, że *wiedzą lepiej*, co jest dobre dla ich podopiecznych, niż oni sami. Stwarza to pokusę „uszcześliwiania na siłę”, gwałcenia prywatności, „bronienia człowieka przed nim samym”. Z kolei obawa przed skrzywdzeniem potrzebującego, a także formalizacja i powierzchowność diagnozy w przypadku świadczeń masowych – stwarzają okazję do nadużyć. I jest tak istotnie. Ale część tych nadużyć systemu świadczeń przez jednostki traktujące go jak „dojną krowę” opłaca się wliczyć w koszty funkcjonowania, gdyż drobiazgowa kontrola byłaby dużo bardziej kosztowna (co odkryli już dawno spece od organizacji pracy sklepów samoobsługowych). Wszystkie te spory omawiane już były w rozdziałach poświęconych kolektywizmowi, równości i bezpieczeństwu. Styl opiekuńczy jest bowiem najbliższy duchowo ideom przewodnim i paradygmatowi polityki społecznej i trudno sobie wyobrazić tę politykę zupełnie się od niego odzęgającą.

Styl liberalny

W stylu liberalnym za najskuteczniejszy mechanizm rozprowadzania dóbr ekonomicznych uważa się „dobry rynek”, ewentualnie wzbogacony o aktywność edukacyjną i rewindykacyjną oddolnego ruchu ochrony konsumenta, mającego urealnić do końca ideę „suwerenności konsumenta”. Jeśli zaś uzna się – wyjątkowo – potrzebę utrzymywania ceny jakiegoś dobra poniżej równowagi (np. mieszkania), to twardo przestrzega się zasady „jednej kolejki”. Zmierza się do tego, aby centrum decyzyjne w mniejszym stopniu zajmowało się dystrybucją dóbr, a w *większym stopniu przekazywało ludziom uprawnienia* do samodzielnego zdobywania i wytwarzania tych dóbr, ograniczając tym samym pole

swojej bezpośredniej ingerencji. Środki prawne usuwają więc w cień środki ekonomiczne.

Ludzie zyskują wówczas uprawnienia do podejmowania na własny rachunek działań ryzykownych (por. rozdział o bezpieczeństwie), a także – w konsekwencji – prawo do „kompletnej” własności prywatnej środków produkcji. Ta kompletna własność obejmuje „prawo użytkowania, prawo przywłaszczania wypracowanej nadwyżki i określania jej przeznaczenia, prawo zmiany formy (skapitalizowania w formie sprzedaży) i jej przeznaczenia (sposobu użytkowania), prawo zaniechania użytkowania, prawo przekazania swoich praw (także w formie dziedziczenia)”²⁶⁹. Kompletność własności nie wyklucza interwencji państwa w sektorze prywatnym. „Państwo stawia tam warunki dotyczące sposobu egzekwowania poszczególnych wymiarów własności, ale dalej jest to własność kompletna: owe ograniczenia wkraczają w formie dodatkowego parametru do procesu decyzyjnego”²⁷⁰. Te uprawnienia przyznane przedsiębiorczym jednostkom nie wykluczają analogicznych uprawnień państwa, które może być najpotężniejszym przedsiębiorcą wśród wielu, zwłaszcza wtedy, gdy zawdzięcza swą pozycję ekonomiczną dziedzictwu przeszłości. Nie interesuje mnie tu jednak model gospodarki liberalnej, lecz tylko zawarte w nim poszerzenie możliwości gospodarczych jednostki, będące jednocześnie poszerzeniem jej szans życiowych (jak już pisałam na początku tego rozdziału, toczy się spór o to, dla jak licznej zbiorowości owe formalne szanse przeistoczą się w szanse rzeczywiste).

Dla „społecznego segmentu” polityki liberalnej swoiste będzie, obstawanie przy zasadzie *kompletności własności prywatnej środków konsumpcji* (np. mieszkań), stwarzanie poczucia sensowności „dorabiania się własnymi rękami”, oddalanie obaw o to, że „zabiorą i upaństwowią”. Wynika to nie tylko z wysokiej „słusznościowej” oceny wolności ekonomicznej, ale i z różnych praktycznych kalkulacji, traktujących np. oszczędzanie na własny dom jako najskuteczniejszy środek walki z pijaństwem (argument ten można zresztą zastosować także na rzecz stylu realizacji polityki społecznej eksponującego bodźce materialne).

Uznanie prawa do dorabiania się nie musi – choć może – prowadzić do jednowymiarowości aspiracji. Nie musi też wykluczać innych wariantów korzystania z wartości użytkowych środków konsumpcji, jeśli tylko powstanie rynek na – przykładowo – usługi wypożyczalni różnego typu²⁷¹. Wolność ekonomiczna daje się także interpretować jako wolność kierowania się w życiu innymi motywacjami niż ekonomiczne.

²⁶⁹ J. Staniszkis, *Własność – racjonalność – dynamika – struktura. Próba zrozumienia realnego socjalizmu*, „Przyjaciół Nauk”, Poznań–Wrocław 1985, nr 1–2, s. 151.

²⁷⁰ Tamże.

²⁷¹ Zob. J. Dąbrowski, *Rozważania o modelu spożycia*. Warszawa 1975.

Liberalizm w obiegu informacji oznacza dostępność dla wszystkich *pełnej wiedzy o świecie, różnych ideologii i różnych stylów życia*. Dydaktyzm takiej polityki informacyjnej, jeżeli w ogóle występuje, to jest dyskretny. Energiczniejsze upowszechnianie pewnych systemów wartości – najczęściej indywidualistycznych i pluralistycznych odmian humanizmu – nie wyklucza obecności innych koncepcji na tym „targowisku idei”. Cały impet dydaktyczny skierowany jest na szerzenie umiejętności układania spójnych i efektywnych planów życiowych, umiejętności samodzielnego wywodzenia konkretnych wzorów zachowań z przyjętych przez jednostkę norm światopoglądowych (bez natrętnego ingerowania w te wybory aksjologiczne), a także na propagowanie tolerancji wobec cudzych wyborów. Taka dydaktyka zmierza do urealnienia założenia, że człowiek „umie i chce” samodzielnie rządzić swym życiem.

Liberalizm informacyjny eksponuje nie tylko hasło „wolności słuchania”, ale i „wolności mówienia”. „Dopóki człowiek nie obawia się myśleć, dopóki nie obawia się mówić tego, co myśli, dopóki może poddać otwartej krytyce wszystko to, z czym się nie chce pogodzić, dopóty narzucone przez społeczeństwo ograniczenia swobody działania mogą nie wypaczać jego charakteru; nie łamią one wówczas same przez się jego kręgosłupa moralnego, nie zagrażają żywotności jego zainteresowań umysłowych”²⁷². Tak więc, skoro współcześnie nie do pomyślenia jest absolutny, stuprocentowy liberalizm ekonomiczny i prawny (będzie o tym za chwilę mowa), to tym bardziej absolutny i stuprocentowy powinien być liberalizm informacyjny. Łagodzi on dotkliwość nieuchronnych ograniczeń w innych sferach i pozwala zachować „liberalną dominantę” w realnie prowadzonej polityce.

Prawo w stylu liberalnym ma przede wszystkim ustalać *jednolite dla wszystkich reguły zachowań*, w tym reguły gry ekonomicznej i demokratyczne zasady życia politycznego. Normy prawne przybierają więc możliwie najogólniejszy i abstrakcyjny charakter, szczególna jest rola konstytucyjnych gwarancji praw obywatelskich, treścią innych norm prawnych są stosunkowo często uprawnienia, nic zaś nakazy i zakazy. Najchętniej operuje się sankcjami restytucyjnymi i sankcjami nieważności, rozrasta się bowiem przede wszystkim prawo cywilne. Prawo jest regulatorem „ruchu drogowego”, *zasada „rządu praw”* ma wypierać rządy jednych ludzi nad drugimi.

W związku z wyżej wymienioną zasadą *środki kadrowe* schodzą w stylu liberalnym na drugi plan. Jest on „odpersonalizowany” w sferze środków, rządzą w nim bezosobowe prawo i bezosobowy rynek, najmniej tu przejawów „ręcznego sterowania”. Rozrastają się grupy zawodowe zajęte najszerzej pojętymi „usługami dla ludności”, ideałem są – wedle poglądów I. Illicha, referowanych już w rozdziale o kolektywizmie – służby transportu i łączności ułatwiające technicznie kontakty między jednostkami.

²⁷² S. Ossowski, *Ku nowym formom życia społecznego, Dzieła*, t. V, Warszawa 1968, s. 353.

Różnice między stylem liberalnym i bodźcowym

Jakiegokolwiek będą pod rządami polityki liberalnej motywacje i aspiracje uruchamiające ludzkie zachowania, jedno jest pewne – będą one „naturalne”, „oddolne”, nie będą li tylko pochodną sztucznie skonstruowanych przez centrum sytuacji (co było tak charakterystyczne dla stylu bodźcowego). Bowiem w stylu liberalnym centrum *nie ma szczegółowej wizji „stanu docelowego” w makroskali*, ma tylko wizję procedur, wedle których winno się toczyć życie ekonomiczne i społeczne. Tak więc „pogoń za pieniądzem”, tak częsta wśród ludzi działających zarówno w społeczeństwie rządzone „bodźcowo”, jak i liberalnie, ma w każdym z nich inny charakter, jest wmontowana w inny system, inne są jej przejawy behawioralne i mentalne.

Nowy liberalizm „zarażony” opiekuńczością?

Wokół interpretacji liberalizmu narosło szczególnie wiele nieporozumień. Formalistyczny liberalizm XIX-wieczny, poprzestający na znoszeniu prawnych ograniczeń aktywności a ignorujący rzeczywiste upośledzenia społeczne i indywidualne, akcentujący raczej negatywne aspekty wolności (wolność od państwa) niż jej aspekty pozytywne (zdolność do realizowania samodzielnie wytyczonych celów życiowych) – jest dokładnym przeciwieństwem stylu opiekuńczego. Jednakże współcześnie zmienia się interpretacja doktryny liberalnej, począwszy od odmiennego interpretowania jej naczelných wartości, skończywszy na *rewizji liberalnego instrumentarium* (co nas w tym miejscu najbardziej interesuje). „Dwa najważniejsze cele liberalizmu – nieingerencja i upodmiotowienie – wzajemnie się podtrzymują, ale i pozostają ze sobą w konflikcie. Pierwszy cel, w najbardziej skrajnym ujęciu, pozostawiłby jednostkę na łasce przyrody, społeczeństwa, potęg grupowych i ekonomicznych. Drugi cel, gdyby tylko do niego się ograniczyć, doprowadziłby ostatecznie do etatyzmu i technokracji. Liberalizm nie jest żadnym z tych ekstremów. Jest uzgodnieniem tych dwóch celów, przy czym relacja między nimi jest określona przez potrzeby społeczne i dostępne środki [...] Nowoczesny liberalizm jest zwolnieniem środków kolektywistycznych, wzywając państwo do pomocy jednostkom i grupom upośledzonym [...] Środki do celu i cele pośrednie uległy zmianie, ale ostateczny cel pozostaje ten sam”²⁷³.

Czy owa zmiana środków realizacji doktryny liberalnej w jej wymiarze aksjologicznym nie oznacza po prostu odesłania do lamusa „liberalnego stylu działania” i przedstawienia się bez reszty na *instrumentarium właściwe „stylowi opiekuńczemu”*? Pytanie to pozostawmy otwarte. Rozpowszechniona jest dziś w świecie taka odmiana liberalizmu, która wręcz zakłada konieczność przejmowania

²⁷³ „Liberalism” w: *International Encyclopedia of the Social Science*, London 1968, s. 277 i 281.

wania przez wspólnotę zadań utrzymania młodego pokolenia, skracania czasu pracy, rozwijania świadczeń społecznych i prowadzenia pracy socjalnej (najchętniej – w formie samopomocy i inicjatyw społecznych). Ale ma to wciąż służyć urealnieniu założenia, że *każdy członek społeczeństwa może realizować swe cele życiowe*. Z sumy tych celów jednostkowych ma wynikać – nieznany przedtem nikomu – ogólny kierunek rozwoju. To ogólne nastawienie wpłynie na różne szczegółowe rozwiązania i pozwoli mówić o „liberalnym odchyleniu” w realizacji nawet takiej polityki społecznej, która zasłuży na miano ofensywnej.

W tej wersji styl liberalny traci jednak swą klarowność, granica między nim a najbardziej „emancypacyjną” wersją stylu opiekuńczego zaciera się. Taki liberalizm narażony jest na pojawianie się wewnętrznych sprzeczności, gdyż zadania „nauki pływania” i „puszczenia na głęboką wodę” – w teorii następujące po sobie – w praktyce muszą nakładać się i zderzać ze sobą, w skali społecznej i w każdej z dziedzin życia objętych tą polityką. Zaś mechanizmy demokratyczne nie zawsze dość sprawnie rozładowują konflikty między różnymi dążeniami partykularnymi.

Uwarunkowania i współzależności wyborów instrumentalnych

Środki ograniczone i pozornie nieograniczone

O ile przekonanie o ograniczoności środków ekonomicznych jest dość silnie ugruntowane, o tyle w przypadku środków informacyjnych i prawnych wielu polityków ludzi się, że są one „dobrami wolnymi”. Często dopiero po niewczasie okazuje się, że spośród szafowanych w nadmiarze informacji umysł ludzki – jak to już pisałam – percepuje tylko wybrane zalecenia, resztę traktując jako „szum dydaktyczny”, selekcionuje treści według własnych preferencji nie zawsze zgodnych z preferencjami polityka. Podobnie, jeśli prawo zbyt drobiazgowo normuje wszystkie możliwe zachowania i opatruje każdą z tych norm wieloma zróżnicowanymi sankcjami, to sam obywatel stara się wybrać te normy, które warto traktować poważnie, odrzucając nadmiar innych jako „szum legislacyjny”. Tak więc kompetentne centrum decyzyjne przeciwdziała inflacji informacji i prawa.

Niestety zbyt często zdarza się, że centrum to uznaje za ważniejsze od celów polityki społecznej utrzymanie się przy władzy lub cele stricte gospodarcze; wówczas *skąpi polityce społecznej nie tylko pieniędzy, ale także kanałów informacji i uprawnień legislacyjnych*. Zależność liczebności profesjonalnych kadr polityki społecznej od środków ekonomicznych przeznaczonych na obiekty infrastruktury społecznej i płace wydaje się oczywista. Słabość kadrowa jest więc proporcjonalna do skąpstwa ekonomicznego. Jednakże w naszej polityce usiłowano wielokrotnie – z fatalnymi efektami – ignorować tę zależność, zagęszczając obiekty socjalne i nie dopłacając „realizatorów polityki społecznej”.

Reasumując, *rozdział środków ekonomicznych, informacyjnych, prawnych i kadrowych pomiędzy politykę społeczną, gospodarczą i „polityczną” musi wynikać ze świadomie podjętych decyzji*, uniki na nic się tu nie zdadzą. Nie jest dobrze, jeśli polityka społeczna w efekcie tych decyzji jest trwale upośledzona. Ale trzeba pamiętać o *sprzężeniach zwrotnych* między tymi trzema politykami. Tak jak dobrze prowadzona polityka społeczna „zasila” pozostałe dwie polityki, tak dobrze prowadzone (nie tu miejsce, aby rozważać, co to znaczy) polityka gospodarcza i polityka „polityczna” stwarzają podstawę powodzeń polityki społecznej. Dość rozpowszechnione przeświadczenie o antagonistycznym konflikcie tej trójki wynika z bardzo złych doświadczeń okresu, kiedy to głównym zajęciem dwóch pozostałych polityk było mnożenie barier rozwoju społecznego.

Narzucone w ten sposób *hojność lub skąpstwo polityki społecznej* to niewątpliwie jeden z najważniejszych elementów charakterystyki każdej polityki społecznej – i jako taki wart uwagi. Czy jednak ukierunkowuje on *wybór stylu realizacji*? Można chyba tylko stwierdzić, że szczególnie trudny do wyobrażenia jest mariaż „hojnej” ekonomicznie polityki społecznej z rygorystycznym stylem jej realizacji, zaś inne style dają się dopasowywać – tworząc swoiste odmiany – zarówno do warunków obfitości, jak i niedoboru. Można jeszcze wyrazić przypuszczenie, że stan ubóstwa polityki społecznej sprawia, że realizowany styl – taki czy inny – staje się bardziej *wyrzysisty*, uwypukleniu ulegają jego specyficzne cechy, gdyż selekcja zadań musi być ostrzejsza.

Wybór wartości a wybory instrumentalne

Dokonane już samodzielnie przez podmioty polityki społecznej *wybory aksjologiczne w znacznym stopniu warunkują sposoby rozstrzygania dylematów instrumentalnych*, zawężając pole wyboru. Tak więc „dana” z zewnątrz możliwość prowadzenia ekonomicznie hojnej polityki społecznej może zmodyfikować czynnik aksjologiczny – opowiedzenia się za ideałem ascezy a przeciw ideałowi używania. Gorzej, jeśli okoliczności zewnętrzne narzucają polityce społecznej skąpstwo. Wówczas jedyną możliwością manewru pozostawioną polityce społecznej jest dostosować aksjologię do ograniczeń, „polubić” i uwznioślić narzuconą ascezę.

Oczywiste – i już wielokrotnie przeze mnie podkreślane – są *powiązania między wyborami aksjologicznymi a stylem realizacji polityki społecznej*. Na przykład wydaje się, że system wartości zdominowany przez równość z trudem będzie tolerował enklawy stylu bodźcowego czy liberalnego, zaś łatwiej da się uzgodnić ze stylem rygorystycznym czy opiekuńczym (z pewnym – nader istotnym – przesunięciem akcentów; rygoryzm ułatwia „ściąganie w dół”, opiekuńczość – „podciąganie w górę”). Kolektywistyczny system wartości zmusza

do odrzucenia stylu liberalnego. Natomiast eksponowanie „szczęściodajności” życia jako wartości zmusza do poszukiwań syntezy stylu opiekuńczego i liberalnego. Nie rozwijam tego wątku, gdyż – jak już podkreślałam w początkowych rozdziałach tej pracy – zbyt ogólne deklaracje aksjologiczne nie dają się operacjonalizować, a więc i instrumentalizować. Chodzi mi tylko o zaakcentowanie faktu nieobojętności aksjologicznej zaprezentowanych stylów, nie zaś o powrót do szczegółowych rozważań.

Wydaje się, że pewne style (a mianowicie bodźcowy i opiekuńczy) są stosunkowo słabiej nacechowane aksjologicznie, przypominają zatem ów – przywołany w pierwszym rozdziale – nóż, po którym trudno poznać, czy będzie służył chirurgowi czy mordercy. Inne zaś – zapewne styl rygorystyczny i liberalny, a na pewno styl manipulacyjny – częściej bywają uznawane za „bezwzględnie niedopuszczalne” w masowym zastosowaniu (tak jak łóżce tortur nie bywa oceniane wyłącznie z punktu widzenia jego instrumentalnej użyteczności). Zarazem te dwa ostatnie style wydają się szczególnie i trwale skłócone pomiędzy sobą, m.in. ze względu na zawarte w nich „komponenty aksjologiczne”.

Łatwość czy skuteczność

Spośród ważnych a nie omawianych dotychczas dylematów instrumentalnych pragnę obecnie zasygnalizować dwie jeszcze kwestie: na co nastawiają się decydenci i wykonawcy polityki społecznej – na przetrwanie i łatwość czy na rozwój i wysoką efektywność; w jakim horyzoncie czasu rozpatrują problemy, jak na linii czasu rozmieszczają poszczególne działania, nakłady i spodziewane efekty.

Typ myślenia optymalizacyjnego, będący elementem „podkultury decydenckiej” czy też wręcz modelową cechą organizacyjnego systemu społeczeństwa, może występować w jednym z dwóch następujących wariantów: 1) wybiera się spośród możliwych do użycia i skutecznych środków te, które są najsukuteczniejsze; tzn. maksymalizowana jest *skuteczność* działania; 2) wybiera się spośród możliwych do użycia i skutecznych środków te, których użycie jest najłatwiejsze; tzn. maksymalizowana jest *łatwość* działania. Jest to więc rozróżnienie polityki innowacyjnej i samodoskonalącej się od polityki rutynowej, apatycznej i leniwej.

Każdy z tych typów myślenia może się realizować w ramach każdego stylu działania, przesądzając w znacznym stopniu o tym, czy ujawni on głównie swe wady czy też zalety. Z pewnym wahaniem można tu wyrazić przypuszczenie, że upodobanie do środków „łatwych choć jeszcze skutecznych” zwraca uwagę polityków na styl rygorystyczny, zaś politykom zafascynowanym śrubowaniem wymogów sprawnościowych najatrakcyjniejszy wyda się styl bodźcowy.

Wcześniej czy później; szybko czy wolno; krótko czy długo

Stosunek do czynnika czasu wyznacza strategię i taktykę polityki społecznej w kilku istotnych punktach. *Po pierwsze*, polityka społeczna może reagować na potrzeby społeczne *ex ante* – zanim jeszcze one wystąpiły i, wskutek ich niezaspokojenia, zrodziły kwestie społeczne, napięcia grożące dezorganizacją czy nawet wybuchem niezadowolenia²⁷⁴. Można też raczej reagować dopiero po czasie, na nabrzmiałe już kwestie społeczne.

Po drugie, polityka społeczna może mieć ambicje dokonywania daleko idących przemian w bardzo krótkim okresie, tempo i rozmiar dokonywanych przekształceń muszą wycisnąć silne piętno na sposobach działania. Można też działać niespiesznie, nastawiać się na – odbywającą się bez wstrząsów – stopniową realizację odległych celów perspektywicznych.

Po trzecie, continuum pośrednich wariantów rozpościera się pomiędzy polityką „żelaznych, raz na zawsze ustalonych zasad” a polityką doraźnej uznaniowości wszelkich decyzji, wciąż na nowo i dla każdego oddzielnie zmieniającą ulotne reguły gry. Przy tym przedmiotem zabiegów mogą być raczej trwałe przekształcenia ludzkich postaw lub też raczej jednorazowe zachowania, pobudzane jednorazowymi karami, nagrodami, wsparciami lub okazjami.

Długoterminowość działań – w tych wszystkich wymiarach – może sprzyjać konsekwencji, stabilności, ale także sztywności i stagnacji. *Krótkoterminowość* podejścia – w tychże wymiarach – pozwala na elastyczność i uzasadnioną indywidualizację działań, a zarazem jednak potrafi uniemożliwić uporanie się z najbardziej fundamentalnymi kwestiami i zdeorientować aktorów sceny społecznej nieustanną zmianą warunków ich działania. Uporządkowanie i uzgodnienie wszystkich działań o różnym horyzoncie czasu stanowi więc przedmiot jednego z kluczowych dylematów instrumentalnych polityki społecznej.

Powiązania między sposobem rozstrzygnięcia tego dylematu a stylem realizacji polityki społecznej są złożone. Na przykład styl liberalny wydaje się sprzyjać stabilności reguł gry w długim okresie, natomiast ujawnia swą bezradność w realizacji długotrwałych zadań zapobiegających powstaniu kwestii społecznych, nie jest też w stanie służyć szybkiej i dynamicznej przebudowie społecznej. Styl bodźcowy zaś wydaje się nastawiony na krótki horyzont czasu we wszystkich przedstawionych tu wymiarach. Przede wszystkim jednak stosunek do czynnika czasu różnicuje rozmaite szczegółowe warianty każdego ze stylów.

W jakiej skali

Ostatni z omawianych w tym rozdziale dylematów instrumentalnych należy zarazem do *dylematów konstrukcji*, które zarysowane zostały w zakończeniu

²⁷⁴ Zob. J. Łopato, *Kwestie społeczne a polityka społeczna. Przegląd teorii*. W: *Polityka społeczna w okresie przemian*, jw.

tej książki. Dotyczy on *skali działania*. Skala zbiorowości, której dotyczy polityka społeczna, jest po części dana, po części zaś może stać się przedmiotem wyboru. *Dany* jest rozmiar zaludnienia i obszar państwa. Trzeba ten czynnik po prostu uwzględnić przy projektowaniu polityki, pamiętając o tym, że nie sposób rządzić identycznymi środkami zbiorowością dwustumilionową i dwumilionową. Przedmiotem *wyboru* jest natomiast uprawnienie wspólnot niższego rzędu do prowadzenia mniej lub bardziej samodzielnej polityki na mniejszą skalę wobec swych członków, a także wielość szczebli zarządzania podporządkowanych hierarchicznie centralnemu decydentowi.

Wszystkie te decyzje trzeba poddać wszystkim trzem możliwym porządkom oceny – „słusznosciowemu”, „efektywnosciowemu” i „koniecznościowemu”. Do sprawy tej powrócę w zakończeniu pracy. W tym miejscu pragnę jedynie podkreślić, że powinno zachodzić *sprzężenie zwrotne między wyborem stylu realizacji a wyborem skali działania* poszczególnych – powołanych do życia – podmiotów działania. Przekroczenie skali optymalnej dla realizacji danego zadania, a także przekroczenie optymalnej liczby szczebli decyzyjnych może poważnie odkształcić założony przez centrum styl działania. Bowiem znacznym uproszczeniem – jak już pisałam – jest obraz polityki społecznej jako relacji między politykiem i „jego ludźmi” z jednej strony a „odbiorcami polityki” z drugiej strony. Założenie to – uprawnione, jak sądzę, przy teoretycznym rozważaniu pewnych zagadnień – staje się źródłem poważnych wypaczeń, gdy przyjmują je politycy za praktyczną dyrektywę postępowania.

Modyfikacje na niższych szczeblach

Każdy ze stylów realizacji polityki społecznej *stwarza niższym szczeblom inną pozycję*, inne możliwości współudziału i modyfikowania tego stylu. *Rygoryzm* jest stylem, którego konsekwencja i spoistość są szczególnie uzależnione od lojalności i karności wszelkich podmiotów wykonawczych – w tym także szczebli lokalnych. Dla ludności bezpośrednim egzekutorem rygorów jest władza lokalna, choć ona sama jest bardziej przedmiotem niż podmiotem tych rygorów. Jeżeli władza lokalna otrzymuje jakieś uprawnienia do podejmowania samodzielnych decyzji, to działają one tylko w jedną stronę – dodatkowego zaostrożenia rygorów a nie ich zawieszenia. Do rygorów centralnych można więc dodawać rygory lokalne, służące celom lokalnym. Jednakże w praktyce (bez wiedzy i zgody centrum) szczebel lokalny może dość skutecznie sabotować centralne rygory, egzekwować je tylko pozornie, przemykać oczy na oczywiste omijanie przepisów, stępiać ich ostrość w „ciepełku więzi nieformalnych”, co nie prowadzi jednak do powstania „lokalnych enklaw” stylu liberalnego czy bodźcowego, lecz do ukształtowania się specyficznego – wyobraźnego tylko w skali lokalnej, tzw. ładu *administracyjno-swojskiego*²⁷⁵. Jeśli nawet te sposo-

²⁷⁵ Zob. A. Iwanowska, M. Federowicz, T. Żukowski, *Ład administracyjny...*, jw.

by lokalnego modyfikowania centralnie sterowanego stylu rygorystycznego nie są jedynie możliwe, to z pewnością najczęściej występują w praktyce.

Wprowadzenie do analizy *stylu bodźcowego* rozróżnienia „makroskala – mikroskala” pozwala zauważyć, że oprócz opisanego powyżej „monocentrycznego stylu bodźcowego” możliwy jest także styl „policentryczny”, kiedy to pojawia się regionalne zróżnicowanie celów, którym podporządkowane są bodźce. Nawet w formalnie monocentrycznym stylu bodźcowym mogą wystąpić zjawiska „przechwytywania” bodźców emitowanych z centrali, *by mogły one posłużyć interesom lokalnym* oraz „uzupełniania” centralnych, systemów motywacyjnych dodatkowymi bodźcami (co może – jak pisałam – dać w efekcie znieczulenie jednostki na nadmiar bodźców, w gąszczu których trudno odnaleźć ścieżkę maksymalizacji korzyści).

Styl opiekuńczy, jeżeli jest dostatecznie zbiurokratyzowany, stwarza analogiczne możliwości „podmiany celów”, np. obejmując wzmożoną opieką nie tych, którzy są najbardziej zagrożeni, a tych, którzy są protegowani. Natomiast jeżeli opiera się głównie na wykorzystaniu techniki opiekuńczej, to właściwe tej technice odformalizowanie, personalizacja kontaktów, uznaniowość decyzji mają największe szanse rozkwitu w małej społeczności lokalnej, w której ponadto sąsiedzka kontrola społeczna powinna utrudniać nadużycia.

Styl liberalny wydaje się najmniej podatny na „podmiany” celów i środków, gdyż z jego natury wynika policentryczność i prawo do prowadzenia różnych mikropolityk lokalnych, znika więc potencjalny wykonawca owych podmian – sam „niższy szczebel”. Pozostaje jednak kwestią otwartą, w jakim stopniu styl liberalny ma tolerować (skoro z założenia jest tolerancyjny) pojawianie się rozmaitych enklaw stylu rygorystycznego, bodźcowego i opiekuńczego, jeśli jakieś wspólnoty demokratycznie na ich rzecz optowały.

8

Zakończenie – upaństwowiona czy uspołeczniona polityka społeczna

Ład monocentryczny czy system porozumień

Pytanie: *kto powinien prowadzić politykę społeczną, jaka powinna być natura społeczna i struktura organizacyjna podmiotu podejmującego kluczowe dla niej decyzje strategiczne* jest „superdylematem” polityki społecznej. Od tego rozstrzygnięcia zależy w znacznym stopniu prawdopodobieństwo wiernej i efektywnej realizacji wartości, jakim chcielibyśmy, aby służyła polityka społeczna. Pytanie to nawiązuje do tego wątku odwiecznie przewijającego się w historii myśli społecznej, który syntetycznie przedstawia Stanisław Ossowski w swojej typologii systemów zachowania zbiorowego, a w szczególności do przeciwstawienia „ładu monocentrycznego”, w którym „zamiast interakcji grup społecznych mamy... do czynienia z ustalonym z góry współdziałaniem składników mechanizmu”²⁷⁶, „systemowi porozumień”, odpowiadającemu tym tradycjom myśli społecznej”, ...w myśl których wielostopniowe porozumienie i więź społeczna miały zastąpić przymus, zapewnić szerokim rzeszom obywateli udział w społecznym planowaniu i pogodzić swobodne ścieranie się idei i skal wartości z racjonalnie skoordynowaną gospodarką²⁷⁷. Pytanie to nawiązuje też do bardziej konkretnych i współczesnych sporów nad modelem społeczeństwa socjalistycznego, np. do jugosłowiańskich polemik zwolenników „socjalizmu samorządowego” z koncepcją „socjalizmu etatystycznego”²⁷⁸, a przede wszyst-

²⁷⁶ S. Ossowski, *O osobliwościach nauk społecznych. Dzieła*, t. IV, Warszawa 1967, s. 185.

²⁷⁷ Tamże, s. 193.

²⁷⁸ Obszernie referowałam te poglądy w niepublikowanej pracy doktorskiej pt. *Jugosłowiańska strategia społeczno-gospodarcza a różnicowanie warunków bytu narodów Jugosławii*, IPS, Warszawa 1974.

kim do sporów na temat socjalizmu biurokratycznego i demokratycznego permanentnie obecnych w polskim życiu publicznym i naukowym²⁷⁹.

Zastanawiając się nad przydatnością dwóch – konkurencyjnych wobec siebie – modeli polityki społecznej będę nawiązywać do tych generalnych sporów selektywnie, poświęcając więcej uwagi cechom najważniejszym z punktu widzenia polityki społecznej. Logicznie rzecz ujmując, możliwych odpowiedzi na zadane na wstępie pytanie jest więcej niż dwie; zajmę się tu jednak tylko tymi dwoma wariantami, których praktyczne znaczenie jest współcześnie największe.

Cechy upaństwowionej polityki społecznej

Terminem „upaństwowiona polityka społeczna” nie określam wszelkich polityk społecznych, których podmiotem jest państwo, lecz tylko taką politykę, która ma następujące cechy:

1. Prowadzi ją silnie scentralizowany i zhierarchizowany aparat państwowy, pełniący jednocześnie rolę ośrodka władzy politycznej i gospodarczej; eliminujący kontrolę społeczną i niezależne od siebie organizacje społeczne; stanowiący natomiast nad sobą własną urzędniczą kontrolę, a w pewnych przypadkach powołujący różnego typu rady i inspekcje społeczne, które – kontrolując – same są przez ten aparat kontrolowane.
2. Funkcjonariusze tego aparatu to przede wszystkim urzędnicy. Są oni uwikłani w więzi podległości służbowej, oczekuje się od nich głównie dyspozycyjności i dyscypliny, wzmacnianej – na ważniejszych stanowiskach służbowych – zobowiązaniami wynikającymi z przynależności do rządzącej partii politycznej.
3. Zajmuje się głównie mobilizowaniem ludzi do realizacji zadań wynikających ze szczegółowego *planu przyjętego przez centrum*, preferuje przy tym styl rygorystyczny z elementami opiekuńczego; wydaje się też cenić szczególnie prawne środki oddziaływania – nasycy nimi także rozdzielnictwo środków ekonomicznych.
4. Głosi zamiar racjonalnego, opartego na dorobku nauki, koordynowania wszystkich poczynąń służących *przyspieszeniu wzrostu gospodarczego i zwiększeniu demokracji społecznej*; a więc demokracji wyrażającej się w rzeczywistym wyzwoleniu od wyzysku, likwidacji nierówności klasowych i upowszechnieniu możliwości awansu społecznego, a nie w gwarantowaniu formalnych swobód i uprawnień.
5. Posługuje się *retoryką społecznikowską*; chwalać aktywność społeczną nie kryje tego, że ma ona – na wezwanie i pod patronatem państwa – służyć efektywniejszej realizacji planów centralnych.

²⁷⁹ Zob. np. W. Nieciński, *Demokracja i samorządność w państwie socjalistycznym*. W: *Institucje samorządowe jako przedmiot badań*. UW, Warszawa 1987.

Można się zastanawiać, czy takie cechy owego modelu polityki społecznej, jak zrośnięcie aparatu partyjnego i państwowego oraz wspomniana retoryka społecznikowska są niezbywalnymi atrybutami czy też cechami mniej istotnymi, których usunięcie nie zmieni jego sposobu funkcjonowania i końcowych efektów, a nawet ujednoznaczni „upaństwowienie” polityki społecznej. Jeśli potraktować prowadzoną realnie w naszym kraju politykę społeczną, jako swego rodzaju konkretyzację opisanego modelu, to stwierdzimy w pewnych okresach wyraźne „wyciszenie” tych akcentów, łączące się zwykle ze słabszym eksponowaniem haseł demokracji społecznej. Myślę jednak, że to połączenie biurokratyzacji z retoryką zaczerpniętą jakby z innej poetyki, to „połączenie ognia z wodą” wywiera silne piętno na świadomości społecznej i prowadzi do wielu ważnych zjawisk, ocenianych zresztą diametralnie różnie; należy więc uwzględnić je w analizie.

Argumenty za

Oczekiwania towarzyszące projektowaniu i pierwszym próbom wdrażania tego modelu były bardzo wygórowane. Spodziewano się, że wyeliminuje on raz na zawsze działania wzajemnie znoszące się, nieracjonalne, zmierzające do podporządkowywania jednych ludzi drugim, że jedynie taka polityka będzie w stanie stworzyć optymalne warunki bezpieczeństwa i twórczego rozwoju wszystkim ludziom, że zapewni im sprawną fachową obsługę.

W okresie instalowania nowego ustroju do argumentów o *ślusznosci i efektywności* upaństwowionej polityki społecznej doszedł argument o jej *nieuchronności*, przynajmniej w owym początkowym okresie. Z uwagi na okoliczności konstituowania się nowej władzy w naszym kraju brak było obopólnego zaufania, władzy trudno było mieć pewność co do dyspozycyjności samoistnych przedsięwzięć społecznych, nie wchodziło też w rachubę mozolne kształtowanie się programu rządowego w toku dyskusji publicznej i walki wyborczej o miejsca w parlamencie i we władzach lokalnych. Natomiast można było liczyć na akceptację – a także w wielu wypadkach na ową „społecznikowską mobilizację do realizacji planu” – podejmowanych przez państwo działań, dopóki sprowadzały się one do powojennej akcji ratowniczej i uzupełniania najbardziej ewidentnych luk w systemie instytucji socjalnych. Wówczas jeszcze łatwo było centralnemu planiście „widzieć najlepiej”. Ale następnie państwo przywykło dźwigać cały ciężar powoływania i zatrudniania funkcjonariuszy, którzy mieli *za i dla ludzi* budować i rozdzielać mieszkania, krzewić kulturę i oświatę, organizować zbiorową rozrywkę i zbiorowe wyrażanie akceptacji politycznej.

Argumenty przeciw

Z czasem, w miarę upływu kolejnych dekad, narastać zaczęły *wątpliwości i oskarżenia*. Różne niepowodzenia polityki społecznej przypisać należało

– zdaniem jednych – modelowi upaństwowionej polityki społecznej lub też – zdaniem innych – pogłębiającym się odstępstwom od tego modelu. Za poniekąd kompromisowe można uznać stanowisko, wedle którego atrybutem tego modelu jest właśnie niemożność długotrwałego utrzymania własnej spójności, nieuchronna utrata „rewolucyjnej prężności”, zdolności do realizacji śmiałych projektów społecznych; w myśl tego stanowiska *zalety modelu* byłyby więc *ulotne, wady trwałe*, zaś sam model – trudny do usunięcia.

Upaństwowiona polityka społeczna bywa oskarżana zarówno o to, że odstępuje od deklarowanych wartości i utrwała niesłuszną hierarchię celów, jak i o to, że jest niesprawna, anachroniczna, sztucznie podtrzymywana w społeczeństwie, które – rozwijając się i dojrzewając – już dawno z niej „wyrośli”.

Oskarża się więc ją o to, że ulega presji wartości gospodarczych, utożsamianych z rozbudową rzeczowego potencjału wytwórczego, że *traktuje „dobro człowieka” instrumentalnie*, manipulując nim w imię owych wartości, sprzeniewierzając się tym samym swej idei przewodniej, swemu paradygmatowi²⁸⁰. Monopol państwa zaczyna wręcz służyć utrzymywaniu konsumpcji na poziomie najniższym z możliwych przy danym poziomie potencjału wytwórczego i dochodu narodowego, a także utrzymywaniu aktywności ludzkiej na poziomie najniższym z możliwych, sprowadzaniu jej do posłusznego wykonawstwa i cierpliwego wyczekiwania na należne świadczenia. Ludzie zyskują bezpieczeństwo, ale jest to „złe bezpieczeństwo”. Zaczynają postrzegać cały system społeczny jako sieć dystrybucji dóbr, do której trzeba w umiejętny sposób „podłączyć się”; do tych dóbr zaczyna się zaliczać „urzeczowione” role społeczne, które powinny być raczej traktowane jako okazja do aktywności, a niejako przedmiot dystrybucji (np. stanowiska pracy).

W opisanym modelu *państwo więc daje za mało, blokuje za dużo*. Nie znaczy to jednak, że udaje się w tym modelu realizować z żelazną konsekwencją wartości kolektywizmu państwowego. Z biegiem czasu – a zdaniem niektórych krytyków już od samego początku swego istnienia – okazuje on się niezmiernie podatny, omalże bezbronny, na *nieformalne partykularne naciski* grup uznanych za szczególnie preferowane lub szczególnie niebezpieczne dla status quo. Nie kontrolowany upaństwowiony system, oprócz tego, że źle definiuje interes ogólnospołeczny, w praktyce realizuje niespójny i źle skoordynowany zbiór wielu wąskogrupowych interesów. W końcowym efekcie ulegają więc wzmocnieniu istniejące „na wejściu” nierówności społeczne. Zatem społeczeństwo i w tym modelu dochodzi do głosu – ale jest (w wyniku różnych nieformalnych komeraży i powiązań) ustrukturalizowane w sposób najmniej sprzyjający owemu hipotetycznemu interesowi ogólnospołecznemu. Jednym z efektów – negatywnie ocenianych z aksjologicznego punktu widzenia – jest *podwój-*

²⁸⁰ Zob. J. Supińska, *Polityka społeczna a polityka gospodarcza*. W: *Społeczne aspekty rozwoju gospodarczego*. pod red. J. Daneckiego, Warszawa 1974.

ność myślenia i działania ludzi zmuszonych do współżycia z tym modelem: za publicznym uzewnętrznieniem lojalności i postawy biernego wyczekiwania na świadczenia, obsługę i opiekę kryją się różne „podskórne” zabiegi kompensujące jałowość owego wyczekiwania. Energia ludzka koncentruje się na przetwarzaniu luk i niesprawności systemu w prywatne i grupowe korzyści.

Druga grupa oskarżeń wiąże się z oceną modelu z *efektywnościowego punktu widzenia*. Silnie scentralizowany system nie jest w stanie skutecznie sterować olbrzymim zbiorem spraw ogólnych i szczegółowych, które zarezerwował dla swej wyłącznej gestii, nie jest w stanie opanować domeny, z której skutecznie usunął konkurentów. Można nawet twierdzić, że rosnącym w postępie arytmetycznym kompetencjom centrum towarzyszy szybszy spadek (w tempie geometrycznym) możliwości działania innych podmiotów, że – zatem – *łatwiej jest poszerzać władzę negatywną niż władzę pozytywną*. Niesprawność systemu w realizowaniu nawet swoich własnych celów z czasem zaczyna frustrować i zwolenników tego modelu, którzy postulują wówczas dalsze „przykręcania śruby”, wzmożenie nadzoru; powstaje więc „błędne koło” przyczyn i skutków.

Bardziej konkretne zarzuty dotyczą *funkcjonowania instytucji bezpośrednio zajmujących się zaspokajaniem ludzkich potrzeb, instytucji „upaństwowionych”*. Oto najczęstsze zarzuty: instytucje te znacznie bardziej liczą się z opinią swej „centrali” niż klientów; brak dostępu klientów do ośrodka decyzyjnego instytucji wywołuje u nich poczucie nieufności wobec przyjętych przez nią celów i środków; aparat tych instytucji nie umie odczytywać potrzeb społecznych, toteż podejmuje działania zbędne, „nietrafione”, w szczególności nie nadąża za ewolucją ludzkich potrzeb; wąsko wyspecjalizowane instytucje zajmują się pojedynczymi, wyizolowanymi z kontekstu, potrzebami ludzkimi, gubiąc problemy ogólniejsze i utrudniając ludziom orientację w gąszczu instytucji; aparat ma skłonność do standaryzowania, schematyzowania zarówno celów, jak i form działania, nie uwzględnia środowiskowych i przestrzennych odrębności potrzeb; aparat biurokratyczny jest kosztowny, koszty jego utrzymania mogą przekroczyć koszty jego merytorycznej działalności²⁸¹.

Cechy uspołecznionej polityki społecznej

Elementy tego, co nazywam modelem „*uspołecznionej polityki społecznej*” były obecne w myśli społecznej dużo wcześniej, zanim ujawniły się empiryczne podstawy rozczarowania do polityki „upaństwowionej”. Był to drugi nurt tej samej tradycji krytycznej wobec niesprawiedliwości społecznej. Jednak idee te zaczęły odżywać ze zdwojoną siłą, zaś oczekiwania niepomiaralnie rosły wraz z gromadzeniem negatywnych doświadczeń dostarczanych wciąż przez praktykę polityki społecznej „w starym stylu”.

²⁸¹ Zob. J. Hryniewicz, *Instytucje samorządu społecznego*, UW, Warszawa 1987.

Cechy formalne „uspołecznionej polityki społecznej” są następujące:

1. Nadal ważnym podmiotem polityki społecznej jest państwo. Jednakże *aparatus państwowy zostaje zdecentralizowany*, wskutek czego społeczności lokalne zyskują partnerów, z którymi mogą współpracować w terenie i współtworzyć politykę społeczną. Zwiększenie samodzielności funkcjonariuszy aparatu państwowego powinno sprzyjać pojawieniu się w ich – urzędniczej dotychczas – pracy elementów posłannictwa, przejęcia się ideami społecznymi i zasadami etycznymi. Interioryzując te wartości, będą zarazem kontrolowani z zewnątrz przez swych klientów.
2. Władze państwowe – od lokalnych po centralne – są *demokratycznie wybierane i kontrolowane*, przy pełnym i konsekwentnym wykorzystaniu wszystkich sprawdzonych procedur demokracji formalnej. Spójny i praworządny system społecznej kontroli nad organami władzy sprawi, że podejmowane przez nie decyzje – nadal państwowe – nie będą „upaństwowione”.
3. Trwałe i wiarygodne poszerzanie gwarancji swobód obywatelskich otworzy pole dla autonomicznych działań jednostek i zbiorowości, umożliwi aktywność życiową w interesie własnym (przedsiębiorczość nastawioną na zysk ekonomiczny, zapobiegliwość, przezorność, samopomoc) i aktywność społeczną w interesie innych (zarówno w sformalizowanych samorządach, stowarzyszeniach, fundacjach, jak i w niesformalizowanych akcjach).
4. Przeistoczenie starych i pojawienie się „nowego typu” podmiotów polityki społecznej pociągnie za sobą – przez sam fakt ich współistnienia – zmianę stosowanych środków działania, przejście *od rygorystycznego do liberalnego stylu realizacji polityki społecznej*, wzbogaconego o elementy stylu opiekuńczego.

Do tych czterech cech formalnych dodać trzeba cechę piątą, nie dającą się zadekretować, powołać do życia za pomocą aktów prawnych, ale przesądzającą o tym, czy energia potencjalna zawarta w strukturach formalnych przekształci się w energię kinetyczną i uruchomi realne zmiany społeczne:

5. W społeczeństwie pojawi się *dostatecznie wielu ludzi* – ich liczba musi przekroczyć „masę krytyczną” – *którzy chcą, mogą i umieją sięgnąć po to, co zostało dozwolone w nowych strukturach*.

Warto więc tu wrócić do zawartych w VI rozdziale rozważań na temat czynników stymulujących i blokujących wszelką aktywność życiową. Osiągnięcie niezbędnego poziomu gotowości do aktywizacji życiowej jest po części pochodną ogólnego rozwoju cywilizacyjnego i ekonomicznego, dokonującego się jakby „obok” polityki państwa, po część zaś jest efektem dotychczasowej polityki społecznej. Bywa więc nawet efektem ułomnej, obciążonej różnymi niekonsekwencjami, „upaństwowionej polityki społecznej”, realizującej jednak w pewnej mierze hasła demokracji społecznej. Co nie musi zresztą ozna-

czać, że polityka „uspołeczniona” stanowi niezbędny „drugi etap” po – równie niezbędnym – upaństwowionym „pierwszym etapie”²⁸².

Wszystkie pozostałe hipotetyczne cechy uspołecznionej polityki społecznej są domeną oczekiwań. Brak bowiem dostatecznego materiału empirycznego, by te oczekiwania potwierdzić lub obalić. Nie wydaje się słuszne – co czynią niektórzy – weryfikowanie tego modelu na podstawie doświadczeń jugosłowiańskich; są one próbą realizacji niektórych tylko założeń „uspołecznienia”, ponadto owemu eksperymentowi społecznemu daleko od laboratoryjnej czystości, przebiega on w bardzo specyficznym i niepowtarzalnym kontekście sytuacji.

Nadzieje

Jakie są więc oczekiwania i nadzieje wiązane z „uspołecznioną polityką społeczną”? Liczy się na to, że uruchomi ona ciąg doświadczeń, obieg informacji i interakcji, prowadzących do wyboru wartości, celów i środków najbardziej satysfakcjonujących największą liczbę obywateli. Pozwoli ona liczny chętnym uczestniczyć w „systemie porozumień”, w nie kończącym się nigdy procesie dochodzenia – metodą kolejnych przybliżeń, prób i błędów – do wspólnej koncepcji rozwoju, i że jednocześnie zachęci każdego do samodzielnego sięgania po cenione przez siebie wartości, do tworzenia ich na własną rękę i we własnym środowisku. Wyeleminuje „jałowy bieg” życia ekonomicznego i społecznego, usunie instytucjonalne podstawy obłudy i ukaże ludziom prawdę – choćby niemiłą – o sobie samych i o swym społeczeństwie. A konflikty grupowe będzie łatwiej rozstrzygać, gdy konfrontacja stron stanie się jawna i bezpośrednia. Ocenia się ponadto, że jest to jedyna formuła uprawiania polityki w społeczeństwie, które zaczynają uwierać więzy „solidarności mechanicznej” i które dojrzało do oparcia się na kooperacji wolnych jednostek – różnych i potrzebujących się nawzajem właśnie dlatego, że są różne – dojrzało więc do więzi „solidarności organicznej”. Prędzej czy później *nieuchronne* więc stanie się jej przyjęcie. Ocenia się też, że formuła ta jest *dobra „jako taka”*, gdyż odzwierciedla optymalne połączenie wartości indywidualizmu z odpowiednią dozą kolektywizmu, i że przekształca ona zbiór jednostek, osamotnionych w obliczu potężnych instytucji, w społeczeństwo współtworzące politykę społeczną, nadając zarazem tym jednostkom status osoby.

Obawy

Lista obaw i ferowanych z góry oskarżeń pod adresem uspołecznionych procedur jest również długa. Wypowiadają je ci, którzy przywiązani są do status quo – tego głównego rzecznika „upaństwowionej polityki społecznej” – nie

²⁸² Zob. J. Supińska, *Polityka społeczna – upaństwowiona czy uspołeczniona*. W: *Polityka społeczna w okresie przemian*, pod red. A. Piekary, J. Supińskiej, Warszawa 1985.

bardzo jednak mogą sobie pozwolić na jego obronę. Bronią go więc przez atak, budząc lęk przed nieznanym. Uogólniają na cały projektowany i jeszcze nie zrealizowany model te mankamenty demokratycznego stylu działania, które udaje się dostrzec już dziś na izolowanych poletkach doświadczalnych. Obawy te wypowiadają również – choć w tonie dużo mniej kategorycznym – zwolennicy uspołecznienia, którzy nie chcą, by „błędy w sztuce” popełniane przy pierwszych próbach realizacji zdezwuwały cały projekt.

I tu *oskarżenia dotyczą zarówno słuszności, jak i efektywności „uspołecznionych” działań*. Wskazuje się więc na następujące niebezpieczeństwa: pokrywanie frazeologią demokratyczną bezkarnej dominacji silnych nad słabymi, większości nad mniejszością; koncentrację uwagi na sprawach doraźnych, niezdolność do mobilizacji wokół odległych zagrożeń czy szans; rozbudzanie namiętności, partykularnych, rozjątrzanie konfliktów wskutek ich werbalizowania i „nagłaśniania”; długotrwałość i uciążliwość procesu decyzyjnego, nasilenie zbędnych stresów w relacjach „czynnika społecznego” z instytucjami państwowymi, a także w relacjach między aktywnymi społecznie jednostkami; niefachowość, powierzchowność rozpoznania problemów przez ludzi spoza branży, których pochopnie uprawniono do współdecydowania; opaczne rozumienie przez nich fachowych ekspertyz (o ile takowe w ogóle zechcą zamawiać i czytać); niedobór rutyny, przesadne i czasochłonne indywidualizowanie spraw, które tego nie wymagają; skłonność do zrywów aktywności tam, gdzie potrzebna jest systematyczność; pracochłonność i koszty tworzenia nowych form działania społecznego mimo istnienia form starych (choćby i upaństwowionych); np. u inicjatorów nowych ruchów i inicjatyw permanentne „organizowanie się” może przesłonić działalność merytoryczną, pojawi się nowy rodzaj „jałowego biegu”.

Większość tych zarzutów odnosi się do udziału „czynnika społecznego” w lokalnym lub ogólnospołecznym „systemie porozumień”. Niektóre odnoszą się też do inicjatyw realizowanych „na własnym podwórku”. Im bardziej indywidualny i egoistyczny charakter ma mieć aktywność wyzwana w modelu uspołecznionej polityki społecznej, tym głośniej odzywają się oskarżenia o marnotrawienie rozproszonych i sprzecznych wysiłków. Pojawia się więc problem diametralnie różnie rozstrzygany – *czy w modelu tym więcej energii ludzkiej wyzwala się czy więcej się marnotrawi*; czy system porozumień nie dryfuje ku łaadowi policentrycznemu.

Krytycy „uspołecznienia” sądzą najczęściej, że wszystkie te – i liczne inne – mankamenty *będą się nasilać* w miarę ekspansji tego modelu. Natomiast krytyczni zwolennicy uspołecznionej polityki społecznej spodziewają się występowania tych zagrożeń raczej w początkowym okresie demokratyzacji i liberalizacji systemu, widząc w nich *przejawy przemijającej „choroby wzrostu”*, a nie trwałe atrybuty modelu.

Trzecie wyjście?

W ostatnich latach coraz wyraźniej dochodzi do głosu trzeci uczestnik batalii. W przedłużającym się okresie, kiedy to starano się mimo werbalnej akceptacji – opóźnić narodziny uspołecznionego modelu lub wypaczyć jego realizację (traktując go np. jako pretekst dla ograniczenia odpowiedzialności państwa za warunki bytu swych obywateli) wpływowe środowiska opiniotwórcze zaczęły kierować swe nadzieje i sympatie ku trzeciej opcji – *opcji czysto rynkowej*, w duchu XIX-wiecznego liberalizmu (o ewolucji współczesnego liberalizmu wspomniałam w ostatnim rozdziale). Dziecku mającemu się narodzić z przenoszona ciąży grozi to, że stanie się dzieckiem niechcianym.

Ten nurt myślenia początkowo nasilił się w środowisku polityków gospodarczych, którzy coraz częściej przyznają, że ich upodobanie do samorządowego „przedsiębiorstwa społecznego” miało charakter taktyczny; gdy pojawiła się szansa prawdziwej prywatyzacji środków produkcji, odrzucono samorząd jako gorszą namiastkę prywatnego właściciela. Od „przedsiębiorstwa społecznego” do hasła „ekonomizacji polityki gospodarczej” był tylko jeden krok. Nastroje te udzieliły się wielu politykom społecznym. Zwłaszcza tym, dla których „uspołeczniona polityka społeczna” jest tożsama z polityką prowadzoną wyłącznie przez altruistycznych działaczy społecznych, co wydaje się zbyt wąską siłą napędową. Natomiast przedstawiony przeze mnie model „uspołecznionej polityki społecznej” ma już kompromisowy charakter, bowiem traktuje „egoistyczną” aktywność życiową i aktywność społeczną jako równie dobre i równie użyteczne. Zdaję sobie jednak sprawę z tego, że cały problem w proporcjach; ponadto trudno orzec, czy te dwa typy aktywności są w skali społecznej konkurencyjne (co zaostrzałoby kontrowersje) czy też raczej wzajemnie się wspomagają i pobudzają. To pytanie też już wcześniej rozważałam.

Dodać jeszcze należy, że zwolennikami „urynkowania polityki społecznej” powoduje przekonanie, że polityka gospodarcza była w Polsce jeszcze bardziej fuszerowana niż polityka społeczna, że zatem bez jej uzdrowienia nie mogą powieść się programy reformatorskie w żadnej dziedzinie życia nawet gdyby musiała to być końska kuracja.

Resumé – od podmiotów do wartości i instrumentów

Powyższy przegląd stanowisk ma charakter szkicowy, sygnalizuje tylko odmienność ujęć, przesłanek ideowych i typów argumentacji. Aby go pogłębić, trzeba by się uporać z takimi problemami, jak zasadność uogólnień empirii, dozwolony rozmiar odstępstw rzeczywistych struktur od ich modelu teoretycznego, rola struktur instytucjonalnych i indywidualności ludzkich w określaniu kształtu polityki społecznej itd., itd.

Dlatego zdecydowałam się zasygnalizować tę problematykę na zakończenie pracy poświęconej w znacznej mierze wyborom wartości, celów i środków

polityki społecznej? Dlatego, że nie chciałam stworzyć wrażenia, iż jedynie te wybory są strategiczne, iż realizację optymalnego zestawu wartości, celów i środków można powierzyć dowolnemu podmiotowi i oczekiwać za każdym razem równie satysfakcjonujących rezultatów. *Wybór podmiotów kształtujących politykę społeczną* nie jest problemem trzeciorzędnym, a wręcz przeciwnie – *ma charakter pierwotny i kluczowy w stosunku do wszystkich pozostałych wyborów*.

Nie muszę dodawać, że swoje osobiste sympatie i nadzieje wiązę zdecydowanie z uspołecznioną polityką społeczną. Nie wierzę tu jednak w automatyzm, w to, że – jak *deus ex machina* – model ten wyemituje natychmiast i bezboleśnie optymalną strategię społeczną. Wierzę natomiast, że stworzy on elementarne warunki umożliwiające *podjęcie rzetelnej publicznej dyskusji nad wartościami, celami i środkami, umożliwiającej ścieranie się racji, obalanie uprzedzeń i dochodzenie do kompromisów*. I w takim właśnie kontekście społecznym chciałabym widzieć dalszy ciąg dyskusji nad dylematami polityki społecznej; dyskusji doniosłej teoretycznie i praktycznie, do której przyczynkiem miała stać się ta książka.

Warszawa, październik 1989

Bibliografia

- Bajda, J., *Akt małżeński w nauczaniu Kościoła*, „Chrześcijanin w Świecie”, 1987, nr 3 (162).
- Becker, H., Barnes, H., *Rozwój myśli społecznej od wiedzy potocznej do socjologii*, cz. II, Warszawa 1965.
- Bednarski, M., *Podstawowe problemy funkcjonowania „gospodarki drugiego obiegu” w Polsce*. W: *Człowiek w systemie gospodarowania*, t. I, PTE, Warszawa 1986.
- Bielicki, T., *Światopogląd naukowy i naczelne wartości ludzkiego życia*. W: *Wizje człowieka i społeczeństwa*, Warszawa 1986.
- Bortnowski, S., *Spór ze szkołą*, Kraków 1982.
- Borucka-Arctowa, M., *O społecznym działaniu prawa*, Warszawa 1967.
- Buczyńska-Garewicz, H., *Sprawiedliwość jako racjonalność*, „Etyka” 1981, nr 19.
- Bugaj, R., Wywiad, „Tygodnik Powszechny” 1986.
- Choroby cywilizacyjne w Polsce do roku 2000*, ekspertyza PAN, Warszawa 1979 (materiał powielony).
- Czerwiński, M., *Przemiany obyczaju*, Warszawa 1969.
- Danecki, J., *Jedność podzielonego czasu. Czas wolny i czas pracy w społeczeństwach uprzemysłowionych*, Warszawa 1970.
- Danecki, J., *Postęp społeczny a postęp ekonomiczny*. W: J. Danecki (red.), *Společne aspekty rozwoju gospodarczego*, Warszawa 1974.
- Danecki, J., *Przesłanki długookresowej polityki podziału dochodów*. W: J. Danecki (red.), *Perspektywiczna polityka społeczna*, Warszawa 1981.
- Dąbrowski, J., *Rozważania o modelu spożycia*, Warszawa 1975.
- Dąbrowski, K., *Trud istnienia*, Warszawa 1975.
- de Tocqueville, A., *O demokracji w Ameryce*, Warszawa 1976.
- Dmoch, T., *Wpływ społecznych funduszy spożycia na rozkłady dochodów ludności*. W: *Tendencje rozwoju społecznego*, GUS, Warszawa 1979.
- Dodziuk-Lityńska, A., Markowska, D., *Współczesna rodzina w Polsce*, Warszawa 1975.

- Drażkiewicz, J., *Uwagi o aktywności społecznej i różnicowaniu społecznym*, „Studia Socjologiczne” 1974, nr 4.
- Elementy problemu patologii społecznej w Polsce*, PAN, Warszawa 1975.
- Encyklika „Humanae Vitae”*, Warszawa 1982.
- Frąckiewicz, L., *Polityka ochrony zdrowia*, Warszawa 1981.
- Friedman, M., Friedman, R., *Free to Choose: A Personal Statement*, New York 1980.
- Frieske, K., Regulski, J., *Studia nad metodologią ekspertyz naukowych*, „Polska 2000” nr 1, Komitet Badań i Prognoz PAN, Warszawa 1984.
- Galbraith, J. K., *Spółczesność dobrobytu. Państwo przemysłowe*, Warszawa 1973.
- Gałęski, B., *Styl życia i jakość życia – próba systematyzacji pojęć*, „Studia Socjologiczne”, 1977, nr 1.
- Gasidło, W., *Moralna ocena biomedycznych eksperymentów*, „Chrześcijanin w Świecie” 1987, nr 3(162).
- Geiger, T., *Ideologia i prawda. Socjologiczna krytyka myślenia*. W: *Problemy socjologii wiedzy*, Warszawa 1985.
- Gellner, E., *Spółeczne korzenie egalitaryzmu*, „Etyka” 1981, nr 19.
- Goffman, E., *Charakterystyka instytucji totalnych*. W: *Elementy teorii socjologicznych*, Warszawa 1975.
- Goryński, J., *O potrzebie humanistycznego (mieszkaniowo-usługowego) wariantu prognozy sieci osadniczej*. W: J. Danecki (red.), *Spółeczny rozwój Polski w pracach prognostycznych*, Warszawa 1974.
- Granice wzrostu*, Warszawa 1973.
- Grzegorzczak, A., *Wartości moralne a postawy grup społecznych*. W: B. Suchodolski (red.), *Spółczesność wychowująca. Rzeczywistość i perspektywy*, Wrocław–Warszawa 1983.
- Gurycka, A. (red.), *Aktywność i aktywizacja społeczna*, Warszawa 1976.
- Hall, E. T., *Ukryty wymiar*, Warszawa 1976.
- Hołówna, T., *Myślenie potoczne. Heterogeniczność zdrowego rozsądku*, Warszawa 1986.
- Hryniewicz, J., *Egalitaryzm a ruchliwość społeczna*, „Studia Socjologiczne” 1974, nr 3.
- Hryniewicz, J., *Instytucje samorządu społecznego*, UW, Warszawa 1987.
- Illich, I., *Spółczesność bez szkoły*, Warszawa 1976.
- Iwanowska, A., Federowicz, M., Żukowski, T., *Ład administracyjny w zarządzaniu gospodarką*. W: *Człowiek w systemie gospodarowania*, t. I, PTE, Warszawa 1986.
- Jarzębowski, W., *Fikcje organizacyjne i działania pozorne*. W: W. Kieżun (red.), *Barier sprawności organizacji*, Warszawa 1978.
- Jawłowska, A., Pawełczyńska, A., *Mechanizmy makrospołeczne a różnicowania stylu życia*. W: A. Siciński (red.), *Styl życia. Przemiany we współczesnej Polsce*, Warszawa 1978.

- Józefowicz, A. (red.), *Demografia społeczna*, Warszawa 1974.
- Józefowicz, A., *Demograficzne uwarunkowania wyborów rozwoju społecznego*, „Polska 2000”, nr 1, Komitet Badań i Prognoz PAN, Warszawa 1981.
- Kantecki, A., *Elementy metodyki perspektywicznego planowania rozwoju konsumpcji*. W: J. Danecki (red.), *Perspektywiczna polityka społeczna*, Warszawa 1981.
- Kantecki, A., Supińska, J., *Spoleczne problemy konsumpcji*. W: A. Rajkiewicz (red.), *Polityka społeczna*, wyd. III, Warszawa 1979.
- Karta prywatnej przedsiębiorczości gospodarczej*, „Ład” 1987, nr 13.
- Keynes, J. M., *Ogólna teoria zatrudnienia, procentu i pieniądza*, Warszawa 1965.
- Kępiński, A., *Motywy polskiego pijaństwa i środki zaradcze*. W: J. Górski, K. Moczar-ski (red.), *Alkohol w kulturze i obyczaju*, Warszawa 1972.
- Kielanowski, T., *Rozważania o przemijaniu*, Warszawa 1973.
- Kłoskowska, A., *Spoleczne ramy kultury*, Warszawa 1972.
- Kłoskowska, A., *Uwagi na temat modelu wykształconego Polaka*. W: B. Suchodolski (red.), *Model wykształconego Polaka*, Wrocław 1980.
- Kocowski, T., *Globalna koncepcja potrzeb ludzkich*, „Polska 2000”, nr 1, Komitet Badań i Prognoz PAN, Warszawa 1979.
- Kocowski, T., *Taktyka i strategia sterowania motywacją ludzką w skali masowej*. W: A. Podgórecki (red.), *Socjotechnika. Style działania*, Warszawa 1972.
- Komai, J., *Niedobór w gospodarce*, Warszawa 1985.
- Komas-Biela, D., *Rozwój psychofizyczny przed urodzeniem*, „Chrześcijanin w Świecie”, 1987, nr 3(162).
- Koralewicz-Zębik J., *System wartości a struktura społeczna*, Wrocław–Warszawa 1974.
- Kordaszewski, J., *Kierunki humanistycznej racjonalizacji systemu pracy*. W: J. Danecki (red.), *Perspektywiczna polityka społeczna*, Warszawa 1981.
- Kos, C., *Układy preferencji konsumpcji żywności*. W: K. Ryć, R. Zabrzewski (red.), *Polityka żywnościowa PRL*, Warszawa 1975.
- Kosewska, A., Kosewski, M., *Osobowościowe czynniki zachowań dewiacyjnych. „Dojrzewanie” przestępcze i jego terapeutyka*. W: A. Podgórecki (red.), *Zagadnienia patologii społecznej*, Warszawa 1976.
- Kostowska, E., *Idea równości społecznej*, Warszawa 1983.
- Kowalak, T., *Demokracja przemysłowa*, UW, Warszawa 1985.
- Kowalewski, S., *Typowe przejawy patologii w administracji państwowej*. W: W. Kieżun (red.), *Bariera sprawności organizacji*, Warszawa 1978.
- Krawczuk, A., Wywiad, „Przegląd Tygodniowy” 1987, nr 31.
- Krukowski, A., (red.), *Prawne podstawy resocjalizacji i zapobiegania przestępczości*, Warszawa 1979.
- Krzeczkowski, K., *Problematyka polityki społecznej*. W: *Polityka społeczna. Wybór tekstów teoretycznych*, Centralny Ośrodek Metodyczny Studiów Nauk Politycznych, Warszawa 1984.

- Kulpińska, J., *Spoleczna aktywność pracowników przedsiębiorstwa przemysłowego*, Wrocław–Warszawa 1969.
- Kurczewski, J. (red.), *Umowa o kartki*, IPSiR, Warszawa 1985.
- Kurowski, S., *Spór o wzorzec konsumpcji*, „Ekonomista” 1971, nr 6.
- Kwaśniewski, J., Sobiech R., (red.), *Zaradność społeczna*, Wrocław 1990.
- Kwaśniewski, J., *Spoleczeństwo wobec dewiacji*, Warszawa 1983.
- Lamentowicz, W., *Spoleczne uwarunkowania zachowań przedsiębiorczych*. W: *Człowiek w systemie gospodarowania*, t. I, PTE, Warszawa 1986.
- Lernell, L., *Współczesne zagadnienia polityki kryminalnej. Problemy kryminologiczne i penologiczne*, Warszawa 1978.
- Leś, E., *Aktywność społeczna w stowarzyszeniach*, IPS UW, Warszawa 1985, maszynopis.
- Liberalism*, hasło w: *International Encyclopedia of the Social Science*, London 1968.
- Libura, U., *Konsumpcja a wykorzystanie możliwości produkcyjnych w gospodarce socjalistycznej*, Warszawa 1979.
- Lipset, S., *Political Man. The Social Bases of Politics*, New York 1960.
- Łopato, J., *Kwestie społeczne a polityka społeczna. Przegląd teorii*. W: A. Piekara, J. Supińska (red.), *Polityka społeczna w okresie przemian*, Warszawa 1984.
- Małkowski, S., List do „Sztandaru Młodych” datowany 13 V 1981, maszynopis.
- Markowska, D., *Opinia publiczna wobec polityki ludnościowej na przykładzie dokumentów międzynarodowych i programów wybranych krajów*, maszynopis w archiwum IGS, Warszawa 1978.
- Markowska, D., *Przesłanki i hipotezy perspektywicznej polityki społecznej wobec rodziny*. W: J. Danecki (red.), *Perspektywiczna polityka społeczna*, Warszawa 1981.
- Markowska, D., Wywiad stanowiący załącznik do raportu: J. Supińska, *Cele i środki polityki ludnościowej w świetle opinii ekspertów*, maszynopis w archiwum IGS, Warszawa 1978.
- Maslow, A. H., *Teoria hierarchii potrzeb*. W: *Problemy osobowości i motywacji w psychologii amerykańskiej*, Warszawa 1964.
- Matkowski, S., *Apel w sprawie nie narodzonych*, maszynopis, Warszawa 1981.
- Mądrzycki, T., *Psychologiczne prawidłowości kształtowania się postaw*, Warszawa 1970.
- Merton, R. K., *Teoria socjologiczna i struktura społeczna*, Warszawa 1982.
- Mesarovic, M., Pestel, E., *Ludzkość w punkcie zwrotnym. Drugi raport dla Klubu Rzymskiego*, Warszawa 1977.
- Mishan, E. J., *Spór o wzrost gospodarczy*, Warszawa 1986.
- Mlicki, M. K., *Z zagadnień socjotechniki humanistycznej w skali globalnej*. W: J. Rudniański, K. Murawski (red.), *Na krawędzi epoki*, Warszawa 1985.
- Modzelewski, W., *Walka bez użycia przemocy*, UW, Warszawa 1986.
- Morawski, W., *Nowe społeczeństwo przemysłowe. Analiza i krytyka koncepcji*, Warszawa 1975.

- Morecka, Z., *Spoleczne aspekty gospodarowania*, Warszawa 1981.
- Narojek, W., *Struktura społeczna w doświadczeniu jednostki*, Warszawa 1982.
- Nieciński, W., *Demokracja i samorządność w państwie socjalistycznym*. W: *Instytucje samorządowe jako przedmiot badań*, UW, Warszawa 1987.
- Nieciński, W., *Polityka społeczna a deformacje i zjawiska patologiczne*. W: A. Piekara, J. Supińska (red.), *Polityka społeczna w okresie przemian*, Warszawa 1985.
- Nowak, S., *Kryteria wartościowania*, „Polska 2000”, nr 1, Komitet Badań i Prognoz PAN, Warszawa 1981.
- Nowak, S., *System wartości społeczeństwa polskiego*, „Studia Socjologiczne” 1979, nr 4.
- Nowicka, E., *Bunt i ucieczka. Zderzenie kultur i ruchy społeczne*, Warszawa 1972.
- O nowy ład międzynarodowy. Raport dla Klubu Rzymskiego*, Warszawa 1978.
- Obuchowski, K., *Psychologia dążeń ludzkich*, Warszawa 1983.
- Obuchowski, K., *Tezy do opracowania pt. Nowy indywidualizm* (maszynopis).
- Okólski, M., Pajestka, J., *Ludność i gospodarka świata*, Warszawa 1978.
- Olędzki, M., *Wstęp do teorii polityki społecznej. Propozycja wyjścia z kryzysu*, Warszawa 1981.
- Ossowska, M., *Normy moralne, próba systematyzacji*, Warszawa 1985.
- Ossowski, S., *Ku nowym formom życia społecznego*. W: S. Ossowski, *Dzieła*, t. V, Warszawa 1968.
- Ossowski, S., *O osobliwościach nauk społecznych*. *Dzieła*, t. IV, Warszawa 1967.
- Pajestka, J., *Determinanty postępu*, Warszawa 1975.
- Paschalska, M., *Koncepcja kształcenia ogólnego z punktu widzenia postulatu „uczyć się, aby być”*. W: B. Suchodolski (red.), *Model wykształconego Polaka*, Wrocław 1980.
- Piłka, M., *Nie zabijaj*, „Przegląd katolicki”, 1986, nr 50.
- Piotrowski, J., *Zabezpieczenie społeczne. Problematyka i metody*, Warszawa 1966.
- Podgórecki A., (red.), *Socjotechnika. Praktyczne zastosowania socjologii*, Warszawa 1968.
- Podgórecki, A., *Socjologia prawa*, Warszawa 1962.
- Podgórecki, A., *Zasady socjotechniki*, Warszawa 1966.
- Pohorille, M., *Potrzeby. Podział. Konsumpcja*, Warszawa 1985.
- Pomoc społeczna w Polsce*, cz. I, Centrum Medyczne Kształcenia Podyplomowego, Warszawa 1984.
- Problemy mierników poziomu życia ludności*, „Biblioteka Wiadomości Statystycznych” t. 23, GUS, Warszawa 1974.
- Rajkiewicz, A., *Polityka społeczna – problemy i zadania*, „Polityka Społeczna” 1975, nr 10.
- Rakowski, M., *Efektywność wzrostu wolnego czasu a programowanie wzrostu społeczno-gospodarczego*, Materiały Instytutu Planowania nr 5, Warszawa 1976.

- Rakowski, M., *Pojęcie, wycena i analiza poziomu życia*, „Ekonomista” 1976, nr 3.
- Raport o stanie oświaty w PRL, Warszawa 1973.
- Rawls, J., *A Theory of Justice*, Cambridge Mass. 1977.
- Rokeach, M., *From Individual to Institutional Values*. W: M. Rokeach (red.), *Understanding Human Values. Individual and Societal*, New York 1979.
- Rokeach, M., *Nature of Human Values*, New York 1973.
- Rosner, J., *Poziom życia i jego mierniki*. W: *Polityka gospodarcza a polityka społeczna*, Warszawa 1971.
- Rosset, E., *Trwanie życia ludzkiego*, 1979.
- Rychliński, S., *Gospodarcze oblicze przeludnienia*. W: S. Rychliński, *Wybór pism*, Warszawa 1976.
- Rychliński, S., *Wybór pism*, Warszawa 1976.
- Saint Marc, P., *Przyroda dla człowieka*, Warszawa 1979.
- Sauvy, A., *Ogólna teoria ludności*, maszynopis w archiwum IGS, Warszawa.
- Schumacher, E. F., *Small is Beautiful. A Study of Economics as if People Mattered*, London 1975.
- Siciński, A., (red.), *Styl życia. Koncepcje i propozycje*, Warszawa 1976.
- Siciński, A., *Spółczesność istniejąca a społeczeństwo pożądane*. W: B. Suchodolski (red.), *Spółczesność wychowująca. Rzeczywistość i perspektywy*, Wrocław 1983.
- Siciński, A., *Spółczesność istniejąca a społeczeństwo pożądane*. W: B. Suchodolski (red.), *Spółczesność wychowująca. Rzeczywistość i perspektywy*, Warszawa 1983.
- Smoliński, Z., *Transformacja demograficzna w Polsce*, „Polityka Społeczna”, 1986 nr 11–12.
- Sokołowska, M., *Oddziaływanie na proces społecznej rehabilitacji pacjentów*, „Studia Socjologiczne” 1969.
- Spates, J.L., *The Sociology of Values*, “Annual Review of Sociology” 1983, vol. 9.
- Spółczesność wobec przemocy*, raport Komitetu Badań nad Przemocą, Zbrodnią i Występkiem, Warszawa 1982.
- Stanisz, J., *Własność – racjonalność – dynamika – struktura. Próba zrozumienia realnego socjalizmu*, „Przyjaciel Nauk”, Poznań–Wrocław 1985, nr 1–2.
- Suchodolski, R., (red.), *Model wykształconego Polaka*, Wrocław 1980.
- Supińska, J., *Budżety rodzin a budżety gospodarstw-domowych*, maszynopis w archiwum Biura Studiów Komitetu Badan i Prognoz „Polska 2000” PAN, Warszawa 1978.
- Supińska, J., *Jugosłowiańska strategia społeczno-gospodarcza a zróżnicowanie warunków bytu narodów Jugosławii*, IPS, Warszawa 1974 (maszynopis).
- Supińska, J., *Polityka społeczna – upaństwowiona czy uspołeczniona*. W: A. Piekara, J. Supińska (red.), *Polityka społeczna w okresie przemian*, Warszawa 1985.
- Supińska, J., *Polityka społeczna a polityka gospodarcza*. W: J. Danecki (red.), *Społeczne aspekty rozwoju gospodarczego*, Warszawa 1974.

- Supińska, J., *Ruch konsumencki w Polsce – zarys problematyki*. W: J. Kwaśniewski, R. Sobiech (red.), *Zaradność społeczna*, Wrocław 1990.
- Szacki, J., *Dylematy idei dobra wspólnego*, „Więź” 1985, nr 10–11–12.
- Szacki, J., *Historia myśli socjologicznej*, t. I i II, Warszawa 1981.
- Szawarski, Z., (red.), *W kręgu życia i śmierci*, Warszawa 1987.
- Szczepański, J., *Konsumpcja a rozwój człowieka. Wstęp do antropologicznej teorii konsumpcji*, Warszawa 1981.
- Sztompka, P., *Teoria socjologiczna końca XX wieku*. Wstęp do książki J. H. Turnera, *Struktura teorii socjologicznej*, Warszawa 1985.
- Szubert, W., *Od walki z bezrobociem do polityki pełnego zatrudnienia*. W: W. Szubert, *Studia z polityki społecznej*, Warszawa 1973.
- Szubert, W., *Studia z polityki społecznej*, Warszawa 1973.
- Szumlicz, J., *Niepieniężne świadczenia społeczne*, „Polityka Społeczna”, 1986, nr 4.
- Świda-Zięmba, H., *O technikach rozbijania grup*, referat na sesję o manipulacji zorganizowaną w UW w 1981 r., maszynopis.
- Tobiasz, H., *Aktywność społeczna w instytucjach społecznych działających w sferze zabezpieczenia społecznego*, IPS, Warszawa 1984, maszynopis.
- Toczyski, W., *Echa eksperymentu koszalińskiego*, „Polityka Społeczna” 1985, nr 11–12.
- Toffler, A., *Szok przyszłości*, Warszawa, 1974.
- Tomaszewski, T., *Struktura i funkcja regulacyjna informacji*. W: *Opinia publiczna i środki masowego przekazu a ujemne zjawiska społeczne*, Warszawa 1981.
- Trawińska, M., *Model polityki społecznej*, Rada d.s. Rodziny, Warszawa 1982, (mat. powielony).
- Turnau, J., *Kościół Katolicki a regulacja urodzeń*, „Chrześcijanin w Świecie” 1987, nr 2.
- Tymowski, A., *Budżet pieniężny a budżet czasu*, cz. I i II, *Roczniki IHW*, 1972, z. 2 i 3.
- Urbanek, A., *Między egoizmem, altruizmem i agresją: spór o socjobiologię*. W: *Wizje człowieka i społeczeństwa*, Warszawa 1986.
- Wesołowski, W., *Teoria. Badania. Praktyka. Z problematyki struktury klasowej*, Warszawa 1978.
- Wesołowski, W., *Uwarstwienie i merytokratyczna sprawiedliwość*, „Studia Socjologiczne” 1980.
- Widerszpil, S., *Ku równości startu*, „Argumenty” 1971.
- Wierzbicki, Z. T., *Badania amerykańskie nad aktywizacją społeczności lokalnej*, „Studia Socjologiczne” 1969.
- Wójcik, P., *Położenie klasy robotniczej w Polsce. Kwestia mieszkaniowa*, ANS, Warszawa 1983.
- Wrong, D. H., *Przesocjalizowana koncepcja człowieka w socjologii współczesnej*. W: E. Mokrzycki (red.), *Kryzys i schizma. Antyscjentystyczne tendencje w socjologii współczesnej*, t. I, Warszawa 1984..

- Wróblewski, J., *Opinia publiczna a polityka prawa, wybrane zagadnienia teoretyczne*. W: *Opinia publiczna i środki masowego przekazu a ujemne zjawiska społeczne*, Warszawa 1981.
- Zieliński, T., *Idea zbiorowego prawa pracy w socjalistycznym porządku prawnym*, „Państwo i Prawo” 1980.
- Zieliński, T., *Zbiorowe spory pracy a współczesne koncepcje ładu społecznego*, „Ruch Prawniczy, Ekonomiczny i Socjologiczny” 1984.
- Ziemiński, Z., *Związki między sprawiedliwością a równością*, „Etyka” 1981, nr 19.
- Znaniecki, F., *Nauki o kulturze*, Warszawa 1971.
- Żechowski, Z. A., *Aktywność społeczna jako problem socjologiczny i polityczny*. W: Z.A. Żechowski, J. Wódz, K. Wódz, *Z zagadnień aktywizacji społecznej. Trzy szkice socjologiczne*, Prace Naukowe Uniwersytetu Śląskiego nr 466, Katowice 1982.
- Żeleński (Boy), T., *Reflektorem w mrok. Wybór publicystyki*, Warszawa 1985.
- Żukowski, T., *Rola przedsiębiorstw w tworzeniu lokalnej infrastruktury społecznej*, „Polityka Społeczna” 1985.